

**CATHERINE  
COOKSON**  
**WIECZERZA Z ZIÓŁ 2**

przełożyła  
**Dorota Jankowska Lamcha**

**bis**  
**Warszawa 1997**

# 1

Był niedzielny wieczór na początku listopada 1846 roku. Po wrzosowisku hulał porywisty wicher. Ulewny deszcz ze śniegiem tłukł o ściany okazałego kamiennego domostwa. Z jego czterech frontowych okien snuły się smugi światła. W bocznych oknach na parterze i na pierwszym piętrze także widać było jasność. Cały dom i obejście robiły wrażenie otulonych atmosferą wygody i bezpieczeństwa. Od strony stajni i zabudowań gospodarczych ustawionych z trzech stron podwórza nie dobiegał żaden hałas. Podwórze to w niewielkim stopniu przypominało zwykłe farmerskie, wyglądało raczej jak dziedziniec szlacheckiej siedziby. Kiedy wyprowadzano zwierzęta, kiedy rozbrzmiewało dzwonięcie upręży, brzęczenie toczonych po ziemi konwi na mleko, pokrzykiwania robotników, wtedy dopiero widać było, że jest to wiejskie gospodarstwo, gdzie wre mrówcza praca.

Tej niedzieli krzątano się głównie w kuchni i jadalni, gdzie cała rodzina zebrała się na kolacji. Kolacja ta była wyjątkowa, była bowiem ostatnią, w której najstarsza córka uczestniczyła jako panna. Nazajutrz miała wyjść za mąż.

Jadalnia była przestronnym, wysokim i wystawnie urządzonym pomieszczeniem. Wzdłuż pokrytych boazerią ścian stał rząd solidnych mebli, wśród których wyróżniał się kredens z dużą ilością kryształów i sreber. Przy stole mogło się pomieścić wygodnie osiemnaście osób. Siedzenia krzesel były obciążone skórą, taką samą, jaka pokrywała kanapę w drugim końcu pokoju. Stało tu także kilka serwantek, w tym dwie narożne, wypełnionych porcelaną. Kominek był z kamienia, nieco zbyt kunsztowny jak na jadalnię w wiejskim domu, gdyż

niegdyś zdobił pałacowy salon. Wzorzysty dywan w tonacji głębokiej czerwieni pokrywał tylko część podłogi, pozostawiając dużą powierzchnię wyfroterowanych desek.

Po obu końcach stołu nakrytego lnianym obrusem stały czteroramienne świeczniki, a wokół nich tyle jedzenia, iż mieściło się z trudem, mimo że stół był duży. Stało przy nim dwanaście krzeseł, lecz tylko dziewięć było zajętych przez domowników. Dwa puste stały nie odsunięte. Po ich lewej stronie siedziała pani domu. Po jej prawej ręce stało kolejne puste krzesło, zazwyczaj zajmowane przez Annie, która właśnie walczyła z przeziębieniem, by móc uczestniczyć w uroczystości następnego dnia.

Mary Ellen miała czterdzieści trzy lata i jak na kobietę, która urodziła dziewięcioro dzieci, wyglądała bardzo młodo, jak ktoś, kto zaznał o wiele mniej cierpień w życiu. Na jej włosach nie było śladów siwizny, na twarzy ani odrobiny zmarszczek, zaś zaokrąglona sylwetka trzymała się prosto.

Po drugiej stronie stołu siedział Hal. Skończył czterdzieści siedem lat, lecz w przeciwieństwie do Mary Ellen nosił na sobie nieubłagany ślad zostawiony przez minione lata. Włosy mu posiwiały, a od końca nosa do brody biegły dwie głębokie bruzdy. Twarz wyglądała na znużoną. Zawsze krępy, teraz jeszcze przytył, lecz wyglądał czerstwo i nie był zbyt tęgi.

Patrząc na niego w świetle świec, wśród śmiechu i gwaru rozmów przy stole, Mary Ellen rozmyślała: Gdyby tylko mógł trochę zwolnić tempo. Gdyby tylko umiał się cieszyć i był pewny, że mając jego, mam wszystko, czego pragnę i o czym kiedykolwiek zamarzę. Gdybym tylko umiała go o tym przekonać.

Nie było dnia w ich trwającym już dwadzieścia cztery lata małżeństwie, żeby na różne sposoby nie wyrażała swej miłości. Nigdy jednak nie był o niej całkowicie przekonany, gdyż miał zawsze w pamięci jej pierwszą miłość, owo zachłanne dziewczęce uczucie, które dało życie jej córce Kate, którą miała jutro utracić. Będzie tęskniła za Kate. Z jej dziewięciorga dzieci, dwoje umarło na tyfus, którego epidemia panowała w okolicach Allendale w tysiąc osiemset czterdziestym pierwszym. To byli jej najmłodsi - Peg i Walter. Byli tak śliczni, pełni życia. W niedzielne wieczory zasiadali na wsuniętych

dziś krzesłach tuż obok niej. Jeszcze teraz widziała ich twarzyczki, wesołe i roześmiane. Byli sobie bliscy i mieli pogodne usposobienia, podobnie jak bliźnięta John i Tom. W przeciwieństwie do siostry Maggie, która urodziła się po nich. Mary Ellen nie miała pojęcia, po kim Maggie odziedziczyła charakter. Była nieco podobna do niej samej sprzed lat, głównie jeśli chodzi o cięty język. Maggie miała dwadzieścia dwa lata i nie zbierała się do małżeństwa, choć miała wielu konkurentów. Miała pstro w głowie i zbyt lubiła flirtować.

W rok po Maggie urodziła się Florrie. Między wszystkimi dziećmi był rok różnicy. Mary Ellen była w tym względzie systematyczna, z jednym tylko wyjątkiem, kiedy zaszła w ciążę za wcześnie i poroniła. Florrie miała naturę spokojną i cichą, jak żadne inne z rodzeństwa, a już na pewno nie Hugh i Gabriel. Ci dwaj to dopiero były łobuziaki, hultaje, jak mawiał o nich ojciec, lecz dowcipne piekielne urwisy. Wszystkie dzieci lubiły się śmiać, może z wyjątkiem Kate.

Po urodzeniu Waltera Mary Ellen przestała zachodzić w ciążę, jakby natura powiedziała: Obiecałaś dać mu dziewięcioro dzieci i tyle mu urodziłaś. Pora skończyć. I rzeczywiście, z czystym sumieniem mogła powiedzieć, że dała Halowi dziewięcioro dzieci, bo Kate kochał jak własną córkę, co czasami jej matkę trochę martwiło.

Oboje byli bardzo szczęśliwi, dopóki rodziny nie dotknęła choroba i śmierć. Jakby ktoś rzucił na nich zły urok, który dopiero teraz został przezwyciężony. Nie pamiętała równie wesołego wieczoru, od kiedy umarli najmłodszy. Aż do ubiegłego roku żadne z dzieci nie okazało chęci do żeniaczki czy zamążpójścia, wprost przeciwnie, żartowały z tego. Jak powiedział Hal, było im w domu za dobrze, by chcieli się podjąć odpowiedzialności za własną rodzinę. W gruncie rzeczy to mu odpowiadało, bo bardzo kochał swoją gromadkę. A teraz wydawali za mąż Kate. Prawdę mówiąc, Mary Ellen pogodziła się z myślą, że Kate pozostanie przy nich na zawsze. Niewyparzony język Maggie wyraził kiedyś to, o czym wszyscy w skrytości ducha myśleli: Kate nie jest szczególnie urodziwa.

Tak było istotnie i trudno było to wytłumaczyć. Miała przystojnego ojca, Mary Ellen też była ładna. Kiedy Kate się urodziła, była ślicznym dzieckiem. Zaczęła brzydnąć, kiedy

miała rok. Lecz dopiero rok później Mary Ellen zauważyła, że z twarzyczki dziecka zniknęła uroda. Jej skóra nie była tak delikatna, jak powinna być u dziecka. Gdy miała pięć lat, była tak wysoka jak dziewczynka siedmio-, ośmioletnia i nie przestawała rosnąć. Była większa niż reszta dzieci i do tego potężnie zbudowana. Lecz to nie sylwetka przesądzała o brzydocie Kate, gdyż przy swoich rozmiarach była wcale kształtna. Twarz od całkowitej brzydoty ratowały jedynie oczy. Miała oczy piękniejsze niż reszta rodzeństwa, ogromne, jasnobrazowe. Z czasem pojawiła się w nich raniąca serce matki świadomość, bo któregoś dnia Kate spytała: - Dlaczego nie jestem podobna do ciebie, mamo, ani... do niego?

Mary Ellen dosyć wczesnie powiedziała najstarszej córce, że Hal nie jest jej ojcem, by inne dzieci nie rzuciły jej tego w twarz. I owego dnia Kate rzekła: - Powiedziałaś mi, że był przystojnym mężczyzną.

Rzeczywiście tak było, lecz dopiero teraz wiedziała, że dziewczynka przechowywała tę wiadomość w sercu nie jako pociechę, lecz jako wielki znak zapytania: Dlaczego wygląda właśnie tak, jeśli jej ojciec był przystojny, a matka też urodziwa?

Jak mogła przekonać córkę, że ma zalety zaćmiewające resztę rodzeństwa. Była nad wyraz uprzejma i taktowna, i miała dobry charakter.

Co więcej, Kate miała śliczny głos i umiała opowiadać piękne historie. Kiedy słyszało się opowieści Kate, zapominało się o jej wyglądzie. Musiało się to przytrafić Harry'emu Bakerowi, jako że znał Kate od lat i nigdy jej nie zauważał. Było tak, dopóki nie przyjechał prosić Hala o pomoc, kiedy jego rodzinę, jak wielu innych rolników, nawiedziła klęska nieurodzaju. Farma Bakera była niewielka, położona wysoko, a zbiory były czasem za małe, żeby można było spłacić długi i przeżyć do następnego roku. Mary Ellen zaprosiła go na obiad i właśnie wtedy miał okazję po raz pierwszy usłyszeć opowieści Kate. Opowiadała zabawne zdarzenie zasłyszane na targu w Hexham, które wywołało śmiech wszystkich zebranych, a on śmiał się najgłośniej. Kate naśladowała głosy uwikłanych w kłótnię osób.

Mary Ellen z początku nie wzięła sobie do serca wrażenia, jakie wywarła na Bakerze Kate, myśląc zrazu, że po prostu

przyciąga go poczęstunek, potem - że pozostaje pod wrażeniem ich stylu życia, bo obiady jadało się u nich zawsze w jadalni. Nie wiedziała, jak gotuje jego matka, lecz zauważyła, że przy pierwszej wizycie jadł dwa razy więcej niż domownicy.

Ponieważ jego farma była dość oddalona, leżała za Haydon Bridge, do którego było ze sześć mil, sama odwiedziła ją tylko raz, by spotkać się z jego ojcem i matką. Odległość ta jednak nie stanowiła przeszkody dla Bakera, gdyż bywał u nich co tydzień, zawsze przyjeżdżając wozem, nigdy konno.

Pewnego dnia, gdy ujrzała, jak Hal ładuje na wóz siano i zboże, odezwała się: - Spryciarz z niego. - A Hal odparł: - Wiem o tym, wiem. Ale moja szlachetność ma na celu nie jego dobro, lecz dobro Kate. Z wiadomego powodu potrzebna jej pomoc. A on nie jest głupcem i wie, że to dzięki okazywanym jej względom dostaje to wszystko.

Tamtego wieczoru, leżąc w łóżku, powiedziała z głęboką troską w głosie: - Halu, czy nie sądzisz, że twoja hojność jest jedynym powodem, dla którego się z nią żeni?

Zmartwiła się jeszcze bardziej, słysząc odpowiedź: - Trudno powiedzieć. Jest w wiejskiej sytuacji, bo jego ojciec nie jest pracowity, matka niewiele bardziej. Ale sam wygląda na kogoś, kto chce osiągnąć więcej. I popatrzmy prawdzie w oczy, jest jedynym jak dotąd konkurentem. Więcej okazji Kate już mieć nie będzie. Wszyscy oni muszą być cholernie ślepi, bo to świetna dziewczyna, ta nasza Kate. Nie znam lepszej.

- Myślisz, że ona go lubi?

- Miałem zamiar ciebie o to spytać, bo z tobą rozmawia najczęściej - odparł.

Kate rozmawiała z nią, lecz nigdy na temat swoich uczuć do Harry'ego Bakera. Może otworzy serce przed matką dziś wieczór, kiedy po raz ostatni przyjdzie jej powiedzieć „do-branoc”.

Popatrzyła przez stół na córkę. Siedziała po lewej stronie Hala. Nawet najstarsi synowie, gdy na tyle podrośli, żeby siedzieć przy stole w kuchni ich pierwszego domu, nigdy nie siadywali przy boku ojca. Miejsce to było zawsze zarezerwowane dla Kate. Sadzał ją po lewej stronie, bo łatwiej mu było prawą ręką podsuwać jej smakołyki. Tak było przez lata.

Żadne z dzieci, które mu urodziła, nie zajęło miejsca Kate. Kate odwzajemniała tę miłość - nie kochałyby serdeczniej prawdziwego ojca.

Były chwile, kiedy Mary Ellen wspominała Roddy'ego Greenbanka, kiedy jeszcze pracował w hucie, i w dniach wolnych od pracy wędrował po górach z blokiem rysunkowym i ołówkiem. Myślała o tych czasach z rozrzewnieniem. Gdy jednak przypominała sobie, jak zmienił Roddy'ego pobyt w Newcastle i Londynie, w jej myśli wkradała się gorycz. Mimo tego, iż była wówczas powszechnie uważana za rozsądną dziewczynę, okazała bezgraniczną bezmyślność i głupotę. Lecz, jak mawiała stara mądra Kate Makepeace, jej przyjaciółka i dobrodziejka: Rozsądek płynie z głowy, z serca zaś tylko kłopoty.

Czy to głowa, czy serce prowadzi Kate do ołtarza? Miała nadzieję, że serce. Z zadumy wyrwał ją wybuch gromkiego śmiechu i widok Johna, który szturchnięty w plecy przez Toma krztusił się i pluł do puddingu. Pochyliła się do Gabriela siedzącego po jej lewej stronie. - O co im chodzi? - zapytała z uśmiechem.

Gabriel, ocierając łzy śmiechu, odpowiedział: - Rozmawiali o tym, co wydarzyło się w „wietrzny poniedziałek”, kiedy chowano Maggie Oates, pamiętasz? O jedynej kobiecie, która odważyła się pójść na cmentarz, i o tym, jak wiatr zadarł jej spódnice i halki na głowę. Omal nie wpadła do wykopanego grobu. Oprócz niej było tam tylko dwóch mężczyzn i pastor, który zgodził się pochować Maggie jedynie dlatego, że wyznała mu przed śmiercią wszystkie grzechy. Tych dwóch swoją obecnością wykazało nie lada odwagę. Gdyby wszyscy klienci poszli za jej trumną, połowa hrabstwa opustoszałaby tego dnia, tak przynajmniej mówią.

- Och, bądźże cicho - pogroziła Gabrielowi ze śmiechem.  
- Co ty o niej wiesz?

- Dosyć, mamó, dosyć. Widziałem ją raz. Miałem zaledwie jedenaście lat, a ona uśmiechała się do mnie. Prawda, Hugh? - popatrzył nad stołem na brata. - Pogłaskała cię po głowie, prawda?

- Cicho!

Znowu buchnął gromki śmiech. Mary Ellen dobrze pamiętała Maggie Oates, także dzień jej pogrzebu. Było to w stycz-

niu trzydziestego dziewiątego, kiedy nad okolicą przeszła wichura. Zniszczyła połowę zabudowań w okolicy i uczyniła spustoszenie w Allendale. Potem wszyscy ludzie wspominali, że był to dzień, kiedy chowano Maggie Oates. Po okolicy krążył dowcip, że odeszła z diabelskim podmuchem, ze wszystkimi diabłami, których obsługiwała przez lata. Ilekroć wspomniano ów „wietrzny poniedziałek”, zawsze na ustach był pogrzeb Maggie Oates.

Mary Ellen powitała uśmiechem toast, który wzniosł Hal: - Wypijmy za naszą Kate i jej szczęście, bo całym sercem życzę jej szczęścia i wy chyba także. Kate - Hal popatrzył w brązowe oczy młodej, potężnej kobiety siedzącej przy jego boku i dokończył miękko: - Jutro to krzesło będzie puste, lecz ty ciągle będziesz w naszych sercach.

- Och, tato - pochyliła się ku niemu i pocałowała go. Ręka mu zadrżała i rozlał trochę wina z kieliszka.

- Uważaj, tato. Będę musiała jutro doprać tę plamę - ofuknęła ojca Maggie.

- Jutro nie będzie prania - powiedziała Florrie głosem pełnym słodyczy.

- No to kiedy indziej.

- Cicho bądź, rozczochnańcu! - Hal popatrzył na swoją najstarszą córkę, potem przeniósł wzrok na Mary Ellen. - Za Kate, wypijmy za Kate - powiedział.

Wszyscy wstali, podnieśli kieliszki, wypili ich zawartość, a Kate spuściła głowę i przymknęła powieki, spod których potoczyły się łzy.

- Kate, nie zaczynaj beczeć. To wróży nieszczęście - zawołała Maggie.

- Nie, skądże. Wróży nieszczęście, jeśli się nie płacze - zaprotestowała matka.

Wszyscy popatrzyli na Mary Ellen, a ona ciągnęła dalej: - Czy słyszeliście kiedyś o pannie młodej, która nie płacze?

- Dobrze, chodźmy do salonu i pośpiewajmy. - Hal wstał i przeszedł wzdłuż stołu w stronę żony, lecz zanim do niej dotarł, położył kolejno dłoń na oparciach dwóch pustych krzeseł. Dzieci podążyły za rodzicami, lecz wszystkie najpierw podchodziły do krzeseł i kładły ręce na oparciach. Ta ceremonia odbywała się codziennie, od kiedy stracili

najmłodsze rodzeństwo, co wśród odwiedzających ich gości wywoływało wcale nie skąpe komentarze.

Mówiono, że to dziwaczne i bardzo niewskazane zachowywać pamięć o umarłych właśnie w jadalni. Lecz Hal Roystan był powszechnie znany ze swych dziwactw. W młodości spędził całe lata pracując w hucie. Potem, zaczynając od niewielkiego odszkodowania, które otrzymał za śmierć swojego ojca podczas pełnienia służby, stworzył najbardziej kwitnącą farmę w okolicy. Moor Vale było czwartym z kolei w ciągu dwudziestu pięciu lat miejscem ich zamieszkania i mówiono, że Roystan żyje teraz jak lord i kształci dzieci, jakby pochodziły ze szlacheckiego domu. Mimo to ciągle nie został uznany przez prawdziwą szlachtę i nigdy nie zostanie, bo jego żona urodziła nieślubne dziecko, zanim się z nią ożenił. Ona też nie była zwyczajną kobietą, bo umiała sporządzać mikstury z ziół i pigułki dla ludzi i zwierząt, które pomagały dużo bardziej niż lekarstwa niejednego lekarza. Leczyła jednak tylko tych, których chciała leczyć, innych odprawiała sprzed drzwi z kwitkiem.

Roystanowie mogli sobie żyć jak lordowie i naśladować szlachtę u siebie w domu: w sposobie, w jaki jadali i czym jeździli - ich konie były dobrej rasy, a oprócz potrzebnych na farmie furmanek mieli dwukólkę, kryty powóz i brek. Lecz ludzka zawiść gotowa była przy byle okazji nie pozwolić im zapomnieć, skąd się wywodzą.

Przepowiadano też, że Roystanowie zaszli tak daleko, że teraz mogą już tylko się staczać. I będą sami sobie winni, będą zawdzięczać to swej pysze. Wszyscy jednak musieli przyznać, że Hal płacił więcej niż przyzwoitą pensję jednemu najemnemu robotnikowi, chociaż oczekiwał w zamian bardzo ciężkiej pracy. Trzej jego synowie też ciężko pracowali. Najnowsze wieści głosiły, że jeden z najmłodszych, Hugh, zamierza zostać prawnikiem. I kto by w to uwierzył? Gdyby to był któryś z bliźniaków, można by zrozumieć, gdyż odznaczali się znacznie większą ogładą, podczas gdy dwaj młodszy synowie, Hugh i Gabriel, byli łobuziakami, ciągle chodzili posiniaczeni i podrapani. Dawali się lubić, lecz brakowało im ogłady. I to jeden z nich miał studiować prawo!

Hal Roystan dopilnował, aby każde z jego dzieci miało szansę zdobyć wykształcenie. Córki uczęszczały na pensję dla

dziewcząt w Hexham, a bliźniacy chodzili do szkoły aż do ukończenia piętnastu lat. Dwóch młodszych wysłano do Newcastle. Oczekiwano, że Gabriel znajdzie pracę w żegludze, lecz on tego nie chciał. Powrócił ze swoim świetnym wykształceniem na farmę i powiedział, że chce na niej pracować, przynajmniej przez jakiś czas. Tak więc Roystan dokupił ziemi i dalej dobrze prosperował.

Zainteresowania Roystana nie ograniczały się tylko do farmerstwa, próbował szczęścia w innych dziedzinach. Kiedy Greenwich Hospital wydzierżawił hutę Langley w roku 1833 firmie Wilson, Lee and Company, rozeszły się pogłoski, że próbował zdobyć w niej udziały. Zakrawało to na żart, bowiem żona Roystana z domu nazywała się Lee. Ale nie było plotką, że ubiegał się o cegielnię znajdującą się w pobliżu jego dawniejszej farmy, lecz ktoś go przelicytował.

Wszyscy wiedzieli, że Roystan jest człowiekiem o wielkich ambicjach. Lecz czy dla swojego brzydkiego kaczątka nie powinien był znaleźć kogoś lepszego niż Harry Baker? Powszechnie wiadomo było, dlaczego Baker się z nią żeni: widział w tym dla siebie szansę. Pomimo że dziewczyna nie była rodzoną córką Roystana, wiadano, że przybrany ojciec bardzo ją kocha i że będzie dbał, by niczego jej nie zabrakło. A to oznaczało, że i Harry'emu niczego nie zabraknie. Jego ojciec nie bardzo mógł i nie bardzo chciał pracować, a i Harry nie był szczególnie pracowity, korzystał z tego, co mógł zdobyć najłatwiejszą drogą. I tak właśnie czynił, żeniąc się z tą zwałistą dziewczyną. Była olbrzymia i w dodatku nie grzeszyła urodą. Pan Bóg obdarzył ją miłym charakterem, ale to twarz, nie charakter widać przy stole przez długie lata małżeństwa. Nawet najmiłsze usposobienie nie naprawi szpetoty, którą Pan Bóg doświadczył dziewczynę...

Tak mówiono, a Kate Roystan, odziedziczywszy rozsądek po matce, była świadoma tych plotek. W przeddzień ślubu, w pokoiku na końcu długiego korytarza, rozglądała się po swoich i ulubionych przedmiotach, wśród których wyrastała. Westchnęła ciężko, żeby pozbyć się bolesnego ucisku w okolicy żołądka. Powoli zaczęła się rozbierać, a kiedy włożyła nocną koszulę, usiadła na krzeselku przed mahoniową toaletką, stojącą ukośnie w kącie pokoju. Usiadła

tak gwałtownie, że krzesło zatrzeszczało pod ciężarem jej masywnego ciała. Przesunęła porcelanową tackę ze spinkami w stronę lustra i złożyła łokcie na wypolerowanym drewnie, dłońmi podpierając głowę.

Czy powinna wyjść za Harry'ego?

Na samą myśl o tym dostawała mdłości. Sprawy zaszły jednak tak daleko, że nie mogła się wycofać. Bardzo pragnęła mieć dzieci. To była jedyna i niepowtarzalna okazja do osiągnięcia tego celu. Nie miała co się oszukiwać. Wiedziała, z jakiego powodu Harry Baker chce się z nią ożenić. Wybrał nie ją, lecz jej ojca i powodzenie w interesach, które się łączyło z jego osobą.

W drugim końcu korytarza Mary Ellen wdrapała się na wielkie łóże i wtuliła głowę w oczekujące jej ramiona. Hal powiedział: - Nie martw się już. Wszystko się ułoży. Jak sama powiedziałaś, to dla niej jedyna szansa. Życzyłbym sobie tylko, żeby oblubieniec był trochę inny. Ale wygląda na to, że Kate nie czuje do niego wstrętu.

- Nie wydaje mi się. Gdyby tylko chciała ze mną porozmawiać. Udawiała, że śpi. I... Halu, mam nadzieję, że wiesz, iż bierzesz sobie dodatkową gębę do wykarmienia.

- Nie biorę.

- Co się stało, że jesteś taki pewien?

- Dzisiaj po południu dałem mu...

- Co mu dałeś?

- Nie ma o czym mówić. Nieco pieniędzy, żeby mógł się urządzić.

- Dawałeś mu dosyć, żeby mógł się urządzić, przez ostatnie miesiące. Ile mu dałeś?

- Sto funtów.

- O Boże!

- Tak, tak, i mów trochę ciszej. Dałem mu sto funtów. Ale zapowiedziałem, że to pierwszy i ostatni raz. To i tak dużo więcej, niż ja miałem na początek.

Mary Ellen nie przypomniała mężowi, że nie ma racji. W rzeczywistości zaczynał od dwustu gwinei pochodzących ze skradzionych pieniędzy, które ona znalazła. Niewielka rekompensata, którą dostał z huty za stratę ojca, starczyła

z trudem na założenie hodowli kurczaków. Ale Hal nie chciał o tym pamiętać. Nie, upodobał sobie myśl, że zaczynał od zera. Tak pewnie by się stało, i z niczego potrafiłby coś zrobić, bo był uparty i silny. Nawet jako młody chłopak, w czasach, kiedy żyli jak pies z kotem, zdawał się mieć w głowie jeden cel - dojść do czegoś, pokazać wszystkim, co jest wart.

- Nie dałabym mu nic przed ślubem.

- Nie martw się, wszystko będzie w porządku. Poza tym - podniósł głos - rozmawiamy tak, jakby nam robił cholerną łaskę. Biorąc ją ma piekielne szczęście. Mówię ci. Gdyby młodzi ludzie wokół nas mieli choć trochę oleju w głowie, zabiegaliby o taką gratkę. Powiem ci, Mary Ellen - ściszył głos - nigdy tego przedtem nikomu nie mówiłem. To dziwne, ale ona więcej dla mnie znaczy niż moje własne dzieci. Myślę, że to może wzięto się z tego, że byłem przy jej narodzinach. Że walczyłem o twoje i jej życie. Pierwszy trzymałem ją na rękach, nakarmiłem, wykapałem. Zawsze znaczyła dla mnie bardzo wiele.

- Och, Halu, Halu - objęła go ramionami i przytuliła mocno. - Mój kochany, drogi Halu. Kocham cię tak mocno jak tego dnia, gdy po raz pierwszy ci to wyznałam.

- To właśnie pragnę słyszeć, tylko to, kochana... Przez całe życie - odpowiedział ciepło.

## 2

---

Kate stała na środku pokoju ubrana w suknię z białej satyny, uwydatniającą jej kształty. Nigdy wcześniej nie miała podobnie dopasowanej sukni. Jej długie, proste włosy zwinięte były w ciasne pierścienie nad uszami. Stała nieruchomo, gdy Maggie wkładała jej na głowę krótki welon. - Nikt jeszcze nie widział takiego nakrycia głowy w naszym kościele - trąkotała. - To noszą tylko wielkie damy. Pochyl trochę głowę, żebym mogła porządnie upiąć, chyba nie chcesz, żeby to zleciało ci z głowy. Posłuchaj jak gwizdże wiatr, dzisiaj jest gotów wszystko porwać.

Stojąca przed Kate Florrie szepnęła cichutko: - Och, Kate, wyglądasz prześlicznie.

- Daruj sobie - padły szorstkie słowa zaprawione nutą goryczy i zanim Florrie zdążyła coś odpowiedzieć, Maggie przerzuciła welon na czoło Kate i rzekła cokolwiek bezceremonialnie: - Ma rację, wyglądasz dzisiaj wyjątkowo ładnie. I żadna z nas nie ma takiej figury jak ty, zastanów się. Jak ja wyglądam? Jak szczapa. Kiedy patrzę na swój biust, zacznam zazdrościć krowom.

Subtelna Florrie słysząc to, prawie się zakrztusiła, a Kate zdobyła się na drżący uśmiech. - Przepraszam. Jestem... bardzo zdenerwowana - wyjąkała.

- Nic dziwnego w dniu ślubu. Jeśli kiedykolwiek będę wychodziła za mąż, jestem pewna, że będą musieli mnie wynosić. Skoro już zrobiłaś początek, może to nie będzie taka odległa przyszłość.

- Który z nich będzie tym pechowcem? A może wszystkich zaprosisz do kościoła i na miejscu sobie któregoś wybierzesz? - zakpiła Florrie.

- Och, ty. - Maggie żartobliwie szturchnęła młodszą siostrę w bok. W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Mary Ellen. Ubrana była w suknię z żakietem koloru czerwonego wina, na głowie miała mały kapelusik, a na ramieniu udrapowany biały koronkowy szal.

- Jeszcze nie jesteście gotowe? - popatrzyła kolejno na młodsze córki.

Maggie, która odziedziczyła po matce niepohamowany język, odparła: - Musimy tylko włożyć kapelusze. Nie możemy sobie pozwolić na godziny mizdrzenia się przed lustrem, jak niektóre. - Zerknęła na Florrie z błyskiem uśmiechu w oczach, a Florrie podeszła do matki. - Wyglądasz uroczo, mamó - powiedziała. - Do twarzy ci w tym kolorze. Wiedziałam, że tak będzie, jak tylko zobaczyłam tę suknię na wystawie.

- Miałam co do tego obawy, nie znoszę gotowych strojów. Dalej, zmykajcie obie. - Już wybiegały, kiedy Florrie odwróciła się jeszcze, żeby pocałować Kate i szepnąć: - Szczęścia, Kate, dużo szczęścia.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Mary Ellen podeszła do córki. - Gotowa? - spytała drżącym głosem.

- Tak, mammo. Byłam i jestem gotowa.

- Będzie ci dobrze, naprawdę będzie ci dobrze. - Równocześnie wyciągnęły ramiona i przytrzymały się w uścisku. Po chwili Mary Ellen odsunęła się i jakby wracając do rzeczywistości, zauważyła: - Pogniotę ci suknię. I popatrz na szal. - Przeszła z tyłu Kate i strzepnęła piękny koronkowy szal, nad którym spędziła wiele miesięcy. Ułożyła go na ramionach córki, a gdy to zrobiła, zacisnęła mocno powieki i przygryzła dolną wargę, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Nie patrząc już na córkę, podała jej rękę i powiedziała schrypniętym ze wzruszenia głosem: - Chodźmy, wszyscy czekają.

Kate zatrzymała się przed szerokimi dębowymi schodami, żeby unieść przód sukni. Zanim zaczęła schodzić, popatrzyła na dół na swoją rodzinę. Nikogo nie brakowało. John i Tom, dwaj jasnowłosi młodzieńcy, o świeżej cerze, posturze ojca, średniego wzrostu i barczyści stali obok siebie; Hugh, wysoki i szczupły, o włosach i oczach tak ciemnych, że wydawały się niemal czarne, wyglądał na starszego od braci; przy nim Gabriel, o odziedziczonej po matce pięknej cerze, którą dziewczęta nieustannie mu wytykały, bo według nich marnowała się na chłopaku; na pierwszym stopniu schodów stały Maggie i Florrie, obie o włosach i oczach ojca. Maggie była wzrostu matki, Florrie niewysoka i drobna, a jej figura pasowała do głosu, cichutkiego i pełnego słodyczy. Za nimi wszystkim stał człowiek, którego uważała za swego ojca. Powoli zeszła ze schodów, nie odrywając od niego oczu.

Wśród pomruków i słów zachwytu ze strony chłopców podeszła do ojca. W milczeniu przykrył ją połą swojej peleryny, uroczyście ujął pod rękę i skierował się ku drzwiom. Nagle zatrzymał się w pół drogi i rozejrzawszy się, spytał: - A gdzie jest Annie?

- Podobno kończy beczeć w kuchni i wmawia sobie, że to tylko katar - pośpieszyła z żartobliwą odpowiedzią Maggie.

- Idź i przyprowadź tę głupią dziewczynę.

- Nie ma potrzeby mnie przyprowadzać - Annie ukazała się w odległych drzwiach sieni. Chociaż utyłła znacznie przez ostatnie lata, w latach młodości miała sylwetkę podobną do figury dzisiejszej panny młodej. Często brano ją nawet za matkę Kate, tak były do siebie podobne. Przez wiele lat była

nieocenioną pomocą dla Mary Ellen: prawdę powiedziawszy, przykładła się do wychowywania dzieci na równi z Mary Ellen, a szczególnie wiele czasu poświęcała Kate. Czasami Mary Ellen czuła się zaniepokojona, że Kate z wiekiem staje się niemal repliką Annie, a jej poświęcenie niekiedy ją irytowało, gdyż Annie potrafiła się zachowywać, jakby Kate była naprawdę jej córką. Następnym, kolejno przychodzącym na świat dzieciom nie poświęcała już tyle uwagi co Kate.

- Ale ładny kapelusz! - Hugh trzepnął aksamitki zwisające z beżowego kapelusza. Annie odparła rozżalonym tonem: - Odczep się, w końcu wolno mi sprawić sobie nowy kapelusz.

- No nie wiem, nie wiem. Nie sądzę, żebyś ostatnio na niego zapracowała. Leżałaś przeważnie w łóżku z katarem.

Wszyscy ryknęli serdecznym śmiechem, lecz wyczulone ucho Kate odebrało ten śmiech jako nieco wymuszony.

\*

Kościół był prawie pełen. Przyszły rodziny hutników z Langley, z którymi Hal utrzymywał kontakty przez te wszystkie lata; byli farmerzy z sąsiedztwa i ich żony; przyjechał doktor Brunton z Haydon Bridge z małżonką i dwiema córkami, wieloletni przyjaciele rodziny. Ze strony Hala i Mary Ellen nie było żadnych krewnych, bo ich po prostu nie mieli. Pan młody i jego drużba jeszcze się nie pojawili, ani też żaden z członków jego rodziny; licznie przybyli jego przyjaciele, głównie mężczyźni, i usadowili się na niezbyt wygodnych miejscach z lewej strony nawy.

Panna młoda z asystą przybyła do kościoła z pięciominutowym spóźnieniem. Kiedy Hal pomagał wysiadać Kate z breku, wielebny Scott podszedł do nich, mijając rozproszone grupki gapiów. Ściszone głosem powiedział do Hala: - Pan młody jeszcze nie przyjechał. Coś musiało zatrzymać go po drodze.

Kate, która już miała postawić stopę na trawie, jakby na chwilę zawisała w powietrzu i spojrzała pytająco na ojca. - Posiedź jeszcze chwilę. Nie sądzę, by to długo potrwało - powiedział.

Kate drząc siadła obok matki. - Ale nas spotkała przyjemność - odezwała się Mary Ellen. - Nie jest tu zbyt ciepło. Wiatr przenika do szpiku kości. Owiń nogi pledem.

- Nie. - Kate wyciągnęła rękę i powstrzymała Mary Ellen, gdy ta usiłowała wyciągnąć pled spod siedzenia. - Nie trzeba. Nie jest mi zimno.

Rodzina zebrała się wokół powozu. Mary Ellen oparła się na siedzeniu, westchnęła głęboko i obrzuciła spojrzeniem pozostałe córki. - Ma daleką drogę - powiedziała Florrie. Lecz Maggie spytała otwarcie: - Czy w kościele jest ktoś z jego rodziny?

Mężczyźni popatrzyli po sobie, po czym Hugh szepnął do Johna: - Idź i wywiadź się, ale ostrożnie.

Czekali na jego powrót w milczeniu, lecz z widoczną niecierpliwością. Przyszedł po dobrych pięciu minutach.

- I co?

John popatrzył na ojca. - Nie ma nikogo z rodziny - odparł i oddalił się wolnym krokiem od breku; ojciec z braćmi podążyli za nim. Kiedy byli już dość daleko, zatrzymał się, a pozostali zbrali się wokół niego. - Zamieniłem parę słów z jego dwoma kompanami - cicho powiedział. - Byli na popijawie wczorajszego wieczoru w Allendale, włóczyli się od domu do domu i z tego, co mówią, Harry urząnął się do nieprzytomności. Koło północy zawieźli go do domu.

- To woła o pomstę do nieba. - Hal prawie uderzył się pięścią w usta. Wyglądało, jakby rozgrzewał oddechem zmarzniętą dłoń, bo rozległ się syk.

- Mógł zaspać - odezwał się Tom.

- Minęło południe. Ma krowy, które trzeba wydoić. Nie mógł spać przez cały ten czas. Mój Boże! Jeżeli ją wystawił do wiatru, poderżnę mu gardło. Poderżnę, przysięgam.

- Cicho! - uspokoił Hugh'a Hal. - Może Tom ma rację, Harry po prostu zaspął. A krowy mógł za niego wydoić ojciec. Musi być jakieś wyjaśnienie - potrząsnął głową, jakby odganiając natrętne myśli. - Rozmawiałem z nim wczoraj po południu. Doszliśmy do porozumienia.

- Do jakiego porozumienia, tato? - zapytał John.

- Och! - Hal obejrzał się w stronę breku, gdzie siedziały żona i córki, i patrząc na nie, mruknął: - Dałem mu coś na początek z obietnicą, że jeśli dobrze będzie gospodarzył, dostanie więcej.

- Ile? - spytał Hugh takim tonem, jakby już był przedstawicielem prawa. - Ile? - powtórzył.

Hal odwrócił się w jego stronę i rzucił jakby od niechcenia:

- Setkę.

Wszyscy bracia jednocześnie podskoczyli i szarpnęli się jak zniecierpliwione wierzchowce. Pierwszy odzyskał mowę Gabriel: - Co powiedziałaś, tato? Sto funtów? Musiałeś oszaleć. Ba! Założę się, że już je napoczął wczoraj wieczorem, kiedy zabawiał się z przyjaciółmi w Allendale.

- To normalne, że urządza się wieczór kawalerski przed weselem.

- Doprawdy? Z cudzych pieniędzy? - Hal zwrócił się do Johna i cicho rzekł: - Chciał się urządzać. Wyglądało na to, że to jedyna okazja dla Kate. Chociaż czemu? Na Boga! Dlaczego? Nie wiem, bo warta jest tyle, co wszystkie cholerne dziewczęta w tym hrabstwie razem wzięte. Ma głowę na karku i rozum, którym obdzielić można dziesięć innych. Nie ma takiej rzeczy, której nie umiałaby zrobić w gospodarstwie - w obejściu i w domu. A serce ma jak czyste złoto...

- To dlaczego mu ją sprzedałaś?

Hal natarł na Hughę, jakby miał zamiar go uderzyć. Zacisnął pięści i wycedził: - Bo ją rozumiem, pyskaczu. Jest kobietą, nie dziewczyną, i ma swoje potrzeby, o których dowiesz się któregoś dnia. Chciała mieć dzieci. On zaś był jedynym, który jej się oświadczył. Kate ma już dwadzieścia cztery lata, a w tym wieku wasza matka miała już niemal was wszystkich. - Potoczył wokół gniewnym spojrzeniem, a kiedy usłyszał głos wołający go po imieniu, odmaszerował w stronę Mary Ellen.

- Co się dzieje? O czym mówicie?

- Nic takiego. Nic takiego - powiedział lekkim tonem.

- Właśnie mówiliśmy, że pan młody musiał się zabawić poprzedniego wieczoru i pewnie zasnął. - Uśmiechnął się do Kate, lecz nie zobaczył uśmiechu na jej twarzy. Uwaga rodziny skupiła się na pastorze, który śpieszył w ich stronę, mijając grupki rozprawiających z ożywieniem gapiów.

- Może zechcecie państwo wejść i zaczekać w zakrystii? Wiatr jest dość przejmujący.

- Tak, oczywiście. Dziękujemy - przystała od razu Mary Ellen. Wszyscy wysiedli z powozu i podążyli za pastorem między teraz już bardzo zaciekawionymi widzami. Na tyłach

kościółka znajdowało się niewielkie, skromnie urządzone pomieszczenie, w którym stał stół, sześć krzeseł i szafka z książkami.

Po pani minutach dołączyli bracia i w pokoiku zrobiło się tłoczno. - Jak pan sądzi, co mogło się wydarzyć, panie Roystan? - pastor zwrócił się do Hala.

- Nie wiem, wielobny. Ale myślę, że pan młody może przygalopować tu lada chwila. I proszę mi wierzyć, dostanie ode mnie solidne pater noster, zanim przekroczy próg kościoła.

Wielobny Scott wydał z siebie coś w rodzaju chichotu, lecz nie spotkał się on z reakcją pozostałych obecnych. Kiedy minęło następne pół godziny i Harry Baker nie pojawił się, Kate powiedziała cicho: - Chcę jechać do domu, mammo.

- Wstrzymaj się jeszcze trochę. - Hal pochylił się nad nią i zaglądając jej w twarz powiedział ściszym głosem: - Musi być jakieś wytłumaczenie. Powiedziałem ci już, zabawił się trochę poprzedniego wieczora i najpewniej przeholował, a kiedy człowiek jest nie przyzwyczajony do kieliszka, musi to odchorować. Ja po pierwszym prawdziwym upiciu się spałem dwadzieścia cztery godziny i przepuściłem swoją zmianę. - Wyprostował plecy i uśmiechając się pokiwał głową w stronę synów: - To prawda. Głupie uczucie stracić cały dzień. A jeszcze gorsze miałem pod koniec tygodnia, kiedy w kieszeni było pusto.

Kiedy o pierwszej rodzina wsiadała do breku i do dwukółki pod ostrzałem spojrzeń wszystkich zebranych, twarze niektórych wyrażały głębokie zatroskanie i współczucie, inni zaś uśmiechali się ironicznie. Ci z pewnością niecierpliwie oczekiwali chwili, kiedy będą mogli rozpowiedzieć nowinę, że córka Hala Roystana została wystawiona do wiatru. Jeszcze inni, pobożni, a zarazem mściwi, mówili: - Oto Bóg znalazł sposób, by ukarać Mary Ellen za jej grzech. Nikt, kto jest odpowiedzialny za poczęcie bękarta, nie może oczekiwać, że ujdzie mu to bezkarnie. Może mu się dobrze powodzić, ale Boga nie da się omamić. W końcu znajdzie sposób, by takich pokarać...

Kiedy rodzina zajechała na farmę, Terry Foster, pracujący u Hala od dziesiątego roku życia, ze zdumienia otworzył usta

na widok panny młodej, która wysiadła z powozu i w otoczeniu zasepionych najbliższych weszła do domu. Podszedł do Annie i spytał: - Co się stało? O co tu chodzi?

Annie zatrzymała się i wzięła Terry'ego za ramię. - Nie przyjechał - wyszeptwała. - I wiesz co? Cieszę się, bo to małżeństwo wyglądało, jakby chciano ją stąd na siłę wyrzucić. Dobrze się stało. - Powiedziawszy to, dała mu lekkiego szturchańca i poszła za pozostałymi do domu.

Kobiety weszły do salonu, a mężczyźni pozostali w sieni. Tam Hal wydał polecenie: - Siodłać konie!

- O tak, osiodłamy konie. Bóg nam świadkiem, że z chęcią - odezwał się Hugh. - Ale najpierw ściągnijmy te przekłete niedzielne ubrania, bo nie chciałbym, żeby poplamiły się krwią.

- Hugh! - głos Hala brzmiał grubo i ponuro. - Zostaw to mnie. Możecie jechać ze mną, ty i John, lecz wy dwaj - spojrzali na Toma i Gabriela - trzymajcie konie w pogotowiu, na wypadek gdyby przyjechał tutaj.

Bez dalszego szemrania ruszyli posłusznie wykonać jego polecenia, on zaś odwrócił się i niespiesznie, poszedł do salonu.

Kate siedziała bez welonu i szala, z rękami bezwładnie opuszczonymi na kolanach. Głowę miała lekko pochyloną. Po obu jej bokach siedziały siostry, wymyślając naprędce wszystkie możliwe usprawiedliwienia. Mówiły, że wszystko się wyjaśni, może spadł z konia i się poturbował. Kiedy Florrie powiedziała: - Zobaczysz, że jutro będziesz musiała szykować się do ślubu po raz drugi - Kate powoli uniosła głowę i popatrzawszy kolejno na wszystkich, przemówiła schrypniętym, udręczonym głosem: - Nie ma dla mnie jutra. Może to i lepiej, że nie przyjechał.

\*

Za półtorej godziny Hal w asyście dwóch synów wjechał na błotniste podwórze małej farmy Bakerów. Wokół nie widać było żywego ducha. Kiedy Hal załomotał do niskich kuchennych drzwi, otworzyła kobieta około pięćdziesiątki. Miała czerwoną twarz i drżały jej wargi. Nie przywitała Hala, lecz odwróciła głowę. - Przyjechali - powiedziała do kogoś w izbie. Za chwilę stanął przy niej zgarbiony mężczyzna z re-

sztkami siwych włosów na głowie. Popatrzył na Hala wyzywająco. - Tak, oczekiwaliśmy pana. Ale nie nas należy oskarżać o to, co się stało. To nie nasza wina - odezwał się.

Hal zmierzył ich wrogim spojrzeniem. - Gdzie on jest? - spytał.

- A skąd mam wiedzieć? - burknął mężczyzna. - Zostawili go na progu wczoraj w nocy pijanego jak bela. O szóstej rano spakował manatki.

- Dokąd pojechał? - zapytał ostrym tonem Hugh, a mężczyzna nie pozostał mu dłużny.

- Skąd niby mam wiedzieć? Wiem tylko, że zostawił mnie tu w tarapatach. Jak mam teraz poradzić sobie z całą tą farmą przy moim chorym krzyżu i z tą panią, której zdrowie też niewarte złamanego szeląga. - Szturchnął żonę łokciem. - Tak czy inaczej, to pana wina - ciągnął tonem oskarżenia. - Dał mu pan wczoraj trochę pieniędzy. Nie spocznie, jeśli nie wyda ostatniego pensa.

- Trochę pieniędzy? Pensa? - rzekł Hal grobowym głosem. - Dałem mu sto funtów.

Mężczyzna i kobieta popatrzyli na siebie w zupełnym osłupieniu. Kobieta pierwsza odzyskała mowę: - Co pan powiedział? Sto funtów?

- To właśnie powiedziałem.

- Ho! Ho! - zaśmiał się niewesoło mężczyzna. - I spodziewał się pan, że z setką w kieszeni będzie siedział w domu? Boże jedyny! Toż on zawsze chciał świat zobaczyć, a pan mu dał po temu sposobność.

- Odnajdziemy go. Któregoś dnia go znajdziemy.

- Wątpię. Ale życzę powodzenia i wierzę, że gdybym sam go teraz dorwał, Bóg raczy wiedzieć, co bym mu zrobił. Zostawić mnie z takim kramem!

Hal milczał chwilę, nie spuszczać wzroku z rodziców niedosłego pana młodego. Oto ludzie, z którymi musiałyby mieszkać Kate. Wcześniej widział ich tylko trzy razy i ocenił jako miłą parę. Ludzi może niezbyt rozgarniętych, lecz serdecznych i skromnych. Wyobrażał sobie Kate, jak wnosi zmiany do małego domku, gdyż miała dobry smak, jeśli chodzi o urządzenie wnętrza. Była pod tym względem podobna do matki. Czy może polegać na swojej niezawodnej dotąd

zdolności oceniania ludzkiej natury, skoro aż tak się pomylił? Przez chwilę dziękował Bogu, że nie doszło do ślubu. Potem jednak pomyślał o Kate i o tym, jaki wpływ może to mieć na resztę jej życia. Takie rzeczy mogą wycisnąć głębokie piętno na psychice kobiety, nawet tak bardzo mądrej jak Kate.

Nie marnując więcej słów, odwrócił się i podszedł do konia. Synowie podążyli za nim.

Kawałek drogi przejechali w milczeniu. - I co teraz, tato?  
- nie wytrzymał Hugh.

- Jak to, co teraz?

- No, czy sądzisz, że warto jechać do Hexham czy gdzie indziej?

- Nie, nie sądzę. Teraz Harry jest zapewne dalej niż w Hexham. Już nic nie możemy poradzić.

- Mój rozum podpowiada mi, że to bardzo dobrze. - John szarpnął wodze, by dostosować krok konia do innych. - Kate zmarniałaby w takiej dziurze, mieszkając z tymi ludźmi. Nie mówiąc już o Bakerze, którego od początku nie mogłem ścierpieć. Ale ty tak zapaliłeś się, żeby ich wyswatać, jakbyś chciał pozbyć się Kate jak najszybciej. - Ponownie szarpnął wodze i puścił konia galopem.

Hal zaskoczony popatrzył na Hugh'a. Gdyby ta wypowiedź wyszła od niego, zrozumiałby to, lecz John, podobnie jak Tom, był bardzo łagodny. Obaj rzadko miewali coś do powiedzenia, co - jak sobie wyobrażał - wynikało ze szczęśliwego dzieciństwa, pozbawionego gwałtownych emocji, a więc i silnych narowów. Warknął głośno: - Chciałem się jej pozbyć? Tam do licha! Zaraz mu coś powiem do słuchu!

- zamierzył się, by pogonić konia, lecz Hugh go powstrzymał.

- Chwileczkę, tato. On... on tylko powiedział to, co my wszyscy myślimy. Mam na myśli przynajmniej chłopców.

- Powiadasz, że wszyscy tak myślicie? - Hal zacisnął usta.

- A więc muszę stwierdzić, że mam czterech cholernych głupców za synów, czterech przedstawicieli męskiej płci, którzy nie mają pojęcia o kobietach. Pozwól, że cię oświecę: Kate jest... - coś ścisnęło go w gardle - jest spragniona wewnątrz, dojrzała do małżeństwa, do rodzenia dzieci. Nie tak bardzo pragnie mężczyzny, co właśnie dzieci. Kobiety takie już są. I najwidoczniej wykarmiłem czterech bałwanów,

którzy patrzą tylko na cyci i tyłki, a nie na to, co kobieta ma w głowie. I - jak sędzę - wiedząc, że nie jestem jej naturalnym ojcem, wykombinowaliście sobie, że chcę się jej pozbyć, czyż nie?

Gdy Hugh nie odpowiadał, lecz patrzył prosto przed siebie, Hal zadarł podbródek do góry i wykrzyknął donośnie: - Boże mój! Gdzie ja byłem przez te wszystkie lata, spałem chyba, skoro nie wiedziałem, co się dzieje w głowach moich bliskich! Słuchaj - poruszył się w siodle - powiem ci coś: Kocham i kochałem tę dziewczynę odkąd przyszła na świat, kocham tak, jak nie kochał jej nigdy jej rodzony ojciec. Widział ją, kiedy miała zaledwie parę miesięcy, a teraz ma już dwadzieścia cztery lata. Nie pokazał się, ślad po nim zagał. Czmychnął do Francji, to ostatnia rzecz, jaką o nim słyszałem. Nie odezwał się ani słowem do matki swojego dziecka ani do własnej córki. Inny mężczyzna, cokolwiek wart, zjawiłby się, żeby choć zobaczyć, co z niej wyrosło. Może umarł już do tej pory i mam nadzieję, że się nie mylę. Ale wy, moi synowie, myśleliście, że chciałem pozbyć się Kate? Powiem ci coś, chłopcze, i możesz przekazać to reszcie, że cenię sobie Kate bardziej niż kogokolwiek z was. Oto cała prawda.

- Dziękujemy ci bardzo.

- Proszę bardzo, chłopcze, proszę bardzo. - Hal popędził konia. Hugh nie przyłączył się do niego, patrzył za ojcem kręcąc głową. Nie mógł powiedzieć pozostałym członkom rodziny tego, co usłyszał od ojca, boby ich to zraniło. Wiedział, że jest to prawda. Tak jak wszyscy inni, myślał zawsze, że ojciec poświęca Kate więcej uwagi, żeby czuła się tak dobrze jak oni. Ale wyszło na to, że przyczyna leżała gdzie indziej. Zachowywał się tak, bo ją bardzo kochał. Hugh zawsze wiedział, że ojciec jest człowiekiem, w którym tkwią silne emocje. Czuł, że je po nim odziedziczył, ale tylko w pewnej mierze, bo nie widział siebie w takiej roli: tak zakochanego w kobiecie, jak ojciec w matce, czy też przynajmniej się do gorącej miłości wobec pasierbicy.

Popędził konia, lecz nie za bardzo, by nie dogonić ojca. Epizod był zakończony. Życie pewnie potoczy się dalej bez zmian, tyle tylko, że Kate stanie się odludkiem i będzie się przed wszystkimi ukrywała, wyjąwszy oczywiście rodzinę.

### 3

Hugh nie miał racji, przypuszczając, że Kate będzie się ukrywała. Wprawiła rodzinę w osłupienie, można powiedzieć, że nawet zaszokowała, kiedy następnego sobotniego poranka zeszła na dół gotowa jechać powozem do Hexham.

Nie było żadnej reguły, kto kiedy jedzie do Hexham, Allendale czy Haltwhistle. Czasami jechała Mary Ellen, biorąc ze sobą Florrie albo Maggie, czasami Maggie jechała z Annie. Jedyną regułą było to, że nigdy nie jechały wszystkie jednocześnie, ktoś musiał bowiem zostać i pilnować obiadu.

Na farmie Moor Vale nie było służących. Mary Ellen z trzema córkami i z Annie prowadziły dom, a także wyrabiały sery i masło. Hal z trzema synami i z pomocą Terry'ego prowadzili farmę. Zarówno w środku, jak i na zewnątrz zostawała zawsze jedna osoba na straży. Rozumiało się samo przez się, że tej soboty będzie to Kate.

Lecz Kate była na dole w kuchni o szóstej rano, jak zwykle. To był jej tydzień przygotowywania śniadania: smażenia długich, grubych plasterków bekonu z jajkami, gotowania białego puddingu. Wszyscy, łącznie z Terrym, zasiadali do śniadania o siódmej. John, Tom i Gabriel byli na nogach od piątej. Hugh poprzedniego dnia wrócił do szkoły w Newcastle, tak że dziś rano było o jedną osobę mniej przy stole.

Kiedy naczynia zostały umyte, a kuchnia uprzątnięta, Maggie i Florrie poszły na górę, żeby przygotować się na targ. Kate powiedziała spokojnie: - Pójdę i ja się przebrać. - Mary Ellen i Annie popatrzyły porozumiewawczo na siebie i na Kate znikającą w korytarzu. - Chyba nie myśli pojechać dzisiaj do Hexham? - szepnęła Mary Ellen.

- Wygląda na to, że chce i pewnie wyjdzie jej to na dobre - odparła Annie.

- Rozniosą ją na językach na strzępy.

- Pewnie tak - potaknęła Annie. - Ale nie na darmo jest twoją córką, wytrzyma to jakoś i wróci po jeszcze więcej.

Mary Ellen nie odpowiedziała, lecz te słowa przypomniały jej czasy, kiedy po raz pierwszy jako żona Hala pojechała na targ. Bezlitosne języki rzeczywiście nie pozostawiły na niej

suchej nitki. Czyż nie mieszkała z mężczyzną całe miesiące przed ślubem? Nigdy nie omijała progu jej drzwi. I czy miała akuszerkę? Nie, pozwoliła, żeby sam odebrał jej dziecko. Co można pomyśleć o takiej dziewczynie, która w dodatku nie ma nawet dwudziestu lat?

- Wie, co robi.

Mary Ellen odwróciła się ku Annie. - Co? - spytała.

- Mówię, że wie, co robi i ma słuszość. Czego ma się wstydzić dziewczyna, którą zostawiono przed ołtarzem nie z jej winy? A oni wszyscy uważają, że powinna się wstydzić, oczekują, że przez resztę życia będzie się przemykała chyłkiem po ulicach. Ja na jej miejscu zrobiłabym dokładnie to samo.

Mary Ellen przytaknęła. Tak, rzeczywiście, Annie tak by zapewne zrobiła. Cóż za szkoda, że kobieta taka jak Annie nie wyszła za mąż. A jeszcze większa szkoda, że jej własna córka, jej droga Kate nigdy nie wyjdzie za mąż, gdyż choćby nie wiem jak dzielną pozę przybierała w tej sytuacji, takie upokorzenie odmienia kobietę. Kate już się zmieniła, bo po sześciu dniach od doznanego upokorzenia odmawiała jakiegokolwiek rozmowy na ten temat. Właściwie to jej córka zachowywała się, jakby nic się nie wydarzyło. To nie było normalne. Ona sama wstała dzisiaj wcześniej niż zwykle i przyszykowała tacę ze śniadaniem, żeby zanieść ją Kate, lecz skamieniała, gdy córka weszła do kuchni. - Mamo, tak wcześniej dziś wstałaś - rzekła na powitanie.

Nie znalazła na to żadnej odpowiedzi, patrzyła tylko, jak Kate powoli zestawia z tacy talerze na stół...

\*

Kiedy Kate ponownie pojawiła się w kuchni ubrana do wyjazdu, Maggie i Florrie już tam czekały, w kapeluszach i narzuconych na nie kapturach. Mary Ellen była na podwórzu i pilnowała załadunku. John już się wspiął na siedzenie. Terry miał jechać jedną furmanką, Gabriel drugą, na Toma zaś przyszła kolej pozostania na farmie. Hal, zakładając koniowi uprząż, odwrócił się i zawołał w stronę kuchni: - Gotowe? - Dziewczęta w popłochu skoczyły do drzwi, Kate podążyła za nimi nieco wolniej. Popatrzyła na Annie i zapytała: - Nie będziesz miała nic przeciwko temu, że zostaniesz sama, Annie?

- Nie, dziecko, skądże. - Annie podeszła do niej i objęła ramieniem, mocno przytulając do siebie: - Wiesz dobrze, że nie, i że masz słuszność. Jedź tam, popatrz im wszystkim prosto w oczy i śmieję się. To zamknie usta wielu plotkarkom. - Pochyliła się szybko i złożyła nieśmiały pocałunek na policzku Kate. Dziewczyna odwróciła się i odwzajemniła pocałunek.

Annie była jej niemal tak droga jak matka. Wypiastowała ją od dzieciństwa, była towarzyszką zarówno jej zabaw, jak i psot i czasem zabierała ją do chaty starej Kate Makepeace, gdzie przez jakiś czas mieszkała. Kochała Annie. I nawet były trochę do siebie podobne, przynajmniej z figury, może trochę z rysów twarzy.

Teraz wyszła z pośpiechem, a kiedy zbliżyła się do powozu, Hal wyciągnął do niej dłoń, pomagając jej wsiąść. - Dobrze się czujesz? - zapytał półgłosem.

- Tak, dobrze. - Uśmiechnęła się do ojca, lecz był to uśmiech, od którego zrobiło mu się ciężiej na sercu...

Na targu Roystanowie nie mieli swojego straganu. Hal zrezygnował z niego, gdy gospodarzył jeszcze na poprzedniej farmie, odkąd zaczął sprzedawać towary hurtowo straganiarzem. Po około półtorej godziny jazdy Hal zatrzymał powóz i pomógł zejść żonie i córkom. - Spotykamy się o dwunastej w hotelu. Nie marudźcie - powiedział do Mary Ellen.

- Jeśli się spóźnimy, zaczekasz na nas.

- Nie będę czekał.

- Mamo - zwróciła się do matki Kate. - Ty z dziewczętami idźcie zrobić zakupy, a ja pójdę do księgarni.

- Pójdziemy z tobą.

- Dziękuję, pójdę raczej sama. Uważam, że nie ma dostatecznie dużo czasu, a wiesz jak tato nie lubi czekać na obiad. Znajdzie wtedy feler w każdym daniu - dodała żartobliwie. Spotkamy się tutaj koło dwunastej, dobrze?

Siostry i matka stały w milczeniu z otwartymi ze zdumienia ustami. Kate odwróciła się w stronę bramy i podażyła wąską uliczką do księgarni pana Ramshawa.

Kiedy przystanąła i zajrzała przez okno wystawowe do środka, odetchnęła głęboko parę razy. Była sama i zaraz stanie twarzą w twarz z paniami, które zbierały się tutaj w sobotnie

poranki, podkreślając w ten sposób swą wyższość nad sąsiadami - zwłaszcza tymi, którzy posyłali córki na pensję dla dziewcząt.

Kiedy pchnęła drzwi, jej wejścieomal nie sparaliżowało obsługiwanej klientki. Pani Bitten właśnie płaciła za książkę, owiniętą starannie w ozdobny papier. Klientka i sprzedawczyni znieruchomiały, otwierając oczy szeroko ze zdziwienia. Susan Bitten, która stała obok matki z rękami schowanymi w mufce, powoli uniosła mufkę do góry, jakby zamierzała ją połknąć.

- Dzień dobry, panno Knowles. - Głos Kate był cichy, gdy skinęła głową na powitanie. Upłynęła sekunda, może dwie, zanim padła odpowiedź: - Dzień dobry, panno Roystan.

Bittenowie i Roystanowie nie składali sobie wizyt. Mężczyźni porozmawiali czasem na rynku i targowali się o bydło, ale utrzymywali dystans. Bittenowie udawali, że nie znają parweniusza, byłego robotnika z huty, który wydzwignął się do pozycji jednego z najlepszych farmerów w okolicy, posiadacza stada pięćdziesięciu krów. Najnowsze plotki głosiły, że zamierzał mieć ich jeszcze więcej. Mógł sobie oczywiście na to pozwolić, gdyż nie musiał zatrudniać wielu robotników - całą pracę wykonywała liczna rodzina. Dlaczego jednak dzieci chciały pracować na farmie odebrawszy takie wykształcenie, tego nie wiedział nikt. Tylko jedno z nich skorzystało z wykształcenia, syn, który miał zostać prawnikiem. Widocznie tylko on jeden okazał się na tyle bystry, by wziąć się za taką profesję, która jak dotąd była przywilejem szlachetnie urodzonych.

Kobiety Roystanów były ubrane jak damy; dom też prowadzono ponad stan, przez co rozumiano codzienne jądanie obiadów w jadalni. Któż to słyszał, żeby farmer używał jadalni na co dzień, poza specjalnymi okazjami? Niektórzy sąsiedzi przyjmowali zaproszenia Roystanów, lecz Bittenowie nigdy, prawdopodobnie dlatego, że byli spokrewnieni z Beaumontami, o których wiedziano, że są posiadaczami szybów ołowianych i huty obok Allendale. Pani Bitten powtarzała w kółko, że byli tak bogaci, iż koszty, jakie poniesiono na kampanię wyborczą jednego z nich w roku 1826, doszły do czterdziestu tysięcy funtów. Przemilczała fakt, że na miejsce, które było

źródłem tych pieniędzy, to znaczy na Allendale, gdzie mieszkało wielu robotników i wielu umierało przedwczesną śmiercią, wydano niecałe dwieście funtów.

Pani Bitten odezwała się półgłosem do sprzedawczyni i do córki: - Co za bezczelność! - Sprzedawczyni i córka skinęły głowami, zgadzając się z tą opinią.

Osiemnastoletnia Susan Bitten zerkała na Kate, która powoli przechadzała się wzdłuż regałów z książkami, i dziwiła się, jak to możliwe, by kobieta zostawiona przed ołtarzem w poniedziałek chodziła po mieście w sobotę, jakby nic się nie stało. Ona umarłaby ze wstydu. Albo może nawet sama by się zabiła.

Żadna uczciwa kobieta nie wytrzymałaby wstydu takiego porzucenia. Lecz Kate Roystan widocznie nie była prawdziwą kobietą. Prawdę mówiąc, będąc tak potężnej budowy ciała, mało przypominała kobietę. Rysy twarzy miała też bardziej męskie niż kobiece. Susan mogła zrozumieć mężczyznę, który zwał, gdzie pieprz rośnie, ale nigdy nie pojmie, jak kobieta może mieć potem śmiałość wyjść do ludzi, jakby nic się nie wydarzyło.

Kate otwierała książki i patrzyła na ich tytułowe strony, ale widziała tylko zamazane litery. Dokładnie słyszała uwagę wypowiedzianą pod swoim adresem. Wiedziała także, że z kąta, gdzie przy stole spotykały się zawsze te same panie, nie po to, by rozmawiać o lekturach, lecz by wymieniać plotki z ubiegłego tygodnia, dowartościowując się równocześnie literaturą, śledzi ją kilka par oczu. Odłożyła książkę i obeszła regał, przechodząc na jego drugą stronę, gdzie siedziały wszystkie panie: pani Watford z córkami Marie i Evą oraz pani MacNulty z córką Sheeną.

Pierwsza odezwała się pani Watford, żona farmera: - Och, Kate! Dlaczego? - Miała się podnieść, lecz zmieniła zamiar. Nie mogła pogodzić się z tym, co widzi, bo parę dni temu siedziała w kościele i czekała na mającą się rozpocząć ceremonię ślubną. Właśnie przed chwilą kończyła opowiadać pani MacNulty o komentarzach, jakie wywołało wyjście pastora i wyjaśnienie zebrany, że ślub się nie odbędzie. Na własne oczy widziała zmieszaną pannę młodą odjeżdżającą z kościoła. A teraz, proszę, oto ona, śmiała i bezczelna. To nie do wiary.

- Jak się miewasz, Kate? - zapiszczała wysokim głosem, brzmiącym jak miauczenie kota.

- Znakomicie, pani Watford, dziękuję pani. A pani? A Marie i Eva? - odwróciła się ku dziewczętom, które siedziały i wlepiąły w nią wzrok.

Teraz odezwała się pani MacNulty, odświętnym tonem, który przybrała, aby zamaskować swój irlandzki akcent. - Och, Kate - powiedziała. - Doszłaś już do siebie, moja droga?

- Czy doszłam do siebie? - Brwi Kate uniosły się ze zdziwieniem. - Nie byłam chora, pani MacNulty.

- Nie, nie, oczywiście. Rozumiem. Nie pozostaje nic innego, jak nadrabiać miną.

Pani MacNulty zerknęła na swoją córkę Sheenę i z zaskoczeniem ujrzała, że uśmiecha się ona promiennie do tej wielkiej, bezczelnej dziewczyny. Kate Roystan odpowiedziała jej takim samym uśmiechem. Jak stąd wyjdą, wygarnie córce. Ostatnio zaczęła się o nią niepokoić - zbyt często niegrzecznie się odzywała, a jej poglądy nie były odpowiednie do wieku. Nie miała jeszcze siedemnastu lat.

- Do widzenia, pani MacNulty. - Kate już zamierzała odejść, lecz o mało nie zderzyła się z trzema innymi paniami. Dwóch z nich nie znała. Trzecia otworzyła usta i dobrotliwie poklepała ją po ramieniu. - Rozumiem, rozumiem - powiedziała współczująco.

Kate nie spytała, co rozumie ta pani, lecz wzięła książkę z półki i podeszła do lady, by za nią zapłacić. Sprzedawczyni nie odezwała się ani słowem, nawet nie podziękowała. Kate wyszła ze sklepu i nie spiesząc się podążyła ulicą w stronę rynku. Po drodze natknęła się na Hala. - Co ty wyrabiasz, parując tutaj sama? Co się z tobą dzieje, Kate? Prosisz się o następne kłopoty? - powiedział szorstko.

- Jakie jeszcze kłopoty mogą mnie spotkać, tato?

- Och, Kate, Kate. Nie bierz tego sobie tak bardzo do serca.

- Nie biorę. Wierz mi, że nie biorę. W sumie jestem zadowolona. - Pokiwała głową i położyła Halowi rękę na ramieniu. - Teraz już wiem, że nie dałabym rady wytrzymać z nim i z jego rodzicami. - Chwyliła palcami jego płaszcz i głos jej się załamał. - Wychowałeś mnie za dobrze. Jestem

chyba zbyt delikatna. A teraz będziesz mnie miał na karku do końca życia. - Uśmiechnęła się do niego łagodnie.

Hal zwiesił głowę. - Och, dziewczyno, dziewczyno - powiedział. - Tak czy inaczej, skończmy tę rozmowę, ludzie nam się przyglądają i czekają na przedstawienie. Chodź. Gdzie jest reszta?

- Na zakupach, jak zawsze.

- Mam ochotę napić się czegoś przed posiłkiem. Chodź, wejdziemy gdzieś, bo zamarznie.

Szli ramię w ramię, mijali kłaniających się kupców, z których część przestawała ważyć towar, by lepiej się przyjrzeć córce Hala Roystana. Młody Baker zostawił ją w kościele i nawiązał z niezłą sumą jej pieniędzy - jak powiadają - a przedtem spił się z kumplami w Allendale. Jak ona może pokazywać się wszystkim z podniesionym czołem. To trochę zbyt arogancko. Powinna odczekać parę tygodni, ludzie wtedy odnieśliby się do niej ze współczuciem. A tak zmuszała ludzi do okrzyknięcia jej dziwolągiem.

W hotelu, do którego się udali, Hal zdjął kapelusz i płaszcz, po czym zajął miejsce w pobliżu ognia. Kiedy kelner pozdrowił go jak zwykle: - Dzień dobry, panie Roystan, co mam panu podać? - odparł zwięźle: - Dwie porcje gorącego ponczu.

- Nie, tato. Dla mnie nie.

- Dwa gorące poncze - Hal potwierdził zamówienie ruchem głowy.

Kelner uśmiechnął się i powtórzył: - Dwa poncze. Już podaję, sir.

- Wypijesz to, żebyś, jak wróci cała banda, miała rumieńce na policzkach. Wyglądasz jak trup, dziewczyno.

- Bo czuję się jak trup, tato.

- A więc dlaczego to robisz? Dlaczego pokazujesz się ludziom tak wcześnie?

- Nie wiem... Nie umiem tego wytłumaczyć. To trochę jak rzucenie wyzwania. Nie chcę, żeby się nade mną rozczulano i żeby mnie ukrywano.

- Nikt nie będzie cię ukrywał.

- Nie - potrząsnęła głową i uśmiechnęła się słabo. - Nie, ale by mnie troskliwie pilnowano. Ty, mama i cała reszta.

W odpowiednim czasie wyprowadzilibyście mnie do ludzi. Nie widziałam siebie żyjącej w taki sposób. Już dawno temu, ojciec, zdałam sobie sprawę, jaka jestem, za brzydka na kobietę...

- Zamilcz! W tej chwili zamilcz, albo zrobię użytek ze swoich rąk. Jesteś najwspanialszą kobietą, jaką znam, oprócz tej jedynej, która cię urodziła. Wiem, czuję to, że gdzieś jest ktoś, kto zobaczy w tobie to wszystko. Popełniłem pomyłkę z jednym, powinienem być...

- Tato - uśmiechnęła się do niego ciepło, promiennie.  
- Wiem tylko jedno - mam szczęście, że to ty mnie wychowałeś.

- Oho! To być może. A oto nasz trunek. Wypij do dna i przejdziemy do drugiej sali, gdzie coś zjemy, kiedy cała reszta raczy się tu zjawić.

Wypiła gorący poncz i nie skrzywiła się przy tym, jak zrobiłaby to dama lub każda ze spotkanych w księgarni farmerskich żon. Opróżniła kufel i roześmiała się: - Zatem do boju!

- Moja dziewczynka. - Hal wstał i roześmiał się także.  
- Chodź, zajmiemy stół.

Uśmiechali się jeszcze, kiedy wchodzili do sali jadalnej. Tutaj przy wejściu natknęli się na następującą scenę: Mary Ellen i jej dwie córki weszły widocznie tuż przed chwilą i kierowały się ku odległemu końcowi sali, do stołu z widokiem na ogród. Wtem jakiś mężczyzna, jeden z dwóch siedzących przy stole obok, wstał i nie patrząc za siebie odsunął do tyłu krzesło. To spowodowało, że omal nie wyrzucił Florrie. Odwrócił się prędko i zdążył chwycić dziewczynę za ramię. Gdy Kate i Hal znaleźli się przy nim, powiedział: - Proszę przyjąć moje przeprosiny. Tak mi przykro. Jestem strasznym niezdara. Czy nic się pani nie stało?

Florrie uśmiechnęła się i swoim cichym, słodkim głosem odparła: - Tylko kilka kości połamanych, to wszystko.

Młody mężczyzna puścił jej ramię i odparł: - To mnie zobowiązuje do zadośćuczynienia.

Odwrócił głowę i spojrzał na swego towarzysza, który także się podniósł. Gdy się odezwał, wszyscy zwrócili uwagę na jego akcent. Był inny niż wszystko, co można było usłyszeć

w tych stronach. Nie mówił ani jak dżentelmen, ani jak farmer, ani też jak górnik. - A ja będę pani świadkiem. Może pani zażądać niezłej sumy.

Człowiek ten mówił czystą angielszczyzną, tyle że obcą, amerykańską.

Hal przerwał tę wymianę uprzejmości. - Co to wszystko znaczy? Morderstwo na królewskim szlaku, czy jak? - Spojrzał na mężczyznę, który wywołał to małe zamieszanie i przywitał się: - Dzień dobry, panie Bentley.

- Dzień dobry, panie Roystan. - Obaj mężczyźni skłonili głowy.

- Próbuje pan zabić kogoś z mojej rodziny?

- Nie, proszę pana, nigdy bym się nie ośmielił. Jedyne próbowałem przewrócić tę panienkę. - Florrie zaśmiała się i na policzkach wykwitły jej rumieńce.

- No, zabieram cię stąd, moja panno, jak najdalej od tego niebezpiecznego miejsca - powiedział ojciec.

Kate, idąc ostatnia, musiała przejść koło drugiego mężczyzny, który trzymając krzesło za oparcie pospiesznie wsunął je głębiej pod stół i stanął z boku, by mogła przejść. Przez chwilę stanęli oko w oko i Kate przyjrzała się jego szczupłej, opalonej twarzy. Oczy miał niemal czarne, podobnie jak włosy, gęste i opadające prawie do linii kołnierza marynarki. Był szczupły, miał na sobie ubranie dobrego gatunku i był wyższy od Kate.

Kiedy już wszyscy usiedli przy stole, rozmowa celowo obracała się wokół tematów ogólnych, dopóki dwaj mężczyźni nie opuścili sali. Wtedy Florrie spytała cicho: - Znasz go, tatusiu?

- Tak, znam. To pan Charles Bentley. Prowadzi farmę za wzgórzami na skraju posiadłości ziemskiej lorda Redmana. Jest jego siostrzeńcem.

- Siostrzeńcem lorda? - spytała Maggie, szeroko otwierając oczy.

- Jest siostrzeńcem lorda, lecz wcale przez to nie jest bogatszy, bo musi pracować, żeby zarobić na życie. Śmieją się z niego - pokiwał głową w stronę Mary Ellen. - Wydaje im się, że sam Pan Bóg powołał ich do farmerstwa, ale według mnie ten młody człowiek mógłby niejednego ich nauczyć.

Widziałem jego farmę tylko raz. Jest mała, niewiele większa od mojej pierwszej farmy, nazywa się Little Manor.

Maggie zwróciła na siebie ich uwagę, pytając: - Znasz też tego drugiego?

- Nie, nie znam, ale wystarczy go posłuchać, by wiedzieć, że nie pochodzi z tego kraju. Chyba przyjechał z Ameryki.

- Jest przystojny.

- A niech sobie będzie. Niech ci oczy tak nie błyszczą, panienko. U mnie w rodzinie nie było żadnych obcych.

- Och, tato! - Wszyscy roześmiali się słysząc ton oburzenia dźwięczący w głosie Maggie. Hal przeszedł do rzeczy, pytając, co kto zamawia.

- Nie zaczekamy na chłopców? - wtrąciła Mary Ellen.

- Nie, nie będę czekał na chłopców. Powinni tu już być. Rozładowanie wozów nie zabiera tyle czasu. Ale załóż się, że wiem, gdzie się podziewają. Panicz Tom tkwi przy straganie Cissy Ludley.

- Biedna Cissy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Hal popatrzył surowo na Maggie. - Czy współczujesz jej dlatego, że wpadła w oko twojemu bratu?

- Nie udawaj, że nie wiesz, tato. My mamy farmę i cegielnię, a ona musi obsługiwać klientów na straganie.

Hal pochylił się nad stołem w stronę Maggie: - A co uwłaczającego jest w obsłudze klientów? Twoja matka sprzedawała przez parę lat na straganie.

- No cóż - Maggie potrząsnęła głową - to było co innego. Wy walczyliście wtedy o byt.

- Teraz robią to Ludleyowie.

- Nie do tego stopnia, tato. Wiesz dobrze, co mam na myśli. Sam powiedziałeś kiedyś, że jej ojciec sprzedałby własną babkę za dobrą owcę.

- Może tak i mówiłem, ale kiedy ją zobaczyłem, wiedziałem, że nigdy tego nie zrobi, bo jego babka nie jest warta dobrej owcy.

Śmiech, który wywołała ta odpowiedź, sprawił, że wszystkie głowy odwróciły się w ich stronę. Niektórzy się uśmiechali, ale niektórzy uczynili uwagę, że rodzina Roystanów jest

najdziwniejsza w promieniu wielu mil. Córkę pozostawiono zaledwie kilka dni temu przed ołtarzem, a ona siedzi z nimi i śmieje się w głos.

## 4

---

Nadeszło Boże Narodzenie. Rodzina jak zwykle jadła do syta, weseliła się, lecz tym razem radość ta była trochę wymuszona, zwłaszcza gdy przychodzili goście. A w sylwestra, kiedy wszyscy zasiedli przy kominku, oczekując nadejścia następnego roku, nie wspominali, jak zwykle, zdarzeń minionych dwunastu miesięcy. Uzgodnili to między sobą, żeby nie ranić uczuć Kate. Jediną rzeczą, o której wspomniano, była nowa droga z Guidepost do Allendale, której budowę niedawno rozpoczęto, i która miała prowadzić prosto na targ. Jakie korzyści z tego popłyną?

- Skorzysta niewielu - rzekł Hugh - dyliżanse, może poczta. - Hugh raczył także zebranych opowieściami o sprawach, które przez ten rok prowadzono w jego kancelarii, jak na przykład sprawa pewnej grupy ludzi z Newcastle, którzy próbowali wprowadzić reformę więziennictwa. Tak wiele historii opowiedział o ciężkim losie więźniów, że ojciec żartobliwie zapytał, czyją stronę reprezentuje, kiedy prowadzi sprawy. Za chwilę spowaźniał i spytał cicho, po której stanąłby stronie, gdyby sędził człowieka deportowanego na siedem lat za kradzież pogrzebacza z oberży.

Dziewczęta wykrzyknęły: - Nie, nie! Tato, nie bądź niemądry, to nie mogło się zdarzyć naprawdę. - A on odparł: - A właśnie, że się zdarzyło, w South Shields. Było więcej podobnych przypadków. - Dodał jednak, że muszą być wdzięczni losowi, gdyż w tej części kraju nie jest aż tak źle jak na południu. Czy wiedzą, że w Newgate powieszono dwunastoletnią dziewczynkę za kradzież?

Z tak mrocznym akcentem przywitano Nowy Rok, a z nim nadeszła sroga pogoda. Styczeń, luty i marzec przyniosły wielkie opady śniegu, oblodzone drogi, odwilż i deszcze.

Dopiero w kwietniu trafił się stosunkowo ciepły i słoneczny dzień, nadający się na konną przejażdżkę. Kate oznajmiła rodzinie, że idzie siodłać swojego konia. Była godzina druga po południu, pora, gdy kobiety zwykle gromadziły się w szwalni. Tam szyły sobie suknie, obrusy, serwety czy pościel, obrabiały misterną koronką chusteczki, których rogi ozdabiały później haftowanymi inicjałami.

Mary Ellen popatrzyła na córkę. Znowu się zaczyna. Aż do Bożego Narodzenia, z wyjątkiem dni, kiedy pogoda była wyjątkowo brzydka, Kate wybierała się na samotne konne przejażdżki, celowo odmawiając towarzystwa. Toteż dzisiaj ani Florrie, ani też Maggie nie zaproponowały, że pojedą razem z nią. Kate zmieniła się, co do tego po cichu zgadzała się cała rodzina. Bez względu na to, jaką twarz ukazywała światu, nie była już tą samą Kate. Mogła przesiedzieć w szwalni całe popołudnie nie wypowiedziawszy zdania, wyjąwszy lakoniczne odpowiedzi na zadawane pytania. W długie wieczory, kiedy już zmyto naczynia, a stół nakryto do śniadania na następny dzień i zbierano się w salonie, gdzie Maggie grała na szpince, rzadko udawało się namówić Kate, by coś zaśpiewała. Wolne chwile najczęściej spędzała z książką w ręku. Ona i Gabriel byli najgorliwszymi czytelnikami w rodzinie, pozostali woleli spędzać czas na bardziej praktycznych zajęciach. Naturalnie, Hugh także dużo czytał, lecz były to książki o tematyce prawniczej.

Mary Ellen była rozczarowana, że żadna z dziewcząt nie wykazywała zainteresowania sporządzaniem mikstur i okładów z ziół. Ona stale chadzała do swojego kredensu, jak nazywano mały pokój, gdzie przechowywała słoiki i butelki, i przygotowywała lekarstwa na katar i kaszel oraz balsamy i środki na przeczyszczenie dla bydła.

Lecz gdy dziewczęta chwyciły się rozrywki po dniu pełnym pracy, wydawało się, że oddają się jej z przyjemnością. Do niedawna Kate była najgorliwsza ze wszystkich - jej piękne hafty dwukrotnie zajęły pierwsze miejsce na targach w Hexham.

Mary Ellen bardzo zależało na tym, by Kate nie stroniła od rodziny. - Twój ojciec udaje się do Allendale, może pojechałabyś z nim? Nie zgadniesz nigdy, co ma zamiar zrobić - zaproponowała.

- Nie. Co tym razem zamierza przedsięwziąć? - spytała obojętnie Kate.

- Och. - Mary Ellen siliła się na żartobliwy ton. - Zamierza zrobić zaszczyt pewnym osobom zmieniając wreszcie bank. Przez lata kładłam mu do głowy, że bank założono już dawno, i że nie znajdzie się uczciwszych ludzi od pana Arnisona i wielbnego Waltona z Allenheads, a także radców miejskich. Ale nie, wiesz jaki jest ojciec, powiadał zawsze, że skoro nie mogą sobie poradzić z brudem w mieście, nie zaopiekują się należycie jego pieniędzmi. Ale teraz rzeczy przyjęły inny obrót. W każdym razie ojciec rad będzie z twojego towarzystwa.

- Mamo - zabrzmiał cicho głos Kate - wiem, co myślisz i wiem, co próbujesz zrobić. Lecz uwierz mi, nic mi nie jest. Jakby nigdy nic się nie wydarzyło. I cieszę się. Nie uwierzysz mi, kiedy jeszcze raz powtórzę, że rada jestem z takiego obrotu sprawy. Ale cóż... zmieniamy się. Wiesz, co mam na myśli.

Tak, do pewnego stopnia Mary Ellen wiedziała, co ma na myśli jej córka, bo sama kiedyś też się musiała zmienić. Westchnęła i rzekła: - Dobrze, kochanie. Jedź i baw się dobrze. Zachowaj ostrożność. Wolałabym, żebyś nie brała Ragera, jest ciężki do prowadzenia.

- Daję sobie z nim radę. Rozumiemy się. - Kate skierowała się do wyjścia, po czym odwróciła się, a w jej oczach pojawił się psotny błysk, który nie gościł w nich już od dawna.

- Wiesz, co chcę zrobić, mamo? - powiedziała.

- Nie, Kate. - Mary Ellen zbyt ochoczo, jak się okazało, przyklasnęła nastrojowi córki.

- Zamierzam włożyć spodnie.

Twarz Mary Ellen się wydłużyła. - Nie, Kate, nie zrobisz tego?

- Właśnie, że tak. Pamiętasz, kiedy byłam małą, jeździłam konno okrakiem i w dodatku na oklep. Więc cóż to takiego?

- To... to... - Mary Ellen z trudem powstrzymała się przed dokończeniem: - To może narazić twoje dobre imię na szwank. - I rzeczywiście mogło! Kobieta o figurze Kate, właściwie każda kobieta dosiadająca konia jak mężczyzna! - Nie rób tego Kate - powiedziała spokojnie. - Ale ty przecież nie mówisz poważnie?

- Mówię poważnie, mamó. Dlaczegożby nie? Nie ma w tym nic złego. Nie martw się. - Wyciągnęła rękę i pogłaskała Mary Ellen po ramieniu. - Nie pojedę w spodniach do Hexham ani do Allendale, będę trzymała się wzgórz.

Niebo było bezchmurne. Wiał leciutki wietrzyk, tylko taki, by chłodzić spocone ciało jej i zwierzęcia. Po pół godzinie zatrzymała konia. Pochyliła się i poklepała jego szyję. - Dobrze było, co, Ranger? - powiedziała. - Odetchnij trochę. - Koń podniósł łeb i zarżał.

Dziesięć minut jechała stępą po gruncie, który stopniowo opadał ku osłoniętej drzewami dolinie. Płynął tam potok, który można było przekroczyć po kamiennym mostku. Przez mostek przejeżdżał właśnie jeździec, w którym rozpoznała pana Bentleya. Od przypadkowego spotkania w hotelowej restauracji odwiedził ich trzy razy pod pretekstem zasięgnięcia rady jej ojca na temat hodowli bydła. Dwa razy został dłużej, by napić się czegoś na rozgrzewkę, a ostatnim razem, zaledwie przed miesiącem, zajrzał do kuchni, gdzie Florrie w obszernym nakrochmalonym fartuchu robiła pasztety przy kuchennym stole. Zwracał się wyraźnie do niej, co potem wywołało komentarze ze strony chłopców, przed którymi Florrie musiała się bronić: - Nie bądźcie głupcami! To siostrzeniec lorda Redmana. - W odpowiedzi ojciec wstał i rzekł: - A kimże był lord Redman dwa pokolenia wstecz? - I musieli wysłuchać opowieści o początkach sukcesu człowieka, który był obecnie posiadaczem wielkiego majątku ziemskiego na pograniczu Northumberland.

- Dzień dobry, panno Roystan.

- Witam pana, panie Bentley.

- Uroczy dzień mamy dzisiaj, prawda?

- Istotnie, tak. Nie nadszedł jednak zbyt wcześnie. To była okropna zima. - Zsiadła z konia, wyjaśniając: - Mój Ranger lubi pić wodę z tego potoku.

- Tak, konie ją lubią? Jadę właśnie z chaty mojego przyjaciela - wskazał ręką ku odległym wzgórzom. - Jej lordowska mość - poklepał szyję klaczy - napiła się tam do woli. Przynajmniej na tyle, na ile jej pozwoliłem, gdyby bowiem piła wedle swego upodobania, nie wycisnąłbym z niej najłżejszego kłusu. Miałem właśnie zamiar odwiedzić dziś

pani ojca - dodał. - Chciałbym znów skorzystać z jego doświadczenia i zasięgnąć paru rad. Przy okazji, jak miewają się rodzice?

- Znakomicie, dziękuję.
- Miło słyszeć. Nikt nie cierpi na przeziębienie?
- Nie, skądże znowu. Parę katarów i trochę kichania.
- Uśmiechnęła się do niego, a on roześmiał się, powtarzając:
  - Parę katarów i trochę kichania.
  - Jedźcie pani dalej, czy tu kończy pani przejażdżkę?
  - Zamierzałam wspiąć się wyżej.
  - Jedźcie pani na samą górę? - odwrócił się i głową wskazał wzgórze w oddali.

- Może.

- Jest tam dziś uroczo, przepiękny widok, choć nie wiem doprawdy, jak mój przyjaciel przetrzymał swoją pierwszą zimę w Anglii. Może pani go pamięta... Byliśmy razem owego pamiętnego dnia w hotelowej restauracji.

- O tak, tak - potaknęła. - To ten... - nie wypadało powiedzieć „cudzoziemiec” - Amerykanin, prawda?

- Rzeczywiście, Amerykanin i to bardzo interesujący. Wynajął ode mnie chatę owczarza jesienią ubiegłego roku, udając, że to tylko na dwa miesiące. Spisuje dzieje okolicznych wiosek i ich mieszkańców. Podobno jego przodkowie pochodzili z tych stron, chociaż nie wydaje się, by wiele o nich wiedział. Przynajmniej wywnioskowałem to z jego opowieści. Jest wspaniałym słuchaczem, lecz nie należy do ludzi zbyt rozmownych. Przyprowadzę go kiedyś, żeby przedstawić pani rodzinie, gdyż prześladuje mnie myśl, że czuje się tu bardzo samotny. Ja zaś nie mogę wybierać się do niego konno tak często, jak bym tego chciał.

Nie mogła inaczej zareagować na tę niezwykłą wypowiedź, jak tylko skinąć głową. Uchylił kapelusza w geście pożegnania: - Do widzenia, panno Roystan. Miłej przejażdżki.  
- Puścił konia galopem, żeby pokonać pierwszą część stoku.

Gdy została sama, sprowadziła Rangera nad brzeg potoku i usiadła wpatrując się w błyski słonecznego światła odbite w wodzie toczącej się po kamieniach. Miły człowiek ten Charles Bentley. Byłoby wspaniale, gdyby coś się zdarzyło między nim a Florrie. Nie czuła zazdrości. Florrie była jej

ulubioną siostrą. Słodka i delikatna, umiała ze wszystkimi żyć w zgodzie. Nie tak jak Maggie. Maggie była do całego świata nastawiona buntowniczo i czasami jej język zamieniał się w żądło.

Ranger w odróżnieniu od klaczy pana Bentleya wiedział, kiedy ma dosyć, potrząsnął łbem i wrócił znad potoku. Ujęła wodze i pogładziła go po pysku. - Nie ma tu trawki dla ciebie, wyżej będzie jej trochę - powiedziała czule do konia.

Dalej nie było drogi, tylko ścieżki wydeptane przez owce. Otwarta przestrzeń poznaczona była rudością uschłych wrzosów i ciemniejszym brązem poskręcanych liści paproci. Raz jeszcze puściła się w dół, wjechała do samotnego zagajnika, a kiedy się z niego wyłoniła po okrążeniu podnóża wzniesienia, zobaczyła w oddali chatkę niewiele większą od chlewika na farmie.

Ściągnęła wodze i przystanęła, zadając sobie pytanie, jak to możliwe, żeby Amerykanin przeżył w niej całą zimę. W lasku, z którego wyjechała, było pod dostatkiem drewna, była też struga wody wypływająca spod kamienia. Ale nie da się przeżyć samym tylko drewnem i wodą. Musiał przywozić sobie na górę podstawowe produkty do jedzenia. A czasami musiał siedzieć tu zasypany śniegiem... Dziwny człowiek.

Chciała uniknąć zbytniego zbliżania się do chaty i poprowadziła konia w stronę podstawy wzgórza, pozostając za osłoną kamieni, spomiędzy których wypływał strumyk.

Ścieżka skręciła gwałtownie w prawo i właśnie wtedy koń zarżał głośno. Kate wydała okrzyk przestachu, bo na ścieżce, trzymając głowę ułożoną na niewielkim kopczyku, leżał człowiek, o którym właśnie myślała.

Rzenie konia nie tylko go obudziło, ale podniosło na równe nogi. Mrugał powiekami, nie wiedząc, co się dzieje.

Kate wreszcie odzyskała mowę. - Przepraszam. Koń się przeląkł. Mógł pana stratować. Naprawdę bardzo mi przykro - powiedziała tonem wyrażającym ubolewanie.

- To moja wina. - Uśmiechnął się do niej spokojnie. - Wybrałem nieodpowiednie miejsce do wylegiwania się. Ale widok stąd jest piękny. - Zrobił gest ręką, ale nie spuszczał z niej oczu. Spotkaliśmy się już - podjął z zaciekawieniem.

- Tak. - Z trudem przełknęła ślinę. - W restauracji hotelowej.

- Mój przyjaciel omal nie przewrócił wtedy pani siostry.

Przez chwilę szukała w głowie jakiegoś tematu, od którego by mogła rozpocząć rozmowę. - Właśnie spotkałam pana Bentleya na dole przy potoku.

- A tak. Wyjechał ode mnie nie tak dawno. - Teraz z kolei on szukał pretekstu do konwersacji i wreszcie znalazł. Odwrócił się i wyciągnął ramię, mówiąc: - Proszę popatrzeć na to. Przemierzając wiele kontynentów nikt nie znajdzie czegoś równie pięknego. Te wzgórza wyrastające z dolin i falujące hen, daleko. Czy wie pani, że za ostatnim wzgórzem jest wieczność?

Uśmiechnęła się leciutko. - Nie, nie wiedziałam - rzekła.

- W rzeczy samej. Próbowalem tam dojść. Szedłem cały dzień i całą noc, a równie dobrze mogłem wcale nie ruszać się z miejsca.

Przyjrzała mu się. Jaki z niego dziwny człowiek. Miły, a także trochę niepokojący. To te jego oczy. Łatwo było sobie wyobrazić, że rzeczywiście umieją patrzeć w wieczność. Poruszyła się w siodle, a jej wierny Ranger postąpił krok do przodu i stanął przednim kopytem na otwartej książce.

Ściągnęła wodze i pochyliła się do przodu. - Ojej! Przepraszam. Wydaje mi się, że... - Nie dokończyła, lecz zsunęła się z siodła i odepchnęła konia. Mężczyzna podniósł książkę i zaśmiał się: - Na to nie mógł liczyć autor w najśmielszych oczekiwaniach. Nieczęsto się zdarza, że koń składa autograf na karcie.

- Przedziurawił papier?

- Nie, nie. A gdyby nawet, niewielka by to była strata. Horacy Walpole ma chyba zbyt bujną wyobraźnię. Lubi pani czytać? Czytała pani tę książkę? To „Zamek Otranto”.

- Nie, nie czytałam. W ogóle nie czytałam żadnej książki tego pisarza. Czytałam Sir Waltera Scotta. - Słyszac to oświadczenie wypowiedziane z pewnym rodzajem dumy, mężczyzna pokiwał głową: - Tak, Sir Walter Scott. To dobry pisarz, ale zdarzają się mu długiżny. Rozumie się samo przez się, że czytała pani również dzieła panny Austen?

- Oczywiście - wyznała. - Rozumie się samo przez się.

- Cu-dow-na kobieta.

Zauważyła, że wypowiadając to słowo przeciągnął sylaby, taką miał dziwną manierę. Nawet zwyczajne słowa brzmiały

inaczej, gdy je wymawiał. Odkryła, że chce, by mówił jeszcze. Mając w pamięci wszystkie rady udzielane przez pannę Pritchard swoim wychowankom, jak prowadzić salonową konwersację zadając delikatne pytania i taktownie przy tym zwrócić na siebie uwagę, spytała: - Wracając do Scotta, czytał pan „Quentin Durward”?

- Niestety, tego akurat nie czytałem.

- Mogłaby się panu spodobać. Jest w niej wiele podróźniczych przygód.

- A pani myśli, że gustuję w takiej tematyce?

Poczuła, że na policzki wypływa jej rumieniec. - Wiedząc, że nie jest pan Anglikiem, wyobrażałam sobie... że może miejsca zdarzeń są panu znajome - zawahała się.

- Uważa mnie pani za wielkiego podróżnika, ale ze wstydem muszę wyznać, że nie mogę się za takiego uznać. Odbywałem dotąd tylko niezbyt dalekie podróże, a Anglia jest pierwszym zamorskim terytorium, jakie odwiedziłem.

- Czy... podoba się panu?

- Bardzo. Z wyjątkiem jednego. - Pochylił ku niej głowę i uśmiechnął się: - Wasze zimno jest o wiele za zimne.

- O tak - odwzajemniła uśmiech - zwłaszcza tu, na górze. - Zastanawiała się gorączkowo, jak podtrzymać rozmowę. Ruszyła więc biorąc konia za uzdę, a mężczyzna jej towarzyszył. Doszli tak aż do miejsca, skąd widać było jego chatę.

- Sądzę, że zarówno amerykańska, jak i angielska grzeczność nakazuje zaproponować pani coś orzeźwiającego do picia. Nie mam jednak herbaty, pijam kawę - odezwał się.

- Lubię kawę. - Dlaczego to powiedziała? Panna Pritchard z pewnością by tego nie pochwaliła. Zaliczyłaby to do zachowania niegodnego damy. Nawet matka wykrzyknęłaby z niesmakiem: Och, Kate!

Chwyciła się siodła i rzekła: - Powinam już wracać do domu. Do widzenia, panie... panie...

- Nalegam - wyciągnął rękę. - Zawsze trzymam czajnik z boku przy ogniu. Byłbym uszczęśliwiony, gdyby zechciała mi pani towarzyszyć.

Popatrzyła na wyciągniętą rękę i na jego twarz, a potem zapytała dla przyzwoitości: - Czy jest pan pewien, że nie będę przeszkadzać panu w pracy?

Roześmiał się głośno. - Nie mam nic do roboty. Nie pracuję - odparł.

- Och. - Powoli poprowadziła konia w kierunku chaty i kiedy szli obok siebie, wtrąciła cicho: - Pan Bentley mówił, że opisuje pan dzieje tych stron.

- Jeśli to jest praca, to pracuję.

Po przyjrzeniu się chacie z bliska Kate stwierdziła, że nie jest taka mała, jak jej się wpieryw zdawało. Miała niskie drzwi i dwa małe okienka po prawej stronie, a jedno po lewej. Obok dobudowano coś w rodzaju obórki.

Podprowadziła konia do ogrodzenia z nie okorowanych bali. - Może go pani tu przywiązać albo puścić na łąkę z Daisy - powiedział mężczyzna. - Daisy będzie bardzo zadowolona. - Spojrzał w stronę kamiennego muru, za którym rozciągała się łąka. Kate uśmiechnęła się w odpowiedzi. - O, pewna jestem, że chciałby poznać Daisy - rzekła. Poprowadziła Rangera przez bramę z desek, lecz nie było tam żadnego konia.

- Pobiegnę na dół poplotkować z Bidy - domyślił się mężczyzna i włożył dwa palce do ust. Rozległ się donośny gwizd.

- Bidy? - spytała, a on potaknął: - Tak, mam kozę, która używa mi swojego mleka, jeśli tylko uda mi się ją złapać. Proszę spojrzeć - pokazał palcem. - Na samym dole, widzi pani czarną plamkę?

Dostrzegła czarną plamkę.

- To schronienie owczarza, bardzo prymitywny szałas. Najwidoczniej Bidy tam się wychowała, a jej właściciel nawet nie raczył mi powiedzieć, kiedy ją kupowałem, że jest do tamtego miejsca bardzo przywiązana. Ilekroć zaciągałem ją tutaj i przywiązywałem, do rana udawało jej się uciec. Jak to robiła, nie mam pojęcia. To cała wyprawa, tam na dół, zwłaszcza jeśli dzień jest wietrzny. Ta koza jest podobna do swej imienniczki. Nazwałem ją Bidy od imienia pewnej irlandzkiej damy, którą poznałem na statku płynącym do Anglii. Spacerowała po pokładzie w czasie sztormu, co przyprawiało kapitana o śmiertelne przerażenie. Nie mogłem sobie z nią poradzić, bo dama była niezwykle uparta... Panna Bidy O'Leary - roześmiał się. - Zaprzyjaźniliśmy się, czego nie mogę powiedzieć o kozie.

- Czy nie przyszło panu do głowy uwiązać ją na łańcuchu?
- zainteresowała się współczująco.

Zdumiał ją wyraz, jaki pojawił się na jego twarzy. Resztki uśmiechu pierzchnęły, a głos zabrzmiał głucho. - Nie, nigdy na łańcuchu. Jestem przeciwnikiem łańcuchów. Ani człowieka, ani zwierzęcia nie wolno trzymać na łańcuchu - rzekł z przekonaniem.

- Nie wolno - powiedziała ze skrucą. - Ma pan słuszość, Przykro mi, że o tym wspomniałam.

Twarz trochę mu się rozjaśniła. - Nie, pani sugestia była uzasadniona i bez wątpienia wielu poszłoby za tą radą.

- Odwrócił się od niej i wskazał konia galopującego po stoku.

- Gdyby popisywała się taką samą zwałością, kiedy siedzę na jej grzbiecie, moglibyśmy zdobyć dobre miejsce... Ojej!

- Otworzył bramę i pospiesznie odsunął się na bok, gdyż Ranger poczał gwałtownie wrywać się w stronę klaczy.

- Spokojnie! Ranger! Spokojnie! - krzyknęła Kate.

Konie zatrzymały się nagle i dotknęły chrapami, a za chwilę pomknęły jak wicher, mniejszy koń na przedzie.

- Cudowne. Cudowne.

Kate zerknęła na towarzysza. Patrzył z zachwytem, jakby nigdy jeszcze nie widział koni w zalotach.

Odwrócił się nagle i powiedział krótko: - Kawa.

Stanął z boku i przepuścił ją w drzwiach. Izba była niewielka i wyglądała bardzo skromnie. Jedną ścianę zajmowała otwarta kuchnia, z jej boku piętrzył się zapas polan. Pośrodku izby stał mały drewniany stół i jedno krzesło. Na ścianie po lewej stronie umocowano trzy półki, a na nich stały dwa garnki i kilka zwykłych talerzy, misek i kubków. Pod wiszącymi półkami znajdowała się szafka z przyborami do pisania i książkami. Drzwi w ścianie po prawej stronie prowadziły chyba do spiżarni.

Nie czynił żadnych uwag na temat stanu mieszkania, lecz grzecznie zaprosił Kate, by usiadła. Jego sposób bycia cechowała duża kultura, co oznaczało, że musiał dorastać w środowisku ludzi dobrze wychowanych. Było to dla niej pewnym zaskoczeniem, gdyż uważała Amerykanów za ludzi bez ogłady, za pionierów prowadzących nieustanną walkę z plemionami dzikich Indian.

Usiadła na drewnianym krześle i przyglądała się poczynaniom gospodarza. Wziął dwa kubki z półki i podszedł do paleniska, gdzie na gorącym popiele stał dzbanek z kawą. Patrzyła jak napełnia kubki smolistym płynem. Wręczył jej kubek i spytał: - Czy podać pani cukier? - Gdy potwierdziła, wyszedł z izby do spiżarni wrócił stamtąd z naczyniem brązowego cukru. - Rzadko sam go używam - wyjaśnił.

Posłodziła kawę łyżeczką cukru i zamieszała. Wypiła łyk i wpadła w popłoch. Z najwyższym wysiłkiem przełknęła napój, lecz nie mogła powstrzymać ataku kaszlu. Gdy poczuła jego dłoń klepiącą ją po plecach, pomyślała z rozpaczą, że tylko jej mogło się coś takiego przytrafić. Wyjęła z kieszeni chusteczkę i wytarła usta. Kaszląc nadal, wykrztusiła: - Przepraszam... Tak mi przykro... Ciągle muszę pana za coś przepraszać.

- To przeze mnie. Jestem głupcem. Tylko szalenięć może pić taką mocną kawę. Proszę mi to dać. - Wziął kubek ze stołu i wylał jego zawartość przez otwarte okno. - Może napije się pani koziego mleka? - zapytał. - To złagodzi drapanie w gardle.

Gdy podał jej drugi kubek, tym razem z mlekiem, z wdzięcznością wychyliła jego zawartość, choć nie zносиła koziego mleka. Miało specyficzny zapach, ale rzeczywiście przyniosło jej ulgę. Posłała gospodarzowi wątyły uśmiech. - Musi pan mieć bardzo zdrowy żołądek - zażartowała.

- Tak, w istocie - rozłożył ręce w geście zakłopotania. - Pewien lekarz powiedział mi kiedyś, że mocna kawa bardziej szkodzi niż whisky czy rum.

- Bez wątpienia.

- Obiecuję, że przy następnej wizycie poczęstuję panią kawą odpowiednią dla damy. - Gdy już padły te słowa, przyglądali się sobie w milczeniu. Następna wizyta...

Zauważyła, że słowa te wywarły wrażenie na nim samym.

- To znaczy, jeśli będzie pani tędy znowu przejeżdżała - wybąkał. - Miałem na myśli, że może nie miałyby pani nic przeciwko temu, by do mnie zajrzeć. Nie przyjmuję wielu gości, właściwie nikogo oprócz Charlesa. Naturalnie większą część czasu przebywam poza domem.

- Tak, wiem. Od Charlesa też wiem, że bada pan historię Langley, znajdujących się tu hut i szybów. Czy widział pan zamek?

- Oczywiście. To znaczy jego pozostałości. Jaka szkoda, że stoi w ruinie. Zdumiewające, że zachowały się stare wieże, gdy się zważy, jak bardzo są stare. Lecz... wszystko tutaj jest tak stare, prawda? Wszystko ma korzenie głęboko w ziemi, opiera się na litej skale. Można wyteńczyć wyobraźnię, lecz nie ujrzy się żadnej zmiany. To zupełnie inaczej niż w moim kraju.

- Czy tęskni pan za swoim krajem?

Zdawał się rozważać to pytanie i odpowiedział dopiero po dłuższej chwili: - Będę wiedział, kiedy tam wrócę pod koniec lata.

Dlaczego ogarnęło ją poczucie utraty czegoś ważnego? Zupełnie nie uzasadnione odczucie. - Zatem wraca pan do domu w tym roku? - spytała.

- Tak. Hm... tak. Cóż - potrząsnął głową - mówię, że wracam, lecz nie jest to wcale takie pewne. - Jego głos przygasł nieco, przez chwilę zdawało się, że brzmi w nim nuta wielkiej samotności.

Wiedziona impulsem zaproponowała: - Może zechciałby pan kiedyś nas odwiedzić? Pozna pan moją rodzinę. Będą zachwyceni mogąc pana gościć. Szczególnie bracia bardzo chętnie posłuchaliby o Ameryce. A w moim ojcu odkryje pan nieocenione źródło informacji o tym terenie. Niegdyś pracował w hucie.

Ku jej zaskoczeniu odwrócił się i podszedł do otwartych drzwi. Zanim udzielił odpowiedzi, stał przez chwilę i patrzył w dal: - Niełatwo zawieram znajomości. W zasadzie nie szukam towarzystwa. - Popatrzyła na niego. Był wysoki, plecy miał szczupłe, a czarne włosy wyglądały jak futrzana czapa. Powiedział, że niełatwo zawiera znajomości. Zdawało się, że wprost przeciwnie, bo jego sposób wystawiania się i manieri robiły wrażenie swobodnych i niewymuszonych.

Zaskoczył ją jeszcze bardziej, kiedy podszedł do ognia i przytoczył do stołu wielki okrągły pień. Usiadł na nim i poprosił: - Proszę opowiedzieć mi o swojej rodzinie. Chciałbym dowiedzieć się o niej czegoś bliższego.

Odpowiedziała po chwili wahania. Zaczęła dość obojętnym i lekkim tonem: - Mam matkę i ojca, a także sześcioro rodzeństwa. Najstarsze są bliźniaki, John i Tom, potem siostra

Maggie. Widział ją pan owego dnia w restauracji. Dalej Florrie, która była powodem zamieszania. - Uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił uśmiech. - Po Florrie urodził się Hugh. Odbywa praktykę prawniczą w Newcastle, gdzie mieszka na stacji. Najmłodszy jest osiemnastoletni Gabriel. Było jeszcze dwoje najmłodszego rodzeństwa - głos jej się załamał - Peg i Walter umarli na tyfus w czterdziestym pierwszym.

- Bardzo pani współczuję.

- Cóż - wyprostowała ramiona - oto i cała rodzina. Nie mogę nie wspomnieć o Annie Gordon. Mieszka z nami, odkąd sięgam pamięcią. Uważamy ją za członka rodziny. Nie mamy służących, gdyż matka i my, mam na myśli dziewczęta, prowadzimy dom i wyrabiamy masło i sery. Czasami także pomagamy w polu, lecz większość tych prac, także w obejściu, wykonuje ojciec i trzech moich braci. Powiedziałam, że nie mamy służących, lecz jest jeszcze Terry, pracuje u nas na farmie. On także jest u nas od dawna - od kiedy skończył dziesięć lat.

- Czy... czy zawsze mieszkaliście na tej farmie?

- Nie, skądże. Jak wspomniałam, ojciec na początku pracował w hucie; dostał niewielki spadek i na początek kupił małą farmę. Przeprowadzał się potem do dwóch następnych, aż wreszcie dziesięć lat temu osiedliśmy w Moor Vale.

- Wygląda na to, że życie w pani rodzinie układało się gładko i bez przykrych wydarzeń. - Utkwił w niej twarde spojrzenie, jakby w tych słowach czaiło się pytanie i jakby bardzo mu zależało na otrzymaniu odpowiedzi.

- Myli się pan - odparła rzeczowo. - W naszej rodzinie zdarzyło się wiele tragedii, a niektóre z nich są częścią historii tych stron. Być może w czasie swoich wędrówek zasłyszał pan coś niecoś.

Zdobył się na odpowiedź, zanim dłuższe milczenie stało się niezręczne.

- Tak, coś niecoś słyszałem. Zamordowano jakichś ludzi, a winowajca się powiesił, czy tak?

- To był tylko jeden z winowajców. Ale to ponura sprawa, a o takich najlepiej zapomnieć. Chyba że - uśmiechnęła się - miałyby dodać smaku pańskiej powieści.

- Ja nie piszę powieści. Nie jestem pisarzem.

- Nie? - w głosie Kate zabrzmiała nuta zdziwienia.

- Nie. Przyjechałem do Anglii, żeby zwiedzić ten kraj i... właściwie, tak, to dobre słowo, zauroczyły mnie te strony. Zdecydowałem się zrobić trochę notatek. Gdyby Sir Walter Scott żył, nie miałby się czego obawiać z mojej strony, ani też pan Walpole, ani panna Maria Edgeworth. Czytała pani jej opowieści z życia Irlandczyków?

- Nie, niestety, nie czytałam.

- Naprawdę warto są przeczytania. Jej narracja chwyta za serce.

- Muszę poszukać jej książek, kiedy następnym razem pojedę do Hexham. Jest tam dobra księgarnia.

- Nie ma potrzeby udawać się aż tak daleko. Jedną z nich mogę pani pożyczyć. - Podeszedł do szafki, wyjął z niej książkę i wręczył ją Kate. - Nie musi pani jej nawet zwracać. Skończyłem lekturę - oświadczył.

Potraktowała te słowa nie tylko jako sygnał pożegnania, lecz także jako wskazówkę, że nie życzy on sobie być więcej niepokojony. Myśl tę jednak rozwiały kolejne słowa: - Jeśli będzie pani znowu tędy przejeżdżać, będzie pani mogła wyrazić swoje zdanie. Powinno się brać pod uwagę opinię innych ludzi, chociaż wielu z nich jest zbyt przywiązanych do swoich upodobań. Nie spotyka się pani z tym zjawiskiem?

- Tak, szczególnie na wsi. Wiele przekonań, nawet błędnych, przekazywanych jest od rodziny do rodziny, z pokolenia na pokolenie. Mój ojciec spotyka się z tym bardzo często, jeśli chodzi o poglądy na temat hodowli, matka także.

- Pani matka ma do czynienia z bydłem?

- W pewnym sensie tak, jest mistrzynią w sporządzaniu ziołowych leków dla zwierząt, i dla ludzi także. - Ludzie ciągną z bliska i z daleka po jej mikstury i balsamy.

- Jakie to zajmujące!

Nie powiedziała nic więcej, lecz patrząc na niego poczuła się zakłopotana wyrazem jego oczu. Były niepokojące i czujne. Patrzyły nie tyle na nią, co przez nią. Odkryła jednak, że lubi patrzeć na tę interesującą twarz. Nie był ogorzały jak jej bracia. Karnacja tego mężczyzny miała matowy, równy odcień brązu, jak skóra na rękach latem.

Ile mógł mieć lat. Dwadzieścia pięć? Dwadzieścia sześć? Może nawet był starszy, emanował bowiem dojrzałością. Też

była ciekawa, jaka jest jego rodzina, lecz nie śmiała o nią pytać. - Nie mogę dłużej nadużywać pańskiej gościnności - powiedziała, wstając z krzesła.

Zaskoczona obserwowwała, jak odrzuca głowę do tyłu i otwiera usta w serdecznym śmiechu. Chyba nie powiedziała nic zabawnego, on jednak wyjaśnił swoje zachowanie, lekko pochylając nad nią głowę: - Proszę mi wybaczyć, lecz to zabrzmiało, jakbym przyjmował panią w salonie.

- Doprawdy?

- Tak. Pani ton głosu był tak uprzejmy, tak dystyngowany, a wszystko na próżno, zważywszy miejsce, w jakim się znajdujemy - gestem ręki wskazał otoczenie. Spoważniał i rozejrzał się dookoła, jakby zjawił się tu po raz pierwszy.

- To zwykła rudera, nie sądzi pani? - dodał.

- Nie. To bardzo ubogie pomieszczenie, lecz czyste i ciepłe. Zawsze uważałam, że zbyt wielki nacisk kładzie się na posiadanie. Nie przynosi ono szczęścia ani nawet wygody. Kilku najbardziej zadowolonych z życia ludzi, jakich znam, mieszka w chatkach nie większych od tej. Lecz na ich stołach zawsze jest dobre jedzenie, a w palenisku płonie ogień. Ledwie mają na czym spać i na czym jeść, koło domu kawałek ogrodu warzywnego i kilka kur, a wyglądają, jakby posiadli całą Ziemię. Nie wydaje się, by pragnęli czegoś więcej. Kiedy już zacznie się gromadzić dobra, odruch ten zaczyna być nałogiem. Wiem o tym - znowu uśmiechnęła się szeroko - bo mój ojciec ma taki nałóg. Każdego roku powiększa swoje stada, rozbudowuje stajnie i dokupuje kawałek ziemi. Powiedziałam mu, że dobrze jest znać granice. Czy tak samo jest w pana kraju?

- Nie, nie tak samo, bo poza miastami rozciągają się bez końca ogromne przestrzenie, trudne do ogarnięcia ludzkimi zmysłami. Z drugiej strony, jak się nad tym zastanowić - toczą się o nią nieustanne boje między Indianami a osadnikami. Osadnicy walczą o wzięcie tej ziemi w posiadanie, Indianie zaś o jej odzyskanie.

Zmierając ku drzwiom, zadała pytanie: - Czy pochodzi pan z licznej rodziny?

- Nie. Jestem jedynakiem. - Ton jego głosu był beznamiętny, lecz stanowczy, jakby chciał położyć kres dalszemu wypytywaniu. Poczuła się zakłopotana.

Podeszli do kamiennego muru i tam gospodarz gwizdaniem próbował przywołać oba konie. Po chwili zjawiły się. Kiedy dosiadła Rangera, przełożył głowę przez mur i głośno zarżał.

- Będzie tęsknił za jej towarzystwem - powiedział mężczyzna lekkim tonem.

- Tak. Do widzenia. - Nie mogła powiedzieć nic ponadto, nie znała przecież jego nazwiska. On zaś odparł: - Do widzenia, panno Roystan.

Dość długo jechała wyprostowana w siodle, nie popędzając konia do kłusu. Zjechała ze wzgórz i już prawie dotarła do doliny, kiedy zatrzymała się w pobliżu kępy drzew, by dojść do ładu ze swoimi uczuciami. Wiedziała, że jest poruszona jak nigdy dotąd i zastanawiała się, co to może oznaczać. Widziała go dopiero drugi raz, dzisiaj wydał jej się interesującym młodym człowiekiem. Czy da się polubić? Był trochę dziwny. W przypadku człowieka jego prezencji i oczywistego wykształcenia, było nienaturalne, by mieszkał samotnie w takim miejscu. Kwatera Terry'ego nad stajniami była pałacem w porównaniu z chatą owczarza. W pewnej chwili podczas spotkania, gdy dawał jej książkę, wyczuła, że pragnął się jej pozbyć. Potem jednak powiedział, że chciałby znać jej opinię o lekturze.

Zanim ruszyła kłusem postanowiła, że nie zdradzi swojej tajemnicy domownikom. Gdyby Maggie dowiedziała się o dzisiejszym spotkaniu, następnym razem chciałaby niewątpliwie także wybrać się na konną przejażdżkę, a Kate przeczuwała, że człowiek ten nie byłby wdzięczny za przyprowadzenie jeszcze kogoś do towarzystwa.

---

## 5

---

Rodzina zebrała się na potajemną naradę. Kate znowu wyruszyła gdzieś konno. Wyjeżdżała już piąty tydzień z rzędu i zabierała ze sobą skórzaną torbę z książkami.

- Każdego tygodnia czyta inną książkę - zauważyła Maggie. - W zeszłym tygodniu zobaczyłam w jej pokoju powieść

pani Radcliffe, a przedtem jakąś powieść Walpole'a, a jeszcze przedtem Jane Austen. To musi być ktoś wykształcony, ktoś z kim wymienia te książki. Dlaczego ona nic nie mówi?

- Tak, dlaczego nic nie mówi? - Mary Ellen przygryzła dolną wargę. Nie tylko książki wkładała Kate do torby. Miała swój dyżur w kuchni i zgodnie z utartym zwyczajem zrobiła dziesięć pasztecików wielkości dłoni, takie same bułeczki z nadzieniem owocowym. Zrobiła także roladę mięsną, która nie pojawiła się na stole. Gdyby ktoś, kogo odwiedzała, był człowiekiem kulturalnym, nie potrzebowałby przecież niczego do jedzenia. W zeszłym tygodniu Mary Ellen posunęła się tak daleko, że zaczęła wypytywać córkę, lecz Kate zbiła ją z tropu, zanim matka zdołała na dobre otworzyć usta: - Pozwól mi na pół dnia wychodnego co tydzień, mamo.

- To nie w porządku, Kate, że mówisz coś podobnego - odparła oburzona i dotknięta. - Wiesz, że twój czas należy do ciebie, kiedy tylko tego chcesz. - Kate zwiesiła głowę i wybąkała: - Kiedyś ci powiem, może już wkrótce. Widzisz, zaprzyjaźniłam się z kimś. Nie chcę tego zepsuć, pozwalając wam przykładać do tej znajomości niewłaściwą miarę.

Mary Ellen przyglądała się swojej rodzinie i słuchała, jak John strofuje Maggie, która zaproponowała, by ktoś z nich śledził Kate. Przyłapała się na tym, że szuka w pamięci kogoś znajomego, jakiegoś mężczyzny, którego Kate mogłaby widywać podczas swoich cotygodniowych wizyt. Nie mogła jednak wskazać nikogo rozsądnego. Ludzie, których znała na mile wokoło, rodziny posiadające synów, nie mieli czasu na czytanie czegokolwiek prócz gazet. W dodatku tajemniczy przyjaciel Kate mieszkał w sąsiedztwie, w zasięgu popołudniowej konnej przejażdżki.

- Może spotkała dawnego nauczyciela.

Wszyscy popatrzyli na Toma i pokiwali głowami. - Tak, to możliwe, Tomie - podchwyciła Florrie. - Jest trochę wykształconych ludzi w Allendale. Pan Carrick, pan Dickinson, a także pan Arnison. Mieszka tam także mądry pastor, który jest świetnym matematykiem.

- Nie bądź niemądra. Wszyscy oni są starzy. - John trącił Florrie lekko w ramię. Wówczas Maggie skupiła uwagę zebranych. - To nie jest takie niemądre. Może to jakiś uczonec

stary człowiek. Na pewno nie jest to młody uczonek człowiek, nieprawdaż? - powiedziała z przekąsem.

- Maggie! - Mary Ellen powiedziała to szorstko, na co Maggie potrząsnęła głową. - Och, mam. Dobrze wiesz, co mam na myśli - odparła.

- Tak, dobrze wiem, co masz na myśli, i jest to bardzo niepożądane z twojej strony.

Mary Ellen wstała i wymaszerowała z pokoju, a Tom, spoglądając na Maggie, rzekł: - Twój długi język, siostrzyczko, kiedyś cię zgubi. - I również opuścił pokój. Oburzona Maggie zwróciła się do Johna: - Przecież wszyscy tak myślimy. W każdym razie wystarczy przypomnieć sobie, co było z Harrym Bakerem.

- Harry Baker był skończonym głupcem i dobrze, że Kate się od niego uwolniła. Gdybym to ja był kimś z zewnątrz i miałbym wybrać sobie towarzyszkę życia, wiem, o kogo bym się starał.

Kiedy za Johnem zamknęły się drzwi, Maggie zwróciła się do Florrie: - No, teraz na ciebie kolej.

- Zgadza się z Johnem - rzekła Florrie. - Gdybym była mężczyzną, mądrym mężczyzną, wybrałabym taką dziewczynę jak Kate, żeby spędzić z nią życie.

- Och, nie bądź taka niemądra! Gdybyś była mężczyzną! Skąd wiesz, co czuje mężczyzna? Podetknij mu miłą buzię i zgrabne ciało, a myślisz, że będzie szukał mądrości i dobrych manier? Skądże, ich myśli tkwią w sypialni. Wiecznie tylko ta Kate i Kate! - Tym razem to Maggie wyszła z pokoju, zostawiając Florrie bliską łez.

Florrie wychowała się na farmie. Wiedziała, skąd się biorą zrebęta, cielęta i jagnięta, a także skąd się biorą dzieci. Że to ostatecznie ma swoje miejsce w życiu także wiedziała, bo nie raz o tym rozmyślała, ale nigdy, przenigdy nie wypowiedziała tego głośno, jak przed chwilą zrobiła to Maggie. Coś zaczęło szwankować w tym domu. Zaczęło się to owego dnia, kiedy Kate została porzucona przed ołtarzem.

Gdy śmierć zabrała młodsze rodzeństwo, rodzinę na długo przygniół ciężar smutku, lecz wówczas wszyscy czuli się sobie bardziej bliscy. Od tragedii Kate ich życie stało się nie do zniesienia. Zburzona została dotychczasowa harmonia.

Dziwna myśl przemknęła jej przez głowę i zaraz pierzchnęła, ponieważ w Kate zaszło coś, co zachwiało jej własną równowagę.

Słońce piekło Kate w twarz. Pod strojem do konnej jazdy ciało oblewało się potem. Skóra Rangera także lśniła od potu, chociaż nie zmuszała go do galopu. Rozejrzała się wokół. Ziemia wyschła, deszcz nie padał od paru tygodni. Zbiory zapowiadały się bardzo mizernie, a już teraz było z trudnością znajdowało trawę. Jeśli pogoda nie zmieni się w najbliższym czasie, zima będzie ciężka dla wielu ludzi. Tak wiele ludzkich poczynań zależy od pogody. Zmrużyła oczy i spojrzała w niebo. Było bezchmurne, błękitne i wysokie. Pragnęła jak wszyscy widzieć je niemal opierające się o odległe wierzchołki gór, czuć ukośne strumienie deszczu i wiatr hulający po wrzosowisku. Z drugiej strony, jedynie dzięki suchej pogodzie mogła co tydzień dotrzeć do wzgórz, bo gdyby padało, ścieżka wkrótce przypominałaby trzęsawisko.

Powiedział, że kiedyś ulewa uwięziła go na pięć dni w chacie... Powiedział... powiedział. Ostatnio ciągle myślała o rzeczach, które powiedział. Po co brnęła w to dalej, związek ten mógł doprowadzić jedynie do złamanego serca. Porzucenie przez Harry'ego Bakera zmartwiło ją wprawdzie, lecz czuła głównie upokorzenie, ponieważ wówczas nie wiedziała, co to znaczy kochać. Teraz wreszcie ogarnęło ją to uczucie i było bezustanną męczarnią zarówno na jawie, jak i we śnie. Wiedziała, że to uczucie bez przyszłości. Kiedy on wyjedzie z powrotem do Ameryki, co może się zdarzyć w każdej chwili, olśniewające światło zniknie z jej życia na zawsze. Dlaczego właśnie jej musiało się to przytrafić? Gdyby była filigranowa i choć trochę ładniejsza, mogłaby żywić jakąś nadzieję. Lecz tak, jak miały się sprawy, wiedziała, że nie ma najmniejszej nadziei, by on kiedykolwiek dostrzegł w niej cokolwiek innego poza grubokościstą, pospolitą urodę kobietą. Mógł uważać ją za całkiem dobre towarzystwo, i z pewnością uważał, gdyż witał zawsze ciepło, lecz czuła, że widzi w niej rozsądną istotę bez jakiegokolwiek romantyzmu czy głupich myśli w głowie.

Przekleństwo jej życia - każdy uważał, że jest zrównoważona i rozsądna jak dojrzała kobieta. A czyż nie jest?

Wyglądała wprawdzie na swój wiek, a jej wygląd wskazywał na rozsądek, lecz w duszy czuła się jak młodzianka dziewczyna. Nie tak dawno przyłapała się na tym, że nachodzi ją ochota, by zerwać spódnice i pędzić przez wrzosowisko, stanąć na szczycie wzgórza, nabrać w płuca powietrza i wykrzyknąć z siebie rozpierającą ją radość. Tak było w chwilach, kiedy zapominała o swoim wyglądzie, kiedy jej wewnątrz brało górę i czuła się młoda, piękna i pociągająca dla mężczyzn. Tak, dla mężczyzn... dla jednego mężczyzny. Była niegdyś tak naiwna, by wierzyć, że gdzieś znajdzie się mężczyzna, któremu spodoba się olbrzymka o szpetnej twarzy, bo spodoba mu się dźwięk jej głosu i będzie ubóstwiał jej śpiew, a także doceni, że jest świetną kucharką i gospodynią.

Marzenia te umarły i zostały pogrzebane. Ale pojawił się w jej życiu ten jedyny, zaledwie tydzień po porzuceniu przez innego, a kiedy odejdzie z jej życia, poczuje się znowu porzucona. To nowe porzucenie sprawi jej jednak nieopisaną mękę.

Pochyliła się i poklepała końską szyję. - Już niedaleko, zaraz zobaczysz Daisy. - Ranger w odpowiedzi zerwał się do kłusu i wkrótce okrążali już wzgórze, mając przed sobą widok chaty. Zaczęła się modlić, żeby był tam dzisiaj, gdyż przed tygodniem nie było go ani w chacie, ani nigdzie w pobliżu.

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Mężczyzna, o którym nieustannie myślała, wychodził z chaty i zmierzał w jej stronę. - Dzień dobry! - przywitał ją.

- Dzień dobry. Gorąco dziś, prawda?

- Uroczo. Nie narzekam na pogodę. Ale zdaje się jestem jedynym, którego ona cieszy, gdyż wszyscy wokół się martwią.

- Tak, bo ucierpią zbiory.

- Oczywiście. Oczywiście. Jestem bardzo samolubny.

- Pomógł jej zsiąść z konia, a potem poklepał zwierzę po szyi. - Daisy pytała o ciebie, stary. - Potem zwrócił się do Kate: - Przepraszam, że nie było mnie tu w zeszłym tygodniu. Musiała pani odjechać tuż przed moim powrotem. Zatrzymano mnie w osadzie Haltwhistle. Zagadałem się z dwoma starszymi w gospodzie i czas minął niepostrzeżenie, a przy tym piwo tak uderzyło mi do głowy, że przeoczyłem czas, kiedy

należało wracać. Ale dziękuję serdecznie za przepyszne ciasta. Jest pani wyborną kucharką.

- Nie mogę przyjąć komplementu za ciasta - odparła z uśmiechem. - Piekła je Florrie, moja siostra. Zmieniamy się w kuchni. Moja kolej przychodzi co cztery tygodnie.

- Myślałem, że ma pani tylko dwie... - przerwał i roześmiał się. - No tak, ma pani przecież jeszcze matkę, no i Annie. Czuję się, jakbym znał Annie.

- No cóż - spoważniała mówiąc to. - Z pewnością rozpoznałby ją pan. Jesteśmy do siebie podobne, przynajmniej tak mówią.

- Naprawdę? - utkwił w niej spojrzenie. - I nie ma między wami żadnego pokrewieństwa?

- Żadnego.

- A oto i Daisy. Powtarzam ciągle, że życzylibym sobie, by tak samo zwawo się ruszała, gdy jej dosiadam.

Ranger zarżał głośno, kiedy wprowadzili go za bramę. Konie pobiegły przed siebie.

Nie ruszył się w stronę chaty, lecz stał z plecami opartymi o mur, nie spuszczać jej z oka. - Mam wieści dla pani - powiedział.

- Tak? - wstrzymała na chwilę oddech.

- Nie wiem, czy panią rozgniewają, czy ucieszą... Myślę, że Daisy jest żrebna.

Poczuła jak radość przenika jej ciało. - To wprost cudownie! Dlaczego sądził pan, że mogłabym się rozgniewać?

- Nie wiem - potrząsnął głową - to głupie, co powiedziałem. Tak, rzeczywiście, bardzo głupie. Zapomniałem, że jest pani córką farmera i przywykła pani do tego typu wydarzeń.

- Tak, przywykłam, niemniej przy każdym żrebieciu czy cieleniu się przechodzi mnie na nowo dreszcz emocji. Widok tych ślicznych drżących nóżek, które w ciągu paru minut już umieją stać, nigdy nie wywołuje przesyty. To niczym powtarzający się cud.

Twarz mu spoważniała i spojrzał na nią przenikliwie. Zamrugała powiekami i odwiązała od siodła torbę. - Przywiozłam z powrotem powieść Richardsona.

- I cóż?

Wydęła wargi. - Nie podobała mi się tak jak poprzednie. Jego książki adresowane są głównie do dam. Nie należę do

tej kategorii czytelniczek i postaci odebrałam jako nienaturalne.

- Cieszę się.

- Cieszy się pan?

- Tak. Opowiedziałem pani, jak znalazłem tę książkę pomiędzy innymi w Newcastle. Zwróciłem na nią uwagę dlatego, że wiele razy już przewracano jej kartki. Musi to być dobra lektura, pomyślałem. Ale w pełni się z panią zgadzam. W tym tygodniu mam taką, która być może bardziej przypadnie pani do gustu. Napisał ją Laurence Sterne i nosi tytuł „Życie i myśli JW Pana Tristrama Shandy”. To oryginalna książka i raczej trudna w lekturze, czasami nawet zaskakująca, lecz postacie są realne. Zapraszam panią do środka. Przygotowałem coś zimnego do picia. Chłodziłem dwie butelki w strumieniu od wczoraj. Jest to, jak nazywacie tutaj, piwo imbirowe. Przypuszczam, że świetnie zna pani ten napój.

- Piwo imbirowe, tak, oczywiście - roześmiała się.

- Wczoraj odwiedziłem pewien dom i gospodarze byli tak uprzejmi, że podarowali mi dwie butelki.

Owiedził wczoraj pewien dom. Gdzie spędzał resztę tygodnia, kiedy go nie widywała? Nigdy nie wyraził chęci odwiedzenia jej rodziny. Rzadko o niej wspominał, lecz ilekroć ona opowiadała, słuchał z uwagą.

Siedzieli po obu stronach niewielkiego stołu. W palenisku nie płonął ogień, sądząc po wyglądzie popiołu już od dość dawna. - Co przygotowuje pan sobie do jedzenia? Jak radzi sobie pan bez ognia? - spytała.

- Nie mam nic przeciwko picciu zimnego mleka, a poza tym odwiedzam gospody i tam coś zjadam. W większości tutejszych karczm gotują wyborne posiłki. Poza tym przywykłem już do angielskiej kuchni. Lubię zwłaszcza puddingi, gotowane na parze. Jutro znów wybieram się do Newcastle. Jaką książkę mam stamtąd dla pani przywieźć?

Przez chwilę się zastanawiała. - Zdam się na pana wybór. Będzie mi bardzo miło, jeśli mi pan ją później pożyczysz - odpowiedziała.

- Też coś. - Zrobił zabawną minę i dodał: - Chciałbym kupić dla pani książkę, albo i dwie czy trzy, w prezencie.

Przeniknął ją nagły chłód. - Wyjeżdża pan?

- Nie, nie - wyprostował się. - Ale - popatrzył na drzwi  
- to pytanie wisi cały czas w powietrzu.

- Dlaczego, jeśli wolno spytać?

Nie odrywając wzroku od otwartych drzwi, rzekł: - Zdziwiłaby się pani, gdybym powiedział. Ale powiem któregoś dnia. - Obrócił się na krześle i spojrzął na nią, kończąc bardzo cicho: - To będzie w wielkiej mierze zależec od pani.

Zdała sobie sprawę, że jej twarz pokryła się rumieńcem. Nie rumieniła się zwykle, z wyjątkiem sytuacji, kiedy była bardzo poruszona, tak jak teraz. Gdybym była ładna, jego słowa mogłyby oznaczać tylko jedno, pomyślała. Cóż więc znaczyły? Nie miała pojęcia. - Jakim sposobem pański wyjazd zależec ma ode mnie? - spytała słabym głosem.

- Proszę dać mi dwa tygodnie, może trzy, wówczas pani odpowiem.

Łokcie jej spoczywały na stole, dłonie miała złączone. Gdy jego ręce nieoczekiwanie spoczęły na jej dłoniach, wstrzymała oddech. W oczach jej zalśniły łzy, kiedy usłyszała: - Nigdy nie spotkałem nikogo, z kim mógłbym rozmawiać tak jak z tobą, Kate. Już przy pierwszym spotkaniu poczułem, że jesteście do siebie podobni. Co o tym sądzisz?

Gdy nie odpowiedziała, mocniej ścisnął jej dłonie i ciągnął: - Takie rzeczy się zdarzają. Czytałem o nich, lecz nigdy nie dawałem im wiary. Teraz wierzę. Nasza przyjaźń wiele dla mnie znaczy.

Uczucie gorąca spłynęło z jej ciała, a zamiast niego pojawił się ciężar w okolicach serca. Przyjaźń. Naturalnie, tak. Była szalona myśląc, że jego słowa mogły oznaczać coś więcej. Musiała odpowiedzieć tak, jak tego oczekiwał. - Ja... ja także bardzo sobie cenię naszą przyjaźń, więcej niż może pan sobie wyobrazić, a to z powodu... z powodu czegoś, co mi się przydarzyło owego tygodnia, kiedy pana po raz pierwszy zobaczyłam.

- Co to było?

Popatrzyła na ich połączone dłonie i minęło parę sekund zanim wydobyła z siebie odpowiedź: - Zostawiono mnie przed ołtarzem.

- Zostawiono przed ołtarzem? - spytał, jakby nie rozumiał, o czym ona mówi.

- Miałam wyjść za męża. A on... po prostu nie przyjechał na ślub - wyjaśniła.

Ich oczy spotkały się. - Ach, to. Wiedziałem o tym. Charles mi opowiedział. I cieszę się, bo gdyby przyszedł, nie siedziałabyś tu teraz ze mną.

Znowu jej twarz oblała się rumieńcem i ogarnęły ją mieszane uczucia, bo teraz miała powody przypuszczać, że jego przyjaźń bierze się ze współczucia. Ale powiedział, że się cieszy.

- Kimkolwiek jest ten człowiek, przede wszystkim okazał się głupcem, a z ludzkiej głupoty ktoś zawsze czerpie korzyść. Tym razem to ja skorzystałam.

Przyjemnie było na niego patrzeć. Był przystojny i roz-  
taczał wokół siebie jakiś szczególny urok. Tkwił on w sposobie, w jaki się poruszał, w jego głosie, w pojmowaniu świata, które - jak przypuszczała - brało się z czytania. Różnił się bardzo od mężczyzn w jej rodzinie i od wszystkich innych, których kiedykolwiek spotkała. I darzył ją przyjaźnią. Czyż to nie było coś? Więcej niż mogła oczekiwać, lecz nie więcej niż to, do czego wrywało się jej serce. Z najwyższym trudem je uspokajała wiedząc, że ten mężczyzna kiedyś wyjedzie i pozostawi po sobie dojmującą pustkę. Powiedział, że jego wyjazd zależy od niej. Dlaczego? Lepiej się w to nie zagłębiać. Nie powinna się zachowywać jak niemądra kobieta, która bada powód aż do skutku. Prawdopodobnie zaś w ogóle nie widział w niej kobiety, lecz drogiego sercu przyjaciela.

Powoli wysunęła dłonie z jego uścisku i wstała. - Na mnie już pora - powiedziała. Lecz kiedy już była przy drzwiach zatrzymał ją.

- Kate.

Odrzuciła się i spostrzegła, że nie ruszył się od stołu.

- Słucham?

- Pamiętasz, kiedyś zapytałem cię o imię?

- Oczywiście.

- A później powiedziałem ci moje. Pamiętasz je?

Uśmiechnęła się i odparła: - Tak... Pan Benedykt Fraser Hamilton.

- Brzmi ładnie, kiedy wypowiadasz je w taki sposób. Powiedziałem, że wszyscy mówią na mnie Ben. I wiesz co?

- odczekał chwilę, zanim dokończył: - Nigdy nie nazwałś mnie Ben.

Och, ten głupi rumieniec na twarzy! Kiedy jej skóra czerwieniła się, Kate dosłownie cierpła na myśl o swoim wyglądzie. Zmusiła się, by powiedzieć, cokolwiek chłodno: - Sytuacja nie dojrzała do tego, by zrobić z pańskiego imienia użytek.

Podszedł do niej i zmusił ją, by spojrzała mu w oczy. - Sądzę, że teraz jest po temu okazja - oświadczył. - Możesz powiedzieć: Mam nadzieję, Ben, że jutro miło spędzisz dzień w Newcastle.

Roześmiała się lekko. Czasami był taki chłopięcy, że nie wyglądał na starszego od Gabriela. Kiedy zaś rozmawiali o książkach, mówił jak dojrzały człowiek.

Oboje się śmiali, kiedy powtarzała jego słowa: - Mam nadzieję, Ben - wymówiła jego imię z naciskiem - że jutro miło spędzisz dzień w Newcastle.

- Tak jest lepiej. I chyba tak bardzo nie boli, kiedy się to mówi.

Roześmiała się głośno, a on dołączył do niej i chichotali cały czas, dopóki nie dotarli do kamiennego muru. Zawołał konie.

Kiedy dosiadła Rangera, Ben ponownie położył ręce na jej dłoniach. - Czy tylko raz w tygodniu wyjeżdżasz na konne przejażdżki? - zapytał.

- Nie, czasami jeżdżę raz na dwa tygodnie.

- Nie to miałem na myśli.

- Mam obowiązki w domu - odparła cicho. - Pod koniec tygodnia wszyscy są zajęci, bo szykują się na targ. Czasami jeżdżę w niedzielę, kiedy nie mamy gości.

- W przyszłości będę tu także w niedziele, żeby przyjmować gości.

Nie udzieliła żadnej odpowiedzi, ani nawet się nie uśmiechnęła. Ujęła wodze i odjechała...

Jeśli to jest jego sposób wyrażania przyjaźni, to jaki jest sposób wyrażania miłości?

\*

Wjeżdżała właśnie na podwórze, kiedy ujrzała Charlesa Bentleya. Stał obok konia i już miał go dosiadać. Przy nim stała matka, Maggie i Florrie, a także John. Kiedy Charles

zobaczył ją, zatrzymał się i poczekał aż zsiądzie z konia.  
- Była pani w odwiedzinach u naszego wspólnego przyjaciela?  
- przywitał ją wylewnie. - Właśnie opowiadałem o nim pani rodzinie. Przynajmniej - zrobił zabawną minę - te trochę, co o nim wiem. To bardzo powściągliwy człowiek. Sądzę, że już się pani o tym przekonała.

Nie mogła pospieszyć z odpowiedzią, gdyż zamurowały ją zaskoczone spojrzenia rodziny. Charles Bentley zdawał się nie dostrzegać niczego niezwykłego w jej zachowaniu, gdyż zwrócił się do Florrie. - Zatem do przyszłej soboty, panno Roystan. - Florrie skinęła głową i uśmiechnęła się. Wsiadł na konia, zawrócił go, pomachał ręką na pożegnanie i odjechał. Wszyscy stali nieporuszenie, patrząc na Kate.

- A więc - uniosła do góry podbródek - wiecie już. Nie ma już tajemnic.

Poszli za nią do kuchni - Więc po co robiłaś z tego tajemnicę? Mogłaś nam powiedzieć, czyż nie? - spytała Mary Ellen

- Tak, mogłam powiedzieć - zgodziła się. - I jaka byłaby reakcja? Jeszcze jeden mężczyzna do złapania w sieci. Przyrowadź go do domu. Pozwól, żebyśmy się mu przyjrzeni. Żebyśmy zobaczyli, czy nadaje się na męża.

- Och, Kate - głos Johna zabrzmiał miękko. - Nic podobnego.

- Właśnie, że tak, i wiesz o tym, Johnie. Po co owijać w bawełnę?

- Czy on głoduje, że zanosisz mu ciasta? - spytała cierpko Maggie.

- Nie, nie głoduje. Następnym razem, kiedy będę chciała zrobić komuś prezent, kupię ciasto w sobotę w mieście. Czy to was zadowoli?

- No, no - wtrąciła pojednawczo Mary Ellen - nie ma takiej potrzeby.

- Skoro nie ma takiej potrzeby, to dlaczego patrzycie na mnie jak na zbrodniarkę?

- Nie przesadzaj. Ale przecież wyniosłaś z domu trochę jedzenia. I to potajemnie.

- Nie ośmielaj się mówić do mnie w taki sposób, Maggie.

- Kate patrzyła na Maggie ponuro. Kochała wszystkich

w rodzinie, każdego inaczej, lecz jeśli zdobyłaby się na uczciwość, musiałyby przyznać, że Maggie znajdowała się na końcu listy. Była samolubna, próżna i zarozumiała na punkcie swojej urody. Przypomniała sobie, że w dniu, w którym poznali Amerykanina w hotelu, Maggie mówiła wiele na jego temat i była nim bardzo zaintrygowana. Teraz wiedziała. Kate odwróciła się na pięcie i opuściła kuchnię, niezbyt delikatnie zamykając za sobą drzwi. Kiedy znalazła się w swoim pokoju, zdjęła kapelusz i cisnęła go na łóżko. Opadła na krzesło. Odchyliła głowę do tyłu i zasłoniła oczy rękami.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, wiedziała, że to matka.

Mary Ellen nie odezwała się od razu, lecz przysiadła na skraju łóżka i ujawszy kapelusz Kate, obracała go w rękach. - Przykro mi, dziecko, nie chcieliśmy cię urazić - powiedziała po chwili. - Charles Bentley przyjechał zapytać ojca, czy może zabrać Florrie na bal w Hexham. To jakiś bal dobroczynny. Ponieważ ojca nie było, bo pojechał gdzieś z Tomem, powiedziałam mu, żeby zapytał Johna. Florrie była wniebo-  
wzięta. Zdecydowanie wpadła mu w oko i będzie to szczęśliwie dobrana para. To bardzo miły człowiek.

- A kto mówi, że nie, mamo. Przejdźmy do rzeczy.

Mary Ellen nigdy nie miała powodu, by karcnąć córkę za ostry język. Kate zawsze była posłuszna, nawet jako dziecko. Lecz ostatnio, od historii z niedoszłym ślubem, zmieniła się nie do poznania. Dlatego też nie podniosła głosu i ciągnęła dalej: - Ano siedział gawędząc przy filiżance herbaty w salonie i w pewnym momencie powiedział, że miło byłoby, gdyby mógł namówić na bal swego przyjaciela Amerykanina. Ale znasz Maggie. Natychmiast zaczęła zadawać mnóstwo pytań. Na to on odrzekł, że ty mogłabyś powiedzieć o nim więcej, gdyż jesteście serdecznymi przyjaciółmi. Tak właśnie powiedział. Możesz sobie wyobrazić, jak zaskoczył nas wszystkich. - W duchu dodała: - To zbyt łagodnie powiedziane. Osłupienie byłoby lepszym określeniem. - Ciągnęła dalej: - Wydawał się przekonany, że wiedzieliśmy o tym, nikt więc nie odezwał się ani słowem i rozmowa toczyła się dalej, już na inny temat. A potem ty przyjechałaś. Jeśli zdobędziesz się na uczciwość, sama zobaczysz, że nie możesz nas obwiniać za to zaskoczenie.

- Nie winię was za nic, mamó. Ale wy także nie możecie mnie winić, że tak postępowałam. Wiem, jakie byłoby wasze zachowanie, gdybym przyprowadziła go do domu. Zaraz by się zaczęło: Jakiego są jego zamiary? Czy chce się z tobą ożenić? Wiem, wiem, jak by to było. Po pierwszej wizycie bałby się pokazać po raz drugi - powstrzymała się przed dodaniem - chyba że chciałby zobaczyć Maggie. - Maggie bez wątpienia użyłaby wszelkich sztuczek, aby go omotać. O, znała Maggie doskonale!

- Nie wydaje ci się, iż mógł uznać za dziwne, że nie zapraszasz go do domu?

- Nie, nie sędę. On nie jest zbyt towarzyski.

Mary Ellen szybko wstała z łóżka. - Z tego, co dowiedziałam się od pana Bentleya, bardzo dobrze czuje się w towarzystwie. Jeździ po wsiach i rozmawia ze wszystkimi zbierając informacje, a także zabawia ludzi w gospodach opowieściami o swoim kraju. Nie powiedziałabym, że stroni od towarzystwa. Nie tworzy tajemnicy wokół siebie. Może po prostu nigdy go nie zaprosiłaś.

- Masz rację, mamó. Może nigdy go nie zaprosiłam.

To, co powiedziała przed chwilą matka, wywołało lawinę pytań w myślach Kate. Prowadziły do jednego. Co właściwie o nim wiedziała? Nigdy nie wspomniał jej o swojej rodzinie. Jedyne raz, kiedy spróbowała poruszyć ten temat, szybko zakończył rozmowę. Potrafił bardzo umiejętnie zmieniać temat, odpowiadając na zadane pytanie innym pytaniem. I czyż nie powiedział, że jego pozostanie tutaj lub wyjazd zależą w wielkiej mierze od niej? Jakaż to przyjaźń może być dostatecznie silna, żeby zatrzymać człowieka lub wysłać go tam, skąd przybył? Nie wiedziała ani też nie miała najmniejszego pomysłu, jak rzucić trochę światła na tę sprawę.

- Ojciec nie omieszka wyrazić opinii na temat twojego zachowania, chyba się domyślasz - powiedziała matka.

- Bez wątpienia.

Mary Ellen westchnęła ciężko i wyszła prędko z pokoju. „Bez wątpienia”, powiedziała Kate, „bez wątpienia”. I to takim tonem. Kate zmieniała się nie do poznania.

Przy wieczornym posiłku Kate widziała, że ojciec jest już o wszystkim poinformowany. Rozmawiano jednak na inny temat, gdyż ojciec skupił się na suszy i na przepowiadaniu

znacznego wzrostu cen, jaki pociągnie za sobą brak opadów. Hal patrzył na synów i mówił: - Opłaca się trzymać jęczmień, bo od ceny, jaką otrzymamy za niego później, włosy wprost jeżą się na głowie. Już teraz kosztuje szesnaście szylingów, ale gotów jestem pójść o zakład, że bliżej końca roku podrożeje do osiemnastu, a nawet dwudziestu. Tak, będziemy trzymać każde ziarenko. - Powiódł wzrokiem po wszystkich, krzywiąc twarz w uśmiechu, i dodał: - A kiedy rzeczywiście będzie cienko, będziecie musieli zacisnąć pasa, przynajmniej o dwie dziurki, bo wtedy ograniczę także wasze porcje.

Wszyscy się roześmiali lub chociaż uśmiechnęli. Tylko Maggie cały czas siedziała naburmuszona. Już mieli wstawać od stołu, gdy Hal spojrzął na Florrie. - Czy dobrze usłyszałem, ktoś zgodził się, żebyś się wałęsała bez mojej wiedzy? - zagadnął rubasznie. - Zaczyna się chodzić na jakieś bale, tak? No, będziemy musieli to stłumić w zarodku.

Florrie pospieszyła z posłuszną odpowiedzią: - Tak, tato, myślę, że tak będzie najlepiej. Ale zanim to zrobicie, chciałybym dostać odpowiednią suknię na bal.

Znowu rozległ się śmiech i bliźniacy odezwali się jednocześnie: - Trzymaj tak dalej, Florrie. O to właśnie chodzi, wyciągnij wreszcie coś od niego. My nie możemy!

Hal wstał od stołu i pokręcił głową. - Mój Boże! Wyciągnij coś od niego. Oto, co otrzymuję w podzięcie za wychowanie dzieci. Dobrze, wy dwaj, niech najpierw wyciągnę coś od was. Mamy tu jałówkę, od której trzeba coś wyciągnąć dzisiejszej nocy, i jeśli się tym nie zajmiemy, ona nie dożyje, żeby stać się krową.

Wszyscy opuścili jadalnię. Pozostały tylko Kate i Florrie, bo dziś była ich kolej na zmywanie naczyń. Lecz nieobecność Hala trwała jedynie chwilę. Zaraz wrócił i bez słowa ujął Kate za ramię. Powiódł ją przez korytarz do swojego gabinetu, i tam posadził na krześle. - No, dalejże, otwórz serce przed starym człowiekiem - powiedział, pochylając się nad nią.

Przyglądała mu się, jak przysiadła na blacie biurka. - Nie ma nic do opowiadania. Wszystko już usłyszałaś - odparła.

- Powiedziano mi, że odwiedzałaś potajemnie tego faceta z Ameryki i chciałybym wiedzieć, dlaczego nic nie mówiłaś o tych spotkaniach.

- Powiedziałam już mamie dlaczego, a ona pewnie ci już to wyjaśniła. Odpowiedź jest oczywista: zrobiłam to, żeby uchronić się przed tym, co właśnie się dzieje. Pytania. Pytania. A potem domysły: Czy jest w tym coś więcej? Jakie są jego zamiary? Pytam cię, bo go widziałeś, co może mężczyzna z taką prezencją chcieć ode mnie prócz przyjaźni i towarzysztwa do rozmowy o przeczytanych książkach?

- Co może chcieć? Ano, może chcieć ożenić się z tobą.

- Och, tato!

Wyciągnął ręce i niezbyt delikatnie popchnął ją z powrotem na krzesło, z którego zamierzała właśnie się podnieść. - Posiedź jeszcze chwilkę. Jak ci już wcześniej mówiłem, masz błędne wyobrażenie o sobie i oczywiście cały czas rozumiesz jak kobieta, nie możesz przecież inaczej. Pamiętam, że powiedziałem ci to parę miesięcy temu. Mężczyzna nie zawsze szuka kobiety, która wygląda tak jak Maggie czy Florrie. Pociągają go też inne rzeczy, tak jak mnie w twojej matce pociąga trochę ognia w działaniu, że jest partnerką, kompanem, umie ostro się ze mną rozprawić i nie rozpieszcza mnie. To pozostawiamy szlachcie i tak zwanym damom z ich utytułowanymi kochankami. To, czego szuka uczciwy mężczyzna, nie da się przełożyć na słowa. Umie jednak rozpoznać, czy kobieta to ma, po jej zachowaniu, po oczach, po mowie. Zwłaszcza po mowie. Tak jak ja poznałem to w twojej matce. To jest coś, co nie należy do ciała. Nie umiem tego wyrazić. Przestałem czytać książki już wiele lat temu, jedyne, co czytam teraz, to porady dla hodowców bydła w gazetach i nagłówki. Ale tutaj - uderzył się w pierś - mam wiedzę, której żadne słowa nie potrafią wyrazić. Czasem przyrównywałem ją do tego, co czują zwierzęta. One idą głównie za węchem. Coś podobnego dzieje się z ludźmi, zawsze wyczuwamy po zapachu, że się różnimy. Nie wykrzywiam twarzy w ten sposób - uśmiechnął się do niej - mówię prawdę. Czasami myślę, że człowieka, który nie potrafi nazwać tego, co czuje, przyciąga coś, co kobieta wydziela w swoim pocie. - No, ale - zrobił śmieszny minę - przecież kobiety się nie poca, prawda? Co najwyżej jest im gorąco.

- Och, tato. - Kate przymknęła oczy i pochyliła głowę, a potem uśmiechnęła się i powiedziała łagodnie: - Bardzo

możliwe, że masz rację. Ale... ale w tym wypadku twój instykt nie znajduje zastosowania. I mogę śmiało powiedzieć, że w równym stopniu przychodzi mu na myśl poślubić mnie, co jedną z Indianek zwanych *squaw*, o których opowiadał mi, mówiąc o swoim kraju.

Hal zsunął się z blatu biurka. - Zrób dla mnie jedną rzecz, dobrze, dziecko? - odezwał się.

- Jeśli będę w stanie, tato.

- Zaproś go na obiad. Z tego, co słyszałem, nie gardzi jedzeniem w karczmie, a my przecie mamy nie gorszą kuchnię, prawda?

Nie mogła się przyznać, że już go zapraszała, a on odmówił, bo to z pewnością wywołałoby lawinę pytań. - Dobrze, zaproszę go - przystała.

Hal objął ją ramieniem i podniósł z krzesła, mówiąc łagodnie: - Wiesz, co do ciebie czuję, Kate, prawda?

- Tak, wiem, tato, i czuję do ciebie to samo - odpowiedziała równie miękko.

- Chcę ci coś powiedzieć, choć nie powinienem. Jestem ojcem jeszcze dwóch kobiet, i to, czy będą one szczęśliwe, czy też nie, wydaje mi się obojętne. Boże, przebac mi, nie powinienem tak mówić. Ale twoja przyszłość nie jest mi obojętne. No, no. Nie mówię tego po to, żebyś płakała. Chodź, wytrzymaj oczy. - Wyjął z kieszeni chusteczkę i niezgrabnie wycierał jej twarz. - Gdy matka zobaczy, że płaczesz, pomyśli, że ci zrobiłem awanturę i z kolei ona zrobi mi awanturę, a miałem naprawdę męczący dzień, a jeszcze cięższa czeka mnie noc, jeśli ta głupia jałówka nie da się zapłodnić. No już, już.

- Do obory, panie Roystan - uśmiechnęła się.

- Tak jest, proszę pani - odpowiedział równie żartobliwie.

- Rzeczywiście, proszę pani, tam powinienem się teraz znajdować. Już wychodzę. Natychmiast idę, proszę pani, tam właśnie jest moje miejsce. - Popchnął ją dla żartu i wyszedł z pokoju.

Zagryzła mocno wargi, żeby powstrzymać łzy, które znowu napływały jej do oczu. Wytarła nos i stała przez chwilę z zamkniętymi oczami. Próbowała odzyskać równowagę przed pójściem do kuchni i wieczorną pracą. Musiała zmyć naczynia

i nakryć stół na jutrzejszy ranek. Przede wszystkim jednak zależało jej na zebraniu sił, by odeprzeć lawinę pytających spojrzeń.

---

## 6

---

Przez następny tydzień Kate wyczuwała, że domownicy czekają, by wybrała się z wizytą do przyjaciela, na przekór więc nie pojechała. Tego ranka, kiedy mogłaby się wybrać do Bena zaproponowała, że pojedzie z matką i Florrie do Hexham, by pomóc siostrze wybrać odpowiednią suknię na bal. Na wiadomy temat nikt nie odezwał się słowem.

Nadszedł poniedziałek kolejnego tygodnia. Przed bramą farmy pojawił się wóz pocztowy i woźnica wręczył Halowi list. Hal przyniósł go do domu. - Mam tutaj list i nie uwierzycie, ze stempla pocztowego wynika, że był nadany w Newcastle w czwartek po południu, czyli upłynęło prawie pięć dni - wykrzyknął. - Oto, co jest warta ta nowa poczta za pensa. Kilka lat temu list ten byłby w Hexham następnego dnia rano i mogłes go sobie odebrać z urzędu. Ale teraz, czy wręczą komuś jego własność w urzędzie? Skąd, list musi dotrzeć pod adres napisany na kopercie... To dla ciebie, Kate.

Właśnie wychodziła z kuchni do sieni, gdy zatrzymała się w pół drogi. - Do mnie? - spytała zdziwiona. Podeszła do Hala, wzięła list i rzuciła nań obojętne spojrzenie.

Podziękowała, odwróciła się i wyszła. Miała iść do jadalni, by wytrzeć kurze, bo w poniedziałki na nią przypadała kolej, by zajmować się domem. Annie, Maggie i Florrie zajęte były dziś praniem, a matka gotowała.

Nie otrzymywała dotąd listów. Nie napisał go Harry Baker, gdyż nie za bardzo umiał pisać. Poza tym, ktokolwiek napisał adres na kopercie, było widać, że uczył się kaligrafii. Ścisnęła kopertę mocno oburącz, zanim ją otworzyła. Wyprostowała jedyny znajdujący się w niej arkusik papieru i przeczytała jedyną skreśloną na niej linijkę, jedno proste zdanie:

*Tęsknię za tobą,  
Ben.*

Zmieszana objęła dłonią szyję. Usiłowała zrozumieć, jak mężczyzna może się tak zachować wyłącznie w imię przyjaźni.

„Tęsknię za tobą, Ben.” Oczywiście, może tak powiedziec przyjaciel, lecz... lecz czy napisać? Co ma zrobić? Ojciec powiedział, że list nadano w czwartek. Czy poprosić matkę o wolne popołudnie i pogalopować do jego chaty? Co on wtedy pomyśli?

A co pomyślał, gdy nie pokazała się w zeszłym tygodniu, choć nie opuściła ani jednej wizyty przez ostatnie miesiące? Nie pojedzie dzisiaj... nie dzisiaj. Nie zadziera się spódnicy i nie leci do przyjaciela jak do jakiego kochanka. Pojedzie jutro.

Nie podzieliła się z domownikami wiadomością, na którą czekali wszyscy, i kiedy nadeszła pora wieczornego posiłku, w całym domu czuć było atmosferę skrępowania.

\*

Późno wieczorem, już w łóżku, leżąc w ramionach Hala, Mary Ellen powiedziała:

- Niepokoję się o nią. Ten list mógł przyjść tylko od niego. Dlaczego zrobiła się taka tajemnicza? Nigdy taka nie była.

- Pewnie dlatego, że jesteśmy wścibscy. To częściowo moja wina, bo tak mocno chciałem zabezpieczyć jej przyszłość, że złapałem pierwszego człowieka, który okazał jej zainteresowanie, i ona się boi, że to się może powtórzyć. Wiesz, co dzisiaj powiedziała Annie? Jeśli będziecie wywierać na nią taki nacisk, to ucieknie stąd przy pierwszej sposobności, tak jak ja zrobiłam, żeby tylko wynieść się jak najdalej od ojca.

- Och, to niesmaczne porównywać ciebie czy kogokolwiek z naszej rodziny do takiego człowieka!

- Do pewnego stopnia ma rację. Musimy jej trochę popuścić i traktować ją jak dorosłą, mądrą kobietę, którą jest, a nie jak głupią dziewczyną, która nie wie, co robi.

- Nie bardzo wiedziała, co robi, godząc się na małżeństwo z Harrym Bakerem, który okazał się draniem.

- Oho, bardzo dobrze wiedziała! Chciała mieć własną rodzinę, mówiłem ci to już wcześniej i była gotowa wówczas łapać pierwsze lepsze portki, byle tylko osiągnąć swój cel.

- Och, ty - szturchnęła go żartobliwie - pierwsze lepsze portki!

Przyciągnął ją bliżej siebie i pocałował. Za chwilę oboje zapomnieli o córce urodzonej, zanim się pobrali, którą - czego do tej pory Mary Ellen nie mogła pojąć - kochał bardziej niż dzieci poczęte z własnych łądzwi.

\*

Następnego popołudnia nie świeciło słońce, niebo było zaciągnięte niskimi chmurami. Wszyscy na farmie i w sąsiedztwie powtarzali: - Znosi się na deszcz i chwała za to Bogu.

Kate nie wiedziała, jak wytłumaczyć się przed Benem z zeszytygodniowej nieobecności. Mogła, rzecz jasna, powiedzieć, że nie czuła się najlepiej, ale byłoby to kuszeniem licha, ponieważ kiedy inni ludzie cierpieli z powodu katarów i przeziębień, angin i rozmaitych bólów, ona nigdy nie doświadczyła niczego podobnego. Była okazem zdrowia. Cierpiała wprawdzie od bólu, dziwnego bólu umiejscowionego pod żebrami, od kiedy po raz pierwszy ujrzała się w lustrze. Z biegiem lat ten ból się nasilał.

Około pół mili od rozwidlenia ścieżek, z których jedna prowadziła do jego chaty, ujrzała Bena jadącego konno drogą prowadzącą do rzeki. Na jej widok ściągnął konia i pogonił go do galopu. Kiedy zatrzymał się blisko niej, zawołał: - Witaj!

- Witaj.

- Wygląda, jakby miało zacząć padać - podniósł głowę i spojrzał na niebo.

- Tak, ten deszcz przywitamy z prawdziwą radością.

Zawrócił konia i ruszyli z miejsca prowadząc konie obok.

- Dostałaś mój list?

- Tak, dostałam.

- Kiedy?

- Wczoraj.

- Nie wcześniej?

- Nie. Nawet mój ojciec skomentował, że doręczanie listów pocztą jest dużo gorsze, niż kiedy samemu odbierało się je na poczcie.

- Dlaczego nie przyjechałaś w zeszłym tygodniu?  
- Ja... - zamrugała powiekami - nie miałam czasu.  
- Czy to prawda?  
- Nie.  
- To co się stało?  
- Przepraszam, ale nie mogę wyjaśnić - westchnęła.  
- A ja mogę. Charles mi mówił, że czuł się, jakby rzucił  
laskę z dynamitem, kiedy wspomniał o nas jako o przyjaciółkach.

Jechali teraz powoli, a kiedy mieli już skręcać w ścieżkę wiodącą do chaty, wyciągnął rękę i złapał wodze jej konia.  
- Pamiętasz, w czasie naszego ostatniego spotkania powiedziałem, że mój wyjazd zależy w niemałej części od ciebie i że za dwa, trzy tygodnie będę w stanie powiedzieć ci dlaczego? Ponieważ twoja rodzina wie już o naszej znajomości, mogę wcześniej podjąć decyzję. Czy pojedziesz ze mną?

- Dokąd?

- Do pewnego domu, który chciałbym ci pokazać.

Kiwnęła głową na znak zgody, zadając sobie w duchu pytanie, jakież to dom stojący w pobliżu miałby być przedmiotem jej zainteresowania. Było tu kilka niezłych farm, ale on wspomniał o budynku, o domu. Ogarnęło ją niewytłumaczalne, niepokojące przeczucie, które rosło w miarę jak jechali dalej, a on się nie odzywał. Nie zaskoczył jej więc fakt, kiedy po przejechaniu jeszcze półtorej mili przekroczyli rzekę i wjechali w zrujnowane mury farmy Rooklands.

Wiedziała wszystko o tej farmie. Opowieści o tym, co się tu zdarzyło, towarzyszyły dzieciństwu jej i rodzeństwa niczym bajki o smokach.

Zatrzymali się przy wejściu, które niegdyś było bramą.

- Dom jest nie zamieszkały - powiedział.

- Tak, wiem - odparła. - Wynajmowało go wielu, lecz nikt nie został tu długo. Byłeś w środku?

- Tak. Chodź.

Zawahała się, więc powtórzył: - Chodź.

- Wolałabym nie.

- Proszę. - W jego oczach pojawił się błagalny wyraz.

Powoli podążyła za nim przez bramę na podwórze. Niegdyś dobrze utrzymane kamienne płyty porosła trawa, drzwi bok-

sów dla koni wisiały na urwanych zawiasach, górne okno było otwarte i powiewała w nim na zewnątrz stara firanka.

Pomógł Kate zsiąść z konia, a następnie powiedział: - Jedno okno od kuchni jest otwarte. Możemy wejść przez nie do środka - powiedział.

- Ale... ale...

- Proszę, zrób to dla mnie.

O Boże! Wiedziała już, po co ją tu przyprowadził. Chciał zasięgnąć jej opinii o tym domu, zanim zdecyduje się na jego kupno. Skoro tak, trzeba by było się pożegnać z tą przyjaźnią, bowiem ojciec przez lata całe był nieprzejednany i nie chciał mieć do czynienia z kimkolwiek, kto był ewentualnym kupcem farmy Bannamana. Sam dźwięk nazwy tego miejsca wyprowadzał go z równowagi i przyprawiał o lęk. Lata nie zdołały zatrzeć tego, co ojciec Hala i on sam wycierpieli od Bannamanów.

Ben pociągnął ją w stronę domu, pomógł przejść przez parapet i dostać się do pomieszczenia, które musiało być kiedyś dużą spiżarnią. Trzymając ją ciągle za rękę, prowadził korytarzykiem, gdzie na ścianach wisiały resztki poobrywanych tapet. Otworzył solidne dębowe drzwi i oboje znaleźli się w ogromnej sieni, dwa razy większej od sieni w jej domu. Stamtąd szerokie, wygodne dębowe schody wiodły na półpiętro.

- To musiał być salon - powiedział.

Stali teraz w pokoju - gdzie jak wiedziała z opowieści, Bannaman stanął twarzą w twarz z konstablami, jej ojcem i ojczymem. To zastanawiające, że miała ojca, który być może ciągle jeszcze żyje. Wiele lat temu przestała zadawać pytania na jego temat, bo zauważyła, że zadaje tym jedynie ból matce i sprawia przykrość człowiekowi, którego uważała za ojca.

- Popatrz na ten sufit, czyż nie jest piękny?

W istocie, sufit był piękny. Środek pokrywało kunsztowne malowidło wyobrażające gwiazdę z wiązkami światła biegnącymi do rogów pokoju, gdzie także znajdowały się malowidła.

- To nie zawsze była farma. W swoim czasie musiała to być szlachecka siedziba.

- Tak - potaknęła. - Kiedyś był to rodzaj dworu.

- Obejrzyj jadalnię. - Przywołał ją gestem ręki. Poszła za nim przez sień do jadalni, gdzie wskazał palcem podłogę. - Te deski muszą mieć po dwanaście, czternaście cali szerokości. W Ameryce jest trochę domów w kolonialnym stylu z taką podłogą. Spójrz, jakie piękne okna. Wysokie i szerokie. Niegdyś musiał się z nich roztaczać widok na piękny ogród.

W milczeniu powędrowała za nim do biblioteki, a potem do kilku innych mniejszych pokoi i na górę do sypialni. Nie pozwolił, żeby przeoczyła choćby najmniejszą szafkę. Wreszcie skończył oprowadzanie. Otworzył przed nią drzwi do kuchni.

- Czy to nie wstyd, że pozwolono, by taki dom popadł w ruinę? - zapytał.

- To nie jest dobry dom. - Odwróciła się i popatrzyła mu w twarz.

- Nie, dom nie może być zły, źli byli tylko ludzie, którzy niegdyś w nim mieszkali - zaprzeczył spokojnie.

- To właśnie miałam na myśli. Mieszkała tu rodzina, która była demonicznie zła. Widzisz... Wiem wszystko o tym domu. Człowiek, który był jego właścicielem, to morderca. Nie wiesz, że człowiek, którego nazywam ojcem, Hal Roystan, nie jest moim prawdziwym ojcem. Nazwisko mojego ojca brzmi Greenbank, a Hal Roystan jest moim ojczymem. Moja matka nie była mężatką, kiedy się urodziłam.

- Wiem o tym.

Szeroko otworzyła oczy: - Wiesz?

- Tak.

- Więc może wiesz i to, że człowiek nazwiskiem Bannaman, który był właścicielem tego domu, zabił mojego dziadka, ojca mojego prawdziwego ojca, i próbował uczynić to samo z nim. Ale to jeszcze nie wszystko. Zamordował także ojca mojego ojczyma, wówczas urzędnika w hucie, kiedy wracał z pieniędzmi na wypłaty dla robotników. Zabił go ten człowiek i jego służący, po czym potajemnie go pochowali. To też jeszcze nie wszystko. Miał on córkę, jeszcze bardziej nikczemną niż on sam. Któregoś dnia, trzymając na muszce mojego ojczyma, ona i jej brat zmusili go do wejścia do stodoły - pokazała ręką zabudowania gospodarcze widniejące za małym kuchennym okienkiem. - Związali go

w sposób, którego nie da się opisać. Ręce skrupowane na plecach przywiązali mu do kostek nóg, zakneblowali usta i przywiązali do belki na górze stodoły. Na dodatek przykryli go sianem. Jedyne, czego nie zrobili, to nie podłożyli ognia. Ale ta zła kobieta chciała, żeby ofiara umierała powoli. Upłynęły cztery dni, zanim mój ojczym cudem został odnaleziony przez psa. Myślę, że to była najgorsza kobieta pod słońcem.

Zobaczyła, że twarz Bena drży, a oczy ciemnieją. Nie było w nich gniewu, lecz ogromny smutek. W jego głosie brzmiała gorycz, gdy się odezwał: - Była najgorszą kobietą pod słońcem. Tak, była ucieleśnieniem zła.

Kate utkwiała w nim spojrzenie i powoli otworzyła usta w zdumieniu. Objawiła się jej dławiąca prawda. Kiedy Ben potwierdził ją wprost, poczuła, że za chwilę zemdleje.

- Wiem to na pewno - powiedział - bo była moją matką.

Kiedy gwałtownie odwróciła się od niego, zaczęła błagać: - Proszę, proszę. Nie odwracaj się ode mnie. Nie w taki sposób. Wysłuchaj mnie. Pozwól, że ci wyznam, po co tu przyjechałem. Chodź, siadaj, widzę, że ci słabo. - Rozejrzał się po kuchni i zobaczył krzesło koło wielkiego kominka. Podbiegł tam i położył na siedzeniu swoją chusteczkę. Stał obok czekając, aż Kate zdecyduje się podejść i usiąść. Stała jednak nieporuszona tam, gdzie ją pozostawił. Podeszedł do niej i znów ją prosić: - Kate, wysłuchaj mnie. Tak wiele musimy sobie powiedzieć.

Zignorowała jego wyciągniętą rękę, lecz podeszła do krzesła i usiadła. Czekwała ze zwieszoną głową. Spod opuszczonych powiek obserwowała, jak chodzi przed nią tam i z powrotem. Wreszcie zatrzymał się. - Zacznę może od początku - powiedział.

- Kiedy matka z bratem i moją babką wypłynęli z kraju w 1822 roku, pojechali na zaproszenie kuzyna babki do Ameryki. Wyprawa ta zaplanowana była wcześniej, lecz płynąc do Ameryki moja matka i wuj uciekli przed wyrokiem, jaki im groził za próbę zabójstwa twojego ojczyma. Na statku zaprzyjaźnili się z pewnym dżentelmenem, Rogerem Fraserem Hamiltonem. Zakochał się w mojej matce. Uczucie to musiało być bardzo namiętne, wkrótce bowiem po przybiciu statku do

brzegu pobrali się. W wyznaczonym ściśle czasie pojawiłem się na świecie jako owoc ich związku. Namiętne uczucie, jak sobie mogę wyobrazić, żywił tylko ojciec, bo matka nie miała w sobie ani krzty miłości, którą mogłaby komukolwiek ofiarować. Zzerała ją nienawiść. Powiedziałem, że nie miała w sobie miłości. Myślę, że jeśli ją miała, ofiarowała ją w całości człowiekowi, po którym odziedziczyła tkwiące w niej zło, swojemu ojcu. Mimo że wiedziano, iż nieraz ją chłostał za jej zuchwałe - rzekłbym nawet niemoralne - przygody.

Nie upłynęło wiele czasu, nim mój ojciec odkrył, że ożenił się z bardzo dziwną osobą, z kobietą, która nie troszczy się o swoje dziecko. Gdyby nie babka, sądzę, że skończyłoby się to dla mnie o wiele gorzej niż się skończyło. Niemniej jednak poddawany byłem bezlitosnemu biciu. Mój ojciec zajmował się interesami, które zmuszały go do częstych podróży. Pracował w firmie swojego ojca, byli konstruktorami powozów na wielką skalę. Kiedy przebywał w domu, moje życie stawało się łatwiejsze, lecz kiedy wyjeżdżał, ani moja babka, ani wuj nie mogli uchronić mnie od kar cielesnych.

Wydaje mi się, że w drugim roku małżeństwa rodzice przestali żyć jak mąż z żoną. Poza tym wiadomo było, że matka zwracała uwagę na innych mężczyzn. Czasami zachowywała się jak szalona. Myślę, że była chora umysłowo, całe życie. Mimo to zarówno babka, jak i wuj obawiali się jej, bowiem jak wielu umysłowo chorych ludzi, była sprytna i podstępna.

Kiedy mój ojciec próbował zamknąć ją w zakładzie, rozmawiała z lekarzami tak rozsądnie, że nie mogli pogodzić się co do opinii o stanie jej umysłu.

Ojciec pragnął wysłać mnie gdzieś daleko do szkoły, lecz ona była temu przeciwna. Byłem jej chłopcem do bicia. Jedną z najłagodniejszych kar było zamknięcie mnie w szafie na całą dobę. Ojciec umarł, kiedy miałem dwanaście lat. Dzień po jego pogrzebie matka wydała przyjęcie dla ludzi z najbiedniejszej dzielnicy miasta. Co wydarzyło się pod koniec tego przyjęcia, do dziś pozostaje zagadką. Wiadomo, że pojawił się na scenie mój dziadek Hamilton, a także wuj Benjamin, który wówczas prowadził samodzielne życie z dala

od siostry. Kiedy próbowali przepędzić motłoch, wybuchła ogólna bijatyka, w trakcie której ktoś matkę uderzył po- grzebaczem. Szeptano, że uczynił to mój dziadek, to znów, że to jej brat, mój wuj. Oczywiście winą obciążono jednego z gości, który przepadł bez śladu w jednej z podmiejskich nor. Jaka była prawda, nie wiadomo, pewne było tylko to, że nie żyła.

Był to najszcześniejszy dzień w moim życiu, kiedy szedłem w kondukcje pogrzebowym. Po jej śmierci życie stało się tak piękne, że wydawało mi się, że ja także umrę, zanim zdołam się nim nacieszyć. Moja babka Bannaman była bardzo szlachetną kobietą i w miarę starzenia, się coraz więcej opowiadała mi o swej ojczyźnie, o szczęśliwym dzieciństwie i o czasach przed małżeństwem z Bannamanem.

Przerwał opowieść i dłońmi zakrył oczy. Po twarzy spływały mu strużki potu. Chciała wyciągnąć do niego rękę i przyciągnąć go, by usiadł obok, lecz znowu zaczął przechadzać się tam i z powrotem.

- Zapomniałem dodać, że kuzynce babki nie przypadło do gustu towarzystwo krewnych z Anglii. Nawet gdyby moja matka nie wyszła szybko za mąż, przestałaby utrzymywać z nimi stosunki. Umarła, kiedy byłem jeszcze chłopcem. - Ben przerwał swoją wędrówkę i popatrzył na Kate. - W miarę upływu czasu, gdy słuchałem opowieści babki, odgadłem, że jest coś, co zataiła, coś, co chciałyby mi wyznać, lecz się boi. Kiedy miałem siedemnaście lat, dziadek Hamilton zatrudnił mnie u siebie, lecz podupadł na zdrowiu i trzy lata później sprzedał firmę. Nie cieszył się długo wypoczynkiem, umarł bowiem rok potem. Przez wiele lat był wdowcem i ponieważ nie miał innych spadkobierców, cały swój majątek zostawił mnie.

Kate otworzyła usta ze zdumienia. Powiedziała, że odziedziczył majątek, a mieszkał w jednoizbowej chatce przez całą zimę. Co z nim jest nie w porządku?

- Wyglądasz na zaskoczoną i wiem, co myślisz. Dlaczego nie mieszkam wygodniej? Powiem ci. W zeszłym roku babka zachorowała i obawiając się rychłej śmierci opowiedziała mi o przestępczym życiu swego męża. Przez wiele lat niczego nie podejrzewała, dopóki nie przyszli do domu konstable.

Matka najwidoczniej coś wiedziała już wcześniej. Pod spiżarnią znajdował się magazyn. - Odwrócił się i ruchem głowy wskazał przeciwną ścianę kuchni. - Byłem tam. Matka musiała go kiedyś odkryć. W każdym razie wiedziała coś, czego nie wiedziała babka. Babka nie wiedziała także, aż do pewnego dnia już w Ameryce, kiedy dowiedziała się przypadkiem od syna, który popadł w nałóg pijaństwa, a tego dnia wypił szczególnie dużo, że zostawili w stodole tak związanego mężczyznę, iż wykluczone było, by ktoś go znalazł jeszcze żywego. Ojca tego mężczyzny zabił prawdopodobnie mój dziadek.

Złapał się dłońmi za szyję, jakby próbując uwolnić się od ciężaru, i zakończył: - Wiesz o tym wszystko. A teraz wiesz także o mnie. Kiedy babka szczęśliwie wyzdrowiała, przyjechałem tutaj, ponieważ ta historia mnie prześladowała. Nie uwierzyłbym, że to wszystko się zdarzyło, gdybym nie pamiętał, jaka była moja matka. Tak czy inaczej, coś mnie ciągnęło do tego miejsca.

Najpierw zatrzymałem się w gospodzie w Allendale i stamtąd jeździłem konno na wycieczki. Pewnego dnia zobaczyłem tę małą chatkę. Obok niej spostrzegłem jeźdźca. Okazało się, że to Charles. Powiedział, że kiedyś była to chata owczarza i że tak się składa, że stoi ona na jego ziemi. Przeprosiłem go, że wtargnąłem na jego teren. Był bardzo uprzejmy. Wróciliśmy razem i wstąpiliśmy do gospody, a w czasie rozmowy wpadłem na pomysł, by zamieszkać w tej chacie, doświadczyć najskromniejszego życia, a także by wyjaśnić powód mojej tu obecności. Powiedziałem, że jestem kimś w rodzaju pisarza, a raczej dziennikarza, który pragnie opisać dzieje i obyczaje tych stron, ponieważ część moich przodków stąd się wywodzi. Podałem nazwisko Hamilton. Nie znał nikogo o tym nazwisku.

I oto cała historia, Kate. Teraz wiesz już, po co tu jestem, wiesz także, kim jestem. Nie wiesz jeszcze dwóch rzeczy. Pierwsza to ta, że jestem właścicielem tego domu i ziemi. Kupiłem go w zeszłym tygodniu. Nie było potrzeby, żebyśmy wchodzili tutaj przez okno, bo mam klucz od drzwi frontowych. A druga rzecz, której nie wiesz, Kate, chociaż może wiesz. Mam nadzieję, że tak - podszedł do niej powoli

i przysiadł na brzeżku ławy. Ujął w swe dłonie jej bezwładną rękę i wyznał: - Kocham cię, Kate.

Świat cały zawirował wokół niej. Zdawało się, że za małym okienkiem ziemia drgnęła w posadach i wszystko się kręci. Coś stało się z jej głową, jakby za chwilę miała zemdleć. Nie, nie zemdleć. Nie zdarzyło jej się to jeszcze nigdy w życiu i miała niewysokie mniemanie o kobietach, które mdlały, by osiągnąć swoje zamierzenia. Lecz serce przestawało bić w jej piersi. Nie, znowu była w błędzie - waliło, jakby chciało się stamtąd wyrwać.

- Kate, Kate. Popatrz na mnie.

Nie zdawała sobie sprawy, że odwróciła głowę. Kiedy wreszcie spojrzała na niego, ku swemu zdziwieniu usłyszała swój głos, jakby dochodzący z zewnątrz:

- Nie mówisz poważnie. Jak możesz?

- Uważam, że jesteś najwspanialszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- Och - znowu odwróciła głowę - nie żartuj ze mnie.

Jego ręce spoczęły jej na ramionach i potrząsały nią mocno.

- Nigdy nie byłem poważniejszy, Kate. Nie zarzucaj mi żartów. Posłuchaj. Pokochałem cię od naszego pierwszego spotkania na wzgórzach, a może nawet wcześniej, kiedy przyglądaliśmy się sobie w hotelowej restauracji.

- Ben, proszę - powiedziała delikatnie. - Nie zmuszaj mnie, żebym ci to powiedziała.

- Co takiego?

- Trudno. Przyjrzyj mi się. Jestem za duża na kobietę, co może nie ma wielkiego znaczenia, lecz moja uroda jest także bardziej niż pospolita. Zachowałam w pamięci uwagę naszego wspólnego przyjaciela. Nie miał zamiaru mnie obrazić, niemniej to, co powiedział, brzmiało: Piwo może nie smakować, lecz mężczyzna i tak zamyka oczy, kiedy podnosi kufel do ust.

- Boże Wszechmogący! I ty przechowujesz we wspomnieniach takie rzeczy? Kate, nigdy nie popatrzyłaś na siebie bezstronnie. Masz ciało niczym Wenus, oczy, w jakie jeszcze nigdy nie spoglądałem i głos, który brzmi jak muzyka. I do tego wszystkiego jesteś mądra. A co więcej, jesteś dobra, emanujesz wprost dobrocią. Kate, dla mnie jesteś

cudowną istotą. Moja najdroższa, moja kochana. Proszę, tylko nie płacz.

Podniósł ją z krzesła i obejmując ramionami przytulił mocno. Kiedy oparła się na nim, od stóp do głowy przeniknął ją dreszcz. Po chwili podniósł jej twarz do góry i rzekł stanowczo: - Pobierzemy się, Kate, ty i ja, i oczyścimy ten dom ze wszystkich wspomnień przeszłości.

- Och, och! - Wyrwała się z jego objęć. - Ben, tylko nie to.

Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Miałaby zamieszkać w tym domu? Ona miałaby poślubić syna kobiety usiłującej niegdyś zabić jej ojczyma, a zarazem wnuka mężczyzny, który zamordował jej dwóch dziadków - rodzonego i przybranego? Przeszkody były tak poważne, że jęknęła głośno: - To niemożliwe. To nie ma prawa się stać.

- Musi. - Znowu trzymał ją za ramiona. - Ponieważ wiem już teraz, że nie zostawiłem wygod życia w moim domu w Ameryce, przyjaciół, których sobie pozyskałem i interesów, w które zamierzałem inwestować i nie przedsięwziąłem tej całej podróży tylko po to, żeby zobaczyć, skąd pochodzą moi okropni przodkowie. W tym było ukryte coś więcej i to coś więcej to ty. Co powstrzymało mnie przed małżeństwem przed dwoma laty? Miałem się oświadczyć córce naszych przyjaciół, gdy nieoczekiwanie dla siebie i innych wziętem nogi za pas i uciekłem. Pojechałem na polowanie. Bardzo zawiodłem tę dziewczynę. Ale nagle zdałem sobie sprawę, że nie powinienem prosić, by została moją żoną. Od chwili, kiedy ujrzałem cię na koniu, kiedy leżałem drzemiąc na ścieżce, wiedziałem już, jaki był powód tego wszystkiego: oto odnalazłem tę jedną jedyną. Nie kręć głową, Kate. Nie jestem głupim chłopcem przeżywającym cielecą miłość.

Nie był głupim chłopcem. Oświadczenie to przywołało sprawę wieku. Musiał być od niej młodszy, niewiele wprawdzie, chociaż wyglądał na starszego. Czy to jednak miało jakieś znaczenie? - Musisz być ode mnie młodszy. To kolejna przeszkoda.

- Tak, myślę, że jakieś półtora roku. Ale to już zupełnie bez znaczenia. Tu nie wiek gra rolę, lecz miłość. Jesteś dla mnie tą jedyną, Kate... wiem też, że i ja jestem dla ciebie, bo darzysz mnie uczuciem, prawda?

Zamknęła oczy i zasłoniła je dłońmi, a on znów objął ją ramionami. - Powiedz mi to. Pozwól mi to usłyszeć - prosił.

Jej duszy dodano skrzydeł, które zdawały się porywać masywne ciało do lotu. Po raz pierwszy w życiu poczuła się lekka, bo wiedziała już, że jej wygląd nie ma znaczenia, ponieważ ktoś ją pokochał. Nie znaczyło to, że nigdy nie zaznała miłości. Ale miłość, jaką знаła, była miłością rodzicielską, która utrzymywała człowieka mocno i bezpiecznie na ziemi. Ta miłość zaś miała wysokie loty, pozwoliła Kate poczuć się piękną wewnątrz, tworzyła jakąś moc, która wydawała się zdolna skruszyć wszelkie przeszkody i przywołała na usta słowa, których Kate nie spodziewała się nigdy wypowiedzieć: - Kocham cię, Ben. Tak, tak, kocham cię. Lecz nie mogę uwierzyć...

Przerwał składając na jej ustach pocałunek. Ogarnęło ją uczucie szczęścia. Wiedziała, że nigdy nie zazna większego.

Do rzeczywistości przywołały ją słowa: - Powiesz swojej rodzinie? Chciałbym zwłaszcza porozmawiać z twoim ojcem, nie tylko o nas, ale powiedzieć mu, co czujesz...

Jej ciałem targnął przejmujący ból, wciągnęła gwałtownie powietrze. Jej przerażenie było tak widoczne, że Ben zawołał: - Kate, Kate! Co ci jest? Czy źle się czujesz?

- Nie. - Delikatnie wysunęła się z jego objęć, powoli usiadła na krześle i spoglądając na niego, rzekła: - Ty... nie znasz... uczucia nienawiści i potępienia, jakie ojciec wciąż żywi do rodziny Bannamanów. Dźwięk samego nazwiska często wystarcza, żeby zgrzytał zębami.

- Ale ja nie jestem Bannamanem.

Oderwała od niego wzrok i przygryzła wargę. - Ale ona była twoją matką. To bez znaczenia, co do niej czujesz. Nie mogę wyobrazić sobie, że ojciec kiedykolwiek stanie po twojej stronie.

- Ale muszę próbować - klęknął przed nią. - Kate, muszę. Musimy. Może po prostu wyjedziemy razem. Zabiorę cię do domu.

- Nie! To niemożliwe. - Wyciągnęła ręce i dotknęła jego twarzy. - Bardzo chciałabym zobaczyć Amerykę, ale... nie mogę po prostu wyjechać i ich zostawić. Mój prawdziwy

ojciec wyjechał i zostawił matkę. Nie mogę tego powtórzyć. To byłoby zbyt okrutne.

- Druga strona medalu także będzie okrutna, Kate. Jeśli będą chcieli nas rozdzielić, cóż wtedy?

Tak, co wtedy? To było nie do pomyślenia. Nie może się to zdarzyć. Ale co można zrobić? Jedyнным rozwiązaniem, jakie widziała, było stopniowe wpływanie na ojca, aby pozbył się swoich uprzedzeń, choć sprawa była o tyle beznadziejna, że u ich źródeł leżała głęboka nienawiść. Matka powiedziała jej kiedyś, że ojciec miewał okresy, kiedy budził się w środku nocy jęcząc i próbując coś mówić. Przeżywał na nowo w sennym koszmarze dni, kiedy przywiązany do belki w stodole wiedział, że umrze w straszliwych męczarniach.

- Ja... pojedę z tobą do twoich rodziców i...

Niemal przewrócił się na plecy, tak szybko wstała z miejsca. Pomagając mu wstać, powiedziała: - Zostaw to na jakiś czas. Pozwól mi zobaczyć, co się da zrobić. Będę próbowała przygotować grunt. Ale, Ben - głos jej się załamał i dokończyła szeptem: - cokolwiek zrobię... pewna jestem, że będą kłopoty.

- Mogę znieść wszelkie kłopoty, obojętnie jakie, jeśli będę wiedział, że w końcu na dobre będziemy razem, tutaj czy za oceanem.

W milczeniu uściśnął jej rękę i wyszli z kuchni do sieni, gdzie Ben wyjął z kieszeni klucz i otworzył dębowe drzwi. Kiedy wyszli, zamknął je z powrotem. Odwiązał konie i zanim pomógł jej wsiąść, podszedł i wziął ją w ramiona. Kiedy rozejrzała się z niepokojem wokół, roześmiał się: Nikt tu nie przychodzi, przynajmniej ja nigdy tu nikogo nie widziałem. Lecz w tej chwili pragnąłbym, by był tu tłum gości, którzy mogliby rozpowiedzieć, co zobaczyli.

Kiedy zadrzała, żartobliwy ton ustąpił miejsca powadze. - Wszystko ułoży się pomyślnie. Zobaczysz - dodał.

Odpowiedź, którą miała na końcu języka, brzmiała: - Nic nie wiesz. Nie masz pojęcia o mocy uczuć, które trzeba pokonać, żeby wszystko skończyło się pomyślnie, jeżeli w ogóle można je będzie pokonać. Ale musiała walczyć.

Całowali się potem, raz po raz, że aż musiała wyrwać się z jego objęć. Pomógł jej wsiąść na konia, a kiedy pochyliła

się i dłonią dotknęła jego policzka, popatrzył na nią ze wzruszeniem - Moja Kate. Moja ukochana - wyszeptał.

Wyjechali z podwórza i niewiele mieli sobie więcej do powiedzenia. Kiedy dojechali do miejsca, gdzie mieli się rozstać, wymienili tylko porozumiewawcze spojrzenia.

- Przyjedziesz jutro? - zapytał.

- Jutro nie mogę, bo to moja kolej na prasowanie.

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się serdecznie: - Och, Kate, to twoja kolej na prasowanie. Jakież to urocze. Zatem kiedy? Pojutrze?

- Tak.

- Dobrze. Będę czekał tutaj o zwykłej porze. Przynieś mi wieści, że przełamałaś lody.

Nie odpowiedziała, ostro skręciła i odjechała nie oglądając się za siebie.

\*

Na podwórzu John pomógł jej zsiść z konia pytając: - Miła była przejażdżka? - zapytał.

- Tak, Johnie. Miałam niezwykle miłą przejażdżkę - odparła krótko.

- Cieszę się, Kate. Charles jest zdania, że to miły człowiek.

- Bo jest.

- Dlaczego więc nie przyprowadzisz go do domu?

- Przyprowadzę, już niedługo.

- Zrób to, Kate. Prawdopodobnie to poprawi atmosferę. Widzisz, poza tym coś jeszcze wpawiło ojca w zły humor. Wrócił z Newcastle roztrzęsiony.

Zostawiła Johna z zaskoczonym wyrazem twarzy i podążyła do kuchni, gdzie Maggie i Florrie rozmawiały z Gabrielem. Wszyscy troje odwrócili się i popatrzyli na nią tak, że aż zmuszona była zapytać: - Czy coś się stało?

- Nie wiemy - odpowiedział Gabriel. - Ale, jak wiesz, ojciec pojechał z samego rana do Newcastle, po poradę do adwokata w sprawie zakupu ziemi od Morgana. Powiedział, że jeśli coś go zatrzyma, przenocuje w Newcastle. Nie mógł zabawić tam dłużej niż parę godzin, bo już wrócił, i to z taką wściekłością na twarzy, jakby mu się coś przytrafiło.

Kate poczuła, że w gardle ją coś dławi. Może usłyszał coś o tożsamości Bena? Nie wiedział o tym nikt prócz niej. Ale

cóż mogło spowodować, że przyjechał tak szybko? Lubił jeździć do Newcastle, a kiedy nie złapał powrotnego dyliżansu, który zatrzymywał się w Haydon Bridge albo w Haltwhistle, gdzie można było wynająć konia, często zostawał w Newcastle na noc.

- Gdzie on jest? - zapytała słabym głosem.

- Zamknął się z mamą w swoim gabinecie. Siedzą tam już z pół godziny albo i dłużej. Coś się stało. - Maggie pokiwała głową. Popatrzyła na Kate, a jej spojrzenie mówiło: Ledwie przycichła twoja sprawa, a tu znów przytrafiło mu się coś nieprzyjemnego.

- Napijesz się kawy? - Florrie sięgnęła po duży brązowy dzbanek. - Tak. Zejdę po nią. Na razie muszę się przebrać - odparła Kate.

Wyszła pospiesznie z kuchni. Gdy przemierzała sień, kierując się ku schodom, w korytarzu po prawej stronie otworzyły się drzwi i ukazała się w nich matka. - Możesz wejść tu na chwilę, Kate? - odezwała się cichym głosem.

Dobry Boże! Dowiedzieli się. W jakiś sposób się dowiedzieli. I co teraz? Musi zająć jakieś stanowisko. Albo oni, albo Ben. Wybierze Bena. Nie może utracić tak cennego daru zesłanego prosto z niebios.

Weszła do gabinetu i z zaskoczeniem stwierdziła, że ojciec nie ma ponurego wyrazu twarzy ani też nie jest w złym humorze. Ton jego głosu też zbił ją z tropu.

- Dzień dobry, dziecko. Chodź tu i siadaj.

- Dzień dobry, ojczu.

Kiedy matka usiadła blisko niej i wzięła ją za rękę, popatrzyła na nią zdziwiona. - Co się dzieje? Czy stało się coś złego? - spytała.

- Można tak powiedzieć. Pozwól, niech ojciec to wyjaśni.

Ojciec przygotowywał się do przemowy. Oparł łokcie na kolanach i skupił wzrok na dywanie. - Spóźniłem się trochę dzisiaj do miasta, bo przy wjeździe zdarzył się wypadek, który wstrzymał ruch - zaczął. - Wóz pocztowy leżał przewrócony w poprzek drogi. Jeden z koni padł. To nas trochę opóźniło. Chociaż wiecie, że było mi w to graj - zdobył się na cokolwiek wymuszony uśmiech. - Tylko czekam na wymówkę, żeby przedłużyć swój pobyt w Newcastle. Lubię trochę pochodzić

i się porozglądać. Jak zwykle, poszedłem do „Królewskiej Głowy” przy Pilgrim Street i zostawiłem tam bagaż. Adwokat mógł mnie przyjąć dopiero o wpół do drugiej. Rozzłościło mnie to trochę i zaszedłem do kawiarni „Eldon” przy Blackett Street. Nie podają tam wyłącznie kawy, można dostać kropelkę czegoś mocniejszego. Jako że to wtorek, udało mi się dostać „Tyne Mercury” i „Northumberland and Durham Gazette” prosto spod prasy - popatrzył na Mary Ellen, która przymknęła oczy. - Dobrze, już dobrze, wracam do sedna. Może i zmierzam okrężną drogą, ale już zaraz powiem, o co idzie.

Kate patrzyła to na jedno, to na drugie. Co tu się dzieje? Pewna już była, że nie miało to nic wspólnego z nią ani też z Benem, gdyż tak rozwlekły wstęp nie mieścił się w schematach zachowania ojca w takich wypadkach.

- W każdym razie siedziałem sobie i przeglądałem gazety, kiedy wpadł mi w oko pewien artykuł. Dotyczył otwarcia pewnej wystawy. Pewien człowiek - Kate zauważyła, że słowa z trudem przechodzą mu przez gardło - pewien człowiek rodem z tych stron zaprasza na wernisaż swych dzieł. - Zatrzymał się i wyprostował patrząc prosto na Kate, która domyśliła się, co nastąpi za chwilę.

- W obszernej wzmiance, w której wyrażano pochlebna opinię o pracach tego człowieka, pisano, że mieszkał przez więcej niż pół życia we Francji i niedawno miał udaną wystawę w Londynie. Obecnie jest w Newcastle i przygotowuje otwarcie wystawy najpóźniej w piątek. Cóż - westchnął ciężko - nie siedziałem w kawiarni, lecz poszedłem do Assembly Rooms, gdzie ma odbyć się wystawa. Na zewnątrz był spory ruch i kiedy przystanąłem, żeby się przyjrzeć, w drzwiach ukazali się kobieta i mężczyzna. Nie rozpoznałem kobiety, natomiast, wprawdzie z trudem, rozpoznałem mężczyznę. Ja widocznie nie postarzałem się tak bardzo, bo on mnie rozpoznał od razu... To był twój ojciec, Kate, i jego żona.

Rodzice patrzyli teraz na nią. Czuła, że twarz jej płonie. Nie miało sensu powtarzanie sobie, że te nowiny nie wywierają na niej żadnego wrażenia. Wiedziała, że ma innego ojca i często zastanawiała się, jaki on jest. Miłość, jaką okazywał jej Hal, sprawiała, że nie chciała poznać swojego prawdziwego

ojca. Jedyny raz rozmawiała z matką o swoim ojcu, kiedy miała kilkanaście lat. Powiedziała wtedy: - Jestem kiepska w rysowaniu i to zabawne, bo mówiłaś, że mój ojciec jest artystą. Czy jest dobrym artystą? - Odpowiedź matki brzmiała: - Tak, tak przynajmniej mówią. - Kate dopiero po dłuższej chwili zadała pytanie: - Czy kiedykolwiek mnie widział? - na co Mary Ellen odparła: - Kiedy byłaś malutkim dzieckiem. Temat zakończyło stwierdzenie Kate: - A więc nie poznałyby mnie, gdyby się przypadkowo ze mną spotkał.

W tej chwili Kate przypomniała sobie tamte słowa. Ten człowiek, który był artystą, który bez wątpienia kochał piękno, był rodzicem istoty dalekiej od piękna. Ale Ben powiedział... Ben. Dlaczego te dwie rzeczy przytrafiły się jej tego samego dnia? To zbyt wiele jak na jej wytrzymałość psychiczną.

Kiedy położyła głowę na oparciu krzesła, Mary Ellen pospieszyła z zapewnieniem: - Dobrze, kochanie, dobrze. Nie musisz go widzieć, jeśli nie chcesz.

- Pytał cię, czy może mnie zobaczyć? - Kate zwróciła się do ojca:

- Tak, pytał. A ja, jak to ja, powiedziałem mu, że zwlekał z tym trochę za długo. A on, jak to on, usprawiedliwiał się, że był w Anglii tylko dwa razy w ciągu minionych dwudziestu lat.

- Jak on wygląda? - spytała cicho.

Hal poprawił się na krześle. Co mógł jej powiedzieć o tym człowieku, dawnym swoim przyjacielu, który dał Kate życie, i za którym on sam wędrował przez całe lata nie tylko dlatego, że pragnął jego towarzystwa, lecz także dlatego, że był kimś, na kogo miło było patrzeć? Cieszący się powodzeniem artysta, którego spotkał przed Assembly Rooms, z pewnością nie był tamtym człowiekiem. Był otyły i niechlujny jak podstarzała baba, miał ogromny brzuch, tak że po raz pierwszy w życiu Hal czuł swoją przewagę. On nie miał ani odrobiny zbędnego tłuszczu na ciele, a na włosach ani jednego pasemka siwizny. Brzuch miał płaski jak w latach młodości, a twarz czerstwą, ogorzałą od wiatru i słońca. Nie miał worków pod oczami, i jedynie dwie głębokie bruzdy od nosa do ust świadczące o wieku. Często zastanawiał się, jak wypadłby w konfrontacji z pierwszą miłością Mary Ellen. Teraz już nie żywił żadnych

obaw. Bał się tylko o tę dziewczynę... o tę młodą kobietę siedzącą naprzeciwko, istotę, którą kochał niemal tak mocno jak jej matkę. Nie było rzeczy, której nie zrobiłby, żeby oszczędzić jej bólu. Zdawał sobie sprawę, że oboje będą zawiedzeni, gdy się zobaczą.

- Chcecie, żebym pojechała na tę wystawę? - zapytała cicho Kate. Patrzyła to na jedno, to na drugie z rodziców.

- Prosił, żebym cię przywiózł - odparł Hal. - Ale odmówiłem. Jeśli chce ciebie zobaczyć, musi przyjechać tutaj. Może i jestem zarozumiały, ale chcę, by widział, w jakich warunkach się wychowałaś, nie w chacie, w której pierwszy raz cię zobaczył, lecz w domu odpowiednim dla młodej damy. Bo jesteś młodą damą, Kate, nie zapominaj o tym nigdy.

- Och, tato - wstała odruchowo, objęła go ramionami i pocałowała. Zamrugał powiekami i otarł ręką usta, zanim wydobył z siebie głos: - Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? Że nie jestem twoim ojcem.

- Zawsze ty będziesz moim ojcem, nie chcę żadnego innego. Ja... ja nie chcę go widzieć.

- Teraz już musisz, dziecko. Zaprosiłem go i przyjedzie jutro. Wiem - pokiwał głową w stronę Mary Ellen - wiem, powinienem był najpierw zapytać moją żonę o zgodę. Bardzo chcę, żeby ją zobaczył jako panią pięknego domu, dobrze prosperującej farmy i jako matkę dużej rodziny. Chcę, żeby zobaczył, co stracił. - Zwrócił się do Mary Ellen, trzymając jej ręce w swoich: - Rozumiesz mnie, prawda?

Mary Ellen nic nie powiedziała, ledwie skinęła głową. Rozumiała i podzielała jego pogląd. Pragnęła także pokazać, jak daleko zaszli. Do jutra rozłoży na stole całą srebrną zastawę, w każdym wazonie będą stały kwiaty, a w salonie będą wisały świeże firanki. Choćby miała nie spać przez całą noc, do jutra wszystko będzie gotowe.

- Trzeba powiedzieć dzieciom, jak myślisz, Kate?

- Tak, mamó, oczywiście.

Mary Ellen była zaskoczona sposobem, w jaki Kate przyjęła wiadomość. Jakby nic ważnego nie miało jej spotkać, jakby dzień, w którym miała poznać ojca, był najzwyczajszym dniem w jej życiu. Nie mogła wiedzieć, że sprawiła to ulga, jaką odczuła Kate, gdyż teraz miała czas, by przemyśleć

i zaplanować wszystko, czas, żeby cieszyć się miłością, która pojawiła się w jej życiu, zanim pochodzenie Bena wyjdzie na jaw.

---

## 7

---

Wprawdzie nie było mowy o żonie towarzyszącej Roddy'emu, lecz rozumiało się samo przez się, że też przyjedzie. Opowiadając o niej później w sypialni, Hal określił ją jako dragona w spódnicy, który równie dobrze mógłby chodzić w spodniach. W lot odgadł, kto przewodzi w tym stadle. Na pytanie Mary Ellen odparł, że wygląda ona niemal tak jak kiedyś stara Kate Makepeace. Przyznał po chwili, że przesadził, lecz stanowczo obstawał, że wygląda wystarczająco staro, by uchodzić za matkę Roddy'ego. Gdy przebywał w ich towarzystwie, zachowywała się jakby nią była, przemawiając do Roddy'ego jak do dziecka, co w wyraźny sposób go krępowało. Kochanie to, słoneczko tamto... Gdy Mary Ellen spytała, czy wyglądał na szczęśliwego, Hal zamilkł na dłuższą chwilę. - Sama wywnioskujesz, kiedy go zobaczysz - odpowiedział.

Teraz zarówno dom, jak i wszyscy jego mieszkańcy gotowi byli na przyjęcie gościa. Mary Ellen całkiem wbrew sobie doświadczała niespokojnego trzepotania serca.

Hal wziął dwukółkę i wyjechał na stację w Hexham. Od tej pory minęły już z górą dwie godziny, spodziewała się więc gości lada chwila.

Dzień był wyjątkowo pogodny. W nocy popadało trochę, nie na tyle, żeby dobrze zwilżyć pola, lecz wystarczająco, by spłukać kurz i odświeżyć powietrze. Wysokie okna w salonie były otwarte, ukazując widok świeżo skoszonego trawnika, a białe koronkowe firanki leciutko powiewały na wietrze. W jadalni stół nakryto już do herbaty i Annie, szukając miejsca, gdzie mogłaby wcisnąć jeszcze ostatni talerz z ciastem, zauważyła uszczypliwie: - Myślałby kto, że sama królowa ma przyjechać z wizytą. Gdyby to ode mnie zależało, rozprawiłabym się z nim krótko i węzłowato. Pewnie, że tak!

Jesteś głupia, wiesz, Mary Ellen, jesteś głupia, kładąc tu to wszystko. Jeśli jest naprawdę taki światowy, jak ci się wydaje, i tak nie zrobi to na nim wrażenia. Na pewno jadał już z jaśniepaństwem. Na mój rozum to bezczelność pokazywać tu swoją twarz. - Podniosła głowę i popatrzyła na Mary Ellen, która stała wyglądając przez okno, za którym widać było podjazd wiodący do frontowych drzwi. Zmienionym tonem głosu dodała: - Jak się czujesz?

Mary Ellen odwróciła się do niej i skrzywiła się: - Czekam na to, co zdecyduje los.

- Hal się nie martwi?

- O mnie? - roześmiała się. - Nie, Hal ma mnie, kiedy tylko chce, miał od lat i dobrze o tym wie.

- Tak, dobrze się wam żyło w tym małżeństwie. Bywało ciężko, ale daliście sobie radę.

- A ty nam pomogłaś, Annie - rzekła Mary Ellen miękko. - Nie dałabym sobie przenigdy rady na początku, gdyby ciebie nie było. Chociaż Hal był dla mnie wszystkim, potrzebowałam kogoś jeszcze, matki, a ty byłaś lepszą matką niż większość, które znam.

Annie potrząsnęła głową, zacisnęła usta i wytarła nos w róg białego fartucha. - Akurat pora, żeby mi o tym mówić - burknęła. - Wiesz, jak leci mi z nosa, kiedy beczę. - Zamrugła oczami i zmarszczyła twarz patrząc na Mary Ellen. - Muszę się przypudrować - powiedziała cicho, odwróciła się i wypadła z jadalni. Mary Ellen uśmiechnęła się do siebie i wymruczała: - Oj, Annie, Annie.

To szczerza prawda - miała szczęście, że w pierwszych latach, kiedy zaczęła nowe życie, była przy niej Annie. Teraz dawne życie miało powrócić na chwilę w postaci oczekiwanego gościa. Nie obawiała się o siebie, lecz o Kate. Zdumiewało ją, że Kate przyjęła wiadomość o ojcu nie okazawszy większego wzruszenia. Jakby miała do czynienia z faktem, który zdarza się codziennie. Spokój Kate zbijał ją z tropu. Ostatnio jednak w ogóle zachowanie córki niepokoiło ją. Właśnie, gdzie jest Kate? Należało ją przyprowadzić. A może powinna zaczekać i najpierw sama porozmawiać z Roddym?

Kiedy usłyszała turkot kół na drodze, zakreśliła się szybko. Nie było już czasu, by szukać Kate. Pospieszenie wyszła

z pokoju, przebiegła się i stanęła w drzwiach frontowych, przyglądając się Halowi, który zatrzymał dwukólkę. Wysiadł z niej, a za nim mężczyzna. Nie towarzyszyła im kobieta.

Otwarła lekko usta ze zdziwienia, gdy mężczyzna powoli zbliżał się do niej. Hal przygotował ją wprawdzie, czego się spodziewać, niemniej oczami duszy ciągle widziała Roddy'ego Greenbanka jako tryskającego energią młodzieńca. Otyły mężczyzna, którego miała przed sobą, wcale nie przypominał Roddy'ego. Nie było w nim nic znajomego, nawet oczy się zmieniły. Wyglądał rzeczywiście jak ktoś, kto zszedł na psy.

- Witaj, Mary Ellen - głos także mu się zmienił. Dźwięczał w nim obcy akcent, jakby angielski nie był jego ojczystym językiem. - Dobry Boże, prawie się nie zmieniłaś. - Obrzucił ją od stóp do głów spojrzeniem pełnym uznania. W jego głosie słychać było zaskoczenie, a może nawet zazdrość, że czas obszedł się z nią tak łagodnie.

- Proszę do środka - rzekła. Wszedł za nią do sieni, gdzie natychmiast się zatrzymał i rozejrzał, a po chwili powiedział:

- No, no! - Idący za nim Hal spytał: - Co ma oznaczać to twoje: „no, no!” - zupełnie jakby się tego nie domyślał.

- No, to... no cóż, to bardzo ładne wnętrze. To miałem na myśli.

Miał wejść przez otwarte drzwi, które przytrzymała dla niego Mary Ellen, kiedy na górnym podeście schodów ukazały się dwie postacie. Przystanął ponownie i przyglądał się im, jak schodzą na dół. Hal podszedł ku nim i przedstawił: - To moje córki, Maggie i Florrie.

Dziewczęta chwilę stały patrząc na mężczyznę, który był prawdziwym ojcem Kate, po czym leciutko dygnęły i powitały gościa: - Dzień dobry panu.

- Dzień dobry, dzień dobry. No, no! Czyż nie jesteśmy uroczeci. - Zerknął na Hala i dodał: - Na pewno nie odziedziczyłyście urody po ojcu. - Powiedział to serdecznie i przyjaźnie.

Od drzwi dobiegł głos Mary Ellen: - Zanieś herbatę do jadalni, Maggie. - Dziewczęta zakręciły się i pobiegły do kuchni furkocząc swoimi najlepszymi sukienkami.

Stojąc w salonie, Roddy znów się dokładnie rozejrzał. - Piękny pokój, piękny. - W jego głosie zadźwięczała protek-

cyjonalna nuta. A kiedy dorzucił: - Jest prawie tak duży, jak salon w moim domu - Hal nie mógł już dłużej utrzymać języka za zębami i najbardziej grubiańsko, jak umiał, rzucił: - Siadajże, człowieku i zrzuć wreszcie tę maskę. Pamiętaj, że znamy się jak łyse konie. Jeśli chcesz na kimś zrobić wrażenie, z nami ci się to nie uda.

Twarz mężczyzny poczerwieniała. Jego zaokrąglone policzki wyduły się jeszcze bardziej, a w głosie zadźwięczała nuta szczerości. - Jedno jest pewne, że lata nie zdołały cię zmienić - odparował.

- Nigdy nie miałem ochoty się zmieniać. Wysłuchiwałem twoich przechwałek przez całą drogę od Hexham i naprawdę mam ich już powyżej uszu. Bądźmy sobą, dobrze? Wiesz, po co przyjechałeś, więc...

- Hala - wtrąciła cicho Mary Ellen - pohamuj się. Dosyć. Usiądź, proszę - zwróciła się do Roddy'ego. - Przepraszam za to powitanie.

Roddy usiadł we właściwy sobie, znajomy im sposób, pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach. Złączył ręce i rzekł cicho: - Ja także przepraszam. Jak słusznie powiedziałaś, to tylko maska. - Uniósł wzrok i skierował go na Mary Ellen, mówiąc: - Życie jest zaskakujące. Gdybyśmy mając po dwadzieścia lat umieli myśleć tak jak teraz, kiedy mamy po czterdzieści, jakże inaczej potoczyłoby się wszystko.

Hal zawsze powtarzał sobie, że jedyną rzeczą, jakiej był w życiu pewien, to miłość Mary Ellen. Uczucia, jakimi niegdyś darzyła tamtego człowieka, były martwe jak ciała pogrzebane na cmentarzu. Teraz jednak siedziała i patrzyła na Roddy'ego niemal z czułością i współczuciem. - Przeklęty! - mruknął do siebie i wtrącił głośno: - Może zawołam Kate?

Mary Ellen odwróciła wzrok od Roddy'ego i cicho odparła: - Przyprawdź tu chłopców.

- Później. Najpierw Kate. - Obrzucił ją twardym spojrzeniem zanim wyszedł z pokoju. Mary Ellen ponownie popatrzyła na Roddy'ego i przez chwilę milczała. Po chwili powiedziała: - Kate nie wygląda tak jak ja... po tobie odziedziczyła wzrost...

Nie odpowiadał, tylko wpatrywał się w nią, dopóki się do niego nie uśmiechnęła. - Cieszę się słysząc, że tak ci się życiu

powiodło, Roddy - rzekła. - To musi być cudowne uczucie, gdy osiągnie się tak wiele, mam na myśli wystawy twoich dzieł.

- Tak, tak. - Odpowiedź zabrzmiała głucho, a po niej nastąpiła kolejna chwila milczenia, po której Mary Ellen zdobyła się na cichutkie pytanie: - Czy jesteś szczęśliwy?

- Szczęśliwy? - powtórzył, po czym dodał głośniejszym głosem: - O tak, tak, jestem szczęśliwy. - Po tym dość gwałtownym oświadczeniu znów zamilkł i przyglądał się jej. To, co powiedział potem, nie było ani trochę podobne do Roddy'ego Greenbanka, jakiego zapamiętała, wyrażało bowiem wielki smutek, o jaki nigdy by go nie posądziła: - Jeśli choć raz w życiu mogę powiedzieć prawdę, powiem ją teraz, Mary Ellen: Nie zaznałem ani jednego dnia szczęścia od czasu, kiedy cię widziałem po raz ostatni. Robiłaś wtedy pranie, ręce miałaś w mydlanej pianie i wyciągnęłaś wszystkie sprzęty z chaty, a także przyniosłaś z poddasza dziecko. Był to ten rano, kiedy powiedziałaś mi, że kochasz Hala i zamierzasz wyjść za niego za męża, a to, co czułaś do mnie, było tylko dziewczęcym zauroczeniem. Myślę, że od tamtego poranka zrozumiałem, co utraciłem.

Mary Ellen podniosła się. - Roddy, przeszłość to przeszłość - rzekła. - Co było, nie wróci. I powiem ci otwarcie, że tamte słowa mogę potwierdzić i teraz - na całym świecie tylko Hal się dla mnie liczy.

Wstał także i począł pospiesznie się tłumaczyć: - Tak, tak, wiem, ale zapytałaś, więc musiałem wyznać ci prawdę. Powiem tylko, że mu zazdroszczę. Przypuszczam, że to dlatego zgrywałem się najjaśniepana, kiedy go spotkałem. Czy możesz to zrozumieć?

- Tak - potaknęła. - Tak, Roddy, rozumiem. A twoja żona, czy dobrze się wam żyje?

- O, tak. Jest świetną organizatorką. Tylko dzięki niej doszedłem tak daleko. Bez niej ciągle pracowałbym na kogoś w jakiejś podrzędnej pracowni. Mam jej wiele do zawdzięczenia. - Lekkim znowu tonem mówił dalej: - Świat pełen jest wielkich możliwości. Jeśli jeden rynek zamyka się dla ciebie, spróbuj innego. Tak mawia Mary. I ma rację, to działa.

Odrzucił się, słysząc odgłos otwieranych drzwi. Patrzył, jak Hal otwiera je szeroko. Weszła przez nie wysoka, masyw-

na kobieta. Ubrana była w szarą jedwabną bluzkę i taką samą spódnice. Włosy, czarne i proste, zaplotła w warkocze zawinięte jak obwarzanki po obu stronach głowy. Lecz oczy Roddy'ego badały jej twarz. Mary Ellen powiedziała, że córka jest niepodobna do niej, a po nim wzięła tylko wzrost. Miała rację. Mój Boże! - pomyślał. Jest brzydka. Ale... tkwiąca w nim dusza artysty szukała odpowiedniego słowa. Struktura twarzy była wyrazista, kości policzkowe wysoko osadzone, zarys szczęk kanciasty. Gdyby ta twarz należała do mężczyzny, mogłaby być modelem do obrazu przedstawiającego antycznego boga. Ale należała do kobiety. Kiedy Kate zatrzymała się ledwie dwa metry od niego, zajrzał jej w oczy. W nich było coś! To były piękne oczy. Miała także kształtne usta.

- Miło mi poznać pana.

Zdumiał go dźwięk jej głosu, był niczym delikatna muzyka wydobyta z wielkiego, ciężkiego instrumentu. Nie można było nazwać jej ciężką. Z punktu widzenia artysty jej ciało było wspaniałe. Postawić ją na podium w Paryżu, a wszyscy oszaleliby na jej punkcie. Oto jego córka. Oczekiwał dziewczyny ładniejszej, smukłej, jak niegdyś Mary Ellen, żywej, jak Mary Ellen, niewykształconej i bez ogłady, jak Mary Ellen. Tymczasem stała przed nim potężna, zimna istota, która odezwała się znowu: - Mam nadzieję, że miał pan dobrą podróż.

To beznamienne powitanie zdumiało nie tylko człowieka, który był jej ojcem, ale także Hala i Mary Ellen. Oboje oczekiwali bardziej uczuciowej wypowiedzi, tymczasem Kate zachowywała się, jakby miała przed sobą kogoś zupełnie jej obojętnego.

- Witaj, Kate. - Nie umiał znaleźć innych słów. Po chwili niezręcznego milczenia dodał: - Jak się miewasz?

- Dziękuję, znakomicie. A pan?

- Tak, ja również.

- Och, na Boga, usiądźmy - zaczął Hal, lecz Mary Ellen wpadła mu w słowo z uśmiechem: - Napijmy się lepiej herbaty. Chodźmy. - Położyła rękę na ramieniu Hala. - Chodźmy, zobaczymy, czy dziewczęta wszystko już przygotowały.

Przez chwilę Hal ociągał się, lecz silniejszy uścisk ręki na jego ramieniu kazał mu iść do przodu. Kiedy Mary Ellen zamknęła za nimi drzwi, syknął: - Czy musisz to robić?

- Najlepiej zostawić ich na chwilę samych, barania głowo.

- Barania głowa, tak? - szli w kierunku jadalni. - Możliwe, ale nie jestem ślepy. Żal ci go, prawda?

- Tak.

- Mój Boże. Nigdy się nie spodziewałem, że to kiedyś usłyszę.

- Zatem słyszysz to teraz. - Zrobiła zabawną minę i uśmiechnęła się. Położyła mu głowę na ramieniu i w przypływie nagłego impulsu wyszeptała: - Och, Halu, Halu. Jacy my jesteśmy szczęśliwi.

Odwrócił ją przodem do siebie i popatrzył prosto w twarz.

- Nie masz mi nic do zarzucenia? - zapytał.

- Ech, człowieku - pokręciła głową nad głupotą tego pytania - nie bądź naiwny. Nic do zarzucenia, powiadasz. Dwadzieścia cztery lata pracy nad tobą, tyle musiałam wytrzymać. Pewnie, że mam ci wiele do zarzucenia. - Popatrzyła jak się kurczy i dokończyła: - Żałuję tylko, że to nie czterdzieści dwa lata.

Natychmiast objął ją ramionami i pocałował mocno w usta, tylko po to, żeby prędko odskoczyć, kiedy John i Tom nadeszli niespodziewanie i równocześnie odwrócili się zasłaniając rękami oczy. Tom wykrzyknął: - W biały dzień takie rzeczy, Johnie! - A John odparł: - Bezwstydni, zupełnie bezwstydni!

- Hej, wy dwaj, chcecie zakosztować mojej nogi na swoich tyłkach?

- Musiałbyś chyba podskoczyć nie ruszając się z miejsca, żeby ci się to udało za jednym kopniakiem - twarz Johna była śmiertelnie poważna, a Tom dodał: - Zakład o jałówkę, tato, że nie dasz rady. - Hal zamierzył się dwiema pięściami naraz, bliźniacy zrobili unik i pobiegli przed rodzicami do salonu, gdzie Gabriel siedział już z dziewczętami. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, spowaźnieli i Tom zadał pytanie: - Jak go przyjęła?

Mary Ellen popatrzyła na Hala, który ogarnął spojrzeniem wszystkie dzieci. - Właściwie nie umiem określić. Z uprze-

dzającą grzecznością, prawda? - Zerknął na Mary Ellen, która potwierdziła: - Tak, z zimną uprzejmością.

- Zimną?

- Tak - pokiwał głową Hal. - To właściwe słowo - tak zimną, jak woda w strumieniu. Martwiłem się, myślałem, że kiedy go ujrzy, możemy ją stracić, ale teraz już się nie boję.

- Nie odejdzie z nim? - Wszyscy zwrócili wzrok ku Florrie.

- Oczywiście, że nie, głuptasie. Skąd ci to przyszło do głowy? - Mary Ellen odpowiedziała spokojnie: - To nie jest wykluczone, może za jakiś czas. Jest bardzo sławnym człowiekiem i mógłby pokazać jej inny świat.

- O czym ty mówisz? Nigdy nic takiego mi nie mówiłaś - natarł na nią Hal.

- Nie mówiłam? Musiałam zapomnieć.

- Zapomnieć?! Nie bądź nieznośna, kobieto, i nie dawaj mi powodu do nowych zmartwień. Jeśli Kate raz wyjedzie na taką wycieczkę, to już nie wróci, prawda? Nasze życie będzie wyglądało dla niej bardzo szaro, kiedy zobaczy Francję, Paryż i inne podobne miejsca. Gabrielu! Nie, wy, Johnie i Tomie, idźcie, przedstawcie się i przyprowadźcie ich na herbatę.

- Nie. Przyjdą, kiedy będą gotowi. A teraz siadajcie wszyscy i okażcie trochę cierpliwości i dobrych manier. - Chcę, żeby zobaczył, że mam z czego być dumna - dodała Mary Ellen nieco drżącym głosem.

\*

W salonie Kate i jej ojciec siedzieli naprzeciwko siebie. Pochylając się ku niej, Roddy powtarzał zaproszenie, którego tak obawiał się Hal: - To byłoby dla ciebie ciekawe przeżycie - mówił. - Możesz przyjechać na miesiąc i zapewniam cię, że będziesz się dobrze bawić. Zabraknie ci tylko jednego: chwili spokoju. Mam... mam wielu przyjaciół, którzy z pewnością będą chcieli cię portretować.

- Malować mnie?

- Tak.

- A co takiego we mnie zobaczą, co jest warte malowania? zapytała, podnosząc się z miejsca.

Nie wstał, lecz podniósł głowę i powędrował po niej wzrokiem. - Bardzo wiele - odparł.

- Z pewnością nie moją urodę.

Otworzył usta i za chwilę je zamknął. Jej szczerość odebrała mu mowę. - Z artystycznego punktu widzenia odnajdą coś więcej niż urodę - odparł. - Ładne buzie i zgrabne figury można wynająć za parę franków. Poza tym... twój głos. Masz niezwykły głos. Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę. I poza wszystkim innym, w ciągu naszej krótkiej znajomości poznałem, że jesteś mądra. Nasi przyjaciele na pewno będą tobą zachwyceni, artyści i nie tylko. Co ty na to?

- Jak to przyjmie twoja żona?

Wstał i podszedł do kominka, oparł rękę o blat i popatrzył w dół za kratę, gdzie na pół spalone główne ułożone były w staranny stos. - Jako artystka będzie ci bardzo rada - odparł.

- A jako macocha?

Odwrocił się i popatrzył na nią. - Masz przenikliwość swojej matki i jej szczerość - odezwał się cicho. - Może masz słuszość. Nie wiem, muszę ją zapytać.

- Dziękuję. Czy teraz ja mogę zadać pytanie?

- Oczywiście.

- Dlaczego zwlekałeś tyle lat, żeby przyjechać i mnie zobaczyć?

Znowu patrzył na kominek, położył drugą rękę na półce i kiedy zobaczyła, jak ze smutkiem zwiesza głowę, ogarnęło ją przez chwilę pragnienie, by podbiec do niego i powiedzieć: To nie ma znaczenia. Już dobrze. Nie chcę odpowiedzi.

- Obawiałem się - odpowiedział.

- Obawiałeś się przyjechać i mnie odwiedzić?

Powoli odwrócił się ze zwieszonymi bezwładnie ramionami:

- Nie. Obawiałem się twojej matki.

- Ach tak.

- Możesz to zrozumieć?

- Rozumiem.

- Wszyscy popełniamy błędy, nawet najsilniejsi z nas. Muszę przyznać, że nie mam silnej woli. Kiedy otworzyło się przede mną inne życie, chwyciłem szansę obiema rękami. Twoja imienniczka, stara Kate, która była dla mnie jak matka, o której z pewnością mama często ci opowiadała, zwykle mówiła, że za wszystko w życiu trzeba zapłacić. Nie ma

prawdziwszego powiedzenia. I ja zapłaciłem za wszystko, i nadal płacę. Otyłością z przejedzenia, setkami znajomości, lecz brakiem prawdziwych przyjaciół i sposobem życia, które jest ściśle zaplanowane od chwili, gdy wstaję z łóżka, do chwili, kiedy udaję się na spoczynek. Nie zajęło mi wiele czasu, by pojąć, gdzie leży sens mojego życia, ale, jak powiedziałem, nie mam silnej woli - wyciągnął ku niej obie ręce. - Muszę przyznać, że niespodzianką było ujrzeć ciebie jako moją córkę. Jesteś inna niż to, czego się spodziewałem, i o wiele lepsza. Bez wątpienia rozczarowaniem dla ciebie jest odkrycie, że wielki człowiek, o którym słyszałaś, którego nazwisko figuruje na afiszach, jest tylko sterowanym ludzikiem.

Przyglądała się mu. Był taki, jak mówił. Lecz nie mówił, że umie chytrze zabiegać o swoje. Chciał wykorzystać jej współczucie w nadziei, że nie będzie mogła się oprzeć i przyjmie zaproszenie do spędzenia wakacji we Francji. Przez chwilę gorycz wkradła się do jej myśli, gdy wyobraziła sobie, jak by ją przedstawiał. Jako córkę niewątpliwie. A liczni jego znajomi nazywaliby ją z pewnością bękartem Greenbanka.

- To było dziwne spotkanie, nie sądzisz? Nie miałem zamiaru mówić tego wszystkiego. Ale to pewnie atmosfera tego miejsca, nie tylko domu - wskazał palcem sufit - lecz całej okolicy. - Podeszedł do okna. - To wisi w powietrzu. Wszyscy tu mówią, co myślą, bez powściągliwości. Jeśli zachowujesz się taktownie, dyplomatycznie czy prezentujesz ogłade, okrzykną cię dorobkiewiczem, nuworyszem. Nawet szlachetnie urodzeni piorą swoje brudy publicznie, co już jest zabawne. - Popatrzył znowu na Kate i jego zachowanie uległo całkowitej przemianie. Jakby zrozumiał, że nic nie wskórał prośbami i skrucą. Przybrał więc kolejną z wielu swoich twarzy. - Weźmy Hall i resztę wielkich domów w okolicy. Był czas, kiedy nie wpuszczono by mnie do stajni, podczas gdy teraz zostałem zaproszony na dwa obiady, i to do najlepszych.

- Przyjmiesz zaproszenia?

- Może tak, a może nie. Będziemy tu tylko tydzień. Możemy nie znaleźć czasu, tyle mamy do załatwienia w Newcastle.

Zatrzymał się kilka kroków od niej i znowu przyglądali się sobie badawczo. - Myślę, że powiedzieliśmy sobie wszystko, co trzeba. Pójdziemy na herbatę? - stwierdziła Kate.

Zaśmiał się cicho, nerwowo, po czym z przesadną kurtuazją podał jej ramię, na którym położyła czubki palców. W taki oto sposób wkroczyli do jadalni, co zaskoczyło, żeby nie powiedzieć - zadziwiło, wszystkich domowników.

\*

Zdanie rodzeństwa o prawie zapomnianym ojcu Kate było mocno zróżnicowane. Gabriel rozmawiając z braćmi, utrzymywał, że był zbyt gadatliwy. Zarówno John jak i Tom nie zgodzili się z tym: - Dałeś mu sporo okazji. To ty zadawałeś najwięcej pytań.

- Pewnie, gdybym tego nie robił, przy stole byłoby całkiem drętwo, bo wy wszyscy siedzieliście jak strachy na wróble - odparował Gabriel.

- A ja muszę się przyznać, że wydał mi się interesujący.

John obrzucił Toma pogardliwym spojrzeniem. - Tylko dlatego, że wymienił wszystkie godne uwagi miejsca w Paryżu.

- Może i tak. W każdym razie czułem się, jakbym tam był. Na pewno kiedyś pojedę. - Dostał niezbyt delikatnego kuksańca w plecy od Johna. - Być może, ale znajdziesz się nie w operze, ale w jakiejś stróżówce albo w gmachu sądu czy w czymś podobnym.

- Zaprosił mnie, i może się tam wybiorę.

- Wybierzesz się - zapowiedział John - na wycieczkę do obory. Możesz dotrzeć tam konno, dylizansem, wozem pocztowym czy bryczką... albo na czubku mojego buta.

Kiedy mieli się rozeźmiać, Gabriel wtrącił: - Nie mogę zrozumieć Kate, ani trochę nie była poruszona. Można było pomyśleć, że co tydzień widuje się z ojcem. Kate się zmieniła, prawda?

Bracia popatrzyli na niego. - Tak, zmieniła się - potwierdził cicho John.

- To samo powiedziała Maggie do Florrie. Zimna jak bryła lodu, powiedziała. Myślałem, że spadnę z krzesła, kiedy przyszli ramię w ramię. Nie spodobał mi się. Czułem, że cały czas odgrywał komedię i przechwalał się.

- On tylko opowiadał nam o swoim domu i o życiu, jakie prowadzi we Francji.

- Widziałeś, jak patrzył na mamę, kiedy się z nią żegnał? Przez chwilę myślałem, że zaraz ją pocałuje. Tato był zadowolony, zobaczywszy wreszcie jego plecy. Wiem, dawni przyjaciele. Nie spodobał mi się. A Kate i tak już zachowywała się ostatnio dziwnie. Teraz będzie się zachowywać jeszcze dziwniej.

Ich ojciec w tej samej chwili rozmawiał z żoną na ten sam temat. Siedział w gabinecie i podliczał miesięczne wydatki i wpływy. Mary Ellen siedziała po drugiej stronie biurka. Złożone ręce przycisnęła do piersi, zacisnęła mocno usta. Zdecydowana była przeciwstawić się jego podejrzeniom, które przysły mu do głowy, kiedy przywiózł wczoraj Roddy'ego. Teraz rozważał zachowanie Kate, lecz wiedziała, że w każdej chwili może wrócić do najbardziej niepokojącego go tematu.

- Zdumiało mnie, że go polubiła. To głupiec. Myślałem, że przy swoim zdrowym rozsądku zdolna będzie przejrzeć go na wylot. Boże! Pomyśleć tylko, że pracowaliśmy ramię w ramię w hucie, razem włączyliśmy się po wzgórzach. To ja zbierałem dla niego węgiel drzewny, żeby mógł robić te swoje przekłete rysunki. A druga sprawa, o której ci chciałem powiedzieć - nie powodzi mu się tak dobrze, jak udawał. Każdy może chodzić i odwiedzać eleganckie miejsca, jeśli tylko mieszka w mieście. Gdybym pojechał do Francji, przechwalałbym się, jakie to cuda widziałem w Newcastle. Wszyscy wiedzą, że artyści to chudopachołki i nie zarabiają pieniędzy, chyba że znajdują się na samym szczycie.

Nie mogła dłużej powstrzymać języka. - Wygląda na to, że on tam doszedł, prawda? - warknęła.

- Ano wygląda, wygląda. Zrobił na tobie wrażenie wykwintnym ubraniem i tłustym brzuchem. Boże! Jeszcze nie widziałem nikogo tak spasionego. Widziałeś jego twarz. Gdzie się podział twój ładny chłopak? Ale mimo to żal ci go, prawda? Wróciło stare, prawda? Wodziłeś za nim cielęcym wzrokiem. Ostatnim razem, kiedy się spotkaliście, pragnęłaś, żeby cię wziął do Londynu...

Podskoczyła przy tych słowach, a jej twarz nabiegła krwią, aż się wystraszył.

- Usłyszałam dosyć. Po tych wszystkich latach nadal nie jestem w stanie cię przekonać. Głęboko w sercu ciągle masz mi to za złe, że mam z nim córkę. Powiem ci, co powiedziałam już wiele lat temu, że to moja wina, nie jego. To nie jego wina. To ja go namówiłam. I nie mów mi, że kobieta nie może namówić mężczyzny do tego, czego pragnie. Niektórzy nie potrzebują wielu zabiegów, ale pozwól, że powiem ci to, czego nigdy ci wcześniej nie mówiłam: on akurat potrzebował wielu zabiegów. Masz więc, czego chciałeś, Halu Roystanie. Zohydziłeś coś, co było, co było... - zająknęła się i wykrztusiła przez łyzy: - Co było piękne.

Okrażył biurko i przytulił do siebie jej drżące ciało. - Mary Ellen, Mary Ellen. Bardzo mi przykro, przepraszam cię - powiedział ze skrucą. - Tak głupio się bałem. Zawsze myślałem, że może tu przyjechać dwudziestu Roddych, a ja nawet nie mrugnę okiem. Ale kiedy zobaczyłem, jak na ciebie patrzy, wiedziałem, że żałuje tego rozstania i że ty to widzisz. Prawie oszalałem z wściekłości. To bardzo dziwne, że mu nie przyłożyłem, zwłaszcza na samym końcu, kiedy myślałem, że chce cię pocałować. Oj, wtedy bym mu przyłożył. Mary Ellen, proszę cię, nie płacz. To wszystko dlatego, że cię tak kocham. W środku ciągle czuję do ciebie to samo, co czułem jako młody chłopak. Byłem taki pewny siebie przez te wszystkie lata, a teraz już nie jestem i nigdy nie będę.

Mary Ellen popatrzyła na niego do góry i ujęła jego twarz w swe dłonie: - Halu, Halu! Jeśli teraz nie jesteś pewien, nie mam sposobu, żeby cię o tym przekonać. To prawda, żal mi go. Mam dla niego współczucie, równocześnie dziękując Bogu, że tak się stało, bowiem nigdy nie zdołałabym z nim wytrzymać. W środku pozostał starym Roddym Greenbankiem, który sam nie wie, czego szuka. Jak to mówiła stara Kate: prędzej zadowolę się wieczerzą z ziół z tobą niż stołem pełnym mięsa z Roddym.

- Och, dziewczyno - przytulił ją mocniej, a po chwili dodał: - Inna rzecz, przez którą odchodziłem od zmysłów to ta, że Kate mogłaby z nim odejść.

- Nigdy.

- Nie pomyślałaś o tym?

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło, a nawet gdyby, zaraz bym ją odrzuciła, bo wiem, że Kate nigdy nie zrobiłaby czegoś, co mogłoby sprawić nam przykrość.

- Tak - pokiwał głową. - Masz słuszość.

Kate wiedziała, że jej zachowanie wobec ojca w czasie jego długiej wizyty było przedmiotemżywionej dyskusji w rodzinie, lecz tylko John zapytał ją wprost:

- Spodobał ci się, Kate?

Cisza, która poprzedziła jej odpowiedź, wyjaśniała wszystko.

- I tak, i nie - odparła.

- Chyba powinnaś wiedzieć, czy tak, czy nie - zaprotestował John.

Tak, pewnie powinna umieć ściśle określić, jakie wrażenie wywarł na niej ten człowiek. Ale czyż można było po tak krótkiej znajomości ocenić charakter człowieka? Jedno wiedziała na pewno: gdyby nie była taka szczęśliwa, pewnie skusiłoby ją jego zaproszenie do Francji. A to w oczach rodziny, a przynajmniej ojca i matki, uchodziłoby za zdradę. A tak, jak się sprawy miały, jej całe wrażenie ograniczyło się do litości. Jego życie, pozornie takie udane, w gruncie rzeczy ziało pustką, co uważała za słoną cenę, jaką musiał zapłacić za swą sławę.

Wziąwszy wszystko razem, jego wizyta wytrąciła ją z równowagi o wiele mniej niż innych członków rodziny, ponieważ bliższa jej sercu była myśl o Benie. Marzyła o tym, by pomknąć przez wrzosowisko i znaleźć się w jego objęciach.

Ostatniej nocy to nie wizyta ojca mąciła jej spokojny sen. Trzykrotnie budziła się i zadawała sobie pytanie, czy może być prawdą, że człowiek znikąd, którego wybrałaby każda dziewczyna, czy ten człowiek może naprawdę ją kochać? Czy w tym nie ma żadnej pułapki? Przez jakiś czas leżała nie śpiąc i myśląc: Na pewno jest. Musi być. Takie rzeczy się nie zdarzają. W bajkach braci Grimm zawsze występował jakiś wilkołak. Kto był wilkołakiem w jej życiu?

Jej ojciec, Hal?

Usiadła na łóżku za samą myśl i wyszeptała do siebie: - Och, nie, nie. - Lecz jej zdrowy rozsądek upierał się: - Tak, właśnie, że tak. Jej ojciec był wilkołakiem i musiał zostać

pokonany. Lecz jak? Jeśli Ben z nim pomówi, czy ojciec wysłucha jego racji? Położyła się z powrotem i zapadła w sen, a rano całkiem zapomniała o odpowiedzi, jaką znalazła.

---

## 8

---

- Kochana moja, dobrze, już dobrze, nie trap się tak. Mogę zagrać każdą komedię, jaką wymyślisz. Jedyna rzecz, która wcześniej czy później wyjdzie na jaw, to fakt, że kupiłem farmę. Zapomnijmy o tym na razie. Powiedz mi więcej o swoim ojcu.

Siedzieli blisko siebie przy małym stole w chacie. - Powiedziałam ci wszystko, co wiem - wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka. - Oprócz tego, że kiedy patrzyłam na jego ogromny brzuch, pomyślałam: Ben nigdy tak bardzo nie przytyje.

- Och, kochana. - Roześmiał się i pochylił głowę, a potem delikatnie stuknął czołem w jej czoło. Objęli się i znów się zaczęli całować. - Wiesz, to mogłoby być rozwiązanie, gdybyś z nim pojechała - rzekł. - Popłynąłbym za tobą do Francji, a tam ujawnilibyśmy nasze narzeczeństwo przed światem. Chyba że twój ojciec wolałby cię widzieć wyłącznie pozującą jego przyjacielom malarzom.

- Och, Benie.

- Nie mów tego z takim niesmakiem. Musisz zmienić swój pogląd na temat panny Kate Roystan, a jeśli nie, to nastaną ciężkie czasy dla pani Fraser Hamilton, bo wtedy ubiorę cię tak, jak powinnaś chodzić ubrana.

- Czyżby? Czy moja suknia jest w aż tak złym guście, że niemiła jest pańskim oczom, sir?

Przybrała urażoną pozę, a on odpowiedział w tym samym tonie: - Nie powiedziałem, że w złym guście, pani. To ubranie - dotknął palcem rękawa jej perkalowej sukienki - to solidna domowa robota, lecz brak jej koloru i powabu. Powinnaś ubierać się zawsze w aksamit i welur na dzień oraz w jedwab lub satynę na wieczór, nie w taftę.

- Wygląda na to, że masz wiele doświadczenia w tych sprawach - powiedziała cicho, patrząc na niego z naganą.

- Powiedzmy raczej, że nigdy nie odrzucałem zaproszeń na bale. Był czas, kiedy czułem się, jakbym wyszedł z więzienia i po raz pierwszy poznawał smak życia. Jeździłem konno, tańczyłem, piłem, dopóki - wzruszył ramionami - nie znudziło mi się to wszystko. Niemniej jednak dobrze się bawiłem. Tak więc, pani - znowu przybrał wyniosłą pozę - jestem w pewnym sensie znawcą mody zarówno amerykańskiej, jak i angielskiej, ponieważ spędziłem miesiąc w Londynie, zanim przyjechałem tutaj, i niemal co wieczór bywałem w teatrze.

- A więc chciałby mnie pan ubrać jak aktorkę?

- Niekoniecznie, o pani. Niekoniecznie.

- Czy mogę oświecić pana co do jednej sprawy?

- Może pani.

- Powiem krótko: będę się ubierać tak jak lubię, w kolory, które będą mi się podobały i w materiały, jakie raczę wybrać. Jeśli mój gust pana nie zadowala, objawiam się, że nasza znajomość dobiega końca. - Gdy wymawiała ostatnie słowa wzdrygnęła się w środku, że mogła się zdobyć na tak ryzykowny żart.

Znowu znalazła się jego ramionach. - Kobieto silnej woli, kiedy wprowadzę cię do swojego tipi, obedrę cię z wszelkiego odzienia - powiedział ze śmiechem.

- A co to jest tipi? - zapytała.

- Indiański namiot.

- Chciałabym zobaczyć Amerykę.

- Może pani w każdej chwili, w każdej chwili. Możemy wyjechać choćby dzisiaj wieczór.

- A co z domem, który kupiłeś?

- Och, można go z powrotem sprzedać.

- Benie, Benie - ściszyła głos, a na jej twarzy znowu pojawił się smutek. - Między nami piętrzą się całe góry przeszkód i...

- Mogą być góry i mogą być przeszkody, ale nic nie piętrzy się między nami. Nas nie dzieli nic. Jesteśmy razem po jednej stronie, a twoja rodzina po drugiej. Pamiętaj, kochana, nas nie dzieli nic.

- Ledwo mogę uwierzyć, że to prawda. Kiedy opuszczam farmę, czuję, że to po raz ostatni, a kiedy dojeżdżam w pobliże chaty, drzę, że mogłeś sobie pojechać.

- Nie żartuj. To niemądre. Nigdy nigdzie nie wyjadę bez ciebie. Przez całe życie wiele myślałem i wiem, że teraz jestem dużo starszy niż mam lat, dlatego mogę cię zapewnić...

- To jeszcze jedna rzecz. Jestem od ciebie starsza... o piętnaście miesięcy.

- To straszne! Naprawdę?

- Niektórzy mogą to potwierdzić.

- Niektórzy, niektórzy. Musisz wiedzieć, że nie przywiązuję zbyt wielkiej wagi do tego, co mówią ludzie. Muszę zobaczyć, by uwierzyć. Dlatego czytając rozmaite historie, zawsze je kwestionuję. Piszą je ludzie, którzy nie byli naocznymi świadkami zdarzeń, opierają się na faktach zasłyszanych od innych, którzy też je znają ze słyszenia. Wiadomo, że nikt na świecie nie jest w stanie powtórzyć dokładnie tego, co usłyszał. Ponieważ, jeśli historia znajdzie się tutaj - postukał się w czoło - na szlaku myśli jednostki, zależy już tylko od tego, jak ją jednostka przyjmuje, jak wypowiada, jak postrzega oczami wyobraźni.

Kate spoważniała. - Może i tak. Ale wierzysz w to, co opowiedziała ci babka o zdarzeniach na farmie Rooklands? - spytała cicho.

- Tak, wierzę w każde słowo i fakt ten bardzo mnie martwi. Na świecie jest dużo nieszczęścia wywołanego przez ludzi, którzy przekładają cudze myśli na swój sposób. - Wyciągnął ręce i lżejszym już tonem powiedział: - Kilka lat temu, kiedy miałem może dziewiętnaście lat, przyszedł mi do głowy pomysł, że trzeba zmienić świat, i ja mógłbym coś w tym kierunku zrobić, zakładając szkołę, którą nazwałbym Akademią Rozsądku i nauczać w niej tylko tego, czego można dowieść. Lecz po omówieniu tej sprawy z pewnym starym uczonym, który żartobliwie powiedział: Zrób tak, a unicastwisz Boga, zrozumiałem, że mój pomysł był jedynie tworem młodzieńczej fantazji. Ale młodzieńcze pomysły zawsze zostawiają w człowieku późniejsze zarodki pozytywnych gestów. Dlaczego tak się uśmiechasz?

- Lubię słuchać, jak mówisz. To takie inne od wszystkiego, do czego przywykłam: Czy w cieście nie za dużo

cynamonu? W następnym tygodniu trzeba wypracować wszystkie firanki na dole. Muszę się pospieszyć i skończyć narzutę na ten fotel, jest już prawie całkiem wyświechtany. To w domu. A w obejściu: Ile owiec odstawić na targ? Lepiej je wysłać do Hexham czy do Newcastle? Zwiększyć koszty płacąc owczarzowi, by zapędził je do miasta, czy lepiej zabrać je samemu do Hexham? Ten problem pojawia się co rok. Czy należy powiększyć stado bydła? To oznacza dokupienie ziemi. A ostatnią pasją jest założenie hodowli indyków. Co dziwne, nigdy dotąd nie miałam nic przeciwko temu, chociaż z utęsknieniem czekałam na Hugh'a i na jego opowieści o mieście. A teraz, gdy już powiedziałam to wszystko, czuję się zawstydzona, ponieważ wszyscy wychowaliśmy się w cudownym rodzinnym gnieździe i przykro mi, że wydaje mi się takie nudne. Od czasu, kiedy po raz pierwszy przestąpiłam próg tej chaty, mój sposób patrzenia na rzeczy i mój sposób myślenia zmieniły się.

- Moje także. Lecz to, co przed chwilą opisałaś, jawi się przede mną jak życie idealne i wzór, który chciałbym naśladować od zaraz. I niczego bardziej na świecie nie pragnę, jak móc pojechać z tobą do twego domu i porozmawiać z twoimi braćmi i ojcem o codziennych sprawach, które właśnie opisałaś.

Przerwał, po czym cichym głosem dodał: - To nastąpi. Wcześniej czy później, ale nastąpi.

- Jeszcze nie teraz. Nie teraz. Nie masz pojęcia o tym, co czuję.

- Mam. Mogę to sobie wyobrazić.

Zacisnęła na chwilę powieki i zębami mocno przygryzła dolną wargę w bezgłośnym proteście przeciw takiemu stwierdzeniu, podczas gdy on nalegał: - Wierz mi, Kate. Wiem dobrze, jak zachowa się twój ojciec.

- Nie wiesz! - podniosła głos. - Nie wiesz, Benie. Jego nienawiść do Bannamanów nie jest schowana gdzieś w głębi duszy, on ją obnosi na samym wierzchu, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć. Wszyscy w okolicy wiedzą, co on czuje. Ciągłe na nowo opowiada każdemu, kto gotów jest słuchać, o męczarniach owych czterech dni w stodole.

- Daj spokój - położył delikatnie dłoń na jej ustach. - To rodzaj tortury dla mnie, kiedy o tym myślę. Na razie nie

muszą nic wiedzieć o moim pochodzeniu. Jestem facetem z Ameryki. Tak zwrócił się kiedyś do mnie pewien dżentelmen w hotelu w Allendale. Więc proszę, przedstaw mnie swojej rodzinie jak najszybciej, Kate.

- Daj mi jeszcze tydzień.

- Po co, najdroższa? Czego masz nadzieję dokonać przez ten czas? Moje nazwisko nadal będzie brzmiało Hamilton.

- Przełamię pierwsze lody. Będę opowiadać o tobie. Zachwalę cię. Podkreślę twoje zalety.

- Ojej! Wtedy dopiero będziemy zgubieni. Tak czy inaczej, musisz wziąć pod uwagę reakcję rodziców, kiedy odkryją, że kupiłem ten dom.

- Tak, myślałam i o tym. Powiedziałeś Charlesowi?

- Dopiero wczoraj.

- I co on na to?

- Był zdumiony. Powiedział, że to przeklęty dom i że powinienem był zasięgnąć jego porady przed zrobieniem tego kroku.

- Miał rację.

- Cóż, mogę ci obiecać tylko jedno. Jeżeli kiedykolwiek poczuję, że nie zdołam go oczyścić, spalę go. Ale oczami duszy widzę to miejsce jako kwitnącą farmę, taką jak farma twojego ojca. Przejeżdżałem wczoraj koło niej.

- Och, nie powinieneś być.

- Dlaczego nie? Każdy wie, że zbieram materiały o okolicznych wioskach. Popatrz - pokazał półkę. Widniało na niej coś, co wyglądało jak notes i mały stosik arkuszy papieru.

- Składałam to wszystko w jedną całość, tworzy się z tego cała historia.

- Piszesz o Bannamanach?

- Tak, wszystko o Bannamanach. I o Fountainach. Panieńskie nazwisko babki brzmiało Fountain. W zeszłym tygodniu pojechałem dylizansem do miejsca, gdzie się urodziła, prawie do szkockiej granicy. Znalazłem dom, w którym przyszła na świat, ale nie został tam już nikt z jej krewnych. Od trzydziestu lat mieszka tam inna rodzina. W każdym razie - ujął w ręce jej twarz i zakończył miękko: - jest coś, co możemy przekazać naszym dzieciom.

Miał zamęt w głowie, kiedy zobaczył łyzy tryskające z jej oczu i usłyszał dźwięk podobny do jęku. Przytuliła się do niego mocno.

\*

Kiedy Kate wróciła, podwórze było puste, sama więc zaprowadziła konia do stajni. Zauważyła, że nikogo nie było w oborze. Zdjęła koniowi siodło i wyszczotkowała go. Dopiero wtedy zwróciła uwagę na niezwykłą ciszę panującą wokół. Zawsze jeden czy dwóch z jej braci kręciło się w pobliżu. Kiedy poszła do składu ziarna po paszę dla konia, ujrzała Terry'ego. Wychodził ze stodoły. - Gdzie są wszyscy? - zapytała.

Pokazał palcem dom i odparł: - W środku.

Chłopcy zdejmowali buty. Oznaczało to, że spotkanie odbywało się nie w kuchni, jak zwykle, nikomu bowiem nie było wolno wchodzić na pokoje w obuwiu roboczym, z wyjątkiem ojca. Popatrzyła na drzwi kuchenne. Tak, byli tam, bo zobaczyła trzy pary butów leżących w nieładzie koło wycieraczki.

Co teraz? To nie gość. Nie było śladu konia ani powozu. Może odkryli? Poczuli już krople zimnego potu.

- Przyjechał pan Bentley - wyjaśnił Terry. - Jego koń jest w stajni.

Uśmiechnęła się do niego z ulgą. - W takim razie muszę pędzić i zobaczyć, o co chodzi.

- Mogę powiedzieć. - Terry uśmiechnął się szeroko i wypowiedział jedno słowo: - Oświadczyń.

- Nałóż paszy Rangerowi, dobrze? - odwzajemniła uśmiech i ruszyła szybko do drzwi. A więc przyjechał poprosić ojca o rękę Florrie. Cieszyła się, bardzo się cieszyła.

Cała rodzina zebrała się w sieni i nikt nie zauważył jej wejścia, bo wszyscy patrzyli przez otwarte drzwi. Mary Ellen zauważyła ją i zawołała: - A oto i Kate! Chodź tu, Kate i posłuchaj dobrej nowiny.

Stała w drzwiach frontowych przyglądając się, jak Charles i Florrie kroczyli zwirowanym podjazdem, kierując się w stronę stajni.

- No i co o tym myślisz? - zapytał ją Hal. - Przyjechał i poprosił mnie o jej rękę. - Odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał

się. - Tak jak się należy. Cóż, jest urządzona. Ty będziesz następna - klepnął Maggie w pośladek. - Ale kto przyjedzie prosić o twoją rękę, Richard Taggart czy Barney Pilkton?

Zanim Maggie zdążyła odpowiedzieć, Gabriel ją ubiegł:  
- Nie, tato. To będzie Głupi Tull i jego dwanaście kotów. Mówią, że szuka żony. Czwartej chyba czy piątej.

Odwrócił się i szybko uciekł, a Maggie dała za nim nura. Kiedy biegli do kuchni, dał się słyszeć podniesiony głos Hala:  
- Przyjęcie zaręczynowe w stodole? Nie mamy nic do roboty w stodole. Przyjęcie odbędzie się w domu. Słyszysz, co mówię, pani Roystan?

- Słyszałam, panie Roystan, ale chcę panu przypomnieć, że w stodole można przyjąć dwa razy więcej gości niż w salonie, jadalni i sieni razem wziętych.

- A kto chce dwa razy więcej? Hej dziewczyno - teraz dopiero spostrzegł Kate. - Udała się konna przejażdżka?

- Tak, tato, nawet bardzo.

- No cóż, od tego właśnie są konne przejażdżki. No, to teraz wracamy do roboty, bo skoro trzeba wyprawić wesele, trzeba najpierw na nie zarobić.

- Oj, Hala, Hala. - Mary Ellen pokiwała nad nim głową, a on zrobił to samo, przedrzeźniając ją: - Oj, Mary Ellen.  
- Wyszedł potem w towarzystwie synów, a wszyscy się śmiali.

Mary Ellen ułożyła ręce na stole i wydała z siebie przeciągłe westchnienie. Patrząc na wiszącą półkę jak w przestrzeń powiedziała miękko: - Czy to nie wspaniałe, dostać męża takiego jak Charles?

- Bo jest spokrewniony z lordem Redmanem?

- Nie, panienko, nie dlatego - ofuknęła ostro Maggie.  
- Jednocześnie nie jest to coś, co należy lekceważyć czy naigrawać się z tego.

- Nie naigrawałam się wcale.

- Ale byłeś tego bliska. Skoro jesteśmy przy tym temacie. Pora chyba, żebyś pomyślała o kimś dla siebie. Mam nadzieję, że nie będzie to Barney Pilkton, bo jego gęba przerośnie kiedyś jego mózg.

- A może chciałabyś, żebym poślubiła Głupiego Tulla, żeby się mnie pozbyć jak najprędzej?

- Nie pleć głupstw, dziewczyno.

- Nie plotę głupstw, mamó. Czuję jedynie zapach pewnego człowieka w pobliżu. - Zwróciła wściekłe spojrzenie ku Kate.  
- Widocznie nikt się mną nie interesuje. Nie zostałam odkryta przez sławnego ojca ani też nie posiadam tajemniczego kochanka na wzgórzach.

- Maggie! - Mary Ellen krzyknęła głośno, lecz Kate wtrąciła pojednawczo: - W porządku, mamó. - Odwzajemniając spojrzenie Maggie, odparła: - Nie wszystkich pan Bóg obdarzył urodą, niektórym jej poskapił, ale za to wynagrodził im to w rozumie. - Powiedziawszy to wyszła z kuchni, zamykając niezbyt delikatnie za sobą drzwi.

Mary Ellen oparła się o stół i podniosła głos na córkę: - Jej Pan Bóg nie obdarował urodą, lecz ciebie tak. Nie obdarował cię, niestety, miłym usposobieniem i powiadam, nie przyniesie ci to nic dobrego. I skoro o tym mówimy, powiem ci i to, że żaden z chłopaków, do których strzelasz oczami, nie zapewni ci wiele więcej ponad skórzane buty. Miej rozum, dziewczyno. Jeśli masz zamiar stracić wianek, strać go z kimś, kto jest tego wart. To wszystko. Powinam była ci to powiedzieć już wcześniej.

- Tak, powinnaś, mamó, a ja powinienam wiedzieć, na czym stoję. Ale teraz to wiem. Nigdy nie troszczyłaś się o mnie jak o innych. Zawsze tylko było: Kate to, Kate tamto, albo kochana Florrie, słodka Florrie. Nigdy nie usłyszałam od ciebie słowa o moich zaletach.

- Nie, bo sama byłaś zbyt prędką w ich wyliczaniu.

- Nie lubisz mnie, prawda?

- Oj, dziewczyno, dziewczyno. - Głos Mary Ellen złagodniał. Odeszła od stołu i wyciągnęła ręce, lecz Maggie je niemal odtrąciła. - Nie chcę żadnych resztek, mamó. Umiem się o siebie zatroszczyć. Pilnuj swojej drogiej Kate i daj jej błogosławieństwo, kiedy znowu pogalopuje na wzgórze do swojego kochanka - rzuciła szyderczo.

Policzek, który wymierzyła Mary Ellen, niemal powalił Maggie na ławę. Zapadła martwa cisza, póki Maggie z przechyloną na bok głową, zasłaniając dłonią twarz i płynące po niej łzy, nie odwróciła się i nie wypadła z kuchni. Mary Ellen objęła się mocno skrzyżowanymi ramionami i powtarzała: - O Boże, o Boże!

Nie pojmowała, że jej cierpienie brało się nie z tego, że obwiniała się z powodu uderzenia córki, lecz z tego, iż ktoś mógł pomyśleć, że Kate miała kochanka. Jeśli może to powiedzieć Maggie, inni także mogą tak pomyśleć, ponieważ regularne wyprawy na wzgórze nie mogły pozostać nie zauważone. Wszędzie za płotami i murami czaiły się oczy ciekawskich. Musi stanowczo rozmówić się z Kate.

## 9

---

Zanim jednak Mary Ellen zaczęła rozmawiać z Kate, poradziła się Hala. - Martwię się - rzekła. - Nasza Kate narazi swoje dobre imię na szwank, jeśli nie będzie ostrożniejsza.

- Narazi swoje imię? A to z jakiego powodu?

- Dzisiaj po południu pokłóciłyśmy się z Maggie. Ostatnio zwróciła się przeciwko Kate. Nie wiem dlaczego. Chociaż wiem. To przez Amerykanina. Widziałam, że wpadł jej w oko, kiedy jedliśmy obiad w hotelu, a teraz nazwała go kochankiem Kate.

- Co?

- To, co powiedziałam. Wyraziła się, że Kate jeździ na wzgórze do swojego kochanka. Jeśli ona tak mówi, znajdą się też inni, którzy zobaczą ją w czasie przejazdów i zaczną myśleć podobnie. To nie w porządku, że ona jeździ i tam się z nim spotyka. To on powinien tu przyjeżdżać w odwiedziny, jeśli tak sobie ceni tę przyjaźń, jak ona to przedstawia.

Hal popatrzył na nią. - Czy myślisz, że jest w tym coś więcej? - spytał.

- Może tak. Każdy mężczyzna z odrobiną inteligencji odkryje w Kate znakomitą towarzyszkę. Kiedy zaczyna mówić, zapomina się o jej brzydocie. Chociaż...

- Chociaż co?

- Czasami nie wydaje się wcale brzydka.

- Uczysz się, kobieto, uczysz się. No, ale trzeba coś tu zmienić. Dla własnego dobra musi zerwać z tym lataniem do niego. A on powinien przyjechać do nas. Dlaczego przedtem

tego nie zrobił, nie mogę odgadnąć. Idź teraz do jej pokoju i zrób z tym porządek.

Parę minut później Mary Ellen zapukała delikatnie do drzwi Kate. Robiła to od jakiegoś czasu, chociaż nigdy nie pukała do pokoju pozostałych córek, a nawet synów.

Kiedy Kate odparła „proszę”, Mary Ellen weszła. - Nie położyłaś się jeszcze? - spytała.

- Nie, czytałam trochę.

- Szkodzisz swoim oczom, czytając przy jednej świeczce.

Popatrzyły na siebie. Kate miała na sobie szary wełniany szlafrok narzucony na niebieską bawełnianą koszulę. Długie czarne włosy spływały jej po ramionach sięgając pasa. Twarz przy świetle świecy wyglądała delikatnie. Widząc to Mary Ellen pomyślała: Jest warta miłości każdego mężczyzny.

- Czy coś się stało, mamó?

- To zależy jak na to spojrzeć, dziecko.

Mary Ellen przysiadła na brzegu łóżka i zaczęła skubać kciuk lewej ręki, skupiając uwagę na tej czynności. Odruch ten stał się nałogiem przez lata i wskazywał zawsze na wewnętrzną rozterkę. Po stracie swoich najmłodszych dzieci siedziała tak godzinami. Patrząc na jej ręce, Kate spytała cicho:

- Co się dzieje, mamó?

- Chodzi o twoje konne przejażdżki. Wywołasz wkrótce masę plotek.

- Dlaczego? - padło ostre słowo, które odciągnęło uwagę Mary Ellen od własnych palców ku twarzy Kate i wywołało nieprzerwany potok słów.

- Ludzie mają oczy i języki. Łączą twoje imię z tym człowiekiem. - Nie miała na to żadnego dowodu, ale pewność, że tak się stanie, pozbawiła ją skrupułów przed wyolbrzymieniem faktów. - Wkrótce staniesz się bohaterką niestworzonych historii. Co tydzień, regularnie jak w zegarku, jeździsz do niego. Dlaczego on nie może przyjechać do nas?

- Bo mu nie pozwoliłam. Dodacie dwa i dwa i wyjdzie wam z tego pół tuzina. Mamó - wyciągnęła rękę i położyła na kolanie Mary Ellen. - Prosiłam cię niedawno o trochę cierpliwości.

- Byłam cierpliwa, dziecko, i twój ojciec także, ale nasza cierpliwość jest na wyczerpaniu. Zamartwialiśmy się oboje na

śmierć przez... przez przyjazd Roddy'ego, twojego ojca. Poczuliśmy ulgę widząc jak go przyjęłaś. Ale po tym, co powiedziała Maggie...

Zwiesiła głowę, a Kate wtrąciła szybko: - A więc to przez Maggie i przez jej długi język.

- Dziecko, nie chcę, żebyś znowu cierpiała.

- Nie będę, mamó. Tylko dwoje ludzi na świecie jest zdolnych mnie zranić - ty i tato.

Mary Ellen zmarszczyła twarz i utkwiała wzrok w córce.

- A on, twój przyjaciel? - spytała.

- Nigdy mnie nie zrani.

- Wyglądasz na bardzo tego pewną.

- Bo jestem.

Mary Ellen podniosła się i powiedziała z zadumą: - No tak, świat się zmienia. W moich czasach nie istniało nic takiego jak przyjaźń kobiety z mężczyzną. Było albo wszystko, albo nic.

- Dobranoc, mamó. - Kate pochyliła się i pocałowała matkę, lecz Mary Ellen tym razem nie odwzajemniła pocałunku. Odwróciła się powoli. - Dobranoc, moje dziecko - odparła głucho.

Kate podeszła do drzwi i zamknęła je na zasuwę. Jediną osobą, która mogła ją jeszcze odwiedzić, była Florrie, a Kate nie miała dziś wieczór ochoty, by z nią rozmawiać. Podeszła do łóżka i opadła na kolana. Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła się modlić: Wskaż mi, co robić, Boże. Czekwała w przytłaczającej ciszy, póki nie nadeszła odpowiedź. Wówczas wstała, zdmuchnęła świecę i położyła się do łóżka.

Odpowiedź ta była bardzo prosta: rodzina nie musi wiedzieć, kim on jest. Nazywa się Benedykt Fraser Hamilton. Ród Bannamanów wymarł, z wyjątkiem babki Benedicta, która mieszkała w Ameryce i w dodatku była bardzo stara, więc nie stanowiła zagrożenia. Jakież było niemądre z jej strony tak się martwić. Pojutrze pojedzie i przyprowdzi Bena do domu.

\*

Wybrała się do Bena konno w czwartek i wróciła późno. Kiedy weszła do jadalni, wszyscy właśnie kończyli jeść i odwrócili się, by na nią popatrzeć. Miała zarumienioną twarz,

a oczy jej błyszczały. Zdjęła z głowy kapelusz, odsłaniając potargane włosy, i podeszła do stołu. - Przepraszam, że się spóźniłam - zwróciła się do matki.

Mary Ellen przyglądając się jej twarzy odparła spokojnie:  
- Włożyłam już obiad z powrotem do piekarnika.

- Nie jestem głodna. Zjem trochę chleba z serem... Mamo.

- Tak, dziecko?

- Czy zgodzicie się, żeby mój przyjaciel przyjechał w niedzielę na herbatę?

Pokój ogarnęła cisza. Przerwała ją Mary Ellen: - Pewnie, dziecko. Będzie mile widziany.

Kate skierowała wzrok na Hala i wypowiedziała pytająco tylko jedno słowo: - Tato?

Hal przeżuł ostatni kęs pożywienia i pokrył swoje zakroczenie rubaszością. - No nie wiem, nie wiem. A przyniesie ze sobą jedzenie?

Wszyscy mężczyźni roześmiali się, Florrie także, jedynie twarz Maggie pozostała poważna. - Każdemu, kogo tu przyprowadzisz, będziemy radzi - powiedział Hal.

- Dziękuję, tato. - Kate usiadła przy stole, a kiedy John podał jej tacę z pozostałościami chrupiącego chleba, popatrzyła mu w oczy i uśmiechnęła się.

Następna odezwała się Maggie: - Nie mogę się doczekać - powiedziała po prostu. A Florrie, by to załagodzić, wtrąciła prędko: - Ani ja, Kate. Charles mówi, że to wspaniały towarzysz, bardzo mądry i wiele podróżował.

- Na moich chrzestnych! - Gabriel udał, że się zakrztusił.  
- Zostanę w oborze, a wy dwaj lepiej mi dotrzymacie towarzystwa - zwrócił się do starszych braci - bo nie będziemy umieli znaleźć się w tak doborowej kompanii.

- Nie zamartwiał się tym, Gabrielu. Ben spotkał ostatnio masę głupców - odcięła się Kate. - Wie, że to nie wasza wina, że odznaczacie się niskim poziomem umysłu. Człowiek nic na to nie poradzi, że urodził się głupi.

Riposta wywołała śmiech, lecz nie był to śmiech z całego serca. Ich Kate się zmieniła. Nikt jednak nie umiał nazwać tej zmiany. Może tylko John był najbliższy prawdy, kiedy przyglądając się siostrze, pomyślał: Jakby przestała zdawać sobie sprawę z tego, jaka jest. Jakby jej wygląd i wzrost

przystały mieć dla niej znaczenie. A może doceniła się wreszcie. Cokolwiek to było, Kate była szczęśliwsza. I tylko to się liczyło.

## 10

---

Kate nie pojechała do przyjaciela w niedzielę po południu. To on miał przyjechać o trzeciej i od wczesnego ranka oczekiwano w napięciu tej wizyty. Można by powiedzieć, że oczekiwano jej przez ostatnie dwa dni, bo Mary Ellen tak się do niej przygotowywała, jak do wizyty ojca Kate.

Pracę w obejściu zakończono dziś wcześniej i mężczyźni przywdziali swoje najlepsze niedzielne ubrania, podobnie jak Mary Ellen i dziewczęta. Maggie na tę okazję dodatkowo ozdobiła szyję brązową aksamitką z delikatnym złotym medalionikiem, a we włosy, ułożone w loki spięte na czubku głowy, wetknęła aksamitną kokardę. Roztaczała wokół siebie silną woń wody lawendowej. W porównaniu z nią Kate wyglądała jeszcze bardziej pospolicie w szarej sukni, która pogrubiała jej figurę. Najwidoczniej świadoma tego, przewiązała się pod biustem jaskrawoniebieską szarfą.

Mężczyźni siedzieli w salonie, wszyscy w najwyższym stopniu niespokojni. Nawet Gabriel nie mógł wymyślić nic zabawnego, czym mógłby rozładować atmosferę. Kiedy prawie o trzeciej Mary Ellen, Florrie i Maggie weszły do pokoju, Hal przerwał swój spacer od okna do okna. - Powiedziała, że o trzeciej, prawda? Gdzie on jest? - zwrócił się do Mary Ellen.

- Dopiero za dziesięć trzecia.

- A gdzie Kate?

- W sieni. Siadaj i próbuj się zachowywać, jakby to nie było nic nadzwyczajnego.

- Phi! - z ust Maggie wyrwało się ciche parsknięcie, a matka zgromiła ją wzrokiem, choć nic nie powiedziała na ten temat. - Hej wy dwaj, siedzicie jak wypchane kukły. Nie możecie poczytać gazety? - zwróciła uwagę starszym synom.

- Zapomniałaś, że nie umieją czytać, mamo. - Żart Gabriela wywołał cichy chichot, lecz za chwilę uwagę wszystkich

w pokoju przykuł odgłos końskich kopyt. Hal rzucił się do okna. - Przyjechał... - zawołał.

Kate wyszła z drzwi frontowych do Bena, który właśnie zsiadał z konia. Natychmiast przejął go od niego Terry. Gdy Terry odprowadził już wierzchowca, Kate i Ben stanęli twarzą w twarz, po czym Ben zapytał półgłosem: - Jak wygląda sytuacja?

- Bardzo sztywno i uroczyście. Wszyscy siedzą jak na mszy w kościele. Benie - głos jej się z lekka załamał - będziesz ostrożny, prawda?

- Będę ostrożny. Jestem Benedykt Fraser Hamilton, jedyny żyjący Hamilton. Miałem przodków o nazwisku Fountain, jest to najszczęsza prawda. Nie wspomnę, że kupiłem farmę Rooklands. Ale zanim wyjadę, poproszę ojca o twoją rękę.

- Och, Benie. Cała dygoczę w środku.

- W porządku, kochanie. Będzie, jak sobie ułożyliśmy - uśmiechnął się do niej.

W sieni wyszli im na spotkanie Mary Ellen i Hal. Kate odkryła, że wróciła jej pewność siebie, że mówi ze swobodą, jak Maggie: - Poznałeś już moją matkę i ojca, pozwólcie więc, że wam przedstawię - pan Hamilton.

Hal wyciągnął rękę, a Ben ją uściśnął.

- Bardzo się cieszę mogąc pana bliżej poznać, panie Roystan. Panią także, pani Roystan. - Uściśnął dłoń Mary Ellen. Nic nie powiedziała tylko lekko skłoniła głowę i patrzyła, jak się rozgląda dookoła. Zaskarbił sobie też natychmiast jej sympatię stwierdzając nieoczekiwanie: - Jaka piękna sień.

Odparła: - Tak, całkiem miła. Czy zechce pan wejść i poznać nasze dzieci?

- Z przyjemnością.

\*

Chłopcy wstali, kiedy rodzice z gościem weszli do salonu. Maggie i Florrie pozostały na swych miejscach, jak je nauczono w szkole dla dziewcząt. Damy nigdy nie wstają, kiedy dżentelmeni wchodzą do pokoju.

Mary Ellen zaczęła przedstawiać synów: - To moi najstarsi - John i Tom.

- Miło mi poznać. - Ben wyciągnął rękę, a bliźniacy potrząsnęli nią bardzo energicznie.

- A to mój najmłodszy syn, Gabriel - zażartowała przełamując atmosferę sztywności: - Nosi anielskie imię. Lecz od samego początku czułam, że to pomyłka i z czasem ciągle na nowo okazuje się, że miałam rację.

- Oj, mamó. - Gabriel roześmiał się, a Ben mu zawtórował: - Cóż, upadłe anioły czasem powracają na szczyt. Ale znają państwo powiedzenie, że pan Bóg nie szczędzi rad, zaś diabeł płaci gotówką.

Wśród śmiechu Hal odparł: - Nie słyszałem tego wcześniej. No, a teraz pora przywitać się z moimi dwiema dziewczynami, które zresztą też pan już wcześniej spotkał. A potem proszę siadać i czuć się jak u siebie w domu.

Gdy Ben skłonił się najpierw Florrie, a potem Maggie, mówiąc za każdym razem: - Bardzo mi przyjemnie poznać panią - obie pochyliły głowy w lekkim ukłonie, a Maggie uśmiechnęła się słodko, wlepiając w niego wzrok. On także szacował ją spojrzeniem przez krótką chwilę, a potem zwrócił się do Hala. - Ma pan bardzo udaną rodzinę - powiedział.

- A tak, dziękuję, wcale niezłą. Pochodzi pan z licznej rodziny?

- Nie, niestety... - omal nie powiedział „na szczęście”. - Jestem jedynakiem.

- Mówiono mi, że pisze pan rodzaj książki na temat tych okolic. Czy pana przodkowie się stąd wywodzą?

- Tak, byli z tych stron.

- Jak się nazywali?

- Nosili nazwisko Fountain.

- Fountain. - Hal zmarszczył brwi, jakby próbując sobie przypomnieć to nazwisko, lecz odparł: - Nazwisko wydaje mi się znajome. W pobliżu nie ma jednak żadnych Fountainów. Tu i ówdzie biją źródła, ale nie ma żadnych fontann.

Ozwały się okrzyki: - Och, tato!

- No, chyba wolno mi zażartować! - wykrzyknął. - Pan Hamilton uważa, że to zabawne. Przy okazji, czy mamy do pana mówić po nazwisku?

- Wolałbym, żeby mówił pan do mnie Ben.

- To skrót od jakiego imienia?

- Benedykt.

Przez ten czas Kate siedziała naprzeciwko Maggie i Florrie. Ręce złożyła na kolanach i widać było, że wbija paznokcie w skórę. Powtarzała sobie, że nic się nie stanie, że Ben nie popełni żadnej omyłki. Nie padnie nazwisko Bannaman. Ale nie mogła pozbyć się uczucia skrępowania i cały czas patrzyła na Hala. Gdyby wiedział, kim naprawdę jest gość, wpadłby w taką irytację, że mógłby uczynić coś naprawdę strasznego.

- Czym się pan zajmuje? - odezwał się Tom.

- Mój ojciec prowadził warsztaty, gdzie projektowano i wyrabiano powozy - odparł Ben. - Właścicielem tego interesu był jego ojciec. Ojciec umarł przed dziadkiem, który ostatecznie sprzedał wszystko. Jakiś czas pracowałem tam, lecz nie miałem serca do interesów. Zdecydowałem się... pojeździć trochę po świecie, zanim wezmę się za inne zajęcie.

- Jaki rodzaj zajęcia ma pan na myśli?

Odwrócił się do Hala i odparł: - Szczerze mówiąc, nie zdecydowałem jeszcze. Byłoby bardzo miło, gdybym mógł powiedzieć, że farmerstwem, lecz niestety, nie znam się na tym. Może będzie to pisanie, jeszcze nie wiem.

- Cóż. - Hal wyprostował się. - Jeśli możesz sobie pozwolić na utrzymanie nie pracując, to wszystko w porządku. Choć mieszkanie na tym odludziu w starej ruderze niewiele kosztuje. Jak przetrwałeś zimą?

- Naprawdę nie wiem. Czasami nie wierzyłem, że mi się to uda.

- To dlaczego tam zostałeś? - zapytał Hal wprost.

Ben popatrzył na Kate. Jej twarz była pełna niepokoju. Opuścił głowę i po chwili dopiero odparł: - To długa opowieść. Jakiś czas temu przeżyłem coś bardzo bolesnego i potrzebowałem czasu, żeby móc uporać się z samym sobą. Czy rozumie pan, o czym mówię?

Hal nie miał pojęcia, o co chodziło temu człowiekowi. I nie mógł odgadnąć, dlaczego ktoś, kto mówił i zachowywał się jak wykształcony dżentelmen, mieszkał w warunkach, którymi wzgardził zwykły owczarz. To wymagało wyjaśnienia. Dobrze, że Kate i on byli jedynie przyjaciółmi, jako że typ bez środków na utrzymanie nie byłby dla niej dobrą partią. I czy było warto przez ostatnie dwa dni miotać się po całym domu i obejściu szykując wszystko, jakby miał ich odwiedzić co

najmniej majątny lord. Tymczasem zjawił się człowiek bez pracy, żyjący praktycznie w nędzy, jak prostak. Tak, jak prostak... Chwileczkę. Ale jego ubranie... Takiego garnituru nie można kupić w Allendale ani w Hexham. Z kieszeni kamizelki zwiesza się złota dewizka, na której końcu można się domyślać złotego zegarka. A jego buty uszyto z pierwszorzędnej skóry. Coś nieczystego było w tym wszystkim. Do tego jaki przystojny! Taki typ mężczyzny, który mógłby mieć każdą kobietę, jakiej tylko by zapragnął. Skąd więc ta przyjaźń z Kate? Nie żeby Kate nie była warta najlepszego. Musi dotrzeć do sedna sprawy, inaczej nie będzie spać po nocach!

Dotarł do sedna wcześniej, niż się spodziewał. Kiedy Annie bezceremonialnie pchnęła drzwi do salonu i zawołała gromkim głosem: - Herbata gotowa! - Mary Ellen prędko porwała się na nogi i stwierdziła: - Nareszcie coś, na co wszyscy czekamy i pewna jestem, że nie pogardzi pan filiżanką herbaty, panie Hamilton.

- Powiedział, żeby mówić do niego Ben - rzekł wstając Hal i obrzucił przeciągłym spojrzeniem Kate. - To chyba wypada, co? Mamy nazywać go Benem, czy nie?

Odwzajemniła spojrzenie, lecz nic nie odpowiedziała. Jaka zmartwiona i spięta, pomyślał.

Przy wejściu do jadalni Ben jeszcze raz zatrzymał się i rozejrzał, po czym odezwał się tonem usprawiedliwienia: - Wiem, że to niezbyt grzeczne z mojej strony, lecz te pokoje są takie urocze i umeblowane z takim smakiem!

Facet jak na światowca był trochę zbyt uprzejmy. Hal westchnął i popatrzył na Mary Ellen. - Pilnuj się, dziewczyno, on czegoś tu szuka - rzekł. - Na co Ben, patrząc na Mary Ellen, także odparł cicho: - Tak proszę pani, pan ma rację. Wkrótce do tego przejdę.

Cała rodzina zamarła i skupiła na nim uwagę. On także popatrzył na nich wszystkich, a następnie jego wzrok ponownie spoczął na Mary Ellen. Odezwał się, nadal cicho: - Ale najpierw chciałbym dostać obiecaną filiżankę herbaty, jeśli państwo pozwolą, a także podelektować się tymi pysznościami, które tu widać - wskazał gestem ręki stół. Po chwili, widząc, że Kate zamierza usiąść obok niego, odsunął dla niej krzesło. Siadając opuściła wzrok i pomyślała: Nie rozumieją

go. Nie mówi ich językiem... Delektować się pysznościami. Jego kurtuazja była dla nich czymś całkowicie obcym. Nawet pod tym względem nie uda im się dojść do porozumienia.

Leżąc przy stole, Ben opisał im historię rozwoju wypadków przy stole świadczącą o czymś innym. Ben podbił wszystkich opisami wielkich połaci ziemi do zagospodarowania w okolicach Houston i Galveston. Słuchając go, niemal widziała te wielkie przestrzenie, w większości zamieszkałe przez plemiona indiańskie Komanczów, Apaczy, Czejenów, Kiowa i Arapaho. A kiedy Gabriel zapytał, czy to prawda, że Indianie malują twarze i napadają na osady białych, powiedział lekko, bez zastanowienia, z pewnością z powodu obecności kobiet w towarzystwie, że strażnicy mają wszystko pod kontrolą. Na następne pytanie Gabriela opisał ludzi, którzy zostają strażnikami.

- Czy wyprawiałeś się kiedyś na Indian? - Tom zadając to pytanie, uśmiechnął się do Bena, a Ben odwzajemnił uśmiech skrzywieniem twarzy. - Ja miałbym wyprawiać się na Indian! - zaprzeczył. - Jestem spokojnym człowiekiem, co jest tylko inną nazwą tchórza. - Mężczyźni roześmiali się. Wszyscy z wyjątkiem Hala, który patrzył na stół spod oka, myśląc znowu: Gładko gada. Jest sprytny udając, że wziętyby nogi za pas przy napotkaniu niebezpieczeństwa. On odnosił zgoła inne wrażenie patrząc na tego człowieka, na zdecydowany zarys szczęki i oczy czarne jak węgiel...

Posiłek trwał około pół godziny. Trzy razy Annie wstawała od stołu i napełniała wielki brązowy dzbanek herbatą. Talerze z wieprzowiną, szynką i pasztetami zostały opróżnione. Zjedzono też wszystkie ciasta. Atmosfera się rozluźniła. Nawet Maggie ukazała się z najlepszej strony, zadając gościowi całkiem inteligentne pytania i wachlując przy tym długimi rękami „jak ptak trzepoczący skrzydłami” - jak powiedziała potem Annie. Zachowanie Maggie nie przeszkadzało Kate. Domyślała się, co chodzi Maggie po głowie. Skoro Kate była zaledwie przyjaciółką Bena, to była nadzieja, że ktoś inny zajmie bliższe jego sercu miejsce. Czemu tym kimś nie miałaby być ona? Czyż nie była ładna? Kate była ciekawa, jaka będzie reakcja Maggie, kiedy Ben oznajmi powód swojej dzisiejszej wizyty. Nie musiała czekać zbyt długo.

- No cóż, ktoś tu musi zdjąć odświętne ubranie i zabrać się do pracy - zerwał się Hal. - Dotyczy to także was trzech, słabeusze! - skinał na swoich synów. - A ty? - skierował te słowa do Bena. - Czy zechcesz pójść z nami i zobaczyć, jak wygląda praca na farmie?

- Powiniennem. Dziękuję bardzo.

Hal już miał wstać, kiedy coś sobie przypomniał: - Zdaje się, że chciałeś o coś zapytać. Czy chciałbyś to zrobić teraz, czy też jest to bardziej osobista sprawa?

Ben nie odpowiedział od razu, lecz odwrócił się do Kate i ujął jej rękę, przytrzymując w serdecznym uścisku. - To bardzo osobista sprawa, ale dotyczy całej waszej rodziny, ponieważ mam nadzieję zabrać Kate - zerknął tu na jej kredowobiałą twarz - z tego domu. Poprosiłem, żeby zechciała zostać moją żoną, a ona zaszczyciła mnie swoją zgodą. Teraz chciałbym prosić o błogosławieństwo. - Nie użył słowa „pozwolenie”. Nikt nawet nie szepnął ani się nie poruszył, gdyż Ben nie mógł powiedzieć nic bardziej zaskakującego. Oto ten człowiek mówiący cudzoziemskim akcentem, wykintny w zachowaniu, trzyma rękę Kate na oczach ich wszystkich, już nie na stole, ale przy swojej piersi. Jakaż między nimi jest różnica! To prawda, że Kate jest dobrą dziewczyną, nie ma lepszej, ale wyglądają jak dwa przeciwieństwa. On, płaski i chudy, przygarbiony jak rosochata wierzba, i Kate... cóż, po prostu dorodna dziewczyna - bez wątpienia Kate była okazałą, dorodną dziewczyną.

Pierwszy odzyskał mowę Hal; wstał i odsunął krzesło na bok. - Sądzę, że powinno to być załatwione na osobności. Wiele rzeczy jest do omówienia, młody człowieku, wiele do wyjaśnienia, i to zaraz.

- Skoro pan sobie tego życzy. - Ben wstał także.

Ciągle trzymał rękę Kate i wprowadził towarzystwo w jeszcze większe zakłopotanie, podnosząc ją do swego policzka. Patrzył przez chwilę na Kate. - Nie obawiaj się, moja droga, nie obawiaj się. Wszystko będzie w porządku - zapewnił, po czym wyszedł za Halem z pokoju.

W sieni zatrzymał się na chwilę i rozejrzał. Zobaczył pana domu stojącego przy drzwiach w końcu małego korytarzyka. Gdy podążył w jego kierunku, Hal otworzył drzwi do swego

gabinetu i wszedł do środka. Nie usiadł na swoim miejscu, lecz stanął tyłem do biurka i natychmiast rozpoczął: - A teraz, mój panie, wyjaśnijmy sobie parę rzeczy. Sam z tym wyskoczyłeś, kiedy powiedziałaś, że zamierzasz zabrać z sobą Kate. Dokąd, jeśli wolno spytać? Na górę, do chaty owczarza na odludziu? Kate przywykła do mieszkania w dobrych warunkach. Poza tym nikt o tobie nic nie wie. Kim w ogóle jesteś?

Przed Benem pojawiła się sposobność, by spokojnie ujawnić, kim jest. Ufał, iż człowiek ten jest wystarczająco rozsądny, by pogrzebać przeszłość i pozwolić mu odpokutować wszystko, co z niej mogło pozostać. Lecz dał słowo Kate i zorientował się już, że człowiek ów ma gwałtowne usposobienie, co nakazywało postępować ostrożnie. - Powiedziałem już panu, kim jestem - powiedział spokojnie. - Co do chaty owczarza, nigdy nie miałem zamiaru Kate tam zabierać, nawet gdyby wyraziła na to zgodę. Tak się składa, proszę pana, że jestem człowiekiem zamożnym. W tym kraju mam konto bankowe u Lloyda. Bank ten ma swoje oddziały w Londynie, a także w Newcastle. Dam dyspozycję, by udzielono panu informacji o zasobach finansowych, jakie przelałem z konta w Ameryce. Posiadam w Ameryce akcje przedsiębiorstwa produkującego powozy. Jestem posiadaczem domu o godnym uwagi stylu i znacznej wartości. W tej chwili mieszka w nim moja babka. Mam dosyć pieniędzy, żeby utrzymać siebie i Kate nic nie robiąc do końca naszego życia, gdybym tylko miał takie życzenie. Ale rozważałem możliwość osiedlenia się w tym kraju.

Wypowiedział to wszystko sztywno i rzeczowo, co wywarło odpowiednie wrażenie na Halu, który opadł na fotel za biurkiem. - Jeśli to wszystko, co mówisz, jest prawdą, po co żyjesz w takich warunkach? - spytał. - Dlaczego nie pokażałeś tu swojej twarzy wcześniej, skoro w twoich uczuciach do Kate było coś więcej niż, jak ona nam wmawiała, tylko zainteresowanie wymianą poglądów na temat książek?

- Jeśli chodzi o ostatnie pytanie - tego życzyła sobie Kate. Jak pan dobrze wie, miała za sobą przykre doświadczenie i bardzo się obawiała, że przypisze pan niewłaściwe znaczenie naszemu związkowi. Wołała wierzyć, że jest to tylko przyjaźń.

Lecz jeśli idzie o moje uczucia, od pierwszego naszego spotkania były one daleko więcej niż tylko przyjazne.

- No tak. - Hal wziął pióro i począł nim stukać w okładkę brązowego notesu, zdając się szukać odpowiednich słów, po czym podniósł głowę. - Niemniej mieszkanie w prymitywnych warunkach nie pasuje do człowieka zamożnego, którym się mienisz - rzekł.

- Nie nazwałbym mego mieszkania prymitywnym! Jest to urządzone wprawdzie skromnie, lecz wygodnie niewielka izba. Dotąd w zupełności mi wystarczała. Przyjechałem do Anglii w stanie, który mogę określić jako daleki od równowagi emocjonalnej.

- Co przez to rozumiesz? Wolałbym, żebyś wyrażał się jaśniej. Byłeś żonaty?

Ben uśmiechnął się na to i potrząsnął głową: - Nie, mogę uczciwie powiedzieć, że nie byłem wcześniej żonaty, ani też nie przyszło mi do głowy oświadczyć się komukolwiek zanim poznałem Kate. Mój stan emocjonalny spowodowany był przez... można powiedzieć, kłopoty rodzinne, coś, co wydarzyło się w przeszłości i pozostawiło przykre następstwa.

- No tak, lecz człowiek nie może brać na siebie odpowiedzialności za zachowanie swojej rodziny. Jeśli on sam jest w porządku, jest to jedyne, co się liczy.

- Bardzo się cieszę, słysząc to.

- Tak, gdybyśmy mieli odpowiadać za czyny naszych przodków, połowa z nas musiałaby umrzeć ze wstydu.

Ben wpatrywał się w Hala. Gdyby teraz wyjawiał, kim byli jego przodkowie, człowiek ten nie akceptując go zaprzeczyłby własnym słowem. Gdyby tylko nie przyrzekł Kate, że będzie milczał!

Jednakże niemal natychmiast przekonał się, jak wiele racji miała Kate, gdy siedzący przed nim człowiek zmienił nastrój i ton głosu. - Naturalnie, jak ze wszystkim, tak i tu są wyjątki. Zła krew może być przekazywana z pokolenia na pokolenie i to nie tylko w męskiej linii, jak twierdzą niektórzy, ale też w żeńskiej. O tak, Bóg mi świadkiem, że także w żeńskiej.

Zdawało się Benowi, że Hal zapomniał o jego obecności, gdyż siedział nieporuszony i wpatrywał się w brązowy notes. Pióro wypadło mu z palców, które wyprostowały się, jakby

przygotowane do chwycenia czegoś. Po chwili Hal westchnął i podniósł głowę. Kolejny raz mierzyli się spojrzeniami.

- Cóż, dobrze - przemówił Hal wstając z miejsca. - Chodźmy lepiej rozwiać obawy Kate, aczkolwiek wiedz, że będę miał jej do powiedzenia parę słów na temat jej podstępного zachowania. Jej matka także. Jeszcze jedno - wpił palce w ramię Bena. - Co do zabrania jej stąd, nie myślisz chyba o Ameryce?

- Nie, ani przez chwilę, w rzeczy samej w ogóle nie mam zamiaru jej wam odbierać. To było niezbyt fortunne sformułowanie. Wiem, że to niemożliwe, bo żywi ona głębokie uczucia dla rodziny, szczególnie do pana i do swojej matki. Jej jedynym celem w życiu zdaje się nigdy nie sprawić wam bólu.

- Nigdy nie sprawiła. To wspinała dziewczyna i jest dla mnie jak moje własne dziecko. Jak przypuszczam, wiesz, że nie jest. Założę się, że słyszałeś o wizycie jej ojca.

- Tak, słyszałem. Lecz dziwnym sposobem to zdarzenie pogłębiło jedynie miłość, którą czuje do pana.

- No tak - pokręcił z zakłopotaniem głową, po czym powiedział szorstko, lecz z przypominającym uśmiech grymasem twarzy: - Chodźmy, nasłuchałem się dosyć tej twojej gadaniny, niech pozostali też jej posłuchają.

Ben odwzajemnił uśmiech myśląc równocześnie: Cóż za typ. Wyśmienie nadawałby się do Galveston, zwłaszcza gdy wchodziłyby w grę interesy. Temu człowiekowi nie da się zamydlić oczu.

Charakterystyka ta jednak wywołała niepokojącą myśl: Jak się zachowa, gdy się przekona, że Kate dosłownie zamydliła mu oczy?

Nieoczekiwany dreszcz przeniknął jego szczupłe ciało i powróciło uczucie strachu doświadczane często w dzieciństwie: wszechpotężna sylwetka matki rzucająca się na niego z wyciągniętymi rękami zamierzającymi go udusić. Uczucie to było tak silne, że musiał użyć całej siły swej woli, by odzyskać równowagę zanim wszedł do salonu i stanął naprzeciw oczekującej wyniku rozmowy rodziny.

Hal czuł się kiepsko przez ostatni tydzień. W miarę upływu lat dawała o sobie znać choroba wszystkich hutników, szczególnie dotkliwie jesienią i wczesną zimą. Lecz dopiero teraz zatrzymała go w łóżku. Dwa dni Mary Ellen raczyła go miksturami podobnymi do tych, jakie aplikowała na te dolegliwości stara Kate. Nasmarowała mu klatkę piersiową gęsim smalcem i przykładała do nóg nagrzaną blachę z piekarnika. Lecz mimo że przez te dwa dni niewiele mu się polepszyło, uparł się, by wstać i siedzieć w gabinecie, w którym można było wytapiać ołów, tak było w nim gorąco.

Cały rano przesiedział ślęcząc nad rachunkami. Zbiory nie były dobre, o więcej niż jedna czwarta gorsze niż w ubiegłym roku - kiedy więc odebrał mąkę z młyna, musiał ją wycenić na około osiemnastu szylingów za worek. Za ziemniaki musiał wziąć zblizoną cenę, co utrudniało sprzedaż. Wszystkie ceny poszły proporcjonalnie w górę. Co będzie dzisiaj z cenami drobiu, nie miał pojęcia. Lecz jak zwykle polecił chłopcom zaczekać i sprawdzić ceny na rynku przed wyceną masła i jajek.

Dziś rano towar na targ zawieźli Gabriel i Tom. Pojechali z nimi jedynie Kate i Florrie. Florrie miała spotkać się w Hexham z Charlesem i wrócić razem z nim, bo został zaproszony na kolację. Kate miała zobaczyć się z Benem i także wrócić z nim na kolację. Mary Ellen bała się, że Ben nie przyjmie zaproszenia. Według niej coś dziwnego było w tym związku. Przez ostatnie dwa tygodnie nie zajął nawet do ich domu. Kate jeździła do niego. To nie uchodzi, żeby kobieta jeździła do narzeczonego tak często. W całym tym romansie coś było nie w porządku, lecz nie mogła odgadnąć, co to takiego.

Popatrzyła w stronę Hala. Siedział w pobliżu kominka okutany wielkim szalem, ona zaś siedziała tak daleko od ognia, jak tylko się dało. Pokój nie był zbyt wielki, a ogień w kominku okazały. Było jej bardzo gorąco, a palce migały przy robótce. Wykańczała właśnie haftowany czepek, jaki zwykle nosiło się w tych stronach dla ochrony przed słońcem. Przyszywała rondko do wykroju szyi. Był to specjalny czepek,

przeznaczony do wyprawy Florrie. Nie było właściwie potrzeby wyposażania Florrie w dużą ilość podobnych czepeków. Niemniej Charles był farmerem, a Florrie mogło się zdarzyć kiedyś wyjść na pole, by pomóc na przykład przy sianie. Mary Ellen była szczęśliwa z powodu Florrie. Świetnie trafiła, lepiej nie można sobie życzyć. Podobnie zresztą Kate, przynajmniej tak się wydawało. Człowiek zamożny, tak powiedział o Benie Hal, bardzo zamożny. Kate w ogóle nie będzie potrzebny taki czepek.

- A co z Maggie?

Zadane pytanie wywołało jej irytację. Maggie była trzpiotką, co musiała przyznać z przykrością. Nie zadowalali jej dwaj obecni konkurenci i zaferowała się, że zanieś wiktuały na sprzedaż do Bostonów tylko dlatego, że podobno Andrew przyjechał do domu. Andrew Boston, podobnie jak Hugh, studiował prawo. Hugh odwiedził ich w zeszłym tygodniu i żartując z Maggie powiedział, że wszyscy chłopcy w Newcastle słyszeli już o niej. Przypadkowo wspomniał też, że pytał o nią Andrew Boston. Było to powiedziane tylko dla żartu, bo Andrew cały czas z przerwami zalecał się do Lily Quale od kiedy byli dziećmi. Stało się to nawet rodzinnym powiedzeniem. Mawiano - tak długie, jak zaloty Andrew Bostona. A tu nagle dzisiaj rano Maggie zaofiarowała się, że zanieś jedzenie do małego dworku. Chciała, jak to ujęła, upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, gdyż miała także zanieść nici do haftowania dla Betty. Tak jej było pilno, że sama zaprzęga konie do dwukółki, co niemal wywołało cięty dowcip ze strony Gabriela - jej surowe spojrzenie powstrzymało go w ostatniej chwili. Wszyscy dobrze wiedzieli, że o ile Maggie jest doskonałą gospodynią w domu, o tyle nie cierpi prac w obejściu.

- Co mówiłeś? - Mary Ellen pochyliła się, a Hal ochryplym, podobnym do skrzeku głosem, powtórzył: - Mówiłem, że dom nie będzie taki sam, gdy zostanie nam tylko Maggie.

- Och, do tego jeszcze cały rok, przynajmniej jeśli idzie o Florrie. Gdyby Maggie zdecydowała się na zamążpójście, wyfrunie choćby jutro. Znasz Maggie.

Oboje unikali tematu przyszłości Kate, chociaż myśl ta zajmowała ich najbardziej. Gdy Hal zaniósł się ciężkim,

rozrywającym klatkę piersiową kaszlem, Mary Ellen rzekła:  
- Przyniosę ci coś gorącego.

Zaprotestował machając do niej ręką, póki nie odzyskał oddechu i mowy: - Mam dość gorącego picia. Napiłbym się piwa.

- A może lepiej rumu?

- Kobieto, powiedziałem, małe piwo. Muszę dostać coś, czym da się przepłukać gardło.

- Dobrze, już dobrze - zgodziła się. - Dostaniesz coś na przepłukanie gardła, lecz w środku powinieneś mieć coś gorącego, nie zimnego. Ale ty wiesz najlepiej, prawda?

- Tak, wiem najlepiej.

Gdy wyszła z pokoju, siedział przez chwilę uśmiechając się do siebie. Potem jednak twarz jego przybrała poważny wyraz, odzwierciedlając niewesołe myśli: nigdy wcześniej nie bał się o siebie, lecz ostatnio czuł się paskudnie. Widywał ludzi umierających na hutniczą chorobę, również w bardzo młodym wieku. Uważał się za szczęściarza, że odszedł z huty. Lecz najwidoczniej nie zrobił tego wystarczająco wcześnie. Poza tym rana zadana przez córkę Bannamana też nie była bez znaczenia. Od czasu do czasu czuł w tym miejscu ból nie do zniesienia. Był wściekły na swoją słabość. Oto on, niespełna pięćdziesięcioletni, nie wyglądający na swój wiek mężczyzna, większość czasu pracujący jak dwudziestolatek, a wewnątrz zaczyna się rozkład. Pocieszał się, że huta zabijała ludzi koło trzydziestki. Kiedy już przeżyło się ten wiek, choroba przekształcała się w coroczne napady dolegliwości. Wystarczyło popatrzeć na Boba Hancocka, który skończył osiemdziesiąt lat. Kaszlał przez całe czterdzieści lat. Albo na Petera McIlroya. Ma dobrze po sześćdziesiątce, jakieś dziesięć lat temu przestał pracować w hucie i ciągle trzyma się dobrze.

Siedział wyliczając tych, co przeżyli, życząc sobie nie pamiętać nazwisk zmarłych, gdy otworzyły się drzwi i wszedł John w samych skarpetkach.

- Ojej! Chciałbym tu spędzać dzisiejszy dzień - rzekł na powitanie. - Jak się czujesz?

- Dobrze. Gdyby nie wasza matka, byłbym na dworze. Rozpieszcza mnie i psuje bez ustanku.

- Tak, powinieneś być na dworze - John stał, kiwając nad ojcem głową. - Tylko udajesz, że jesteś chory. Wszystko, żeby ułatwić sobie życie. Kaszel, pochrząkiwanie, plucie, tylko żeby pokazać, jak źle się czujesz.

- Uważaj, ciągle mam dość siły w pięści, żeby cię nią poczęstować.

- Tak, pewnie - głos Johna spoważniał. - Musisz zbierać te swoje siły i przestać być tak niezdolnie upartym. Wbij sobie wreszcie do głowy, że farma nie pójdzie w ruinę tylko dlatego, że nie pokażesz się na podwórku co rano o piątej. Jest nas oprócz ciebie czterech i jeśli nie poradzimy sobie teraz, nie poradzimy sobie nigdy.

- Myślisz, że możesz rządzić po swojemu, co? Chciałbyś mnie wepchnąć w kąć z fajką w zębach, plotącego głupstwa?

- Oho, już to widzę. - John uśmiechnął się i zwrócił do Mary Ellen, która właśnie weszła do gabinetu.

- Wiesz, co ojciec mówi?

- Nie, cóż takiego?

- Ano mówi, że ma dosyć pracy na farmie i chce sobie siedzieć w kącie z fajką w zębach.

Popatrzyli na siebie porozumiewawczo i roześmiali się. Hal jednak nic nie powiedział, podniósł tylko dumnie podbródek, wyciągnął ręce po kufel z piwem i miał właśnie pociągnąć pierwszy łyk, kiedy dał się słyszeć głos: - Mamo! Mamo! - Popatrzył na Mary Ellen, a ona na niego: - To nasza Maggie. Wcześniej wróciła.

- Pewnie pędziła do domu pochwalić się, że złapała Andrew - skwitował John.

- Nie opowiadaj głupstw. - Mary Ellen podeszła do drzwi, by je otworzyć, lecz klamka wyslizgnęła się jej z ręki, a drzwi się otwarły pchnięte przez Maggie. Twarz miała zaczerwienioną, roziskrzona oczy i była zdyszana.

- O co chodzi? Co się stało?

- Chodź na chwilę. Mam ci coś do powiedzenia.

- Mów, proszę. Co to takiego?

Maggie ruszyła krok do przodu, ale zobaczyła ojca i dwukrotnie otworzyła i zamknęła usta zanim wykrztusiła: - Lepiej powiem najpierw mamie.

- Chodź tutaj. - Głos Hala zabrzmiał jak wściekłe warknięcie. Maggie zerknęła na matkę z lękiem, lecz posłusznie weszła dalej do pokoju.

- No, co to za nowiny wielkiej wagi masz nam do przekazania, że czerwienisz się jak burak? Pewnie powoziłaś tak szybko, jakby po drodze ścigali cię zbójcy. No, gadajże, dziewczyno.

Maggie patrzyła to na ojca, to na matkę, a wreszcie na Johna, który by jej pomóc, spytał: - A może to babskie sprawy, Maggie?

Potrząsnęła głową.

- Co się dzieje, dziecko?

Maggie zwróciła się do matki i cichym głosem, jakby nikogo innego nie było w pokoju, rzekła: - Chodzi o niego.

- O kogo?

- O niego. O rzekomego przyjaciela Kate, o jej narzeczonego. - Ostatnie słowo wymówiła z naciskiem.

- Cóż takiego masz nam o nim do powiedzenia?

Maggie zwróciła się teraz do ojca: - Nie spodoba ci się to, tato.

- Cokolwiek to jest, pędziłaś tu na złamanie karku, by nam to powiedzieć, a więc wykrztuś to z siebie wreszcie.

- Nie jest taki, jakiego udawał, bo... A ona, podstępna i przebiegła, musiała wiedzieć.

- Na Boga, dziewczyno, wykrztusisz, o co chodzi czy nie.

- Hal porwał się na nogi. Maggie cofnęła się bliżej matki i wybąkała: - On... on kupił farmę Bannamana.

Wszyscy utkwili w niej wzrok, nie wierząc własnym uszom.

- To nieprawda. - Głos Mary Ellen zabrzmiał syczącym szepem.

- To prawda, mamó, prawda. Andrew słyszał o tym w Newcastle. Wczoraj przejeżdżając koło Rooklands widział robotników i zagadnął ich. Lecz majster powiedział, że wynajęci zostali przez agenta. Andrew dowiedział się prawdy okrężną drogą, bowiem syn agenta mieszka w pokoju obok niego i też studiuje prawo. Opowiadał o Amerykaninie, dla którego załatwiał interesy jego ojciec, kupując farmę w sąsiedztwie Andrew. W taki sposób sprawa wyszła na jaw.

- Boże, to prawda! - wykrzyknął Hal i zakończył ten okrzyk rykiem. Mary Ellen skurczyła się, a Maggie odsunęła

się do tyłu pod szafkę ze strachu. Wszyscy byli pewni, że rzuci w nich zaraz szklanym przyciskiem do papieru, który zacisnął w ręce. I pewnie by to zrobił, gdyby John nie pospieszył z uspokajającym stwierdzeniem. - Czekał, tato. Powstrzymaj się chwilę. Mógł zrobić to w nieświadomości. Mógł nic nie wiedzieć.

Hal ścisnął szal, którym miał okręconą szyję i przez chwilę zdawało się, że zaraz zacznie się dusić. Kiedy jednak Mary Ellen w odruchu troskliwości rzuciła się w jego stronę, odepchnął ją i opadł na fotel, waląc pięścią w blat biurka i mówiąc do siebie ochrypłym głosem: - Ona musiała wiedzieć. Cały czas musiała wiedzieć.

Popatrzył na Mary Ellen i rzekł: - Dasz wiarę? Kate musiała przecież wiedzieć.

- Musi istnieć jakieś usprawiedliwienie - wtrącił się znowu szybko John, lecz Hal ponownie wpadł w furję i krzyknął: - Usprawiedliwienie! Przesiadywała bez końca u niego, a potem go tu przyprowadziła! A on siedział przy naszym stole i zamydlił nam oczy swoją amerykańską paplaniną. Usprawiedliwienie! Domu nie kupuje się z dnia na dzień. To zabiera dużo czasu, spotkań, podpisywania dokumentów. Albo to nie wiem. Ale to wyjaśnia jej zmartwiony wygląd, rzekłbym nawet - wygląd winowajczynie. Nigdy nie uwierzyłbym w to, że coś takiego spotka mnie z jej strony. Nigdy! Nigdy! Nigdy! - walił pięścią w biurko, podkreślając każde wypowiedziane słowo. - Dałbym głowę za jej lojalność. A co do ciebie, dziewczyno - całą swą uwagę zwrócił teraz ku Maggie - zadowolona jesteś, że przyniosłaś nam takie wieści, prawda? O tak, jesteś. Złamać kark, byle tu wrócić i móc nam to powiedzieć. Jeszcze jedna krętaczka. Precz z moich oczu! Wynos się!

Jego gniew był tak wielki, że Mary Ellen pospiesznie odwróciła się i wyprowadziła Maggie z gabinetu. John z trudem panując nad tonem swego głosu, spytał: - Dlaczego wyżywasz się na niej?

- Bo jest mściwa!

- Ale rad jesteś, że to jedno z nas przyniosło tu tę złą nowinę. Gorzej byłoby usłyszeć ją od kogoś obcego, prawda? Nie mógłbyś wtedy wpaść w pasję.

- Teraz ty nie zaczynaj. Ostrzegam cię, na Boga, nie zaczynaj!

- Nie zaczynam, tato. - Ton głosu Johna był sztywny. - Zamierzam tylko coś ci powiedzieć. Jeśli Kate trzymała w tajemnicy fakt kupna przez niego farmy Bannamana, miała po temu całkiem dobry powód. Pierwsza rzecz, która przychodzi na myśl, to, że się bała, jak to przyjmiesz.

- Ona nie może tam zamieszkać. Nie pozwolę jej - Hal aż podskoczył w fotelu.

- Nie wiem, co możesz na to poradzić, jeśli już się zdecydowała.

- To się rozmyśli. Będzie musiała. Jest mi to dłużna. A dlaczego? Opiekowałem się nią od dnia, kiedy się urodziła. Właściwie ja pomogłem jej przyjść na świat. Jest dla mnie kimś wyjątkowym...

- Tak, wiemy o tym wszyscy - ton głosu Johna ściągnął na niego wzrok ojca.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Nie zaniedbywałem żadnego z was.

- Nie, nikogo z nas nie zaniedbywałeś, ale Kate była u ciebie zawsze na pierwszym miejscu i wszystkim nam to uświadamiałeś w taki czy inny sposób.

- To wstrętne oszczerstwo. Nigdy nikogo nie faworyzowałem.

- Och, tato, tato. Nie wychodziło ci to. Ja i Tom jesteśmy najstarsi, jesteśmy chłopcami, więc nie mieliśmy ci tego za złe. Ale Maggie miała. Tak samo jak zresztą Florrie, na swój własny grzeczny sposób. Kiedy zaczęło się o tym mówić, to ona cię usprawiedliwiała. Tłumaczyła, że chcesz wynagrodzić Kate to, że nie jesteś jej ojcem, że jest tylko w połowie z nami spokrewniona jako przyrodnia siostra. Ze to dlatego wiecznie było Kate to, Kate tamto, jak dobitnie określiła Maggie. Dlatego mogę zrozumieć dzisiejszą postawę Maggie: po prostu odpłaca nie tylko Kate, ale i tobie.

- Mój Boże! - Hal zaczerpnął powietrza. - Dzień objawienia. Pokazano mi, jaki jestem.

- Nie żartuj, ojczu. Wiesz, że to, co mówię, jest prawdą. I jeśli posłuchasz mojej rady, powinieneś uspokoić się, zanim przyjdzie Kate, bo z wylewania na nią wściekłości nic

dobrego nie wyniknie. Ona może wstać i odejść od nas, wiesz o tym.

- Nigdy tego nie zrobi. Nigdy.

- Ależ zrobi. W pewnym sensie znam Kate lepiej niż ty, ponieważ nie patrzę na nią tak jak ty - jak na twoją własność. Dla mnie jest po prostu siostrą. A co więcej, jest kobietą. Nie jest już dziewczynką i nic jej nie powstrzyma przed odejściem do niego, tak samo jak nic nie powstrzyma jego przed pozostaniem człowiekiem zamożnym. - John przerwał i wyciągnął palec w stronę ojca, mówiąc: - Właśnie. Wiesz, to może być wyjaśnienie. Nie wiedząc nic o Bannamanach i ich farmie, chciał zrobić jej niespodziankę kupując to miejsce i remontując, żeby je ofiarować jako coś w rodzaju... prezentu ślubnego.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia, po czym Hal powiedział: - Chciałbym tak myśleć, wtedy tylko z nim musiałbym się rozprawić.

- Myśl tak, dopóki nie wróci Kate, wtedy będziesz wiedział na pewno. Teraz siadaj i uspokój się. Muszę wracać do pracy.

John odwrócił się, wyszedł z pokoju i natknął się na Mary Ellen przemierzającą szybkim krokiem sień. Zatrzymał się na chwilę. - Lepiej módl się, mamó, żeby Kate nic nie wiedziała, w przeciwnym razie będzie musiała zapłacić prawdziwym piekłem - rzekł. - Mary Ellen nic nie powiedziała, lecz poszła do gabinetu, myśląc: Tak czy inaczej, zapłaci piekłem, bo coś z nią nie jest w porządku. Od kiedy spotkała tego człowieka, zmieniła się nie do poznania... Poza tym jakaś tajemnica tkwi w nim samym. Jaka, tego Mary Ellen nie umiałyby określić. Była pewna tylko jednego - nie jest tym, za kogo się podaje.

\*

John wyszedł na spotkanie Kate i odetchnął z ulgą widząc, że przyjechała sama. Przyjechała przed furmanką, którą nieco wolniej jechali Charles i Florrie. Miał więc trochę czasu, żeby powiedzieć: - Lepiej się przygotuj na czekającą cię burzę. Domyślasz się, o co chodzi?

Wlepił w nią spojrzenie, lecz kiedy nie kwapiła się z odpowiedzią, rzekł: - Wie już o domu... który kupił Ben. - Zobaczył, że siostra bierze głęboki, urywany oddech. Kiedy

wszystko, co miała do powiedzenia, ograniczyło się do: - Ach tak! - natarł na nią: - Jak możesz mówić „ach tak” w taki sposób? Czy masz pojęcie, co zrobiłaś?

- Niczego nie zrobiłam, Johnnie.

- Tak, ale wiedziałaś i nic nie mówiłaś, prawda?

- Miałam powód i to dobry, jak pewnie przekonałeś się na własnej skórze. Gdyby to usłyszał, wpadłby we wściekłość.

- Wściekłość to dobre określenie. Lepiej idź tam i przebrnij przez to, zanim przyjedzie reszta.

Gdy podała mu cugle, zmienił temat: - Jak dzisiaj poszło na targu? Będzie chciał to wiedzieć, kiedy się już uspokoi.

- Nie będzie się miał z czego cieszyć. Ceny znów podskoczyły. Ludzie nie kupują. Niektórzy mogą sobie pozwolić, żeby czekać. Przywieźliśmy z powrotem cztery tuziny jajek i dziesięć funtów masła.

- Boże miłosierny! Że też musiało się to zdarzyć w taki dzień!

W kuchni Kate napotkała Annie. Maggie też tam siedziała, lecz nawet nie spojrzała na Kate. Siedziała tyłem z twarzą zwróconą do ognia.

- Widziałam, że John już z tobą rozmawiał - powiedziała cicho Annie. - Przygotuj się na gromy z jasnego nieba, które na ciebie polecą. Mów prawdę i zawstydz starego czorta. To najlepsze wyjście.

Kate nie ruszyła z miejsca od razu, lecz patrząc na Annie rzekła cicho: - Gdyby to było takie proste, Annie, nie bałabym się. - Po czym wyszła z kuchni, zostawiając starą piastunkę, która patrzyła w ślad za nią, kręciła głową i zagryzała wargi.

Przed drzwiami gabinetu Kate zatrzymała się, by zebrać myśli. Nacisnęła klamkę i weszła energicznie do środka, by znaleźć się naprzeciwko siedzących obok siebie rodziców, którzy utkwili w niej badawcze spojrzenia.

Mary Ellen podniosła się z miejsca i powiedziała spokojnie:

- Czekaliśmy na ciebie, dziecko.

- Co jest zrozumiąle. - Kate nie spuszczać wzroku z Hala powiedziała: - Zanim zaczniecie na mnie krzyżeć, pozwólcie, że wam coś powiem. Nie będzie to cała prawda, mówię to od razu, ponieważ całej prawdy nie bylibyście w stanie znieść. Nie wiedziałam wcześniej o kupnie domu.

Dowiedziałam się dopiero po fakcie i byłam tak samo wstrząśnięta jak wy. Gdybym nie kochała go tak bardzo, odwróciłabym się od niego. Właściwie nawet spróbowałam, ale bez skutku. Nie wyobrażałam sobie nigdy przedtem, że można żyć do kogoś takie uczucie. Cokolwiek robi, uważam za dobre dla siebie, bo - podniosła rękę, by uciszyć Hala - jeszcze chwilę, tato. Powtarzam, cokolwiek robi, zgadzam się z tym, bo to dobry człowiek. Powiem jeszcze i to, że skoro myślisz, że twoja młodość była jednym wielkim piekłem, to mówię ci, to wszystko nic w porównaniu z tym, co on przeszedł. Walczył o normalne życie, można powiedzieć, że o powrót do równowagi. To tyle, co potrzeba, byście wiedzieli o jego życiu, na razie. Jeśli zaś idzie o dom, kupił go w określonym celu.

- Mogłaś nam o tym powiedzieć.

Podeszła bliżej do Hala i popatrzyła w dół: - Mogłam? Jak miałam przyjść tutaj i powiedzieć radośnie: „Ben kupił farmę Bannamana”, wiedząc, że sama nazwa tego miejsca wyprowadza cię z równowagi i że nie ścierpisz myśli, że będę tam mieszkać.

- Mój Boże! Nie będziesz tam chyba mieszkać? O nie! Nie pozwolę na to. - Wstał i patrzył na nią ponuro. - Nie, Kate, tego nie możesz mi zrobić. Nie możesz tam zamieszkać.

- Ben tego nie rozumie.

- Cóż, wyjaśnię mu to sam. Przyprowadź go tutaj, a opowiem mu tę całą historię.

- Już ją zna.

- Boże! Zna całą historię i kupuje farmę, by cię tam zabrać. Jest najczystszej wody łądakiem!

- Halu! Halu! - Mary Ellen ścisnęła go za ramię. - Prze- stań. Nie przyniesie to nic dobrego. Usiądź - popchnęła go na powrót na fotel.

- Słyszałaś, co powiedziała? Wiedział o wszystkim, znał całą historię! - krzyknął.

Mary Ellen popatrzyła ze smutkiem na Kate, a Kate odwzajemniła spojrzenie. - Wyobraża sobie, że wypędzi stamtąd demony zła - odezwała się cicho. - Jak wiecie, to piękny dom, a wszystko, co się w nim zdarzyło, jest przeszłością. To wszystko było dwadzieścia lat temu!

- Nie mogę w to uwierzyć - mruzczał Hal, trzymając się za głowę. - Wprost nie mogę w to uwierzyć. - Spojrzał na Kate i spytał: - Czy przeszedł przez załamanie nerwowe czy coś w tym rodzaju? O czym wcześniej mówiłaś, kiedy wspomniałaś o powrocie do równowagi?

- Nie, to nie tak, jak sobie wyobrażasz. Cierpiał przez kogoś, kto był umyślowo chory.

- Poddaję się. Poddaję - wpatrzył się w ogień płonący na kominku.

Kate powiedziała łagodnie: - Przenigdy na świecie nie chciałabym cię zranić, ojczu. Ben wie o tym. Ale nic nie poradzę, że go kocham. Skądinąd powinieneś to rozumieć - twoje uczucie do mamy - popatrzyła na Mary Ellen - i jej miłość do ciebie; cóż, w pewnym sensie czuję, że jestem szczęśliwa, nie tylko dlatego, że znalazłam kogoś, kogo kocham, ale także dlatego, że kocha mnie mężczyzna taki jak on. Kocha mnie, wiem to na pewno, i oddałby za mnie życie. Nie mogę zrozumieć dlaczego, skoro wyglądam tak jak wyglądam i skoro wie, że mężczyźni w okolicy dotąd mnie nie dostrzegali z wyjątkiem Harry'ego Bakera. Harry Baker był niczym innym jak ostatnią deską ratunku. Ale wtem zjawił się człowiek dobrze urodzony, który wyznał mi miłość od pierwszego wejrzenia. Ja także zakochałam się w nim, kiedy go tylko ujrzałam. W moim pojęciu to jest jak cud, a cudów się nie lekceważy, cud chwycić należy oburącz i trzymać mocno - by podkreślić te słowa, złączyła ręce i przycisnęła mocno do piersi.

Hal i Mary Ellen patrzyli na nią. Zdawali się zahipnotyzowani jej przemową. Wówczas Hal, opierając się zdrowemu rozsądkowi, kolejny raz uderzył pięścią w biurko. - Kochasz go, to trudno, ale dom to co innego. Nie możesz się tam wprowadzić i zamieszkać, wiesz, że nie możesz! - krzyknął.

- Dlaczego nie? - padło ciche pytanie.

Teraz już niemal krzyczał na nią ochrypłym z wściekłości głosem. - Wiesz, co się tam wydarzyło. Wiesz, kto tam mieszkał. Człowiek, którego własnością był dom, zamordował twój rodzonego dziadka i mojego ojca, a jego córka ukrzyżowała mnie. Właśnie tak, ukrzyżowała. Do dziś w snach

dreńczy mnie ten koszmar. Matka może zaświadczyć - wskazał palcem Mary Ellen, lecz nie spuszczał z Kate wzroku. - Budzę się z jękiem, nie mogąc krzyczeć, bo zakneblowała mi usta, ta diablica, ten demon w ludzkiej postaci, wychowany w tamtym domu. Nawet teraz jeszcze czuję ból w stawach przez to związanie. A ty, wiedząc o tym wszystkim, pójdiesz i tam zamieszkasz... Czy on wie, że ten dom czterokrotnie kupowano, ale najdłużej wytrzymało w nim pięć lat? Dwóch właścicieli zostało tam jedynie po półtora roku. Cokolwiek posiano, nie wschodziło jak należy. To miejsce jest przeklęte. Dlaczego nikt tamtędy nie przejedzie po zapadnięciu zmroku, nawet dzisiaj? - Przerwał i łamiącym się głosem dodał: - Są tu inne farmy do wydzierżawienia lub na sprzedaż, dlaczego wybrał właśnie tę? Pewnie jak paru innych, którzy się na nią zdecydowali, zasłyszał o ukrytych gdzieś na jej terenie łupach. Tego przecież ta diablica i jej brat szukali tamtego dnia, kiedy mnie schwytali. Słyszał o tym?

- Nie, nie sądzę - odparła głucho. - Z tego, co wiem, nie potrzebuje pieniędzy.

- Nie, nie? To jeszcze jedna rzecz, którą chciałbym, żebyś mi wytłumaczyła. Dlaczego człowiek zamożny zaszywa się w chatce niewiele większej od chlewa, wysoko na odludziu. Nikt tam nie mieszkał od dziesięciu lat. Ostatni był Joe Stollard, samotny i słaby na umyśle. I - podniósł głos - ty też musisz być niespełna rozumu. Ta cała historia jest podejrzana.

- Daj spokój - Mary Ellen trąciła Hala ręką. Odwróciła się i prędko podeszła do Kate. - Siadaj, dziecko, siadaj - posadziła ją w fotelu. A kiedy Kate usiadła ze zwieszoną głową, Mary Ellen odwróciła się do Hala, grymasem twarzy dając znak, by nie protestował więcej.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Florrie, rozglądając się z ciekawością. - Wróciliśmy. To znaczy, przyjechał Charles.

- Charles? Powiedz mu, że chcę z nim zamienić słówko. Oto następny, którego trzeba ustawić na swoim miejscu.

- Przestań! - zwróciła się doń ostro Mary Ellen. - Powiedziałeś dość dużo jak na jeden raz. - Ujęła Kate za ramię, pomogła jej wstać z fotela i wyprowadziła z pokoju. Kiedy

Florrie odwróciła się, żeby wyjść za nimi, dobiegł ją głos ojca: - Zrób, co powiedziałem. Przyślij go tutaj.

Minutę później Charles wszedł do pokoju i rozpoczął kurtuazyjną przemowę.

- Dzień dobry, panie Roystan, chociaż z tego, co wiem od Florrie, nie był to szczególnie udany dzień na targu, lecz...

- Przerwij gadanie o rynku, posłucham o tym później. Odpowiedz uczciwie, wiedziałeś, że narzeczony Kate kupił Rooklands, posiadłość Bannamanów?

- Dowiedziałem się dopiero po fakcie. Gdybym znał wcześniej jego zamiary, wyperswadowałbym mu to, bo wiem, jakimi względami darzy Kate, a także wiem, co pan czuje do tego miejsca.

- Dlaczego więc nie powiadomiłeś mnie o tym?

Charles popatrzył na podłogę, poddając dokładnym oględzinom swoje skórzane buty. Po chwili milczenia powiedział:

- Przypuszczam, że czułem, co się wydarzy; najwidoczniej wydarzyło się to dzisiaj. Wiadomość ta bardzo panem wstrząsnęła. W każdym razie to sprawa Bena i Kate, a nie moja. To oni powinni byli to ujawnić.

- Masz słuszość w tym względzie. To powinno wyjść od nich. Ale na Boga, człowieku, pytam cię, dlaczego Kate musi mieszkać w tym domu? Dlaczego? Cała okolica będzie zadawać to samo pytanie: Dlaczego ze wszystkich miejsc wybrała właśnie to? Dlatego, że to, co się tam wydarzyło, nie miało miejsca przed wiekami, ale za życia wszystkich nas. Co prawda byłeś zaledwie małym chłopcem, przyznaję. Ale podobnie jak innym małym chłopcom opowiedziano ci tę historię jak bajkę, w to nie wątpię. Czy mam słuszość?

- Cóż... tak, ma pan, przypominam sobie, że opowiadano nam ją w taki sposób. I dopiero wtedy, gdy już dorosłem, uświadomiłem sobie, że była to prawda, chociaż mój ojciec cały czas tak twierdził. Ale w czasie Bożego Narodzenia zawsze nas raczył budzącymi trwogę opowieściami o duchach, co do których także utrzymywał, że są prawdziwe.

- Sprawki Bannamanów nie były żadną fantazją, wiesz o tym dobrze. Zamierzam ci zadać pytanie wprost i oczekuję szczerzej odpowiedzi. Nie ma tu żadnych świadków - ręką

wskazał przed siebie i za siebie - którzy usłyszeli, co powiesz. Powiedz uczciwie, co myślisz o tym człowieku.

Charles ponownie zawahał się, zanim odpowiedział: - Moja opinia o Benedyckie Hamiltonie jest taka, iż uważam go za uczciwego człowieka. Z pewnością jest wykształcony i odbył wiele podróży. Lecz mówiąc to, myślę także, że w jego przeszłości jest coś, co stanowi wielkie źródło jego kłopotów. Może nie leży ono w nim samym, może nie jego należy oskarżać. Nie wiem, jak to wyłożyć. To znaczy nie wiem, jak uprościć swoje myśli. Mogę się mylić, ale wygląda na to, że cierpi za czyjeś winy. Nie sądzę, by był człowiekiem, który sam popełnił jakąś zbrodnię. Nie... ja źle się wyraziłem.

- Nie, wcale nie, chłopcze. Wyjaśniasz rzeczy, które mnie też chodzą po głowie. Tak, mógł sam nie popełnić zbrodni w tym znaczeniu, lecz - pochylił się w kierunku Charlesa - są rodzaje przestępstw, które nie są zbrodniami, na przykład mógł być kiedyś żonaty, a może ciągle jeszcze jest żonaty. Co ty na to?

- Moje myśli nigdy nie poszły tym torem, ale - jak pan powiedział - jest to możliwe.

- Tak, tak, to możliwe. Ameryka jest daleko i nikt nie wie, co on tam robił. Cokolwiek to było, doprowadziło do tego, że tu przyjechał i zamieszkał samotnie. Przetrwiał pogodę, jakiej nawet my się boimy.

- Tak, ma pan słuszość. Raz czy dwa bardzo się o niego niepokoiłem. Lecz kiedy go odwiedziłem, ujrzałem, że jest mu całkiem wygodnie. Tak wygodnie, jak to możliwe w tak małej chacie.

- Jest człowiekiem bogatym. Musi być, skoro kupił tamtą farmę. Opowiedział mi o interesach, które w Ameryce prowadziła jego rodzina. Opowiadał o dziadku i ojcu. Jedyną osobą, o której nie wspomniał, to jego matka. Zazwyczaj człowiek wspomina matkę, prawda? Mówił ci coś o swojej matce?

- Nie, nigdy nie wspomniał. Jego babka... O tak, wspomniał raz. Powiedział, że matka umarła, kiedy miał dwanaście lat, i od tej pory mieszkał tylko z babką. Wydaje się bardzo do niej przywiązany.

- To dlaczego ją opuścił i wybrał się aż za ocean?

- Tego nie wiem. Wiem tylko, panie Roystan, że czuję w nim dobro, które mówi samo za siebie. I muszę powiedzieć, że im bardziej się go poznaje, tym bardziej się go lubi.

- No cóż. - Hal wyciągnął się wygodnie w fotelu. - Nie zagłębiam się dalej. Wiem jedno, że Kate nie zamieszka w tym przeklętym miejscu. Gdzie on jest?

- Dziś rano pojechał do Newcastle i przekazał mi wiadomość dla Kate. Wróci jutrzejszym dyliżansem.

- Im szybciej, tym lepiej. Mam zamiar sobie z nim pogadać. Musimy wiedzieć, na czym stoimy, i ja, i on. O tak, musimy. - Zaczął kaszleć i przycisnął dłoń do piersi.

- Czy mam panu coś podać? - zapytał Charles.

Hal otworzył usta łapiąc oddech i mruknął: - Nie, przyślij tutaj moją żonę. Dziękuję ci, chłopcze, za szczerość.

Po tych słowach opadł na oparcie fotela i przymknął oczy, nadal przyciskając pierś dłonią, a Charles pospiesznie wyszedł z gabinetu, by wezwać Mary Ellen.

Hal nie odbył spotkania z Benem w niedzielę wieczór, jak sobie zaplanował, ponieważ zmógł go kolejny atak choroby. Oddychał z takim trudem, że Mary Ellen pchnęła Gabriela po doktora. Doktor orzekł, że pacjent musi pozostać w łóżku przynajmniej przez tydzień i nie wolno go niepokoić. Płuca Hala były w kiepskim stanie, który można było poprawić tylko przez odpoczynek, wdychanie powietrza o umiarkowanej temperaturze, okłady z gorczycy i picie gorących naparów ziołowych.

Minęły dwa tygodnie, zanim Hal mógł zejść na dół. Cała rodzina otaczała go troskliwą opieką. Kate niemal w równym stopniu co Mary Ellen. Minał jednak kolejny tydzień, zanim odważyła się powiedzieć: - Tato, Ben chciałby przyjechać i porozmawiać z tobą jutro. Chodzi o... chodzi o dom.

- Ach, tak. - Siedzieli w salonie. Na kolanach Hala spoczywała księga rachunkowa, w której obliczał tygodniową wydajność mleka, obniżoną z tego prostego powodu, że dwie krowy przestały w ogóle dawać mleko. Za to ceny mięsa, masła i ziemniaków ustabilizowały się i w ostatnim tygodniu nie przywieziono nie sprzedanego towaru.

Nie odrywając wzroku od księgi, rzekł: - Tak, tak, będzie mile widziany.

- Tato.

- Tak, dziecko? - Podniósł wzrok znad książki.  
- Chcemy zrobić to, co uważamy za słuszne i co będzie najmniej bolesne dla ciebie.

- Wiedziałem, że spojrzysz na to z mojej strony, dziecko. Dziękuję ci.

- Och, tato - szybkim ruchem podeszła i usiadła obok niego. - Nigdy nie mogłabym być szczęśliwa wiedząc, że zadałam ci ból.

Popatrzył na nią z miłością. - Nigdy nie zadałabyś mi bólu z własnej woli, dziecko, jestem tego pewien - odparł miękko.  
- Rozumiem twoje uczucia do niego. Przy tym jest dobrą partią. Lecz z drugiej strony tak mało o nim wiesz. Tego właśnie się obawiam.

- Nie trzeba, byś się tego obawiał, tato. Wiem o nim wszystko.

- Wiesz? - Odsunął się nieco.

- Tak, wszystko.

- I ciągle uważasz, że jest tym, kogo powinnaś poślubić?

- Tak, zdecydowanie.

- No, skoro ty to mówisz, dziecko, a po twoich oczach widzę, że mówisz prawdę, to mi wystarczy. - Pochylił się i pocałował ją delikatnie w policzek.

Zwiesiła głowę, a spod jej przymkniętych powiek popłynęły łzy.

- Och, dziecinko, przestań - zaczął ją pocieszać. - Tego brakuje, by matka zobaczyła, że płaczesz. Znowu na mnie naskoczy. Boże drogi. Dość się nacierpiałem od niej. No, przestań. Nie rękawem - wyciągnął chusteczkę z kieszeni bonzurki i wręczył Kate, dodając lżejszym tonem: - Nigdy w życiu nie przeleżałem tyle czasu w łóżku. Czasami myślę, że tak musi się czuć człowiek, który umarł.

- Tato - zachnęła się Kate.

- Tak właśnie się czułem. Twoja matka potrafi człowieka wymęczyć, wiesz sama. Zawsze taka była. Na dodatek ma ręce tak delikatne jak łopaty do gnoju.

- Ojej! - Kate porwała się na nogi. - Lepiej, żeby tego nie usłyszała.

- Czego lepiej mam nie usłyszeć? - Mary Ellen wchodziła właśnie do pokoju i obeszała dookoła fotel, by stanąć

naprzeciwko Hala. - Co o mnie mówiłeś? - zażądała odpowiedzi.

- Mówiłem właśnie Kate, jak delikatne masz ręce, prawie tak delikatne jak dwie łopaty do gnoju, tych długich, wiesz.

Mary Ellen odchyliła głowę na bok i cały czas patrząc na Hala, przybrała jego żartobliwy ton: - Znakomicie, znakomicie. Czekaj, aż przyłożę ci następny okład z gorczycy. Już ja wiem, jaki użytek zrobię z łopat do gnoju.

- Idźże do licha, kobieto, i zabierz się za gary! Kate powiada, że Ben przyjedzie do nas jutro. - Wracając wzrokiem do swoich rachunków, dokończył mruknięciem: - Przyjeżdża, żeby porozmawiać o domu.

Kate i Mary Ellen wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, a Mary Ellen wydała z siebie głębokie westchnienie i jeszcze lżejszym tonem rzekła: - Nie tylko on wybiera się do nas jutro. Będzie także Charles. I wiesz, kto jeszcze? Nasza Maggie właśnie powiedziała mi, że spotkała na targu Andrew Bostona, który spytał, czy może nas odwiedzić.

Hal spojrzął na nią i roześmiał się: - No, nareszcie Maggie robi coś rozsądnego. Andrew Boston. Uczy się, by być prawnikiem, jak nasz Hugh. Ciekaw jestem jednak, z czyjej strony wyszedł pomysł tej wizyty. No, no. Czy Tom albo John powiedzieli, że kogoś przyprowadzą?

- Nie, przynajmniej jak dotąd. Ale May Turner ostatnimi czasy często przejeżdża konno drogą koło nas, a Tom zawsze wie, kiedy będzie jechała. Zauważyłam to niedawno.

- May Turner? - zrobił zabawną minę. - No cóż, mógłby trafić gorzej, prawda? Jej ojciec, jak mi wiadomo, wkręcił się do towarzystwa **Coultas** Dodsworth, kiedy w czterdziestym trzecim otworzyło hutę w Haydon Bridge. A jego brat ma jeden z tych ładnych domków na wzgórzach nad wioską. Jest w dobrych stosunkach z panem Bewickiem, który wziął w dzierżawę kopalnię ołowiu w hrabstwie Langley. Tom trafi do dobrego towarzystwa, jeśli zbałamuci May, albo May zbałamuci jego. W każdym razie, siodła będzie miał za darmo, bo jeden z jej wujów ma warsztat rymarski w Hexham. I w dodatku jest bezdzietny, a o ile wiem, ona jest także jedynaczką.

- Wiesz, czego chcesz, Halu Roystanie. - Mary Ellen stała nad nim wzięwszy się pod boki - Nie będziesz się martwił,

kogo poślubią nasze dzieci, jeśli tylko będą za tym szły pieniądze.

- Pewnie, że nie - przytaknął. - Masz słuszność. W ogóle mnie nie obchodzą dzieci, jestem łowcą posagów i kont bankowych, które pozwolą mi zaznać spokojnej starości.

Kiedy za Mary Ellen zamknęły się drzwi, Hal patrząc na Kate powiedział cicho: - Wszystko to mówiliśmy żartem. Ale wszystko może się zdarzyć. Tak jak twój cud, jak go określiłaś.

- Tak jak mój cud. Wysłuchaj Bena, tato. Zrobisz to dla mnie?

- Skoro to, co ma do powiedzenia, dotyczy twojego szczęścia, wysłucham go.

---

## 12

---

Pogoda się zmieniła - całą noc i cały ranek padało i wiał silny wiatr. Kiedy deszcz ustał, wiatr nadal był porywisty. Kate idąc drogą na spotkanie Bena musiała mocno przytrzymywać jedną ręką spódnicę, a drugą kapelusz.

Nikt nie zrobił żadnej uwagi, kiedy ubrała się do wyjścia i oświadczyła, że wychodzi na spotkanie Bena, choć jej konne przejażdżki po wrzosowisku były jaskrawym naruszeniem konwenansów. Gdyby Maggie czy Florrie zająknęły się, że zrobią coś podobnego, Mary Ellen stanowczo by zabroniła, tłumacząc, że mężczyźni nie patrzą łaskawym okiem na taką skwapliwość. Z Kate było inaczej od samego początku. Sama Kate zgadzała się z punktem widzenia matki, że nic w jej narzeczeństwie nie było zgodne z utartymi obyczajami.

Uszła może trzecią część mili, kiedy dostrzegła Bena. On także ją zobaczył, bowiem z kłusa przeszedł do galopu. Zatrzymał konia tuż przy niej. Przeskoczyła rów i śmiejąc się zawołała: - Złożę zażalenie na twoją jazdę. Jest niebezpieczna dla ludzi i zwierząt.

Zsiadł z konia i wyciągnął ręce, żeby pomóc jej przeskoczyć rów. Objął ją ramionami. Ona także zarzuciła mu

ramiona na szyję i pocałowali się namiętnie. Gdy wreszcie oderwali się od siebie, spytał: - Sąd już gotowy?

- Tak. Sędzia czeka. - Popatrzyła na niego i dodała: - Dziękuję, Benie.

- Moja najdroższa - pochylił głowę i wsunął ją pod rondo jej kapelusza. Pocałował ją. - Nigdy za nic mi nie dziękuj, kochanie. Zostaw to mnie, bowiem nigdy nie przestanę dziękować ci za to tylko, że jesteś sobą - zapewnił.

Milczała. Cóż mogła powiedzieć? Czasami nie potrafiła mu uwierzyć, kiedy mówił takie rzeczy. A jeszcze częściej, kiedy mówił, jaka jest cudowna, podczas gdy czuła, że nie odpowiada temu wizerunkowi, że jest pospolita i niezdarna. Żeby sprostać temu, co jak uważała, było wyidealizowanym wizerunkiem jej osoby, ostatnio częściej grywała na szpincie i więcej czytała, nawet kosztem snu. Mogła z nim teraz rozmawiać o książkach, posługując się nie zasłyszaną wiedzą o ich autorach, lecz treścią ich dzieł. Rozmowy, jakie prowadzili, były równie obce jej rodzinie, jak i on sam. Nikt z rodziny nie przyjął go jak swojego, nawet John, który go lubił. Fakt ten sprawiał jej ból. Jedynym człowiekiem, który zdawał się rozumieć Bena i całą sytuację, był Charles. Charles wychował się w atmosferze całkiem innej niż jej rodzeństwo. Nie znaczyło to, że jej rodzice nie zadbali o należyte wychowanie dzieci, jednak pomimo wykształcenia ich spojrzenie na świat było ograniczone. Jej też było takie, dopóki nie spotkała Bena.

Kiedy zbliżali się do bramy, Ben, patrząc przed siebie, powiedział: - Ile razy przestępuję próg tego domu, dręczy mnie uczucie, że mam fałszywe zamiary. Zawsze kiedy twój ojciec patrzy mi prosto w oczy, mam ochotę powiedzieć mu prawdę nie dbając o następstwa. Jakiegokolwiek by one były, ty będziesz zawsze ze mną. - Uścisnął jej rękę. - Tak, wiem, umówiliśmy się. A ten nowy plan... Jest całkiem możliwy, tyle że utworzy między nami a nim większy dystans. Ale zgodziliśmy się na to także, prawda?

Pokiwała głową: - Tak, tak.

- A więc do boju!

Kiedy wchodzili na podwórze, wyszedł im na spotkanie Hugh.

- Witaj! - powiedział. - Pogoda się zmienia. Jak się miewasz? - wyciągnął rękę do Bena.

- Dobrze, dziękuję. A ty? - odwzajemnił się Ben.

- Nigdy nie czułem się lepiej.

Hugh spotkał narzeczonego Kate tylko raz, lecz czuła, że może ich zostawić, i ruszyła do kuchni. Biorąc wodze od Bena, Hugh powiedział: - Zostaw mi konia, odprowadzę go do stajni. - Pochylił się ku Benowi i szepnął: - Słyszałem, że masz stanąć przed obliczem sędziego. Posiedzenie już się zaczęło.

Ben wybuchnął śmiechem: - To zabawne. Podobne spostrzeżenie wyraziłem już Kate, kiedy wyszła mi na spotkanie.

- Mam nadzieję, że dobrze przygotowałeś swoją obronę. Nie martw się. Jego szczekanie jest groźniejsze niż gryzienie, tyle że... - z twarzy znikł mu uśmiech i pojawił się wyraz powagi. - Wszyscy kochamy Kate, lecz on najbardziej. Pech chciał, że wybrałeś właśnie tamtą farmę za swoją siedzibę. Do tego wiedziałeś o wszystkim. Zaraz wrócę do ciebie. Oddam konia pod opiekę Terry'ego.

Ben wyprostował ramiona i podszedł do drzwi, które otworzyła mu Maggie. Przechodząc obok niej zdjął kapelusz i odgarnął włosy z czoła. Patrzyła na niego bez uśmiechu. - Dzień dobry, Maggie - przywitał się. - Nie usłyszał odpowiedzi, tylko trzaśnięcie drzwiami. Maggie nie lubiła go, a on znał powód. Używając wyrażenia, które zasłyszał w gospodzie, rzuciłaby mu wianek bez wahania i padłaby w jego ramiona. Od początku odgadł naturę Maggie: była próżna i potrafiła być mściwa, lecz będąc bardzo ładną dziewczyną - a była nią bez wątpienia - wyobrażała sobie, że to tuszuje wszelkie wady. Z Maggie było niezłe ziółko.

Pozdrowił Annie, która przywitała się z nim jak zwykle serdecznie. - Wejdz, proszę, wszyscy są w salonie - rzekła. - Kate przebiera się. Dlaczego uparła się, żeby wyjść z domu w taki wiatr, nie mam pojęcia. Może urwać głowę.

Uśmiechnął się i przeszedł z kuchni do sieni, gdzie przywitała go Mary Ellen. Wyciągnęła rękę i powiedziała: - Cieszę się, że znów cię widzę, Benie.

Ujawszy jej dłoń, odparł: - Ja także się cieszę widząc panią, bardzo się cieszę, pani Roystan.

To była jedna z rzeczy, do której Mary Ellen nie mogła przywyknąć: kiedy prawił komplementy, niemal zawsze podkreślał je przez powtórzenie. Według niej to była przesadna kurtuazja. - Wszyscy siedzą w salonie, ale Hal jest w swoim gabinecie. Czy zechcesz pójść i porozmawiać z nim?

- Tak, tak, oczywiście.

Poprowadziła Bena przez sięć do drzwi gabinetu. Otworzyła je, mówiąc głośno: - To Ben, Halu. Pomyślałam, że powinniście porozmawiać przed herbatą.

- Tak, bardzo dobrze. Chodź, chodź tu do mnie. - Głos Hala, chociaż ciągle ochryple, brzmiał serdecznie. Ben wszedł i wyciągnął rękę do Hala, który siedział przy kominku. - Jak się pan dziś miewa? - spytał.

- Lepiej. O wiele lepiej. Od rana znowu w objęściu, chociaż musiałem się utorować sobie drogę.

Roześmiał się, a Ben mu zawtórował.

- Siadaj, chłopcze. Siadaj.

Ben usiadł w fotelu, który wskazał mu Hal, znajdującym się dokładnie naprzeciwko niego. Hal rozpoczął rozmowę: - Pogoda się zmienia. Całą noc szalała wichura. Jak tam u ciebie?

- W nocy było całkiem kiepsko. Wiatr stracił nawet parę dachówek, pierwszy raz, odkąd tam mieszkam.

Hal odwrócił głowę i westchnął mówiąc: - Nie pojmuję cię, chłopcze, zupełnie nie pojmuję. Lecz skoro już jesteśmy przy domach, muszę ci powiedzieć, że było dla mnie wielkim wstrząsem dowiedzieć się, że kupiłeś tamtą farmę.

- To zrozumiałe, proszę pana.

- Wiesz, co mi się tam przytrafiło. Kate powiedziała ci o wszystkim, więc możesz przypuszczać, co czuję na myśl, że tam zamieszka. W porządku, w porządku - podniósł dłoń jakby spodziewał się protestu - jest to całkiem ładny dom, daleko by szukać ładniejszego. Nie pobudowano go z przeznaczeniem na farmerski dom, lecz jako siedzibę szlachecką. I taką była przez lata, dopóki diabeł nie począł dobierać się do jej mieszkańców. Rozumiesz chyba moje uczucia?

- Tak, rzeczywiście. Dlatego też Kate i ja zdecydowaliśmy się poszukać innego domu, lecz ponieważ wynająłem już brygadę murarzy, dokończę remont i porządkowanie otoczenia, żeby był bardziej atrakcyjny na sprzedaż.

- Rozumiem, ale nie znajdziesz nikogo, kto zostanie tam długo. Na tym miejscu ciąży przekleństwo, którego nie sposób wymazać, bo rzucił je sam diabeł. - Pochylił się ku Benowi.  
- Wyglądasz blade, a wkrótce nadejdzie zima. Musisz się wyprowadzić z tej chaty zanim chwyci mróz. Oglądałeś jakieś inne miejsca? - zapytał.

- Jeszcze nie. Ale widziałem mały domek do wynajęcia za Langley w kierunku Bardon Mill. Chociaż miejsce to leży nieco na uboczu, znajduje się na ogrodzonym terenie.

- Na drodze do Bardon Mill, powiadasz, ogrodzone? Znam dokładnie to miejsce. Nazywa się Butterfield Cottage.

- Tak, to ten dom.

- Cóż, bardzo rozsądnie. To bardzo ładny mały domek. Znam dawną właścicielkę, siostrę pana Ellisona, który był rok temu zastępcą szeryfa w hrabstwie. Nie zrobisz źle. Bardzo rad jestem, że doszliśmy do porozumienia. Sprawieś wielką ulgę mojemu sercu. To o Kate myślałem. Ta dziewczyna jest mi naprawdę bardzo droga i nie zniósłbym tego, że musi mieszkać w miejscu tak przesiąkniętym złem. Nie byłbym w stanie spać spokojnie. Byłoby to tak, jakby Bannamanowie z powrotem się tu zjawili. Lecz chodźmy już, czekają na nas.

Później rodzina robiła uwagi, że narzeczony Kate miał w porównaniu ze swą pierwszą wizytą wyjątkowo mało do powiedzenia. Zmianę tę przypisano temu, że zachowanie ojca było najwidoczniej paraliżującym przeżyciem.

---

## 13

---

Była dopiero połowa grudnia, a śnieg już dwukrotnie zasypał okolicę, co według najstarszych ludzi zapowiadało bardzo srogą zimę. Wczesne opady śniegu martwiły Kate, ponieważ Ben nadal mieszkał w chacie owczarza. Spóźnił się z kupnem upatrzzonego wcześniej domku. Właściciel mieszkający teraz w Corbridge wynajął go rodzinie z Haydon Bridge.

Matka i Hal także byli zaniepokojeni, że Ben nadal mieszkać będzie na odludziu, lecz Kate wiedziała, że ostatnio wiele

nocy spędzał w Rooklands, od kiedy dom opuścili murarze i stolarze. Jeden pokój urządził całkiem wygodnie meblami, które tam sprowadzili. Była to następna kość niezgody między jej ojcem a Benem - przechowywanie mebli.

Parę razy wyprawili się z Benem do Newcastle na licytacje domów i kupili kilka solidnych sprzętów. Kiedy po raz pierwszy napomknęła w obecności ojca, że Ben zamierza je na razie trzymać w Rooklands, rozdrażniło go to. Powiedział, że może przecież uprzątnąć strych na farmie. Lecz, o czym wiedzieli wszyscy, strych był zawalony pozostałościami po licytacjach, na których Hal bywał przez całe lata. Chociaż niechętnie, musiał zdać sobie sprawę z nieuchronności takiego rozwiązania, dopóki młodzi nie wybiorą sobie domu, który będzie się nadawał do zamieszkania.

W domu ciągle rozprawiano o ich przyszłości. Całkiem blisko znajdował się dom i ziemia, której Hal z całego serca pragnął dla Kate i Bena, lecz Kate wyjaśniła mu, że miejsce to nie odpowiada oczekiwaniom Bena. Kiedy Hal zapytał: - To czego on w końcu chce, rad bym wiedzieć? - po raz pierwszy Kate odgryzła się: - Na pewno czegoś więcej niż mały domek u twojego progu. - Wywołało to obopólne milczenie i rozłam między nimi na wiele długich dni.

Ślub Kate, tak jak ślub Florrie, zaplanowano na wiosnę następnego roku, tak więc każdą wolną chwilę wykorzystywano na szycie bielizny pościelowej i ubrań.

Ileokroć Kate wybierała się na spotkanie z Benem, ojciec nie omieszkął zaznaczyć: - Nie zamierzasz chyba zbliżyć się do tamtego domu? - co bardzo drażniło Kate. Za każdym razem musiała go zapewniać, że nie, wiedząc przy tym, że to jedyne miejsce, gdzie może znaleźć Bena.

Podobnie, kiedy Ben przyjeżdżał, by ją gdzieś zabrać. - Nie jedziecie w pobliże tamtego domu, prawda? - upewniał się Hal, na co Ben z przekonaniem potrząsał głową i uspokajał ojca. Raz, kiedy powiedział tylko: - Proszę się nie obawiać - Hal natarł na niego. - Właśnie, że się obawiam - krzyknął. - Ona tam nie pojedzie. Słyszałaś? - Ben, ku zdumieniu nie tylko Hala, ale i innych członków rodziny, odpowiedział podobnym tonem: - Słyszałem, proszę pana. Nie jestem jeszcze głuchy. - Okazał w ten sposób, że nie jest bezgranicz-

nie potulny i dobrotliwy i że zmęczyły go nakazy ojca. Zauważono też, że Kate straciła na wadze. Hal złożył to na karb intensywnej jazdy konnej. - Uganianie się po okolicy konno z każdego wytrzęsie trochę ciała - rzekł. Lecz Mary Ellen zapatrywała się na to inaczej. Wiedziała aż nadto dobrze, że to zgryzota najprędzej pozbawia ludzi ciała. A jej Kate czymś się gryzła, ustawicznie czymś się gryzła. Wyglądało na to, że od kiedy poznała Amerykanina nie przestawała się martwić. Lecz z jakiego powodu? Sprawa farmy Bannamana została wyjaśniona - młodzi zamierzali się osiedlić w innym miejscu. Lecz były dziesiątki farm dookoła, które mogłyby zadowolić Bena, a on zawsze znajdował w nich jakąś wadę. Pragnęła dotrzeć do sedna sprawy... rozgryźć Bena. Ciągle nie była go pewna, chociaż nie mogła wyrazić tego głośno przy Halu, ponieważ i tak był stale wyprowadzony z równowagi tym, że Kate miała ich opuścić.

Kate stała w sypialni zawiązując długi szal wokół kapelusza. W ubiegłym tygodniu trzymał mróz, teraz jednak przyszła odwilż i nie było zbyt zimno, lecz wiał nieustanny wiatr. Wzięła rękawiczki z toaletki i wyszła z pokoju. Zeszła po szerokich schodach do sieni. Przez sień właśnie przechodził Tom.

- Śnieg wisi w powietrzu, może cię zaskoczyć - ostrzegł.
- Nie będzie to pierwszy raz - uśmiechnęła się do niego.
- Brr! - wydał wargi. - Ja tam wolę grzać się przy ogniu. Sprowadziliśmy na dół ostatnie owce. Twój narzeczony musi być bardzo wytrzymały. Na wzgórzach w taką pogodę i byk zamarznie na kość. Nie mam pojęcia, jak on to wytrzyma, nie wygląda na kogoś mało wybrednego.

- Nie oceniał człowieka po szatach, Tomie.
- Tak, coś w tym jest - roześmiał się i poszedł do salonu.

W kuchni Kate przystanąła zaskoczona widokiem Maggie także gotowej do drogi. Popatrzyła na nią pytająco, lecz Maggie nie udzieliła żadnego wyjaśnienia. Mary Ellen powiedziała: - Maggie zawozi wzory do haftowania dla Betty Boston, a także trochę sera i masła ode mnie. Bostonowie radzi są zawsze domowym wyrobom. - Wypadło to tak, jakby usprawiedliwiała wyjazd Maggie. - Dziewczyno, wiatr zmiecie cię ze wzgórz - dodała po chwili.

- Ciepło się ubrałam.
- Czy on wie, że masz przyjechać?

Kate zawahała się chwilę zanim odpowiedziała: - Tak, jest przecież środa.

- A jeśli go nie będzie? Może pojechał do miasta szukać domu.

- Wtedy po prostu wrócę.

Mary Ellen wpatrywała się w córkę przez chwilę, po czym rzekła: - Cóż, nie ociągaj się. Nie trzeba, żeby zastał cię w drodze zmierzch, a poza tym zanoszą się na śnieg.

- Wrócę zanim się ściemni, mamó - zapewniła Kate i wyszła.

- Ciebie też to dotyczy, dziewczyno - odezwała się Mary Ellen do Maggie. - Nie paplaj za długo. I masz ostrożnie powozić. Brakuje nam tylko połamanych osi. Jedź i przekazaj pani Boston pozdrowienia ode mnie.

Maggie nie odpowiedziała, wzięła tylko paczkę ze stołu i wyszła. Terry wyprowadził już dwukółkę na podwórze i podał jej pomocną dłoń przy wsiadaniu. - Jedź ostrożnie, Maggie, i nie poganiaj konia zbyt mocno - przestrzegł. - Był już dzisiaj w zaprzęgu, a poza tym jest trochę krnąbrny.

Maggie znowu się nie odezwała, lecz uraczyła Terry'ego nieprzyjaznym spojrzeniem. Ruszyła kłusem jeszcze na podwórzu, zadając sobie pytanie, dlaczego wszyscy ją pouczają, chowając głęboko prawdę, że już od dłuższego czasu ciągle chodzi rozdrażniona. A fakt, że rodzina znała powód, bynajmniej nie pomagał. Miesiąc temu, kiedy Andrew Boston przyjechał do domu podczas weekendu i nie zajrzał do niej, przyjęła za dobrą monetę usprawiedliwienie jego matki, że mógł pozostać tylko przez jedną noc i musiał wyjechać wcześniej rano z powodu nawału zajęć w kancelarii. Potem w następną sobotę minęli go na drodze do Hexham. Pomachała mu ręką, a on odpowiedział na jej pozdrowienie. Po powrocie do domu czekała na jego wizytę, lecz nie przyjechał. Poczuli się urażona i dotknięta do żywego. Kiedy w poniedziałek matka wzięła ją na bok i spytała, czy się odezwał, a ona musiała zgodnie z prawdą zaprzeczyć, matka rzekła: - To pewnie twoja wina. Zachowywałaś się wyzywająco i wyplotyłaś go. - Wywołało to odpowiedź pełną złości: - Ja

zachowywała się wyzywająco! Nie mówisz tego o Kate, którą obgaduje cała wieś bo ugania się za tym facetem. Jak często tam jeździ, pytam? Wyzywająco? Boże drogi, mamo. Dobrze widać, komu sprzyjasz, a komu jesteś przeciwna. - Matka rozżłościła się także i odparła, że Maggie powinna być zadowolona, że Kate znalazła trochę szczęścia.

Kate, Kate, Kate. Ciągłe tylko Kate. Nawet Florrie z Charlesem zepchnięci zostali na bok. Florrie nie wydawała się dotknięta tym faktem. Nie była zbyt bystra. Mówili o niej - chodząca słodycz.

Na skrzyżowaniu dróg odwróciła się i popatrzyła w dal, gdzie wznosiło się pasmo wzgórz, lecz nie dostrzegła nigdzie Kate. Terry nie zakazał jej galopować na Rangerze, bo już dzisiaj był w zaprzęgu, pomyślała. O, nie, ona mogła sobie bez przeszkód lecieć do swego ukochanego. Prawie udławiła się tym słowem. Zakała! Gdyby Maggie tak się zachowywała, ojciec zamknąłby ją na klucz. Ale swoją Kate - nigdy.

Koń zwolnił u podnóża wzniesienia, na którego wierzchołku usytuowany był dom Bostonów. Stał za szeregiem drzew posadzonych, by osłaniać dom i ogród przed wiatrem. Kiedy koń z mazołem wciągnął dwukórkę na szczyt, zerknęła przypadkowo w lewo i miała już skierować wzrok ponownie przed siebie, kiedy podskoczyła i ściągnęła lejce zatrzymując konia. Po lewej stronie, gdzie grunt opadał ku dolinie, by dalej wzniesić się ku wzgórzom, biegł nie osłonięty odcinek drogi. Widać było na niej jeźdźca, w którym Maggie rozpoznała Kate. Nie jedzie na wzgórze - pomyślała - ale do tamtego domu. A obiecała, że nigdy nie pojedzie. Dwulicowa, podstępna bestia.

Miała zamiar pobyć trochę u Bostonów i rozpytać się dyplomatycznie, kiedy Andrew znów przyjedzie do domu. Lecz sprawy potoczyły się na przekór jej zamierzeniom. Pani Boston przyjęła ją nieco oziębło. Wyglądała na zdziwioną, że ją widzi, lecz najgoręcej, jak umiała, podziękowała za podarunki od matki. Wyjaśniła, że Betty spędza dzień u przyjaciół w Haydon Bridge. Potem bez pytania przekazała Maggie wiadomość, po którą dziewczyna przyjechała: - Nie wiadomo, kiedy Andrew następnym razem przyjedzie do domu, bo spędza teraz większość wolnego czasu u Quigleyów.

Quigley był bliskim przyjacielem pana Bostona. Pani Boston była bardzo rada, że tam bywał. Oszczędzało mu to bowiem długiej wyprawy do domu, a równocześnie był otoczony rodzinnym ciepłem. Quigleyowie mieli trzech synów i córkę, a Andrew znał ich od dzieciństwa. No i - zakończyła pani Boston - będzie jej przyjemnie zobaczyć Maggie, jak zwykle na ich spotkaniu przy szyciu.

Dostała odprawę! Zaciśnęła zęby, czując taką wściekłość i upokorzenie, że chciało jej się krzyczeć. Z tłumionym krzykiem, zawróciła dwukółkę w kierunku domu.

Kiedy dotarła do skrzyżowania, ściągnęła lejce i siedziała chwilę zastanawiając się, po czym skręciła w wąską drogę, na której pół godziny wcześniej dostrzegła Kate.

W głowie miała tylko jedną myśl - chciała zaskoczyć Kate i zarzucić jej wprost, że jest kłamczynią i oszukuje domowników.

Nie dojechała dwukółką do bramy farmy, lecz skierowała konia na szeroki pas trawy przy murze, gdzie przywiązała lejce do niskiej gałęzi drzewa. Następnie ostrożnie ruszyła w stronę bramy, która była nowa, dwuskrzydłowa, jedno skrzydło miała uchylone. Zauważyła z uznaniem, że podwórko było wybrukowane w całości, podczas gdy u nich na farmie tylko częściowo. Wszystkie zabudowania gospodarcze wyglądały elegancko i były starannie wykonane.

W stajni jedna połowa wrót była otwarta i Maggie zobaczyła Rangera. Zdumiał ją ogrom domu. Widziała go po raz pierwszy, gdyż od kiedy pozwolono jej samej wychodzić z domu, zakazano zbliżać się do tego miejsca. Na skutek zakazu zawsze wydawał się zamkiem wilkołaka. Teraz jednak nie mogła nic na to poradzić, że doszła do głosu praktyczna strona jej natury. Patrzyła na frontową ścianę budynku, gdzie drzwi wejściowe były osłonięte kamienną kolumnadą. Nie poszła jednak w ich stronę. Skradając się cicho, poszła dalej na podwórze i trzymając się ściany minęła dwa okna z żelaznymi antabami, zamknięte drzwi i jeszcze dwa okna. Przed nią były jeszcze jedne drzwi, a przed nimi okno. Stała z boku i powoli zajrzała do środka. Była tam kuchnia, lecz zupełnie pusta.

Ruszyła do drzwi i pchnęła je. Otworzyły się, więc weszła cicho do środka. Myślała o przestrachu siostry, jaki niechybnie wywoła, jeśli Kate jest tam sama. Maggie widziała tylko Rangera, co pozwalało przypuszczać, że Kate jest sama i ma klucz od tego domu. Podstępna istota! Niech tylko Maggie zjawi się w domu i wszystkim opowie!

Śmiało podeszła do następnych drzwi. Zatrzymała się na chwilę, zanim odważyła się je otworzyć. Oczom jej ukazała się sień, której rozmiar i wystrój zdumiały ją. Po cichu i wolno weszła do niej i była mniej więcej pośrodku, kiedy usłyszała głosy. Na ich dźwięk znieruchomiała. Nastawiła uszu, kiedy rozpoznała głos Bena. Wypowiadał słowa, które zawsze pragnęła usłyszeć. Lecz, jak dotąd, nikt jej niczego takiego nie powiedział.

- Moja najdroższa. Moja ukochana - padło głośno pod adresem Kate, grubokościstej, niezdarnej dziewczyny. Najdelikatniejszym określeniem przyrodniej siostry w opinii Maggie było „nieładna”.

Pochyliła się lekko w stronę drzwi, spoza których dochodził głos Bena. - Dobrze, dobrze już, najdroższa. Daję ci słowo honoru. Załatwię sprawę kupienia domu, tego za Corbridge. Żadne z nas nie zazna spokoju, jeśli będę upierał się przy zamieszkaniu tutaj. I za każdym razem, kiedy widzę twego ojca, utwierdzam się w przekonaniu, że nigdy nie może poznać prawdy. Cała ta tragedia wydaje się żyć w nim tak samo silnie jak przed laty. Wydaje się, że sam dźwięk nazwiska Bannaman doprowadza go do szału i tak jak powiedziałaś, kochanie, Bóg jeden wie, jak by się zachował, gdyby odkrył, że jestem jej synem. Ale stanie się, jak sobie życzysz. Zostaniesz panią Benedyktową Fraser Hamilton z Briars Mount w hrabstwie Northumberland.

Nastąpiła pauza, którą Maggie wypełniła swoją wyobraźnią. Po chwili zabrzmiał głos Kate: - I nie powiesz mu, że planujemy podróż do Ameryki, przynajmniej nie przed naszym weselem, prawda?

- Nie, jeśli sobie tak życzysz, moja droga.

Znowu zapadła cisza, w czasie której Maggie powinna się wycofać, lecz pochodzenie ukochanego Kate i fakt, że Kate wiedziała o tym, przepełniło ją tak silnym zdumieniem, a nawet przerażeniem, że nie mogła ruszyć się z miejsca.

I oto byli tutaj, stali obejmując się ramionami w otwartych drzwiach i wpatrywali się w nią niemal tak samo zdumieni i przerażeni, jak ona sama.

- Dobry Boże! - Kate odrzuciła głowę do tyłu, zamknęła oczy i zagryzła wargi. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz wysiłek ten przerwał Ben. - Szukałaś tutaj czegoś, Maggie? - odezwał się lodowato.

- Och, ty! Wy oboje! Oszust! Oto, kim jesteś - oszustem! A ty - splunęła, mierzząc Kate wściekłym spojrzeniem - wiedziałaś, kim on jest. Ty podstępna, zmijowata, brudna...

- Przestań! - Kate wyrwała się z ramion Bena i rzuciła się do Maggie. - No, znasz już prawdę. I co? Jesteś szczęśliwa? A więc wracaj do domu, leć i powiedz im wszystkim, ty ograniczona mała intrygantko! No, dalej! - Uniosła rękę i zacisnęła ją w pięść.

Maggie cofając się wzięła głęboki oddech i odparowała: - A pewnie, że powiem. Już jadę, a ty zobaczysz, co się z tobą stanie... i z twoim przyjacielem. Tak go przecież nazywałaś. Już wtedy wszystkich oszukałaś, ale pomyśleć, że wiedziałaś, że to Bannaman. Ojciec go zabije. Tak - ze złością popatrzyła na Bena. - Jest w stanie to zrobić. Strzeżcie się oboje. - Odwróciła się i w pośpiechu pobiegła do kuchni, dalej na podwórze, potem na drogę. Wsiadła do dwukółki. Zaczęły padać pierwsze płatki śniegu. Zacięła konia batem i popędziła galopem. Pędziła, leciała prawie, jak powiedziała Kate, do domu z wiadomością...

W sieni Ben trzymał Kate w ramionach. - Nie drzyj tak, kochanie - uspokajał. - Dziwne, ale cały czas wiedziałem, że to kiedyś wyjdzie na jaw. Może to i lepiej.

- Nie, nie! - szarpnęła się całym ciałem, wyrażając protest. - Nie wiesz, do czego jest zdolny. Samo nazwisko wywołuje w nim złość. Maggie ma rację mówiąc, że zdolny jest zabić. Och, Benie, Benie, tak się boję.

- Przecież to rozsądny człowiek, wie, co się stanie, jeśli zacznie strzelać.

- Nie będzie dbał o to. Och, Benie, nie znasz go, nie tak jak ja. Ja... ja myślę, że mógłby pogodzić się jakoś z zamordowaniem jego ojca, ale... ale nie z tym, co ona mu zrobiła.

- Może, gdy mu powiem, co robiła ze mną...

- Nie, nie. Może mogłoby, gdyby nie to, że chcesz mnie poślubić.

- Ale ja chcę cię poślubić i zamierzam to zrobić.

- Benie!

- Nie mów do mnie „Benie” w taki sposób. Kochasz mnie przecież, prawda?

- Całym sercem, kochanie. Wiesz o tym.

- Tak, wiem, i dlatego pobierzemy się... Czy mam wrócić do domu z tobą i położyć temu wszystkiemu kres?

- Nie. - Uniosła rękę, jakby zasłaniała się przed niewidzialnym ciosem. - Zanim dotrę do domu, ona powie, co ma do powiedzenia, a potem przyjdzie kolej na mnie.

- Co powiesz?

- Tylko to, co ty przed chwilą, że się pobierzemy. Wcześniej czy później pobierzemy się.

Nie powiedział nic więcej, lecz położył ręce na jej ramionach i poprowadził przez sień do kuchni, gdzie z troską w głosie zauważył: - Pada śnieg. - Wziął jej ręce i przytulił mocno do swojej piersi: - W pewien sposób rad jestem, że to się stało. Wielki ciężar spadł mi z serca. Nie muszę już więcej nocować tu po kryjomu. - Uśmiechnął się gorzko. - Dzisiejszej nocy będę spał tutaj, ale najpierw sprowadzę tu Daisy, a jutro rano przyprowadzę kozę i przyniosę resztę moich papierów i książek. Zostawię sprzęty, może przydadzą się następnemu lokatorowi. Czy mam odwiedzić cię jutro? - zapytał.

- Nie, Benie. Czekał tutaj. Przyjadę do ciebie, jak tylko będę mogła.

Podniósł szal z jej ramion i narzucił na kapelusz, po czym zawiązał pod brodą. Uczyniwszy to, niemal brutalnie przygarbił ją do siebie, pocałował mocno w usta i pociągnął za sobą przez podwórze do stajni, gdzie stał jej koń.

Kiedy go dosiadła, wyciągnęła do Bena rękę. - Modlisz się czasami? - spytała cicho.

- Nie leży to w moim zwyczaju - odparł wydymając wargi.

- Cóż, myślę, że to dobra pora, by zacząć. Do widzenia, mój kochany.

Pocałował ją w rękę i odparł: - Do widzenia, moja Kate.

Wracając do domu nie galopowała, lecz jechała wolnym kłusem. Śnieg padał dużymi, gęstymi płatami, jednak nie zważała na to. W gardle dławiły ją powstrzymywane łzy, a w głowie kołatała się jedna myśl: Boże, spraw, by zrozumiał. Równocześnie wiedziała, że gdyby nawet Bóg we własnej osobie stanął przed Halem i wyłożył mu sprawę Bena, nadal by nie pojął, dlaczego go oszukiwała, ani też nie przebaczyłyby Benowi jego pochodzenia.

Gdy wjeżdżała na podwórze, z drzwi kuchennych wybiegł ku niej John, jakby czekał na jej powrót. Biegnąc ku niej zawołał na Terry'ego: - Chodź tu i weź konia! - Pomagając jej zsiąść z konia, rzekł cicho: - Och, Kate, Kate. - Stojąc nieruchomo, popatrzyła na brata.

- Och, Johnie, ty mnie nie potępiasz, prawda? - spytała.

- Pewnie, że nie - uściśnął jej ramię. - Co było, minęło. To wszystko zdarzyło się w innym pokoleniu, lecz ktoś może sprawić, by on to zrozumiał?

- Jak to zniósł?

- Jeszcze nie wie.

- Co? - otworzyła oczy szeroko ze zdziwienia.

- Kaszłał paskudnie i mama napoiła go środkiem nasennym. Zasnął w fotelu i ciągle tam śpi.

- A mama?

- To istne trzęsienie ziemi. Mama nie może się na ciebie doczekać. Wiesz, ta nasza Maggie to suka. Jest zazdrosna od dziecka. Ale dzisiaj, Boże, dzisiaj wsadziła kij w mrowisko.

- Gdzie są wszyscy?

- W kuchni. Mama zatrzymała ją tam. Zastała nas, gdy szykowaliśmy herbatę. Wszyscy tam byliśmy. Ja i Tom staliśmy przy stole, mama z Annie piekły ciasto, a Florrie właśnie weszła do kuchni, kiedy Maggie wypaliła tę nowinę. Klnę się na Boga, że nigdy nie widziałem u mamy takiej wściekłości. Któregoś dnia dorówna ojcu. Och, ta przekłeta mała suka! Chodź już, bo zmokniesz.

Kiedy otrzepywali buty i ubranie ze śniegu przed drzwiami do kuchni, John powiedział półgłosem: - Powiem ci jeszcze jedno, może to cię pocieszy, Tom i ja lubimy go, Gabrielowi także się podoba. Wszyscy uważamy, że to odpowiedni człowiek dla ciebie.

- Dzięki, Johnnie, dzięki. - Głęboko odetchnęła, otworzyła drzwi i weszła do środka.

Mary Ellen i Annie siedziały po przeciwległych stronach stołu. Florrie zapalała świece, Maggie zaś siedziała na ławie bez kapelusza, lecz ciągle jeszcze w wierzchnim ubraniu. Na widok Kate porwała się z miejsca, lecz Mary Ellen i Annie nie poruszyły się. Nikt się nie odzywał, dopiero Tom rzekł cicho: - Hej, Kate. - Odwróciła się i popatrzyła na niego, choć nie odpowiedziała. - No więc znacie już prawdę - zwróciła się do matki.

- Dziecko! Więc to jest prawda? - głos Mary Ellen był zaledwie szeptem.

- Tak, to prawda. Chociaż nie wiem dokładnie, co powiedziała ci moja droga siostrzyczka.

- Nie nazywaj mnie drogą siostrzyczką. Nie jestem twoją rodzoną siostrą. Nie jestem ci dłużna...

W tej chwili w kuchni nastąpił wybuch. Mary Ellen skoczyła na równe nogi i stanęła przed córką. - Milcz, ty... ty siejąca niezgodę dziwko! - zasyczała.

- Dziwko! Nazywasz mnie dziwką, podczas gdy to ona wałęsała się po wzgórzach. I poza tym, kimkolwiek jestem, nie jestem przynajmniej bękartem.

Cios wymierzony przez Mary Ellen pozbawił Maggie równowagi. Z krzykiem opadła bezwładnie na ławę. Zanim Tom i John zdążyli dobiec do matki i ją powstrzymać, jeszcze raz podniosła rękę i uderzyła Maggie w twarz.

- Mamo, mamo! Co się z tobą dzieje? - zawołał Tom.

Kiedy Mary Ellen odepchnęła synów, stała chwilę i ciężko dyszała. - Coś, co powinno się zdarzyć już dawno! - krzyknęła. - Prosiła się o to. Nigdy w życiu nie widziałam nikogo, kto by tak cieszył się z przynoszenia złych wiadomości. I jeszcze obrzuca Kate wyzwiskami! To słowo ma także inne znaczenie i wiedz, moja panno, że - pogroziła palcem Maggie, która zasłaniała twarz zanosząc się od płaczu - jeśli ktokolwiek jest tu bękartem, to jesteś nim ty!

Wszyscy byli tak pochłonięci tą sceną, że nie zauważyli, kiedy otworzyły się drzwi od sieni i stanął w nich Hal. Zmarszczył brwi nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Rodzina zwróciła całą uwagę na niego, tylko Maggie ciągle chowała twarz w dłoniach i kołysała się w tył i w przód.

Hal podszedł do Maggie, a potem powiódł wzrokiem po wszystkich.

- Co to jest? Co się dzieje? - zwrócił się do Mary Ellen.
- Ja... musiałam ją skarcić - wymamrotała.
- Nazywając ją bękartem? - zapytał gardłowym głosem.
- Dajże spokój. Nie słyszałem jeszcze w tym domu tego słowa.

Kiedy nikt nie pospieszył z wyjaśnieniem, jego zachowanie uległo zmianie. Zażądał odpowiedzi podniesionym głosem:

- No, gadajcie! Co to ma znaczyć? Muszę się w końcu dowiedzieć! - Podszedł do Maggie, która szlochała z głową na oparciu ławy i wrzasnął na nią: - Co takiego zrobiłaś, dziewczyno! Co takiego zrobiłaś, że matka tak ci odpowiedziała? - Kiedy Maggie milczała, odwrócił się i jego wzrok spoczął na Kate. Nie zdjęła jeszcze ubrania do konnej jazdy ani nawet szala owiniętego wokół kapelusza. - No, więc?

Kiedy Kate zamierzała odpowiedzieć, Mary Ellen natychmiast ją ubiegła: - Maggie stawiała się Kate, to wszystko. Potraktowała ją opryskliwie, co było niczym nie usprawiedliwione.

Hal popatrzył na Mary Ellen i nie odezwał się. Przeniósł wzrok na Kate i powtórzył: - A więc?

- Maggie przyniosła wiadomości dotyczące Bena i mnie, o których, jak sądziła, wszyscy powinniście się dowiedzieć, a zwłaszcza ty - odparła, niewzruszenie patrząc Halowi w oczy.

Przerwała.

- Dowiedzmy się więc - ponaglił.

Kate pochyliła głowę, a potem dumnie ją uniosła i patrząc nadal prosto w oczy Hala, powiedziała: - Zanim powiem, chcę, byś wiedział, że bardzo Bena kocham i to, co zrobiłam, miało jedynie oszczędzić ci cierpienia, bo za nic w świecie nie chciałam nigdy stać się przyczyną twoich trosk.

- Mówże dalej.
- Ben jest... nie tylko Hamiltonem, ale jest też synem...
- Nie mogła patrzeć ojcu w twarz i opuściła głowę, zanim zdołała wyszeptać: - Mary Bannaman.

Wszyscy zeszytnieli, oczekując potężnego wybuchu gniewu i grzmiącego głosu. Osłupieli, kiedy odwrócił się, popat-

rzył i pokiwał nad nimi głową. Podeszedł do stołu i usiadł na krześle. Odsunął ręką naczynia stojące na stole i począł bębnić palcami po blacie. - Wiedziałem - odezwał się cicho. - Od początku wiedziałem, że coś jest nie tak, ale nie mogłem odgadnąć co. Ale wiedziałem. - Spojrzał na Mary Ellen. - Coś jest w jego wyglądzie. Nie głos, nie. Sposób, w jaki stał. I jego oczy. Tak, oczy, wielkie czarne oczy. - Skierował wzrok na Kate i uniósł dłoń poruszając nią w górę i w dół, jakby coś ważył. - To te oczy zauroczyły twój ojca, kiedy ją po raz pierwszy zobaczył. - Ręka bezwładnie opadła mu na stół i bardziej do siebie niż do kogoś innego powiedział: - To zabawne, ale cały czas coś mnie ostrzegało.

- Tato.

Skierował wzrok na Kate i zmienionym głosem, choć nadal nie podniesionym ani nie ostrym, spytał:

- Od jak dawna o tym wiesz?

- Od kiedy kupił dom.

- I zachowałeś milczenie, wiedząc co czuję?

- Tylko dlatego, że nie chciałam sprawić ci bólu.

- Nie chciałaś sprawić mi bólu? - wstał i jego zachowanie nagle się zmieniło. Grzmiał ogłuszającym głosem, a twarz mu pałała wściekłością. - Nie chciałaś sprawić mi bólu? Wiesz, co on zrobił mnie, ojcu i twojemu dziadkowi?

Chociaż Kate cofnęła się o krok, głos jej zabrzmiał donośnie. - On nic ci nie zrobił - odparła. - Jeśli chcesz wiedzieć, przeszedł tyle cierpień z jej rąk, co ty. I nawet więcej, bo cierpiał tak przez lata. Gdybyś zechciał go tylko wysłuchać, tak jak ja.

- Wysłuchać go? Wysłuchać? Kiedy tylko go zobaczę, nie będę mógł utrzymać rąk z dala od niego. Przeszedł do tego domu, siedział przy moim stole i ściągnął na powrót diabła do mojego życia...

- Jak możesz tak mówić! - krzyknęła dygocząc. - Jeśli w ogóle gdzieś jest jakiś diabeł, nie jest nim on, ale to, co wyhodowałaś w sobie przez te wszystkie lata.

Mary Ellen na wszelki wypadek wsunęła się pomiędzy nich. Stojąc tyłem do Kate zaczęła prosić Hala: - Jest bardzo zmartwiona. Spróbuj zrozumieć. Chodźmy do innego pokoju i porozmawiajmy.

Nie patrząc na nią, odepchnął ją na bok, choć nie brutalnie. Utkwił wzrok w Kate. - Wyhodowałem diabła, tak? To uczucie, że ci dałem życie to diabeł, tak? Ona - pokazał palcem ławę, na której siedziała Maggie już nie płacząc, lecz rozszerzonymi z lęku oczami obserwując skutki tego, co uczyniła - ona ma rację, że jest zazdrosna. Wszyscy mają powód do zazdrości. Każde z nich poczęte przeze mnie ma powód do zazdrości, bo traktowałem cię jak swoją pierworodną. Odebrałem poród i ocaliłem ciebie i twoją matkę od śmierci. Kocham cię tak, jak nigdy nie kochałem żadnego własnego dziecka. Dlaczego? Pytałem siebie setki razy. A teraz stoisz przede mną i powiadasz, że siedzi we mnie diabeł.

- Nie to miałam na myśli - po policzkach Kate potoczyły się łzy. - Wiesz dobrze, że nie miałam na myśli nic podobnego. Przekręcasz moje słowa. Miałam na myśli to, że przez te wszystkie lata dawałeś schronienie diabłu, który cię niszczył. To samo dotyczy Bena. Przyjechał tutaj, bo próbował się go pozbyć. Nie wiedział o niczym, dopóki babka mu nie opowiedziała. Dzień śmierci matki był najszczęśliwszym dniem w jego życiu. Tak było. Gdybyś go tylko wysłuchał.

- Zamilcz, Kate.

Zwiesiła głowę nisko na piersi, lecz gdy podszedł do niej John i kładąc jej rękę na ramieniu, próbował usadowić na krześle, sztywno stawiała mu opór. Wyrwała się z jego uścisku, kiedy Hal usiadł przy stole i stanowczym tonem oświadczył: - Nie wyjdiesz za niego.

- A właśnie że wyjdę. Wyjdę.

Hal ponownie porwał się na równe nogi, a z głębi jego piersi wydobył się wściekły bulgot: - Na Boga! Nie wyjdiesz, chyba że po moim trupie.

- Cóż. - Głowę uniosła śmiało do góry i wyprostowała się. - Powiem ci to jeszcze raz, ojcze i ostrzegam, że wiem, co mówię: czy będziesz żywy, czy umarły, wyjdę za mąż za Bena.

Wszyscy patrzyli na nią z otwartymi ze zdumienia ustami, a Kate ciągnęła dalej: - Jesteśmy dla siebie stworzeni. Wiedzieliśmy o tym od początku. Jeśli nie będę go miała, życie straci dla mnie sens. Przez całe lata byłem świadoma swojej brzydoty i niezdarności. Widziałeś to lepiej niż ktokolwiek

inny, dlatego ułożyłaś moje małżeństwo z Harrym Bakerem. A teraz znalazłam mężczyznę, bardzo przystojnego, inteligentnego, dżentelmena w każdym calu, który nie widzi we mnie brzydoty. On jest moją przyszłością, moim życiem. Dokądkolwiek się uda, pójdę za nim, nawet do Ameryki.

Wszystkim odebrało mowę i w kuchni zapadła cisza. Jedynym dźwiękiem był trzask płonących szczap w palenisku i bulgotanie kipiącej wody w czajniku. Wydobywające się spod pokrywki krople z sykiem parowały na gorącym popiele.

Pierwszy poruszył się Hal. Oparł dłonie o brzeg stołu i pochylony do przodu wypowiedział tylko jedno słowo, które przyprawiło Mary Ellen o dreszcz.

- Zobaczymy.

Ton, jakim wypowiedział to proste słowo, brzmiał złowieszczo. Słyszała to słowo przed wieloma laty, wypowiedziane takim samym złowróżbnym tonem. Oznaczało wstęp do walki. Hal mógł sobie wrzeszczeć, grzmieć albo mówić spokojnie, lecz kiedy używał tego tonu, oznaczało to wielkie kłopoty. Podeszła do niego: - Halu - zaczęła. Kolejny raz odepchnął ją od siebie, zostawił wszystkich i wyszedł z kuchni.

Ledwie zamknęły się za nim drzwi, Mary Ellen znowu natarła na Maggie, krzyząc do utraty tchu: - Widzisz, co zrobiłaś? Czy rozumiesz, co narobiłaś?

- Zostaw ją, mamó - podszedł do matki Tom. - Wie, co zrobiła, żałuje tego i żałować będzie jeszcze bardzo długo. Prawda, Maggie? - popatrzył na siostrę, lecz ona w odpowiedzi spuściła jeszcze niżej głowę, tak żeby nikt nie zobaczył jej reakcji na te słowa.

- Musiało się to stać wcześniej czy później - przemówiła Kate. - Lepiej, że wyszło na jaw, i nie ma znaczenia, jakie będą skutki. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym żyć wiedząc, że oboje was oszukujemy.

Już zamierzała wyjść, kiedy po raz pierwszy odezwała się Annie: - Trzeba pozwolić przeszłości przeminąć. To wszystko zdarzyło się tyle lat temu, chociaż on także ma swoją rację - ciągle widzę to pokurczone ciało, jakie tu przynieśli. Tego widoku nie można wymazać z pamięci. Ciężkie chwile przed tobą, dziecko. Chociaż już wybrałaś, kto wie, może czas odmieni twoje uczucia.

- Nie licz na to, Annie. Jutro idę do niego, ze ślubem czy bez.

- Boże jedyny! - Mary Ellen wypowiedziała te słowa szeptem, lecz wszyscy je usłyszeli.

Gdy Kate wyszła z kuchni, Florrie także zaczęła płakać, a bracia jęli ją pocieszać. Mary Ellen stała z rękami na szyi, kierując spojrzenie na zwieszoną głowę Maggie. W tej jednak chwili nie myślała o Maggie, lecz o tym, że nastąpił rozpad jedności rodziny. Została naruszona harmonia, która, jak sądziła, trwać będzie do dnia jej śmierci.

---

## 14

---

Kate ocknęła się rankiem w pokrytym puszystym śniegiem świetle. W pokoju panował lodowaty ziąb. Zapaliła świecę przy łóżku i nałożywszy szlafrok podeszła do okna. Warstwa śniegu na parapecie przykryła dolną szybę. Potarła górną szybę i z rozpaczą stwierdziła, że ciągle pada. Większość poprzedniego wieczoru spędziła na pakowaniu swoich rzeczy. Nie zeszła na kolację, a kiedy Mary Ellen przyniosła jej tacę z jedzeniem, odmówiła jej przyjęcia mówiąc, że nie jest głodna. Mary Ellen usiadła na brzegu łóżka i popatrzyła na córkę ze smutkiem. - Oj, dziecko, do czego to doszło - westchnęła.

- Nic na to nie poradzę, mamó - odparła Kate.

- Rozumiem to. Ale że wybrałaś kogoś takiego jak on! Gdyby porwali cię dzicy Indianie, ojciec zniósłby to lepiej. Ale Bannaman? Nigdy! To ciągle w nim żyje. Ciągłe dręczą go senne koszmary. Przez wiele nocy musiałam wstawać i wycierać pot z jego czoła. Czasem nawet musiałam zmieniać prześcieradło, bo było całe mokre od potu.

Gdyby nawet Kate próbowała jej opowiedzieć, co Ben wycierpiał z rąk swojej matki, nic by to nie zmieniło. Nawet kiedy uścisnęły się serdecznie, Kate wiedziała, że jej matka czuje się dotknięta równie mocno jak Hal, tyle że jej ból nie objawiał się wściekłością i groźbami.

Zegarek wskazywał wpół do ósmej. Zaspała. Budziła się zwykle o szóstej. Nikt nie przyszedł, by ją obudzić, co odebrała jako znak, że nie należy już do rodziny. Rozejrzała się po pokoju, w którym mieszkała przez tyle lat. Będzie za nim tęskniła. Nawet jeśli w przyszłości spać będzie w piękniejszym, nigdy nie przestanie wspominać starego. W nogach łóżka piętrzyły się torby z ubraniami i pudełka. Przyniosła je ze strychu ubiegłego wieczoru i zapakowała ślubną wyprawę i ubrania. Umyła się w lodowatej wodzie, ubrała i uczesała. Nie spieszyła się, świadomie przeciągała każdą czynność, jakby chciała na dłużej zachować je we wspomnieniach. Było już po śniadaniu. Pomyślała z lekkim smutkiem, że nikt nie zajrzał, żeby ją zawołać.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi i weszła Florrie dźwigając zastawioną tacę.

- Przyniosłam ci małe śniadanie, Kate.

- Dziękuję, Florrie, ale nie jestem głodna.

- To chociaż napij się czegoś - powiedziała cicho Florrie i postawiła tacę na stoliku. Nalała herbaty z porcelanowego dzbanka, podniosła filiżankę i podała tak drżącą ręką, że Kate wzięła ją natychmiast i odstawiła z powrotem. Przytuliła Florrie mocno do siebie, a głowa siostry spoczęła na jej ramieniu.

- Och, Kate, Kate - wyszeptała z płaczem Florrie. - Nie zniosę tego. Nigdy nie będę szczęśliwa, kiedy odejdziesz.

- Będziesz, kochanie. Charles już tego dopilnuje. I ja... nie będę przecież daleko.

- W Ameryce.

- Nie, przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Lubię go, jest bardzo miły. Gdyby tylko tato...

- Tak, gdyby tato, ale to wszystko na próżno. Nic nie zmieni ojca. Zawsze o tym wiedziałam.

- Tato kocha cię, Kate.

- Tak. Wiem o tym. Ja go też kocham, ale Bena bardziej. No już, już, wytrzyj oczy.

- A więc naprawdę odchodzisz?

Kate nie odpowiedziała wprost na to pytanie, tylko zauważyła: - Pogoda jest paskudna.

Florrie potaknęła: - Tak, padało przez całą noc. Śnieg na podwórzu sięga prawie do kolan. I wieje wiatr, nawiewa

zaspę. - Po krótkiej przerwie spytała cichutko: - Wybierasz się prosto do tamtego domu?

Nastąpiła długa przerwa. - Tak, Florrie. Jadę prosto do tamtego domu - potwierdziła Kate.

Siostra odwróciła się ze smutkiem. - Zjedz coś - powiedziała jeszcze. Cicho zamknęła za sobą drzwi.

Kate nie tknęła jedzenia, wypła tylko drugą filiżankę herbaty i ubrała się do wyjścia. Założyła kapelusz i szal. Na koniec zawinęła trzykrotnie pasek spódnicy, by sięgała jej nad kostki, na wypadek gdyby ojciec odmówił jej pożyczania konia i musiałyby pójść pieszo. W każdym razie niezręcznie było pójść po konia. Nie mogła też poprosić o dwukólkę, żeby zabrać багаż. Ciężko byłoby przedrzeć się przez zaspę. Zabierze rzeczy później, a teraz weźmie torbę z bielizną na zmianę i koszulę nocną. To wszystko, co może udźwignąć.

Drżała wchodząc do kuchni, lecz z ulgą zobaczyła, że są w niej tylko matka i Annie. Mary Ellen odezwała się pierwsza. - Nie możesz odejść, dziecko.

- Muszę, mamó. Nie ma na co czekać. Jak tylko śnieg przestanie padać, przyślę po moje rzeczy.

- Dziewczyno, nie rozumiesz, że ojciec nigdy nie pozwoli ci pójść do niego?

- Nie może mnie powstrzymać, mamó, chyba że zastrzeli mnie albo jego.

- Nie mów tego tak lekko, dziewczyno, ja też nie mogę odpędzić od niego demonów przeszłości. Nie masz pojęcia jak silna jest jego nienawiść do Bannamanów, co zresztą ma swoją przyczynę. Szkoda, że grzechy ojców i... matek przechodzą na dzieci, ale taka jest prawda.

- Ty też, mamó?

- Nic na to nie poradzę. Widziałam więcej od ciebie.

Kiedy Kate westchnęła, Mary Ellen łamiącym się głosem rzekła: - Czy nie widzisz, że czynisz rozłam w rodzinie?

W tej chwili otworzyły się drzwi i dało się słyszeć potężne tupanie. Do kuchni wszedł John. Ściągnął czapkę, otrzepał się i wytarł twarz z płatków śniegu. - Musisz wstrzymać się trochę - zwrócił się cicho do Kate.

- Co chcesz przez to powiedzieć, że ma się wstrzymać?  
- zapytała Mary Ellen.

- Ojciec pojechał.
  - Co!?! - wszystkie trzy wlepiły w niego wzrok. - Nic nie możemy na razie zrobić. Poleciał mi, żeby ci powiedzieć, że masz poczekać do jego powrotu - odparł spokojnie.
  - Jak pojechał? - Mary Ellen ciasno splótła dłonie.
  - Na końskim grzbiecie, a jak inaczej?
  - Wiesz, o co mi chodzi. Czy zabrał coś ze sobą? No, czy...
  - Nie, mam, nie zabrał strzelby.
  - Jesteś pewien?
  - Tak. Poszedłem sprawdzić. Cała broń jest na swoim miejscu.
  - Nie mam zamiaru zostać, Johnie. Jeśli ojciec tam pojechał, Bóg jeden wie, co się stanie, kiedy się spotkają.
  - Sądzę raczej, że Ben będzie umiał się powstrzymać, kiedy dojdzie do bójki.
  - Ben nigdy nie podniesie na niego ręki.
  - Może nie uderzy pierwszy, ale mało jest takich, którzy umieją nadstawić drugi policzek. Jedyne, co możemy zrobić, to usiąść tu i czekać. Powinien wrócić za jakieś trzy godziny, nawet jeśli jazda będzie trudna. Wliczając w to także czas, który zajmie jego przemówienie.
  - Jeżeli w ogóle tam dobrnie.
- John spojrzął na Annie. - Masz słuszość, Annie - zgodził się. - Nie byłbym zdziwiony, gdyby zawrócił i przyjechał do domu. Musimy okazać trochę cierpliwości. Ale tak czy inaczej powie, co ma do powiedzenia, a wtedy wszystko zależeć będzie od ciebie, Kate. Sama rozstrzygniesz, co masz robić.
- Już rozstrzygnęłam.
  - Wiem o tym. - Odwrócił się i wyszedł powoli. Wszystkie trzy zauważyły, że nie wypił herbaty.

\*

Hal przejechał kawałek drogi bez trudu, ponieważ wiatr w wielu miejscach oczyścił ziemię ze śniegu. Tylko tam, gdzie droga schodziła niżej, leżały grube jego warstwy. Raz musiał nawet zsiąść z siodła, by przeprowadzić konia przez zaspę. Ale podczas śnieżycy tak się właśnie jeździło.

Przed bramą farmy zsiadł z konia. Rozejrzał się po podwórzu, na którym warstwa śniegu była nieskazitelnie biała, co wskazywało, że człowiek, którego szukał, nie wyszedł

jeszcze z domu. By otworzyć bramę, musiał pokonać opór śniegu. Wprowadził konia do środka i przywiązał go w pobliżu bramy. Zwierzę nerwowo rzuciło łbem, odpowiadając w ten sposób na rżenie, które dobiegło od strony stajni.

- Spokojnie - poklepał konia po szyi i ruszył powoli w stronę budynku. Im był bliżej, tym bardziej dopadały go wspomnienia przeszłości. Tak jakby zdarzyło się to wczoraj, ujrzał Mary Bannaman biegnącą do dwukółki i wracającą z bronią w rękę. Gorycz pogłębiła się jeszcze, kiedy zdał sobie sprawę, że jej syn jest teraz w domu, bez wątplenia oczekując nadejścia Kate. Cóż, długo będzie musiał czekać, bowiem Hal prędzej pozwoli ujrzeć Kate martwą niż tkniętą przez Bannamana.

Z boku drzwi znajdowała się metalowa rączka dzwonka. Szarpnął ją i usłyszał przytłumione brzęczenie za drzwiami. Kiedy nikt się nie pojawił, zabębnił w drzwi zaciśniętą pięścią. Gdy i po tym nie doczekał się odpowiedzi, odstał od drzwi i przeszedł na drugą stronę budynku. Począł walić w inne drzwi, a kiedy i to nie przyniosło oczekiwanego skutku, ujął ręką kołatkę. Drzwi niespodziewanie uchyliły się. Pchnął je, by otworzyły się szerzej. Wkroczył do środka i znalazł się w kuchni. Skierował natychmiast wzrok do paleniska, pełnego szarego popiołu. Był to znak, że nikogo tu nie ma od paru godzin. Hal przeszedł dalej, rozglądając się czujnie na wszystkie strony. - Hej! Jeśli tam jesteś, odezwij się! - zawołał, gdy dotarł do przeciwległych drzwi.

Zatrzymał się w sieni. Była pusta, lecz świeżo pomalowana. - Jesteś tam na górze?! Pokaż się! - krzyknął ponownie.

Otworzył drzwi do salonu i z trudem zmusił się do wejścia. Tu także zobaczył w kominku pozostałości po ogniu palonym wiele godzin temu. W pokoju było trochę mebli z pewnością kupionych przez Bena i Kate i wstawionych tu na przechowanie. Stał tu sekretarzyk, małe stoliki i szafka na książki.

Wycofał się z pokoju, nie bez obawy, skradając się i nieufnie rozglądając, jakby spodziewał się napaści. Gdy znalazł się w sieni, pobiegł przez kuchnię na podwórze. Zatrzymał się tam usiłując dostrzec cokolwiek przez gęsty śnieg.

Gdzie on u licha jest? Czyżby w tej chacie na wzgórzu? Odrzucił tę możliwość. Jedno było pewne. Nie wybrał się do

miasteczka, ponieważ zostawił konia, który cały czas rżał przeraźliwie.

Hal udał się do stajni i otworzył drzwi, spoza których dochodziło rzenie. Kiedy zwierzę wyciągnęło do niego szyję, odepchnął je lekko. Zobaczył, że koń ma pod dostatkiem siana, lecz wiadro było niemal puste, co pozwalało się domyślać, że nikt nie zaglądał tu od wczoraj.

Zamknął drzwi, prawie uderzając nimi w wyciągnięty koński łeb i podszedł do miejsca, gdzie uwiązał własnego konia. Nie wsiadł, lecz wyszedł poza bramę i popatrzył w kierunku wzgórz. Jeśli śnieg będzie nadal tak padał, nikt nie będzie mógł tam wejść ani też wydostać się z powrotem. Czy powinien poczekać? Jeśli zaczeka, czy Kate zostanie? Nie przywiązywał wagi do tego, co powiedziała wczoraj wieczorem. Oboje w gorączce powiedzieli za wiele, tyle że on wierzył w to, co powiedział. Teraz, podjął decyzję.

Wiedział, gdzie znajduje się chata owczarza i znał do niej drogę. W dzieciństwie pokonywał każdy skrawek tych wzgórz, tyle że to było dawno i wtedy nie pokrywał ich śnieg.

Nie uszedł daleko. Silny atak kaszlu zatrzymał go na miejscu. Powiedział sobie, że musi uważać. Jedno tylko układało się pomyślnie - im wyżej, tym mniej śniegu leżało na ziemi. Wiatr zmiatał śnieg z tej strony wzgórz. Za to sypiące gęsto z nieba płatki niemal go oślepiały.

Kiedy wreszcie dostrzegł niewyraźnie mający w oddali zarys chaty, zatrzymał się na chwilę plecami do wiatru, rękami chwytając mocno kołnierz płaszcza, jakby próbował w ten sposób zmniejszyć ucisk w piersi. Czuł się wyczerpany, lecz z uporem włókł się dalej.

Niedaleko chaty przystanął, by otrzeć śnieg z twarzy, brwi i rzęs. Zmrużył oczy i wpatrzył się w wirującą białą masę, gdzie zamajaczyła sylwetka człowieka. Ben nie zdawał sobie sprawy z obecności kogoś obcego, był bowiem pochłonięty ciągnięciem z całej siły sznura, na którym uwiązana była koza.

Kiedy zwierzę zdecydowało się zejść z wojennej ścieżki i podeszło spokojnie do Bena, ten zachwiał się i niemal przewrócił się na plecy. Aby uniknąć upadku, odwrócił się, by złapać równowagę. Wtedy dostrzegł zarys skulonej postaci

zaledwie parę kroków dalej. Przez chwilę wydawało mu się, że to Kate. Kiedy jednak się wyprostował i zobaczył kto to, uścisk ręki na sznurze zelżał z wrażenia. Koza, korzystając z okazji, skoczyła przez pole nieświadoma, że brama jest zamknięta, i że będzie musiała obrać okrężną drogę, by dostać się z powrotem do swojego szałas.

Ben bezradnie patrzył za znikającym w śnieżnym tumanie zwierzęciem, po czym spojrzął na Hala i gestem zaprosił go do środka. Skierował się do drzwi chaty, lecz wtedy dobiegł go głos Hala:

- Zbliżyłem się do ciebie tak blisko, na ile pozwala twoje bezpieczeństwo.

- Panie Roystan, proszę! - krzyknął Ben. - Chcę, żeby pan mnie wysłuchał.

- Wysłuchać cię? Wiem o tobie wszystko, co mi trzeba, młody człowieku! - Hal odkrzyknął tak głośno, na ile pozwalała mu zadyszka. - Przyszedłem tylko po to, żeby ci powiedzieć... I lepiej weź sobie to do serca... Trzymaj się z daleka od Kate, bo jeśli nie, to pewnego dnia staniemy twarzą w twarz, a ja nie przyjdę na to spotkanie z gołymi rękami. Wiem, co mówię. Zawsze czułem, że mogę zawisnąć przez jednego z Bannamanów, jeśli tylko spotkam któregoś na swej drodze... I będę z tego rad... Tak więc, najlepsza rada, jaką mogę ci dać, to zabieraj się na statek i wracaj do swojej ojczyzny. Zapomnij, że tu kiedykolwiek byłeś.

- Powiedział pan wszystko, co miał pan do powiedzenia?

Hal był nieco rozczarowany spokojem Bena, wrzasnął więc głośniejsz niż przedtem: - Tak, powiedziałem wszystko, co trzeba było powiedzieć, ale mało o mnie wiesz, skoro myślałeś, że jestem człowiekiem honoru. Obiecuję ci, że nie przeżyjesz, żeby to rozpowiedzieć, jeśli zbliżysz się do niej znowu.

- A co z nią?

- Zrobi, co się jej każe.

- Nie, o ile znam Kate. I nie może pan przywiązać jej do siebie łańcuchem, jakby pan tego chciał. Jeśli doprowadzi mnie pan do ostateczności, sprzątnę panu Kate sprzed samego nosa i wyjedziemy z tego kraju.

- Mocny Boże! Całe szczęście, że nie wziąłem ze sobą broni, bo inaczej już byś tu leżał martwy. Naszpikowałbym

cię kulami, jak tu stoję. To moje ostatnie słowo. Weź je sobie do serca.

Odwrócił się i chwiejnie ruszył w powrotną drogę. Bliski całkowitego wyczerpania oparł się o kamienny mur i ciężko dysząc próbował złapać oddech. Stojąc tak uświadomił sobie, że sprawa daleka jest od zakończenia, ponieważ miał przeciwko sobie człowieka gotowego na wszystko tak samo jak on.

Kiedy się wyprostował, ujrzał przed sobą ciemny kształt kozy. Przecierała mu drogę, pospieszył więc za nią. Wiedział, że kozy na ogół świetnie orientują się w terenie, a sam prawie nic nie widział w gęsto syjącym śniegu.

Koza zmierzała do szałasów owczarza, który uważała za swój dom, z którego pan niedawno wyciągnął ją siłą. Oswoiła się z człowiekiem, który ją karmił, doił, a nawet z nią rozmawiał. Jednak i jego bodła przy każdej sprzyjającej okazji. Kiedy podbiegła do bramy prowadzącej do dolnej części pola, na której stał szałas, i znalazła ją zamkniętą, wpadła w złość. Rzuciła się w stronę majaczącej w śniegu sylwetki, pochyliła głowę i zaatakowała.

\*

Po wyjściu gościa Ben usiadł przy stole, walcząc z gniewem równym złości człowieka, którego miał nadzieję nazwać swoim teściem. Był pewien, że Hal Roystan nie rzuci słów na wiatr i jest zdolny użyć broni. Skoro tak, to i Ben mu pokaże, że nie trwoni obietnic. Ponieważ zdawało mu się niemożliwe namówić Kate do porzucenia domu, był zdecydowany udać się do sądu. Anglicy - jako ludzie lubiący uczciwą grę - często używali tego sposobu do osiągnięcia swoich celów. A więc i on pójdzie do sądu po pomoc. Tak czy inaczej, zdobędzie Kate. Czasami zastanawiał się, dlaczego Kate znaczy dla niego tak wiele, czy nie ze względu na fakt, że pochodziła z rodziny, która ucierpiała z rąk matki i dziadka, i że miał nadzieję przez ten związek zmasać odziedziczoną winę. Odpowiedź za każdym razem brzmiała: „nie”. Niezależnie od tego, do jakiej Kate należała rodziny, ich miłość byłaby tak samo głęboka. Kate dawała mu wiele ciepła, sprawiała, że czuł się lepszy. Oprócz tego była inteligentna i miała poczucie humoru.

Postanowił, że pójdzie teraz do domu i będzie oczekiwał jej przyjazdu, a jeśli nie pokaże się w ciągu dwóch, trzech

dni, skorzysta z pomocy Charlesa. Jeśli to zawiedzie, będzie musiał zwrócić się do sądu.

Wyszedł i zamknął drzwi. Nie poszedł ścieżką, lecz na skróty do furtki prowadzącej na pole. Gdzieś tam śnieg sięgał wierzchu jego kamaszy i stawał się coraz głębszy w miarę jak teren się obniżał.

Kierując się do bramy, którą zamknął niespełna godzinę temu, zdziwił się nie widząc kozy po drugiej stronie. Zwykle czekała niecierpliwie, by ją wpuszczono.

Z trudem otworzył bramę, rozejrzał się dokoła i odróżnił mały kształt skulony pod murem. Brnąc w jego kierunku zastanawiał się, czemu koza nie podbiega do niego z opuszczonym z irytacji łbem. Parę kroków od niej stanął jak trafiony piorunem na widok wystającego ze śniegu buta. Pochylił się niżej i zobaczył na wpół przysypany śniegiem kształt. Przyciśnięta do muru głowa zalana była krwią.

- Och, Boże! - Ben odrzucił na bok torbę z książkami, objął ramieniem sztywne ciało i odciągnął je na nieco twardsze podłoże ścieżki. Na skroni Hala widoczna była rana, z której sączyła się krew i plamiła włosy koło ucha i brwi. Cóż teraz począć? Czy Hal jest martwy? Nie, klatka piersiowa porusza się w oddechu. Musi zabrać nieprzytomnego gdzieś pod dach. Lecz dokąd? Do koziego szałas? Na samą myśl aż się skrzywił, lecz tam mógł udzielić Halowi skuteczniejszej pomocy niż na dworze.

Stanął za Halem, ujął go pod pachy i pociągnął w kierunku bramy. Kozą podążyła za nimi, tym razem dobrowolnie.

Kiedy przeciskał się przez uchyloną bramę, Hal wydał z siebie odgłos przypominający ni to jęk, ni to szloch. Ben zatrzymał się, położył Hala na ziemi i spytał: - Co się dzieje? Gdzie pana boli?

Odpowiedzi jednak nie było. Oczy pozostały zamknięte, twarz nieporuszona jak przedtem.

Ben dyszał ciężko, kiedy wreszcie udało mu się wciągnąć bezwładne ciało do małego, śmierdzącego szałas. Podniósł głowę, gdy w otwartych drzwiach pojawiła się Bidy. - Uciekaj stąd! - krzyknął do kozy. Całą uwagę skupił na człowieku, który niedawno groził mu śmiercią. Co teraz powinien zrobić? Jedno było pewne - nie mogą tu zostać, bo zamarną na

śmierć. Trzeba w jakiś sposób dostać się do chaty. Poklepał szorstki policzek Hala. - Panie Roystan, proszę się ocknąć! Panie Roystan! - prosił.

Kiedy już stracił wszelką nadzieję, Hal jęknął i powoli unióśł powieki. Patrzył na drewniany dach wznoszący się niewysoko nad jego głową i mruczał coś niezrozumiałego. Następnie wzrok jego spoczął na pochylonej nad nim twarzy. Otworzył usta i wysapał: - Przeklęta koza!

Wzrok Bena powędrował od Hala ku kozie, stojącej w otwartych drzwiach. Prawie zachciało mu się śmiać, kiedy głos Hala zabrzmiał znowu: - Ubodła mnie. - Ubodła go koza! Nie było w tym jednak nic śmiesznego; gdyby Ben nie wybrał drogi na skrót, Roystan niechybnie zamarzłby pod śniegiem. Cynicznie pomyślał, że byłoby to jakieś rozwiązanie.

- Czy coś pana boli? Może pan usiąść? - zapytał, próbując ująć go pod ramię. Lecz gdy go dotknął, Hal wzdrygnął się, wydając dźwięk podobny do warczenia wściekłego zwierzęcia. Próbuąc wstać o własnych siłach, jęknął przeciągle i dysząc ciężko burknął: - Mam złamaną nogę.

Zdecydowanym ruchem Ben rozpiął długi płaszcz Hala. Zdawało się, że pod bryczesami nie ma żadnej rany, lecz but na prawej nodze był ułożony pod nienaturalnym kątem. Kiedy Ben dotknął go z największą delikatnością, Hal znowu wydał okrzyk bólu.

- Ma pan złamaną nogę w kostce.  
- W kostce?  
- Tak.  
- Nie w łydce?  
- Nie.  
- Cholerna koza.  
- A jak pana głowa?  
- Nie wiem. Jest ciężka - głos Hala ścichł znowu, a powieki się zamknęły.

- Kręci mi się w głowie. - powiedział.

Otworzył ponownie oczy, popatrzył Benowi w twarz i zadał pytanie: - No i co masz zamiar ze mną zrobić? Zostawić mnie tutaj? To byłoby jakieś wyjście, prawda?

- Nie gadaj głupstw, człowieku.  
- Co?

- Mówiłem wyraźnie. Muszę zabrać pana na górę do chaty.  
- Nie mógł się powstrzymać, by nie dodać: - Wykurować pana, by miał pan okazję zrobić użytek ze swojej broni.

- Ano cóż - Hal poruszył powoli głową. - Nie myślę, by ta sytuacja cokolwiek zmieniała. Mówiłem poważnie. Nic się nie zmieniło. - Znow przymknął powieki. W głowie mu huczało; czuł się naprawdę bardzo źle. Zmusił się, by spojrzeć znowu w górę.

- Możesz zejść ze wzgórz, zawezwać pomoc - zaproponował.

- Dopiero jak wyciągnę pana z tego szafasu. Zanim nadejdzie pomoc, minie parę godzin. Do tej pory będzie pan sztywny.

Tak, Ben miał rację, z pewnością byłby już sztywny. Dygotał cały.

- Jest panu zimno? - spytał wprost Ben.

- Trochę.

- Lepiej spróbujmy poruszać się trochę.

Hal nie oponował, kiedy Ben zapinał mu płaszcz. Lecz kiedy jego ciałem targnął atak kaszlu i przeszedł go dreszcz, a Ben zdjął swój własny płaszcz i owinał go nim - gwałtownie odrzucił okrycie na bok, mamrocząc ochryple: - Nie... chcę... tego.

Ben nic nie powiedział, lecz przez chwilę przytrzymał płaszcz na ramionach Hala. Kiedy drzenie nie ustąpiło, powiedział szorstko: - Proszę posłuchać. Musi pan zdobyć się na wysiłek i stanąć na nogi... A raczej na nogę. Do chaty nie jest daleko. Najgorszy jest ten pierwszy kawałek zaraz za drzwiami.

Hal wpatrzył się w widoczną w mdłym świetle szczupłą twarz i surowe oczy. Zdobyć się na wysiłek, powiada? Jak mu się wydaje, kogo ma przed sobą? - Już ja mu pokażę, pomyślał.

Gdy podciągnął się do pozycji siedzącej, głowa mu zwisała, a ciało przeszył rozrywający ból. Opadłby z powrotem, gdyby nie kolano Bena podpierające plecy i ramiona. Obejmował jego klatkę piersiową i podciągał go mocno do góry.

Boże Wszechmogący! To nie do zniesienia! Z powrotem znalazł się pod dachem stodoły. W kościach czuł przeszywa-

jacy ból, a knebel nie pozwalał mu oddychać. To wszystko przez jednego ze zniechęconych Bannamanów. Łajdaki. Diabelne łajdaki.

- Hop, do góry, proszę się oprzeć na moim ramieniu. Pochylić plecy, kiedy będziemy przechodzić przez drzwi. O, właśnie tak. Jesteśmy na dworze. No, dalej! Nie może pan tu leżeć.

Ten człowiek wydawał mu polecenia. Na Boga! Nikt nie będzie mu rozkazywał, a już na pewno nie ten typ.

- Tylko skakać. Oprzeć się na mnie całym ciężarem i skakać.

Głos ten dochodził do Hala z bardzo daleka niczym echo na wzgórzach. Przed sobą widział białą ścianę wzgórza. Wznosiła się coraz wyżej i wyżej. Hal podskoczył trzy razy, a potem poczuł się słabo i padł na ziemię.

O mój Boże! Ben wciągnął do płuc lodowate powietrze. To dopiero historia. Jak wtaszczyć Hala po stoku? Ciągnąć go jak przedtem? Ale poprzednio ciągnął go po równej powierzchni. Nie mógł go nieść, nie dałby rady. Ciągnąć bezwładne ciało także ciężko, jednak to było jedyne wyjście.

Wciągnięcie ciała na stok zajęło całe piętnaście minut. Co rusz Ben ślizgał się i przewracał na plecy. Nie wiedział, jak długo trwał zanim wciągnął nieprzytomnego przez bramę i pod drzwi chaty. A kiedy wreszcie wtaszczył Hala do izby, padł na podłogę wyczerpany do cna.

Po pewnym czasie ociężałe stanął na nogi i znowu chwycił zmarzniętymi rękami sztywne ciało pod pachy i zaciągnął w pobliże paleniska. Wziąwszy miechy, których nie spodziewał się już używać, rozniecił zamierające płomyki ognia, dołożył drewna, nalał wody z wiadra do garnka i postawił na środku ogniska. Dopiero wtedy ukląkł przy Hala i poklepał jego policzki. - No, już wszystko w porządku. - Odzewu nie było. Rozpiął więc płaszcz i ostrożnie zdjął z Hala. Wziął koce z łóżka i okrył nimi rannego. Na końcu podłożył mu pod głowę poduszkę. Wtedy Hal znowu jęknął i powoli otworzył oczy. Atak kaszlu przywołał go do przytomności - popatrzył na płonący ogień, westchnął i coś wymamrotał. Ben pochylił się nad nim.

- Co pan powiedział? - spytał.

- Przyszli z pomocą?

- Nie.

- Nie? - otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. - To jak się tu dostałem?

- Na grzbiecie kozy naturalnie - odparł nielitościwie Ben, a Hal spojrział na niego i pomyślał: Och, nie. Tylko nie to. Nie chcę być mu wdzięczny za cokolwiek. Ale przecież Ben nie byłby w stanie wciągnąć go na stok za szafasem - pamiętał, że stok był stromy - niemniej znajdował się w chacie. Boże Wszzechmogący! Rzeczy przybierały obrót, jakiego sobie nie życzył. Lecz to niczego nie zmieniało.

Po paru minutach Ben trzymał już w ręku kubek gorącego napoju.

- Czy może pan usiąść i wypić to? - zapytał.

- A co to jest?

- Herbata.

- Herbata?

- Tak, herbata. Wiodę tutaj cywilizowane życie.

Gdy Hal uniósł się na łokciu, zakręciło mu się w głowie, a gdy poruszył nogą, wstrzymał oddech i zacisnął zęby. Nie zaprotestował, gdy Ben powiedział: - Powinienem rzucić okiem na pana nogę. - Wziął od Bena kubek i wypił gorący płyn, po czym znów się położył.

Z wielką ostrożnością Ben odpiął mu kamasze i rozwiązał sznurowadła. Kiedy ścisnął łydkę, by zdjąć but z nogi, Hal krzyknął z bólu i zacisnął ręce na macie. Po zdjęciu buta Ben popatrzył bezradnie na kość, która przebiła skarpetę i tkwiła na zewnątrz.

- To bardzo brzydkie, otwarte złamanie - rzekł.

- Co zamierza pan zrobić?

Co zamierzał zrobić? Jedyne, co mógł zrobić, to pójść na dół i przyprowadzić pomoc, lecz najpierw powinien sam trochę odtajać, bo cały drżał od przejmującego chłodu, jaki panował w izbie pomimo płonącego ognia. Nie obawiał się przeziębienia. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek w życiu przechodził naprawdę poważną chorobę.

Spojrzął na zegarek. Było wpół do drugiej. O czwartej ściemni się, a nawet gdyby ściągnąć tu wszystkie latarnie z całego hrabstwa, wyprawa na wzgórze w taką pogodę byłaby szaleństwem dla każdej ekipy ratowniczej. Zostało więc naj-

wyżej dwie i pół godziny, by zejść na dół i wrócić z pomocą. To było niewykonalne. Przy dobrej pogodzie tak, ale nie w tych warunkach. Pozostawała nadzieja, że ktoś się pojawi na wzgórzach, chłopcy bowiem z pewnością już wyjechali na poszukiwanie ojca w przeświadczeniu, że wprowadził groźby w życie i zabił Bena gołymi rękami.

- Pójdiesz na dół?

- Nie sądzę, żeby to na coś się zdało. Nikt nie zdoła tu dotrzeć przed zapadnięciem ciemności. Wygląda na to, że będziemy musieli tu przenocować.

- Mary Ellen będzie się martwić.

- Nie ona jedna.

Hała ogarnęła fala dreszczy.

- Ciągle jest panu zimno? - spytał Ben.

Hal potaknął, dzwoniąc zębami. - Nie masz czegoś mocniejszego, whisky czy czegoś w tym rodzaju? - spytał po chwili.

- Nie, niestety. Może jeszcze jedną herbatę?

- Tak, tak.

- Bardzo boli?

- Da się znieść, jeśli się nie ruszam. Dlaczego nie spróbujesz zejść na dół? Nic mi się nie stanie. A oni... oni są obeznani ze wzgórzami, dadzą sobie radę.

- Tak, dadzą sobie radę, ale nie w drodze powrotnej, kiedy będą musieli pana nieść. Coraz gęściej sypie.

- A co będzie, jeśli nas zasypie? - spytał Hal po chwili ciszy. - Zdarzały się tu takie rzeczy. Umrzemy z głodu.

- Niezupełnie. Jest trochę sucharów, suszone śledzie, resztki wędzonej szynki, a poza tym mogę zawsze jeszcze przyprowadzić Bidy. Ona sama z pewnością nie będzie mile widzianą współmieszkaną, ale jej mlekiem nie pogardzimy.

Znowu zapadła cisza. - Życie jest zabawne, płata człowiekowi przeróżne figle - powiedział Hal. - Wiesz, że gdybym miał ze sobą strzelbę, najpewniej bym cię zabił.

- Nie mam co do tego wątpliwości.

- Jesteś twardy gość, prawda?

- Nie myślałem tak nigdy o sobie.

- Szkoda, że jesteś tym, kim jesteś. Nie zmienię o tobie zdania. Nie myśl, że to, co się stało, zmieni cokolwiek. Wybij to sobie z głowy.

- Wiem, co pan czuje, ale chciałbym, żeby pan też usiłował mnie zrozumieć. Dzisiejszego ranka rozwiął pan moje złudzenia, że kiedykolwiek mnie wysłucha, lecz teraz nie ma pan wyboru - mam właśnie zamiar opowiedzieć panu o sobie wszystko.

- To tylko strata czasu.

- Niemniej muszę skorzystać z tej okazji.

Ben podszedł do łóżka i wziął z niego ostatni koc, który zarzucił sobie na ramiona. Czuł się przemarznięty do szpiku kości i z wysiłkiem powstrzymywał się od szczękania zębami. Przysunął krzesło i usiadł blisko ognia. Zanim przemówił, zapatrzył się w płonący ogień. - Nie wie pan, co to jest nienawiść. Porównanie pana uczuć do Bannamanów z moimi wypadami jak porównanie masła ze skałą.

Z oczami utkwionymi w płonących bierwionach, nie śpiąc się, opowiedział Halowi o swoim życiu, tak jak przedtem Kate. Zakończył słowami: - Jedyne usprawiedliwienie, jakie dla niej znajduję, jest takie, że była obłąkana.

Minęło trochę czasu, nim Hal przemówił. - Tak, na pewno była. Ale musisz pamiętać, że jesteś jej częścią - powiedział cicho.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, ale wiem również, że jestem synem swojego ojca, który był jednym z najlepszych ludzi, jacy żyli na ziemi, tak samo jak mój dziadek. A także moja babka, a jej matka. To także dobra kobieta. Nie wiedziała, co zrobiła jej córka, dopóki syn jej o tym nie opowiedział. Mój wuj brał udział w zdarzeniu w stodole - tak nazwała to moja babka opowiadając mi całą historię - lecz rzekła także, że był to człowiek słaby i łatwo ulegający wpływowi. Nie odziedziczył siły swojego ojca, ale i zła po nim niewiele. To moja matka stała się repliką człowieka, który zabił pana ojca. Może pan twierdzić, że nosi pan w sercu rany zadane przez Bannamanów. Ja zaś noszę je i w sercu, i na skórze, gdyż niczym niewolnik mam ślady bata na plecach, nie zwyczajnej szpicruty, lecz zakończonej metalowymi haczykami. A więc tak to wygląda.

Światło dnia znikło. Ben sztywno podniósł się na nogi i wzięwszy ze świecznika na półce wysoką świecę, zapalił ją od ogniska. Ustawił ją z powrotem w świeczniku i spojrzał na Hala.

- Bardzo ci współczuję, chłopcze, ale widzisz, według mnie ciągle pozostajesz jej synem - powiedział Hal. - Dobrym, złym czy niepodobnym, ale jesteś jej dzieckiem. I chociaż w przyszłości nie targnę się twoje życie, nadal mam zamiar zrobić wszystko, żeby powstrzymać Kate od połączenia się z tobą, bo sama myśl o tym jest mi wstrętą. Zabawne, lecz po prostu nie mogę znieść myśli o jej pójściu do kogoś, kto miał powiązania z Bannamanami. Nie zrozumiesz tego.

- Tak, rozumiem - odparł cichutko Ben. - Po tym wszystkim, co zaszło nie zmieniliśmy swoich zamiarów: pan jest zdecydowany, żeby nie dać mi Kate, ja zaś jestem zdecydowany ją poślubić. Cokolwiek się zdarzy, poślubię ją.

- Zobaczymy, chłopcze. Wydostanmy się wpieryw stąd, a potem zobaczymy.

---

## 15

---

Kuchnia była zatłoczona. Mary Ellen spoglądała na zgromadzonych licznie mężczyzn popijających grzane piwo. Najrozmaitsi znajomi przychodzili i wychodzili przez cały dzień, począwszy od południa. John i Tom pojechali do domu Bannamana, gdzie znaleźli w stajni dwa konie. Stamtąd wspięli się na wzgórze do chaty Bena, lecz nikogo tam nie zastali. Śnieg, drobny i sypki, padał nieustannie tworząc tuman, który niczym chmury zasłaniał wzgórze. Ledwie dostrzec można było cokolwiek na wyciągnięcie ręki. Jedynym żywym stworzeniem, które napotkali, była koza wybiegająca z szałas u podnóża. Po powrocie wszczęły więc alarm.

- Niedługo się ściemni, pani Roystan - odezwał się zarządca z kopalni. - Kto wie, może udało mu się gdzieś schronić.

Zarówno on, jak i pozostali pomagający w poszukiwaniach wiedzieli, że szukają tylko jednego człowieka.

- Dziwne, że wybrał się na farmę Bannamana. Czyżby zamierzał porozmawiać z młodym panem Hamiltonem, tym, który ją przejął? - zagadnął farmer Dickinson.

- Tak, miał zamiar zamienić z nim parę słów - potwierdził John.

Ciekawość farmera Dickinsona wzrosła. Nigdy by nie pomyślał, że Hal skłonny był poświęcić choć trochę czasu komukolwiek, kto mieszkał w tamtym domu. Dziwne.

- Dziwne - powtórzył głośno.

- Czy podać panu jeszcze piwa? - zaoferowała natychmiast Florrie.

- Nie, dziewczyno, dziękuję ci bardzo - odparł z uśmiechem. - Muszę prosto trzymać się na nogach, żeby dotrzeć do domu, a nie będzie to łatwe.

- A panu, panie Robson? - Robson skorzystał z poczęstunku: - Tak, jeszcze kropelkę. Rozgrzewa ciało do czubków stóp.

Mary Ellen ruszyła do stołu. - Dziękuję wam bardzo - rzekła cicho. - Dziękuję bardzo wszystkim i każdemu z osobna... I... miło mi będzie spotkać się z wami jutro rano.

Zapinając płaszcze i wciskając czapki głęboko na uszy, mężczyźni pożegnali się kolejno, obiecując wrócić o pierwszym brzasku. Mary Ellen została sama z dziećmi.

- Chodź, dziecko - Annie podprowadziła ją delikatnie do ławy. - Usiądź, nic pożytecznego nie wyniknie z twojego sterczenia. Nie będę zdziwiona, kiedy za chwilę Hal zacznie walić do drzwi.

- Och, Annie, Annie - Mary Ellen zamknęła oczy, po czym szepnęła: - Co, na Boga, mogło się im przytrafić? Gdzie jest Kate?

- Miewa się dobrze. Moczy nogi w swoim pokoju. Przemokła do suchej nitki. Ty też najlepiej zrobisz, jeśli pójdziesz i położysz się na godzinkę lub dwie.

- Nie opowiadaj głupstw, Annie. Nie usnę, dopóki nie dowiem się, co się z nim stało... co się z nimi stało. - Popatrzyła na Maggie, która stawiała właśnie garnek z boku paleniska krzyknęła na nią: - Mam nadzieję, że wiesz, dziewczyno, że to wszystko twoja wina. Jeśli twój ojciec nie żyje, będziesz go miała na swoim sumieniu do końca życia. I...

- Mamo, mamó - wstawił się za siostrą John. - To nie w porządku tak mówić. Wyszłoby to na jaw w inny sposób, wcześniej czy później. To musiało się stać.

Mary Ellen popatrzyła na niego i spytała żałośnie: - Ale dokąd oni mogli pójść? Musieli być razem, skoro oba konie stoją w stajni. Co, na Boga, mogło się z nimi stać?

- Nie wiem więcej niż ty, z wyjątkiem jednej rzeczy: że jeżeli doszło do użycia siły, zaczął ojciec, a nie Ben.

- Jak możesz!

- Mamo, to przecież prawda. Przyznaj, że kiedy się unosi, atakuje niczym byk.

- Zamilcz, Johnie!

- Próbuję ci tylko powiedzieć, że nie spotkała go żadna krzywda ze strony Bena.

- Powiem ci, że w głębi duszy martwię się o to samo, co tak ciebie trapi, to znaczy, co on mógł zrobić Benowi. O Boże! - złapała się za głowę. - Pomyśleć tylko, że do tego doszło w tej rodzinie. Wszystko szło jak dotąd za dobrze, za gładko. To jakieś przekleństwo rzucone na nas i ciągle związane z Bannamanami.

Kiedy nikt nie zrobił żadnej uwagi, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, oparła ramię na gzymsie kominka, ukryła pod nim głowę i w takiej pozycji zaczęła się po swojemu modlić.

\*

O brzasku mężczyźni zebrali się na podwórzu. Było ich dziesięciu, lecz zapewnili, że wnet pojawią się inni. Podzielili się na pary i umówili się, że pozostaną w zasięgu głosu, żeby mogli się skrzyknąć, jeżeli ktoś wpadnie na jakiś ślad. John i Tom pojechali na farmę Bannamana, w przeczuciu, że może przynajmniej Ben powrócił.

Terry i Gabriel zostali, żeby dopilnować bydła, podczas gdy Annie i Florrie wzięły na siebie obrządzenie kur i świń.

W nocy przestało padać i przyszła odwilż, a na niebie świeciło blade słońce. W domu Maggie paliła w kominkach, a Kate i Mary Ellen zostały w kuchni. Obie miały zaczerwienione oczy, bo przesiedziały całą noc zapadając tylko w krótkie drzemki. Żadna z nich nic nie jadła. Wypiły za to mnóstwo filiżanek herbaty. Nagle Mary Ellen, pochylona nad ogniem, odwróciła się gwałtownie na dźwięk ostrego głosu Kate.

- Nie mogę tak tu siedzieć, mamo. Muszę jechać i ich szukać.

- Ależ jest tam dosyć mężczyzn, dziewczyno. Nie spałaś w nocy. Nie chcę, żebyś się rozchorowała.

- Nie rozchoruję się. Muszę jechać. - Kate odwróciła się na pięcie i wypadła z kuchni. Mary Ellen zadała sobie po raz kolejny pytanie, jak też się to zakończy.

Po pięciu minutach, kiedy Kate wróciła do kuchni, Mary Ellen rzuciła na nią tylko przelotne spojrzenie, bo usłyszała ruch na podwórzu. Podbiegła do drzwi i ujrzała Johna, Toma i dwóch innych poszukiwaczy zmierzających do stajni. Wybiegła prędko na podwórze.

- I co? Znaleźliście coś? - zawołała.

- Zaraz idę! - odrzyknął John. Powiedział coś pozostawiając i podbiegł do niej, wziął za ramię i prawie powlókł z powrotem do kuchni. Patrzył z uśmiechem to na matkę, to na Kate i powiedział: - Znaleźli się obaj. Ben zszedł ze wzgórza. Spotkaliśmy go po drodze. Był skrajnie wyczerpany. Szedł po nosze, bo drzwi się nie nadają - na górze jest za ślisko.

- Po co nosze? - Mary Ellen wpiła paznokcie w jego płaszcz.

- Wszystko w porządku - powiedział John i uściśnął rękę matki. - Ma tylko rozbitą głowę i złamaną nogę w kostce, ale...

- Kto to zrobił?

- Nie wiem. Ale żyje i poza tym nic mu nie jest. Tak mówi Ben.

- Ben. A co z Benem?

John popatrzył na Kate i chwilę milczał zanim odpowiedział: - Ben ma się dobrze, ale jest bardzo zmęczony. Tam w górze musiał nieźle dostać w kość.

- Ja... pojedę z tobą.

- Nie, nie - poklepał ją po ramieniu. - Lepiej zostań. Będziesz tu potrzebna. Musisz przygotować łóżko, wrzątek i sporo gorących cegieł.

- Jak długo wam to zajmie?

Chwilę się zastanawiał. - Dwie godziny - odparł. - Za dwie godziny zobaczycie nas tu na dole. No, rozchmurzcie się, obaj żyją - popatrzył na matkę i na siostrę.

- Bogu niech będą dzięki - westchnęła Mary Ellen. Kate nie odezwała się, gdyż fala ulgi, jaka ją zalała, sprawiała, że

zrobiło się jej słabo. Bojąc się, że zaraz zrobi coś głupiego, wybiegła z kuchni. W swoim pokoju padła na kolana przy łóżku i z głębi serca szczerze jąta powtarzać: - Dzięki ci, dzięki.

Nie przywykła do modlenia się. Nie wpojono jej tego. Jedynym członkiem rodziny, który odmawiał wieczorny pacierz, była Florrie. Lecz w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin Kate odmówiła modlitwy za całe lata. Każdemu krokowi, jaki stawiała brnąc wczoraj w śniegu, towarzyszyła błagalna modlitwa, szczególnie wtedy, gdy próbowała dostać się do chaty. Robiło jej się słabo na myśl, co może tam zastać. Nie dotarła tam tylko dlatego, że spotkała chłopców schodzących w dół. Byli już tam i zastali chatę pustą.

Powoli podniosła się z klęczek i zdjęła ciepłe ubranie. Zeszła na dół, wyglądając powrotu ojca i Bena. Na pewno przyprowadzą Bena ze sobą.

\*

Po dwuipółgodzinie wyczerpani mężczyźni wnieśli nosze do kuchni. Bena z nimi nie było.

Kiedy położono Hala delikatnie na macie przed kominem, Mary Ellen opadła na kolana i dotknęła jego policzka. - Och, mój drogi, mój najdroższy! - zawołała.

Wyciągnął ręce spod koca i uściśnął jej dłonie. - Nic mi nie jest. Zanieście mnie do łóżka i ogrzejcie, a w mig będę zdrów jak ryba.

Umieszczono Hala w łóżku, otulono ciepło, a Florrie i Maggie biegały do pokoju nosząc owinięte w ręczniki gorące cegły. W kuchni został jedynie Tom. Stał przed ogniem grzejąc sobie ręce. Podeszła do niego Kate. - Gdzie jest Ben? - spytała półgłosem.

- Poszedł na farmę.
- Jak on się czuł?
- Powiedziałbym, że bardzo zmęczony.
- Co się wydarzyło tam na górze?
- Nie wiem. Nie powiedział. W ogóle niewiele mówił. Ale zaopiekował się ojcem, zdjął mu buty, skarpetkę. To paskudne złamanie.
- Nie wiesz, co się zdarzyło?
- Nie.

- Jeśli byli w chacie, to dlaczego nikt ich tam nie znalazł wcześniej?

- Bo wcześniej ich tam nie było. - W jego głosie zabrzmiało zniecierpliwienie.

Otworzyły się drzwi i do kuchni wbiegła Florrie. - Gdzie Annie? - spytała. - Jest potrzebna mamie.

- Annie nie czuje się dobrze. Odpoczywa w salonie.

- Więc ty chodź na górę. Maggie się nie nadaje, on na nas wrzeszczy, a poza tym, bardzo mi przykro, ale nie mogę znieść widoku jej nogi.

Kate wybiegła z kuchni, wbiegła na schody i do sypialni rodziców. Hal leżał wyciągnięty na łóżku, przykryty całą z wyjątkiem prawej stopy, która wykręcona na bok wyglądała na dwa razy większą niż zazwyczaj. Opuchnięte ciało nie zakrywało kości sterczącej spod przebitej skóry. Matka mówiła: - Lada moment powinien zjawić się doktor. Zarządca z kopalni posłał po niego człowieka do Haydon Bridge. Na drodze śnieg stopniał i można przejechać wozem. - Odwróciła się i popatrzyła na Kate. - A gdzie Annie? - spytała.

- Źle się czuje. Siedzi w salonie.

- Źle się czuje? - Mary Ellen uczyniła gest zniecierpliwienia, po czym dodała: - No cóż, więc ty pomóż mi przebrać ojca.

- Zostaw mnie w spokoju, kobieto! Nie zniosę już więcej. Przynieś mi whisky.

Mary Ellen popatrzyła ponad łóżkiem w stronę, gdzie stała Maggie z mocno splecionymi dłońmi. - Idź i przynieś butelkę z bocznej szafki. Tylko prędko - poleciła.

Gdy Maggie wybiegła z pokoju, Kate zbliżyła się do łóżka i popatrzyła na wymizerowaną twarz ojca, lecz nie odezwała się. Hal także nic nie powiedział, wyciągnął rękę, ujął jej dłoń i przytrzymał w mocnym uścisku.

Trzymał ją tak przez dwadzieścia następnych minut. Mary Ellen musiała przysunąć krzesło do łóżka, by Kate mogła usiąść. Wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, ale nie odezwały się ani słowem. Hal nie zwolnił uścisku, nawet gdy Maggie wróciła z butelką whisky i Mary Ellen odmierzyła ścisłą dawkę do kieliszka. Wziął od żony kieliszek i wychylił jednym haustem. Dopiero gdy do pokoju wszedł doktor, Kate wstała, ustępując mu miejsca przy łóżku.

- No więc, co my tu mamy? - Doktor Bruman był przyjacielem Mary Ellen od dnia, kiedy zaprowadził ją do więzienia, w którym przebywał Roddy Greenbank i doglądał jej w kolejnych połogach przez te wszystkie lata. Wiedział o rodzinie wszystko, a szczególnie o jej głowie, która przywitała go we właściwy sobie sposób. - No, jeżeli otworzysz oczy, zobaczysz, co my tu mamy.

Doktor pochylił się nad stopą i mruknął coś pod nosem, po czym głośniejsze dodał: - Jeśli Hal już coś robi, robi to zawsze dokładnie. Wiesz coś o tym, prawda, Mary Ellen?

- Tak... wiem istotnie, doktorze. - Uśmiechnęła się do niego słabo. Doktor jął odpinać guziki marynarki. Zdejmując ją powiedział: - Przyrowadź tu na górę Toma i Johna, dobrze? Będzie mi też potrzebne trochę gorącej wody i dwa spore kawałki drewna, a także jeden krótszy i trochę bandaży... no i whisky oczywiście. - Zwrócił twarz w kierunku pacjenta i dodał: - Czyż nie? Chciałbyś przepłukać sobie żołądek?

Doktor popatrzył na Mary Ellen i uśmiechnął się. Odpiął mankiety białej koszuli i zawinał rękawy. Przeszedł do wez-głowia łóżka i pochylił się nad Halem: - Rzućmy jeszcze okiem na głowę. - Delikatnie odwrócił głowę Hala na bok i rzekł: - Tu masz szczęście, to tylko przecięta skóra. Po-trzebny będzie jeden szew, najwyżej dwa. Boli cię głowa?

- A jak myślisz?

- Jesteś szczęściarzem, że przyniesiono cię ze wzgórza. Jeszcze dzień i niewiele mógłbym na to poradzić - pokazał palcem stopę. - Wierz mi. - Głos doktora stracił w tym miejscu żartobliwy ton, który pojawił się na powrót, gdy do pokoju weszli John z Tomem. - Wasz ojciec chciałby, żebyście się na nim uwiesili, kiedy będę mu prostował stopę. A tak przy okazji - odwrócił się i ponownie spojrzął na Hala - w jaki sposób udało ci się to sobie zrobić?

Hal nie odpowiedział od razu, a Mary Ellen, Kate i chłopcy patrzyli na niego przenikliwie, oczekując odpowiedzi w rodzaju: - To wynik bójki. - Kiedy zaś powiedział z ociąganiem: - Pobodła mnie cholerna koza - wszyscy skamieniali i popatrzeli po sobie z niedowierzaniem. Kate zakryła oczy, bo wyobraziła sobie Bidy witającą w ten sposób intruza, chłopcy splunęli, a Mary Ellen wybuchnęła historycznym śmiechem.

Urwała natychmiast, gdy doktor wtrącił: - Spokojnie, spokojnie.

Podali Halowi następną porcję whisky. John przyklęknął po jednej stronie łóżka, Tom stanął po drugiej, aby przytrzymać ojca nieruchomo, kiedy ten jęczał, krzyczał i gryzł wargi do krwi. Kiedy po głośnym, przejmującym krzyku Hal zamilkł, doktor popatrzył na niego i rzekł: - To dobrze. Teraz, Kate, przytrzymaj stopę nieruchomo. A ty, Mary Ellen, podaj mi tę niebieską butelkę ze stołu.

Polewając zawartością butelki zaognioną skórę, stwierdził: - Miejmy nadzieję, że to powstrzyma dalszą infekcję. - Wziął igłę i nici z torby leżącej na łóżku i zaczął zszywać ciało, które przeciął, by nastawić złamaną kość. Gdy skończył, zawinął ciasno nogę bandażem, przy podeszwie umieścił najmniejszą deszczułkę, przymocowując ją także bandażem. Następnie do obu boków nogi przyłożył dwie dłuższe deseczki i owijał je bandażem, dopóki nie unieruchomił stopy.

Popatrzył na chłopców, którzy cały czas mocno trzymali ojca za ramiona: - Gotowe. Teraz wszystko w porządku. Następną rzecz, jakiej potrzebuję, to rodzaj rusztowania, żeby przytrzymać kołdrę z dala od nogi. Uda się wam sklecić coś takiego?

- O, tak, doktorze - odparł John. - Nie jesteśmy już panu potrzebni?

- Nie. Jest z nim dobrze, wyjąwszy jego humor - zrobił zabawną minę. - Możecie się spodziewać, że przez parę dni będzie bardzo rozdrażniony. A teraz pozwólcie, że zajmę się raną na głowie, zanim pacjent odzyska przytomność...

Kiedy Hal odzyskał przytomność, nie okazywał złego humoru. Leżał bezwładny i wyczerpany, co bardzo zatroskało Mary Ellen, która wiedziała wiele o reakcjach po szoku termicznym i cierpieniu. Przed rokiem zmarł owczarz, który przeleżał na stoku wzgórza całą noc, po dużej śnieżycy. Znalaziono go następnego dnia jeszcze żywego, lecz po dwóch dniach umarł.

Późniejszym popołudniem Kate, nie mogąc już dłużej wytrzymać, rzekła do Mary Ellen: - Mamo, ja...wyskoczę i zobaczę, jak on się czuje. On... on też tam był, wiesz.

- Dziecko, proszę, nie jedź dzisiaj. Nie zdołasz wrócić za dnia, a drogi są bardzo śliskie. Zaczekaj do jutra. Ojciec cię

potrzebuje. Jest w lepszym humorze, gdy cię widzi. Zrób to dla mnie. - Wyciągnęła rękę i uściśnęła ramię Kate. - Nie zostawiaj go dzisiaj.

Kate walczyła ze sobą, lecz w końcu zgodziła się: - Dobrze. Ale pojedę jutro.

- Oczywiście, dziecko, jak chcesz.

\*

Hal miał męczącą noc. Wysoka gorączka ustąpiła dopiero nad ranem, zostawiając go osłabionego i w wielkim bólu. Czuwano na zmianę przy jego łóżku, więc kiedy Kate rozebrała się i położyła, była tak znużona, że obudziła się dopiero po pięciu godzinach.

Pospiesznie narzuciła sukienkę i wybiegła na korytarz. Gdy mijała drzwi sypialni rodziców, wyjrzała z nich Mary Ellen. - O, jesteś, dziecko. Dobrze spałeś? - zapytała.

- Przepraszam. Nie miałam zamiaru spać tak długo. Jak on się czuje?

- Złany potem, bardzo wymęczony, ale gorączka minęła. Martwiłam się, ale już po wszystkim. Doszedł do siebie i pyta o ciebie. - Przerwała i dodała: - Bądź dla niego miła, okaż cierpliwość.

Kate bez słowa weszła do pokoju i podeszła do łóżka.

- Dzień dobry, tato. Jak się czujesz?

- Nie najgorzej, dziecko. Lepiej niż wczoraj o tej porze.

Usiadła, a on wziął ją za rękę i opierając głowę o poduszki przyglądał się jej i mówił: - To była dobra nauczka. Moja wina, że polazłem na górę i wpadłem jak zwierzę do pułapki. Ale musiałem zrobić to, co uważałem za najlepsze. Przykro mi, ale muszę stwierdzić, że nie zmieniłem zdania. Ale... o, nie wrywaj ręki. Pozwól, że powiem, co mam do powiedzenia. Jest poczciwym człowiekiem, muszę mu to przyznać. Powiedział mi to i owo o sobie, i wierzę mu. Ale w środku, niestety, pozostaje Bannamanem. Znasz moje poglądy na ich temat.

- Tak, znam je, tato. Ale ty również znasz moje, prawda?

- Tak, i to wielka szkoda. Ale jestem, kim jestem i nie mogę tego zmienić. Teraz zaś mogę jedynie powiedzieć, że...  
- przerwał, bo otworzyły się drzwi i stanęła w nich Mary Ellen.

- Kate, możesz pozwolić na chwilkę? Muszę zamienić z tobą parę słów - rzekła.

Gdy Kate wysunęła dłoń z uścisku Hala, krzyknął we właściwy dla siebie szorstki sposób: - Nie możesz wejść i zamienić z nią paru słów tutaj? Co się dzieje?

- Zaraz wracam - rzekła Mary Ellen, a kiedy Kate zamknęła za sobą drzwi sypialni, zaczęła: - Na dole jest Charles. Był na farmie. Dziecko, nie denerwuj się - położyła rękę na ramieniu Kate. - Ben jest w kiepskim stanie, prawie w malignie. Nic, tylko położył się w mokrym ubraniu, gdy wczoraj wrócił. Nie napalił w kominku. Charles powiada, że trzeba wezwać lekarza i że nie można go tam zostawić samego. Chce go zabrać do swego domu. Ale, jak wiesz, tam jest tylko żona parobka, która usługuje Charlesowi, i jej najmłodsza córka, a one nie są zbyt rozgarnięte. Więc... więc mówi, że - przeknęła z trudem ślinę - że powinnaś tam też pojechać, chociaż nie wiem, jak on zamierza to urządzić, bo tam są tylko trzy sypialnie... Czekaj chwilę, dziecko! Czekaj chwilę!

Lecz Kate biegła już korytarzem do swojego pokoju. Kiedy Mary Ellen podążała za nią, z sypialni dobiegł głos Hala: - Słyszysz mnie kto? Słyszysz mnie, Mary Ellen? Powiedz, o co chodzi!

Otworzyła więc drzwi pokoju i nie mogąc powstrzymać zniecierpliwienia, rzuciła opryskliwie: - Dobrze, powiem ci o co chodzi. Na dole jest Charles. Znalazł Bena w ciężkim stanie, w gorączce. Leżącego w nie opalanym domu. Musiał po prostu paść, kiedy tylko tam dotarł, i leżał tak do tej pory. Charles zabiera Bena do swojego domu, ale Kate będzie musiała pojechać tam także, żeby się nim zaopiekować.

Hal milczał wpatrując się w żonę, po czym wymamrotał: - Nie może to być, musi być silny jak koń, że żyje po tym, co zrobił... I jedź do Charlesa? Tu nie ma dla niego miejsca.

- Nie unoś się. Musisz stanąć twarzą w twarz wobec tego, że Kate zamierza się nim opiekować. Ty masz wszystkich innych domowników, którzy się tobą zaopiekują, on nie ma nikogo. Z tego, co mówi Charles wynika, że stan Bena jest poważny.

- Gdzie jest Charles?

- Na dole.

- Przyprowadź go tutaj.
- Co takiego?
- Kobieto! - Hal zamknął oczy - Nie doprowadzaj mnie do pasji. Przyprowadź go.

Zacisnęła zęby i wyszła, niezbyt cicho zamykając za sobą drzwi.

Charles wszedł na górę i kiedy znalazł się przy łóżku, Hal spytał: - I cóż ja słyszę? Jest chory?

- Jest w bardzo kiepskim stanie.

- Aż tak?

- Tak. Muszę przyznać, że jestem bardzo zaniepokojony. Minałem po drodze jednego z Robsonów jadącego do Haydon Bridge. Przekazałem mu wiadomość dla doktora.

Za plecami Charlesa ukazała się Kate, naciągająca w pośpiechu płaszcz. Po niej wszedł do pokoju John, który - ignorując ojca - zwrócił się do Charlesa: - Tom przygotował furmankę. Annie włożyła tam trochę pledów. Czy jeszcze czegoś będziesz potrzebował?

- Nie - odparł Charles. - Przynajmniej nic nie przychodzi mi na myśl.

- Co to ma być? - Hal wiercił się na miejscu, próbując unieść się na poduszkach, lecz znieruchomiał wykrzywiając się z bólu.

Mary Ellen podbiegła do niego. - Nie męcz się tak - uspokajała.

- Pozwól mi wtrącić słówko, kobieto - odburknął. Spoglądając na Charlesa oświadczył z namysłem: - Robię to wbrew sobie, przyznaję to otwarcie, ale jestem Benowi coś winien. Zawdzięczam mu życie. Gdyby mnie nie znalazł, po tym jak pobodła mnie ta piekielna koza, nie byłoby mnie już między wami. A to, w jaki sposób przeniósł mnie z szałas do chaty, na zawsze pozostanie tajemnicą, bo pamiętam tylko, że ciągnął mnie pokrytym śniegiem stokiem, stromym i wyglądającym jak wszystkie wzgórza tego kraju razem wzięte. Nieważne, co o nim myślę, coś jestem mu winien, a jedynym sposobem, w jaki mogę mu się odwdziaczyć, jest zaopiekowanie się nim w chorobie. Więc - wciągnął do płuc powietrze w przerywanym rytmie - przywieź go tutaj.

- Tutaj? - zabrzmiał słaby głos.

Hal natarł na Mary Ellen: - Nie jesteś chyba głucha. To właśnie powiedziałem - tutaj.

- Skoro pan tak mówi, panie Roystan. - W głosie Charlesa słychać było nutę ulgi. - Chodźmy więc, im szybciej, tym lepiej.

Kiedy wszyscy pospiesznie wyszli z pokoju, Kate podążyła za nimi, lecz zatrzymała się na krótką chwilę i odwróciła, żeby popatrzeć na ojca. Ich spojrzenia spotkały się. Potem Kate biegiem wypadła na korytarz i schody. Kiedy znalazła się w kuchni, krzyknęła do Annie: - Przywozimy Bena tutaj! - Na co Annie odparła spokojnie: - Dobrze. Dobrze. To może być początek końca.

Dopiero później, kiedy Kate wbiegła do salonu domu Bannamana i ujrzała skurczoną sztywną postać na kanapie, podczas gdy wokół panował przejmujący chłód, słowa Annie powróciły do niej złowieszczą nutą: - To może być początek końca...

---

## 16

---

Minęło trzydzieści sześć godzin, od kiedy wniesiono Bena na górę i położono na łóżku Kate. Większość czasu spędzała przy boku chorego. To ona z pomocą Annie zdjęła z niego ubranie i obmyła jego rozpalone ciało. To ona stale wycierała pot z jego czoła i często uspokajała jego majaczenie, przemawiając do niego czułymi słowami. W przerwach pomiędzy falami gorączki rozpoznawał ją i z wyschniętego gardła wydobywało się jej imię wymawiane schrypniętym głosem, a wyschnięte usta poruszały się z wysiłkiem, by powiedzieć coś więcej. Zawsze jednak rżenie w piersi przerywało słowa, a ona uciszała go głaszcząc po twarzy. - Dobrze już, dobrze, mój kochany. Jestem przy tobie. Nie zostawię cię. Nigdy, przenigdy już cię nie zostawię - mówiła z tkliwością.

Doktor odbył dzisiaj ponownie ryzykowną podróż, bo na wpełzniętym śniegu zamarzł i drogi były bardziej zdradliwe niż kiedykolwiek. Kiedy opuścił sypialnię po wizycie u cho-

rego, przystanął w korytarzu patrząc na Mary Ellen. Ponieważ nie wypowiedział się od razu na temat stanu drugiego pacjenta, zagadnęła pierwsza: - I co pan sądzi, doktorze? - W odpowiedzi pokręcił głową i odparł: - Nie wiem... chociaż właściwie wiem, tylko nie chcę o tym głośno mówić. Ma zaatakowane płuca. Wczoraj jeszcze serce biło mocno, dzisiaj już nie. Następną dobę da odpowiedź, lecz - westchnął przeciągle - przykro mi to mówić, nic nie mogę dla niego zrobić. Nie daję wielkiej nadziei. W sytuacjach takich jak ta, zwykle mawia się, że na korzyść pacjenta działa młodość, lecz tutaj to tylko pusty frazes. Myślę, że trzeba uprzedzić Kate.

- O, dobry Boże! - zwiesiła głowę ze smutkiem, a doktor poklepał jej ramię. - Ma pecha ta dziewczyna - westchnął. - Nie mogę już nic więcej zrobić. Przyjadę do was z samego rana, w pierwszej kolejności, jeżeli to tylko będzie możliwe. Wygląda jakby miało zamiar padać. Na razie się nie martw. Jadę już.

Przyglądała się, jak schodzi po schodach i ruszyła się z miejsca dopiero, kiedy zniknął jej z pola widzenia. Powoli powlokła się do sypialni. Tam równie powoli podeszła do łóżka i opadła na stojące przy nim krzesło. Kiedy Hal rozpoczął rozmowę swym zwykłym: - No i co? - odpowiedziała załamującym się głosem:

- Mówi, że nie ma nadziei.

- Dajże spokój - obruszył się. - To nie może być. Jest młody i silny. Wiem coś o tym. Udowodnił, że jest silny jak koń.

- No cóż, widać jego siły się wyczerpały, ponieważ doktor mówi, że nic więcej nie da się zrobić. W ciągu najbliższej doby będzie walczył ze śmiercią i umrze. Och, Halu, co pocznie Kate?

Hal odwrócił się od Mary Ellen i zapatrzył się w nogi łóżka, gdzie kłęb drutów więził jego nogę. To on powinien był umrzeć. Miał dwa razy tyle lat i nosił w płucach chorobę, która mocniejszych od niego sprowadziła do grobu. Tak, to on powinien był umrzeć. I tak by się stało, gdyby Ben nie zaopiekował się nim. - Boże Wszchemogący! - wyjęczał te słowa na głos. Popatrzył na Mary Ellen. To, co powiedziała, sprawiło, że zazgrzytał zębami i zagryzł mocno dolną wargę.

- Wiem jedno - powiedziała - jeśli ona go straci, my także ją stracimy... ty ją stracisz, bowiem nie zostanie tu dłużej. Nie wiem wprawdzie jak, ale odejdzie. Serce mi mówi, że ona odejdzie. A jeżeli jakimś cudem Benowi się polepszy, to ty i ten twój upór będziecie trzymać ich z dala od tego domu. Ona o tym wie. Przy całej twej dobroci nie zmieniłeś zdania co do Bena.

- Mary Ellen - głos Hala brzmiał cicho i smutno. - Nigdy nie stosowałaś ciosów poniżej pasa, nie zaczynaj teraz. Wiem, jaki jestem, bez twojego kazania. - Odwrócił od niej głowę.

- Przykro mi, Hala. Ale widzę, że w każdym przypadku Kate nie może mieć na nic nadziei.

Zapadła długa cisza. Z głową wciąż odwróconą od Mary Ellen, powiedział: - Jeżeli to jest dla ciebie jakaś pociecha, wiedz, że ja wiem, kiedy przegrywam. Jeżeli nadzieja w tym względzie może tu cokolwiek pomóc, przekaż to Kate.

- Och, Hala!

Hal podniósł rękę i przyłożył do jej policzka, lecz nie odwrócił głowy, by na nią spojrzeć. Wiedziała, że to dlatego, iż nie mógłby znieść nawet żony jako świadka swojej słabości.

Pospiesznie opuściła sypialnię i weszła do pokoju Kate. Podeszła do łóżka i zobaczyła, że Ben jest przytomny. Pochyliła się nad nim. Popatrzył na nią, lecz nic nie mówił. Wówczas cicho i powoli powiedziała: - Musisz wyzdrowieć, Benie. Czy mnie słyszysz? Musisz wyzdrowieć. Hal przesyła ci wiadomość. Mówi, że ocaliłeś mu życie i musi ci się za to odwdziżyć, więc nie rób mu brzydkiego kawału i nie odchodź. Hal wie, że jedynym sposobem odwdziżenia się jest zgoda, by Kate wyszła za ciebie. Powiedział, żeby ci to przekazać. A także - pozwoliła unieść się wyobraźni - możecie pobrać się, jak tylko będzie mógł chodzić i pójść na wasze wesele. No, słyszysz mnie?

Głęboko zapadnięte oczy nie okazywały żadnego znaku, że usłyszał. Lecz na Kate ta wiadomość wywarła wrażenie odmienne od zamierzonego. Porwała się na nogi i na siłę wyprowadziła matkę z pokoju na korytarz. - Świetnie! Przekaż tacie ode mnie, że się spóźnił przynajmniej o tydzień - wyszczała. - Wiem, co mówi lekarz. Powiedział mi.

- Posłuchaj, Kate. - Mary Ellen ścisnęła mocno córkę za ramiona. - Póki życia, **po** nadziei. Rezygnacja niesie śmierć.

Wróć do niego i myśl o śmierci, a Bóg mi świadkiem, że umrze. Swoją siłą woli musisz trzymać go przy życiu. Patrz na to jak na szczęśliwy zbieg wydarzeń. I wierz mi, że tak jest, bo nigdy nie oczekiwałam, iż od swojego męża usłyszę to, co przed chwilą powiedział. Zachowywał się tak, jakby coś złamało jego hart ducha. Teraz wracaj do pokoju, dziewczyno, i powiedz swojemu mężczyźnie, że przetrzyma. Wybij sobie z głowy złe myśli. Powtarzaj mu cały czas, że musi. Nadchodząca noc będzie przesileniem. Ale cały ten czas musisz nad nim pracować. - Jej głos złagodniał, kiedy dodała: - Wiem, że jesteś znużona, ale przetrwaj z nim jeszcze dwanaście godzin, módl się do Boga, żeby nastąpił zwrot ku poprawie. Idź - popchnęła ją delikatnie w stronę drzwi.

Kate powoli weszła do pokoju. Twarz miała cały czas zaciętą, nawet zachmurzoną. Kiedy podeszła do łóżka, dotknęła ustami kącika wyschniętych i spękanych warg i drżącym głosem powiedziała: - Wszystko będzie dobrze. To prawda, co mówiła mama. - Zajrzała mu w oczy i spytała: - Rozumiesz mnie, Benie? Słyszysz, co mówię? Ojciec nam sprzyja. Możemy się pobrać i pojechać do tamtego domu. Tylko musisz wyzdrowieć. Musisz walczyć. Musisz, Benie.

Kiedy zakaszłał i wykrztusił trochę flegmy, wytarła mu usta i skamieniała ze strachu. Ujrzała na niej ślady krwi.

Drzwi się otworzyły i weszła Florrie z tacą. Kate odebrała od niej posiłek. - Powiedz mamie, że jej potrzebuję - poprosiła.

Kiedy Mary Ellen weszła do pokoju, Kate pokazała jej chusteczkę, a Mary Ellen popatrzyła i po dłuższej przerwie stwierdziła: - To nic takiego, tylko wysiłek przy kaszlu. Twój ojciec lata całe wykrztusza z flegmą trochę krwi. To nic takiego.

- Jesteś pewna?

- Tak, jestem pewna. Nie zaprzataj sobie głowy głupimi myślami. Wypij to gorące mleko, a potem umyjemy go i przygotujemy na noc, bo będzie bardzo długa.

\*

Nadeszła druga nad ranem. W pokoju było gorąco i cicho, słychać było jedynie ciężki oddech Bena. W fotelu przy kominku spał Gabriel. Kate, ledwie trzymając się na nogach,

zapaliła następne cztery świece. Dwie postawiła na toalecie, a dwie na gzymsie kominka i już miała zająć swoje miejsce na krześle koło łóżka, kiedy Ben rozpostarł ramiona i oderwał się od poduszek, wykaszłał trochę flegmy i wyraźniej niż dotąd zawołał: - Kate! Kate!

- Jestem tutaj, kochanie. Jestem tutaj - objęła go ramieniem, zamierzając położyć z powrotem, gdy nieoczekiwanie zaczął się wyszarpywać z jej objęć.

- Gabrielu! Gabrielu! - zawołała.

Wyrwany ze snu Gabriel podbiegł do łóżka i chwycił ręce Bena, mówiąc: - Spokojnie, spokojnie, stary. Połóż się, połóż.

Powoli złożyli Bena na poduszkach, ale ciągle się rzucał, a kiedy zamiast oddechu dało się słyszeć rżenie, poleciała szybko Gabrielowi: - Idź i przyprowadź mamę.

Kiedy Mary Ellen wpadła do pokoju, owijając się szlafrokiem, rzuciła tylko okiem na Bena i orzekła: - To właśnie to. Przynieś miednicę i ręczniki.

Przez następne pół godziny na zmianę obmywały mu twarz, szyję i ręce i próbowały utrzymać go w łóżku, z którego co chwila się podnosił, jakby w ostatnim przypływie siły.

Około trzeciej ciało Bena zwiotczało i znieruchomiało. Kate wydała z siebie okrzyk: - O, nie! Nie! Benie! Nie odchodź! Proszę! Błagam, nie odchodź. Nie zostawiaj mnie, Benie. Nie zostawiaj!

- Cicho, cicho, dziewczyno. Wszystko z nim dobrze. Popatrz, oddycha. Zobacz, po prostu zasnął. Jego pierś unosi się i opada. Przestań!

Wyciągając głowę w kierunku łóżka, Kate zobaczyła zamknięte powieki i długą białą twarz. Zadrżała od stóp do głów, poczęła dzwonić zębami i popatrzyła na matkę pytając żałośnie: - Czy on? Czy on...

- Jest mu dobrze, dziewczyno. Już po wszystkim. Minęło.  
- Słowa te jeszcze bardziej utwierdziły Kate w przekonaniu, że Ben nie żyje, wyrwała się więc z ramion Gabriela i pochyliła się nad łóżkiem. - Benie, Benie! - wołała. - Kiedy zobaczyła, że Ben podniósł i zamknął powieki, zachwiała się i opadła na krzesło. Wybuchnęła niepowstrzymanym szloch. Jedną dłonią zasłaniała oczy, a drugą usta, usiłując stłumić odgłos szlochania. Gdy Gabriel upomniał ją: - Ciszej,

Kate, bo go obudzisz - Mary Ellen powiedziała: - Dobrze robi. Pozwól jej się wypłakać. To jej ulży. Po tym oboje będą spali dobrze. A teraz idź i obudź Maggie, będzie tu czuć ze mną. To będzie dla niej pokuta. Poza tym Kate już pada z nóg. - Odwróciła twarz Kate do siebie i powiedziała: - Spokojnie, spokojnie, dziecko. Nastąpiło przesilenie. Módl się do Boga, żeby teraz zesłał nam trochę spokoju.

---

## 17

---

Ben powracał do zdrowia bardzo powoli. Minęły pełne dwa tygodnie zanim zdołał usiąść na łóżku. O tym, że otarł się o śmierć, wiedział aż nadto dobrze. Pamiętał chwilę, kiedy była wręcz namacalna. Zdawała się trzymać z dala przez wiele dni, lecz obezwładniła go, kiedy jakiś głos powiedział, że pozwolono mu na poślubienie Kate, że ów uparty jak osioł człowiek wyraził wreszcie zgodę.

Teraz leżał i patrzył na drzwi. Wszyscy w tym domu byli dla niego niezwykle serdeczni i dobrzy. Nie widział wprawdzie jeszcze pana domu, lecz otrzymywał od niego wiadomości, co było dziwne, prawie zabawne. Prócz niego nie widział też Maggie. Z Maggie najwidoczniej wszyscy mieli na pieńku - tak powiedział mu Gabriel. Z drugiej jednak strony, miał Maggie wiele do zawdzięczenia, bo jak inaczej poradziłby sobie z tym skorym do gniewu człowiekiem, gdyby Maggie nie przybiegła do domu z wiadomością o jego tożsamości. To z kolei wywołało lawinę wypadków, które obu ich przywiodły nieomal do śmierci. Nic innego nie potrafiłoby zmieknąć Hala. Musi poprosić Kate, by powiedziała Maggie, że nie czuje do niej żalu. Ale co się zdarzy teraz, co powie głowa rodziny, kiedy wysłucha opinii lekarza, i co się wydarzy, kiedy Ben będzie już na tyle zdrowy, by móc pojechać do domu? Czy wywoła to nową falę protestów, nowe morze tyrad? Bardzo prawdopodobne. Zgodził się, by Kate zamieszkała w domu Bannamanów tylko po to, by mieć ją w pobliżu. Nie dał im swojego błogosławieństwa i, jak stwierdziła Kate, nie

mogą oczekiwać, że będzie ich tam odwiedzał. Oni będą musieli przyjeżdżać z wizytami. Nie miał w gruncie rzeczy nic przeciwko temu, bo urzeczywistni się przepełniające go pragnienie oczyszczenia tego miejsca ze złych duchów. Zgodnie z zaleceniem lekarza, zabierze jednak Kate z dala od ojca nie tylko na parę najbliższych miesięcy, lecz na wiele zim.

Gdy Kate wróciła do pokoju, zwrócił się do niej z wyrzutem: - Co tak długo?

- Długo? - uśmiechnęła się. - Pożegnałam się z doktorem, zamieniłam parę słów z Annie o twoim obiedzie i poleciłam, żeby nie podawała ci za słodkich i zbyt treściwych dań, umyłam ręce i twarz, porozmawiałam z mamą na schodach, no i jestem.

- To ci zajęło prawie piętnaście minut.

- Och, Benie. - Usiadła na skraju łóżka, a on wyciągnął do niej ręce, które uściśnęła. Wyszeptał jej do ucha: - Pomyśl tylko - Włochy albo Francja, a może Szwajcaria - uniósł głowę i popatrzył jej w oczy: - Jak myślisz, czy ojciec zada ostatni cios?

- Nie wiem. Doktor powiedział matce to co nam. Dam jej czas, żeby powiedziała ojcu, i dopiero później pójde stanąć twarzą w twarz z nim. Mam pewną nadzieję, że nie będzie już tak szalał. Zmienił się... Co naprawdę zdarzyło się tam na górze? Nigdy mi nie opowiedziałeś.

- Nie ma dużo do opowiadania. Po tym jak Biddy rozprawiła się z ojcem, odnalazłem go, wtaszczyłem do szałasu, a potem wciągnąłem do chaty, gdzie powiedzieliśmy sobie, co mieliśmy na sercu, bynajmniej nie nazbyt uprzejmie.

- Uśmiechnął się lekko na wspomnienie. - Przypominam sobie, że kiedy podszedłem, by zmyć mu krew z twarzy, wytrącił mi ręcznik z ręki tak gwałtownie, że opadł mu na twarz. Pamiętam, że chciało mi się śmiać, ale się powstrzymałem.

- Uratowałeś mu życie i o mało nie straciłeś przy tym własnego. I nie masz do niego żalu o to, że cię z tym zostawił? - wskazała jego pierś.

- To niewielka zapłata za ciebie, Kate, i za jego zgodę, że możemy być razem. Wprawdzie i tak zabrałbym mu ciebie sprzed nosa, ale wiem, że wtedy nie byłabyś naprawdę

szczęśliwa. A teraz - zaśmiał się i dokończył: - Naprawdę zechce mnie zastrzelić, kiedy się dowie, że wywiozę cię z kraju na parę miesięcy i powtarzać się to będzie co roku.

- Nie sędzę - pochyliła się i pocałowała go delikatnie.  
- Wiesz, nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego mnie tak kochasz. Mógłbyś mieć wszystkie kobiety świata, bo nie wątpię, że możesz mieć każdą, która ci się spodoba, a tymczasem przyjechałeś na to pustkowie, odnalazłeś mnie i wyznałeś mi miłość. Wiem, że to sen, i że któregoś dnia nastąpi przebudzenie, bo to przecież nie może być prawda.

- Pewnie, że to nie jest prawda, że ja cię kocham, a ty mnie, i że jesteś jedyną dla mnie kobietą na świecie i taką zawsze pozostaniesz. Nie, naturalnie, że to nie jest prawda. Któregoś dnia zbudzimy się i oboje spostrzeżemy, że śniliśmy. Ale do tej pory wierzymy w to - złożył pocałunek na jej wargach i trwał tak, póki nie rozległo się pukanie do drzwi.

Odsunęli się od siebie gwałtownie. Weszła Mary Ellen:  
- No, jak tam? Robicie plany na przyszłość?

- Tak, coś w tym rodzaju. - Kate wstała z łóżka i spytała:  
- Powiedziałaś mu? - Mary Ellen potaknęła.  
- Jak to przyjął?

- Spokojnie. Z przykrością muszę stwierdzić, że mnie to boli. Jak wiesz, nie jest do niego podobne, żeby udaremnienie planów przyjmował ze spokojem. Idź i powiedz, co masz mu do powiedzenia, a ja posiedzę przy łóżku twojego narzeczonego i zapytam, jak to jest, że przyszedł i odmienił mi męża aż tak bardzo. Nie jestem pewna czy na lepsze, czy na gorsze, bo tęsknię za moim odgrażającym się chłopcem. - Uśmiechnęła się smutno i gestem ręki ponagliła Kate, by wyszła.

Kate nie skierowała się od razu do pokoju ojca, bo w korytarzu zastała Maggie. Siostra niosła wiadro z czystą wodą w jednej ręce, w drugiej zaś miotłę i szczotkę do odkurzania. Spuściła oczy w dół i zamierzała minąć Kate bez słowa, tak jak robiła od dnia, kiedy przyniosła do domu fatalną wiadomość. Lecz teraz Kate wyciągnęła do niej rękę i powiedziała cicho: - Zapomnijmy o wszystkim, Maggie. Było, minęło. Nie mam do ciebie żalu, Ben także nie. Wierz mi.

Maggie spuściła głowę jeszcze niżej i rzekła łamiącym się głosem: - Przepraszam. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. I...

przeszłam przez piekło na myśl, że Ben może umrzeć. - Po jej policzkach potoczyły się łzy.

Kate położyła rękę na ramieniu Maggie i powiedziała łagodnie: - Ale nie umarł i wszystko obróciło się na dobre. Gdybyś tego nie zrobiła, wcale nie jestem pewna, czy ja i Ben kiedykolwiek połączylibyśmy się, a przynajmniej byłoby z tym o wiele więcej problemów. Widzisz, że wszystko obróciło się na dobre.

Kiedy Maggie potrząsała przecząco głową, Kate powtórzyła: - Wierz mi, wszystko jest w porządku. Kiedy mama wyjdzie, możesz wejść i porozmawiać z nim.

Usłyszawszy ostatnie zdanie, Maggie umknęła od Kate zgięta wół pod ciężarem wiadra. Kate popatrzyła za nią ze smutkiem.

Hal odpoczywał wyciągnięty w łóżku; na kołdrze leżała gazeta i szkło powiększające, jakby właśnie przerwał czytanie. Ręce spoczywały na kołdrze beczynnice.

- Jeżeli doktor nie zdejmie mi prędko tego diabelnego drewna z nogi, nigdy nie będę mógł ponownie nią ruszyć - przywitał Kate.

- Myślałam, że dzisiaj rano coś z tym zrobi.

- Odślonił mi palce, to wszystko. Popatrz na nie. - Kate ściągnęła kołdrę i popatrzyła na gołe palce wystające z bandażu. - Możesz nimi poruszać? - zapytała.

- Do diabła, jeżeli mogę. Powiedział mi, że muszę ćwiczyć. Mam ich nie dotykać. Nie wolno ich dotykać ani masować. Mam myśleć, że mogę nimi poruszać, i robić to. Tak właśnie powiedział. Ten człowiek ma bzika.

Przykryła stopę kołdrą i usiadła obok, a on popatrzył na nią i spytał: - I co? - Odparła w ten sam sposób: - Co - co?

Zaczął się wiercić, a potem wyskubywać nitki z rogu kołdry. - To nadeszło jak następny szok, prawda?

- Co? Że Ben ma chore płuca? Czy że musi spędzać zimę w ciepłym klimacie, jeśli chce całkiem wydobrzeć?

- Obie te rzeczy. Dlaczego by nie udać się do cieplejszej części Anglii?

- W Anglii nie ma cieplejszych zim.

- A Devon?

- Ben potrzebuje innego ciepła, nieustannego słońca i żadnej wilgoci.

- Gdzie macie zamiar pojechać?  
- Do Francji, Włoch, a może do Szwajcarii, nie wiemy jeszcze. To spadło na nas dopiero dzisiaj.

- Dobrze powiedziane, spadło na nas. Francja, powiadasz. Pewnie pojedziecie do Paryża? I odwiedzisz go?

Otworzyła szeroko oczy i twarz się jej ściągnęła. Była to ostatnia rzecz, o której pomyślałaby wybierając się do Francji. Odparła więc cokolwiek porywczo: - Czerpiesz satysfakcję z tego, co mówisz, prawda? Nie, nie pojedę do Paryża, żeby zobaczyć ojca. On nic dla mnie nie znaczy. Mówiłam ci to już wcześniej, ale jesteś taki uparty...

- Dobrze, dobrze. Nie bierz przykładu z matki. Tylko pomyślałem, że mogłabyś.

- No cóż, nie zrobię tego. - Głos jej się załamał. - Mogę ci zaręczyć, tato, że nie zbliżę się do niego. Nie pojedziemy nawet w okolice Paryża. Poświęcił w życiu tylko dwadzieścia cztery godziny, żeby przyjechać i mnie zobaczyć, więc i ja nie będę pędziła do niego na złamanie karku. Nie - ścisnęła jego rękę - w tym względzie możesz się o nic nie martwić. Ty byłeś mi ojcem, jesteś mi ojcem i na zawsze nim pozostaniesz. - Pochyliła się nad nim, a on objął ją ramionami i trwali tak przez chwilę w uścisku. - Nigdy nie byłabym naprawdę szczęśliwa bez twojej zgody, bez względu na to, co kiedykolwiek powiedziałam - szepnęła. - Odepchnął ją lekko od siebie, zamrugął powiekami i pociągnął nosem.

- Cholernie ryzykowną drogę przeszedłem, by ci jej wreszcie udzielić, prawda? I skoro jesteśmy przy tym temacie - czy on ciągle zamierza tam zamieszkać?

- Chciałby, tato. Ma uczucie, że zdoła zmasakrować krzywdy, jakie wyrządzali ludziom jego dziadek i matka.

- To zbyt szczytne zadanie, dziewczyno. Nie można wskrzesić umarłych ani też wymazać powodów ich śmierci. Ale jeśli się tak uparł, nie mam już nic do powiedzenia. Chciałbym tylko, żebyś mnie odwiedzała.

- Cóż. - Wykrzywiła twarz w zabawnym uśmiechu i wstała z brzegu łóżka. - Będziemy przyprawiać co niedziela dzieci - obiecała. - I aby cię zapewnić, że nie cofniemy danego słowa, muszę teraz iść i zmusić go do podpisania stosownego dokumentu. - Roześmiała się na głos,

a w drzwiach odwróciła się i pomachała mu ręką. Był to gest, jakim zwykle go żegnała jako dziecko, kiedy wyjeżdżał z farmy.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, opuścił głowę na piersi.  
- Przyprawiać ze sobą dzieci co niedziela. Dzieci krwi Bannamanów. Grzechy ojców odzywają się w potomstwie nawet do trzeciego i czwartego pokolenia - wymamrotał pod nosem.

Część druga

# **Nienawiść**

# 1

Wracające z pastwiska krowy muczały chórem, jakby trzydzieści dwie gardziele szły w zawody o to, która z nich jest głośniejsza. Mary Ellen rozumiała to zawsze jako mieszanie lamentu, że spędza się je z pastwiska do obory, i modlitwy o prędką ulgę dla przepełnionych wymion.

Popatrzyła przez okno znad stołu, gdzie robiła zaczyn na chleb w wielkiej glinianej misie, i wzrok jej padł na człowieka idącego za stadem. - Terry chodzi już gorzej niż zwykle - zauważyła. - Musi jakiś czas odpocząć. Nie mam pojęcia, jak sobie wtedy poradzimy. - Jej oczy powędrowały w kierunku córki, która zmieniała fartuch. Odpowiedź nasuwała się sama: - Ojciec będzie musiał zatrudnić pomoc.

- Wiesz, że nie lubi nowych pomocników.

- A więc nie powinien dalej powiększać gospodarstwa, czyż nie? Na szczęście mamy bardzo dobre pastwiska w tej okolicy, ale wyżywić one mogą tylko tyle bydła, ile jest.

Maggie zawiązywała na szyi białe troczki fartucha. - A co się stanie, jeżeli Willy zdecyduje się odejść? - zakończyła temat pytaniem.

Mary Ellen wlepiła spojrzenie w córkę. Jej jednej nigdy nie mogła zgłębić do końca. Maggie miała już trzydzieści dziewięć lat, była starą panną najwidoczniej z wyboru, bo nie z powodu braku konkurentów. Nie mogła jej pojąć. Była najładniejsza z rodzeństwa, tyle że miała najgorszy charakter. Do ukończenia dwudziestu trzech lat była flirciarką i trzpiotką. Lecz od czasu, kiedy ujawniła pokrewieństwo Bena z Bannamanami, zmieniała się nie do poznania. Jej

uczynek omal nie uśmiercił Bena i ojca, i to musiało ją dręczyć, gdyż od tej pory jej zachowanie się zmieniło - zamiast przyciągać uwagę mężczyzn, którzy pojawiali się wokół niej, unikała ich towarzystwa. Zważywszy okoliczności, można by pomyśleć, że powinna chętnie wyjść za mąż i uciec z tego domu od niemego potępienia, jakim obdarzył ją ojciec. Było jednak całkiem odwrotnie. Całymi miesiącami nie wyjeżdżała nigdzie z farmy, nie wybierając się nawet na targ w sobotę. Trwało to, dopóki nie skończyła trzydziestu paru lat.

Mary Ellen nie umiała określić, kiedy dokładnie dokonała się druga zmiana w córce. Było to w czasie, kiedy wszystko przewróciło się do góry nogami. Stało się tak z powodu Gabriela, który lata całe pracował na farmie razem z bratem Johnem, a kiedy skończył trzydzieści lat, nagle oznajmił, że jedzie do Newcastle zamieszkać z Hugh. Znalazł pracę w wytwórni szkła, bo zaczął przejawiać zainteresowanie tego rodzaju wyrobami produkowanymi wówczas w mieście.

Jak wiele innych rzeczy, które przytrafiły się Mary Ellen w ciągu jej życia, ta też była całkiem niepojęta. Musieli wziąć kogoś do pracy. Mieli przy tym dużo szczęścia. Bardzo dużo szczęścia. Willy Harding wart był tyle złota, ile sam ważył, gdyż umiał robić dosłownie wszystko. Czy nie od tego czasu Maggie się zmieniła? Czasami myśl ta niepokoiła Mary Ellen, ale odsuwała ją od siebie. Nie, Maggie zmieniła się, odkąd Jimmy Broadbent spod Allendale przyszedł do ich domu poprosić ją o rękę. Tego dnia w kuchni wybuchła niezła awantura, gdyż Maggie zagroziła, że wyleje na niego garnek z gorącym gulaszem i wydrapie mu oczy. I pewnie by to zrobiła, gdyby Jimmy nie czmychnął w porę.

Żona Jimmy'ego zmarła pół roku wcześniej. Osierociła siedmioro dzieci, wszystkie poniżej dziesięciu lat, najmłodsze w wieku czterech i pół miesiąca. Umarła rodząc ósme dziecko. Wiadomo było powszechnie, że Jimmy chciał od niej tylko rodzenia dzieci, bo przyjemności szukał u kochanki. Widocznie spodziewał się, że Maggie zajmie się jego gospodarstwem, by on mógł zająć się spokojnie swoją pracą, którą był głównie handel końmi. Jego oświadczyzny wyrażały przekonanie, że oto wyświadcza jej przysługę obdarzając gotową rodziną, gdyż

osoba tak daleko posunięta w latach z pewnością nie zdoła urodzić już dziecka.

Owego dnia Mary Ellen odniosła wrażenie, że jej córka właśnie się obudziła z trwającego wiele lat snu, gdyż wlepiła oczy w rozciągniętą uśmiechem twarz mężczyzny, patrząc na nią w milczeniu, a potem zaczęła krzyczeć: - Ty brudny, tłusty, zużyty wieprzu! Ośmielasz się sądzić, że zbliżyłabym się na milę do ciebie i do twojego pomiotu? - I rozejrzała się za czymś, co mogłoby posłużyć do ataku. Długa rączka żelaznego rondla wystawała ze schowka, więc Maggie chwyciła ją oburącz, podniosła rondel i wrzasnęła: - Wynoś się, albo to wszystko wyląduje ci na głowie. - Ponieważ rondel był zbyt ciężki, opuściła go osmalonym dnem na wyszorowany do czysta stół i rzuciła się na pospiesznie wycofującego się mężczyznę. I pewnie by go podrapała, gdyby nie John, który chwycił ją z tyłu za ramiona, równocześnie wołając do Jimmy'ego Broadbenta: - Zabieraj się stąd, chłopczie! I trzymaj się od tego domu z daleka!

Owego dnia doszło do pierwszej przyjaznej wymiany zdań między Maggie a jej ojcem, bowiem Hal po powrocie powiedział: - Minął mnie po drodze Jimmy Broadbent, galopując, jakby miał diabła na ogonie. Nie zatrzymał się na pogawędkę. Czy coś się tu stało?

Maggie opowiedziała mu o oświadczeniach. Hal ciężko opadł na ławę, gdzie Maggie siedziała wpatrzona nieruchomo w płonący ogień. Położył jej rękę na ramieniu. - O rany! Dziewczyno, szkoda, że mu nie przyłożyłaś - oświadczył. - Podły bydlak, napluje mu w twarz, kiedy go spotkam. Miałem kupić od niego parę koni pociagowych, ale teraz niech idzie do diabła.

Niezwykła jak na ojca dobroć, którą jej okazał, zaowocowała wybuchem płaczu. Maggie łkając wybiegła z kuchni. W każdym razie od tej pory czesała się inaczej i zaczęła znowu nosić ładne perkalowe sukienki, a nawet często jeździła na targ w soboty. Zmiana ta nie przysporzyła jej ani jednego konkurenta, czym jednak wcale się nie przejmowała. Czasami coś ją nękało, bo bywała drażliwa, i zdarzało się, że miały cały dzień, a ona nie odezwała się słowem.

Mary Ellen mawiała często, że Maggie jest żadnym towarzyszem, ale równocześnie nie wiedziała, co by bez niej

poczęła, ponieważ dziewczyna potrafiła pracować od świtu do nocy, zarówno w domu jak i w obejściu. Sama doiła większą część stada krów. Dojenie lubiła bardziej niż jakąkolwiek inną pracę na farmie, choć kiedyś nienawidziła wszelkiej pracy poza domem. Mary Ellen wiedziała, że podczas dojenia córka rozmawia z Willym. Dlatego teraz zapytała: - Czy mówił coś o odejściu?

- Nie. - Maggie owinęła nakrochmalony fartuch ciasno wokół bioder. - Ale z tym, co dostał w zeszłym tygodniu, mógłby zacząć coś na własną rękę, prawda? - Odwróciła się i popatrzyła na matkę.

- Sto funtów nie zaprowadzi go zbyt daleko - odparła Mary Ellen.

- Sądziłam, że tato miał niewiele więcej, a do czego doszedł?

- Maggie! - imię córki Mary Ellen wypowiedziała zduszonym głosem. - Mówiłam ci już, żebyś nigdy o tym nie wspominała. Minęło i poszło w niepamięć. Dowiedziałaś się o tym, bo masz wielkie uszy. Co z tobą się dzieje, dziewczyno? Czasami jakbyś się uwzięła, żeby mnie denerwować.

- Przepraszam - powiedziała Maggie, a Mary Ellen znowu wyjrzała przez okno, gdyż usłyszała dźwięk końskich kopyt na wybrukowanym podwórzu. - Chyba wraca twój ojciec. Nie rozmawiajmy więcej o tym. - Uniosła wielki kawał ciasta i rzuciła na posypaną mąką stolnicę.

Z zaciętością, która zacierała ślady urody widniejące nadal na jej twarzy, Maggie podeszła do drzwi kuchennych. Otworzyły się, zanim dotknęła klamki i wówczas ona i matka zawołały równocześnie: - Kate! - Mary Ellen dodała jeszcze: - Czy coś się stało?

Kate, kobieta około czterdziestki, wyglądała jeszcze potężniej niż dawniej. Popatrzyła najpierw na matkę, a potem na siostrę. - Fraser, nasz Frag. Znowu uciekł - skierowała te słowa do siostry.

- No nie, znowu. Myślałam... przecież przyrzekł.

Kate pokiwała głową nad Maggie: - Obietnice, jak mawia mama, są jak skórka od chleba: po to, by je łamać.

Maggie zawróciła ku środkowi kuchni. - Ale sprawował się dobrze przez cały rok - powiedziała cicho.

- Dokładniej mówiąc przez dziesięć miesięcy. To wykończy Bena.
- Jak się miewa Ben? - Mary Ellen nalewała wrzątku do brązowego dzbanka do herbaty.
- Tak samo - odparła krótko Kate i zajęła miejsce na ławie. Spoglądała to na siostrę, to na matkę i spytała: - Dlaczego on to robi? Chciałabym wiedzieć.
- Bo nie znosi siedzieć w zamknięciu - odparła szorstko Maggie. - Urodził się do włóczęgi.
- Urodził się do włóczęgi?! - przerwała głośno Mary Ellen.
- Potrzeba mu dobrego bata i tyle. Potrafi każdego wyprowadzić z równowagi. Jak się dowiedziałas? - popatrzyła na Kate.
- Dyrektor szkoły przysłał wiadomość. Frag musiał uciec ostatniej nocy. Łóżko było nietknięte.
- To może mieć coś wspólnego z poganiaczami bydła. Znowu przywędrowali w dół z gór Szkocji. Hal mówił, że obozują na łąkach za Corbridge tucząc bydło zanim wystawią je na sprzedaż. Ale skąd by się dowiedział, gdzie oni są? Ten chłopak ma diabła za skórą. Zawsze miał. Powinien...
- Nie! Mamo! Nie mów tak. Nie ma za skórą żadnego diabła. Jest po prostu...
- No tak, jeszcze mi mówisz, jaki on jest. Przyprawia cię o ból serca, od kiedy nauczył się chodzić. O nikim innym nie myśli jak tylko o sobie.
- To nieprawda.
- Ech, broń go do ostatniego tchu. To naturalne. Ale bawi się w to, od kiedy skończył pięć lat. Miał pięć lat, prawda - odwróciła się w stronę Maggie, która potaknęła - kiedy poleciał po raz pierwszy do poganiaczy bydła. Przyprowadził go stary Szkot, od którego cuchnęło na milę. Rok później zrobił to samo. Ile już razy od tamtej pory dołączał do nich. Jest włóczęgą, teraz już notorycznym. Gdybym mogła postąpić po swojemu, pozwoliłabym mu pójść swoją drogą. Niech idzie do nich i żyje jak zwierzę, bo oni tak właśnie żyją. Na początku mogło to być zabawne, ot, po prostu psota, ale teraz chłopak ma szesnaście lat i wygląda na osiemnaście. Coś wreszcie trzeba z nim zrobić. I to należy do ciebie, bo Ben nie jest dość zdrowy, żeby dać sobie z nim radę... O, a oto twój ojciec.

- Z podwórza dobiegł głos Hala. Kate wstała i rzekła:
- Idę już.
  - Posłuchaj, Kate - powiedziała półgłosem Mary Ellen.
  - Nie możesz wyjść w tej samej chwili, kiedy on tu wejdzie.
  - Nie będę w stanie znieść jego pieklenia się. Nie mówcie mu nic, dopóki nie odjadę.
  - Powiedziałaś Johnowi? Ojciec właśnie z nim rozmawia.
  - O Boże! - Kate oparła się o stół, a Maggie popatrzyła na nią z z troskaniem. - Nie martw się, John pojedzie go szukać jak zwykle - rzekła.
  - John ma dość swojej roboty. Ledwie daje sobie z nią radę. - Mary Ellen przygryzła wargi. - Przykro mi, dziecko, ale twój syn zawsze mnie złościł - powiedziała.
  - Do widzenia, mamó. - Kate wyszła na podwórze. Hal podbiegł szybko do niej i zapytał: - Co słyszę, ten łobuz znowu rozrabia?
- Odpowiedziała podobnym tonem: - Tak, masz rację, łobuz znów rozrabia.
- Kate! - Nie wiadomo czy to jej ton, czy przedrzeźnianie wywołało tę reakcję. Dalej dokończył już łagodniej: - Tylko mi się wymknęło.
  - Wiem, tato, wiem, że tylko ci się wymknęło. Ale to sprawa Bena i moja, żeby sobie z nim poradzić. Ukróćmy to.
  - Aha, poradzicie sobie jak lichy! - wrzasnął. - Będziesz połykać łyżę przez tego smarkacza, a i tak źle skończy.
  - Patrzył za nią jak odchodzi, póki Mary Ellen nie zawołała z kuchni: - Dosyć! Dosyć! Chodź już do domu!
- W domu odepchnął żonę, cisnął kapelusz na ławę, ściągnął płaszcz i rzucił go w stronę Maggie. - Porządnego pasa mu trzeba - krzyczał. - Powinien dostawać lanie od kiedy nauczył się chodzić. Pomyśleć, że tyle pieniędzy zmarnowano na jego wykształcenie. Ciągłe mówiłem, że trzeba go zmusić do roboty. A jakże, nawet w szybie albo w hucie. To by go wyleczyło. Ale nie. - Wycelował palec w Mary Ellen. - Ktoregoś dnia przypomnieć sobie moje słowa, bo w tym chłopaku siedzi Bannaman. Jeszcze nigdy nie widziałem w nikim tak wyraźnie odziedziczonych śladów zgnilizny...
- Halu, przestań! Nie zaczynaj znowu. Chłopak po prostu lubi się włóczyć i tyle.

- Włóczenie się to nic dobrego. - Podeszedł do płaszcza powieszzonego przez Maggie na oparciu krzesła, włożył rękę do kieszeni i wyciągnął z niej cztery listy. - Wracając spotkałem pocztyliona. Jeden z nich jest do ciebie - powiedział. Wziął list z wierzchu i rzucił na stół. - Musi być od chłopaków, bo niby od kogo, ale chyba zmienił im się charakter pisma.

Mary Ellen wzięła list do ręki, a Maggie spytała: - Czy John wyjeżdża? - Kiedy Hal potwierdził, oświadczyła: - W takim razie lepiej pójdę doić. Willy nie wydoi wszystkich krów.

- Willy! - Hal zwrócił się do Mary Ellen. - Wiesz, jaką najświeższą plotkę zastałem dziś w mieście? Otóż stary Picker Robson był u Willy'ego namawiając go do spółki. Wszystko przez ten nieoczekiwany spadek. Przewóz furmankami nie idzie już tak świetnie jak kiedyś, odkąd ruszyła kolej. Co więcej, Robson upatrzył sobie Willy'ego dla swojej córki. Stuknęła jej trzydziestka, a z nią odfrunęła nadzieja na zamążpójście. Tak czy inaczej, zatkałem mu usta...

- Co chcesz przez to powiedzieć? Zamierzasz podnieść mu pensję, żeby go tu zatrzymać?

Hal odwrócił się do Maggie. - Nie bądź bezczelna. Jest dobrze opłacany i ma osobny dach nad głową - krzyknął.

- Psom także daje się budy.

Brwi Hala podskoczyły wysoko do góry, aż pod całkiem już posiwiąłą czuprynę: - Twój języczek, moja pani, doprowadzi do tego, że ci kiedyś przyłożę. Nie jesteś na to za stara.

- Nie próbowałabym. - Maggie spokojnie podeszła ku drzwiom i zdjęła z nich chustę na głowę. Założyła ją i związała pod brodą. Odwróciła się, jeszcze raz spoglądając na ojca, i rzekła: - W życiu jedno jest pewne: schodzisz ze świata tak jak na niego przyszedłeś. Nie możesz wziąć ze sobą konta w banku.

Otworzyła drzwi i wyszła. Mary Ellen podskoczyła zza stołu do Hala i jęła go uspokajać: - Zostaw ją. - A kiedy za córką zamknęły się drzwi, dodała: - Jest w jednym ze swoich złych nastrojów.

- Słyszałaś, co powiedziała?

- Słyszałam, i w pewnym sensie przyznaję jej rację. Co więcej, ja też jestem zdania, że powinieneś podnieść pensję

Willy'emu. Szyling tygodniowo nie wyrządzi ci wielkiej szkody, a w końcu pozwoli ci oszczędzić funty, bo nigdy nie znajdziesz drugiego tak dobrego pracownika. Poza tym, jak mówiłam w zeszłym tygodniu, Terry nie wytrzyma już długo.

- Niech mnie diabli porwą, jeśli to zrobię.

- Diabli cię porwą, jeśli tego nie zrobisz. Tak czy inaczej, siadaj wreszcie. Należę ci herbaty, a potem zajmę się chlebem. Ciasto wyrosło już ponad miarę.

- Zobacz najpierw, co piszą chłopaki - pokazał palcem list na stole. Wzięła go i obejrzała kopertę. - To nie od chłopców tym razem. To nie ich pismo.

- Też mi się tak wydaje. No, otwieraj, kobieto, i zobacz od kogo.

Wzięła nóż ze stołu i rozcięła kopertę. Wyjęła pojedynczy arkusik papieru. Przebiegła wzrokiem parę linijek i uniosła wzrok na Hala. Coś dziwnego w wyrazie jej twarzy sprawiło, że zniecierpliwiał się. - Co to jest, kobieto? Mów, co to takiego!

Zamiast odpowiedzieć zaczęła czytać dalej. Gdy skończyła, usiadła na ławie, trzymając list z dala od siebie. - To list od Roddy'ego - rzekła.

- Od Roddy'ego? Roddy'ego Greenbanka?

- Jakiego jeszcze znasz Roddy'ego?

- Czego chce?

- Chce przyjechać i zobaczyć się ze mną... z nami.

- Po co? Dość długo się namyślał. Pewnie minęło szesnaście albo i siedemnaście lat, kiedy tu był. Nie przyjechał na wesele swojej córki. A co jej przysłał? Obraz. A co było na obrazie? Płonąca huta. Namalował dla niej hutę.

- No, przysłał jej też pięćdziesiąt funtów. Pamiętaj o tym.

- Pięćdziesiąt funtów. A cóż to w końcu jest pięćdziesiąt funtów. Marne wynagrodzenie za jej utrzymanie przez tyle lat.

- Halu! - skoczyła jak oparzona, a Hal odparł prędko:

- Wiesz, co mam na myśli. Nie łap mnie za słówka. Powiedz, po co chce tu przyjechać?

- On - popatrzyła znowu na list - pisze, że chce mnie o coś poprosić. On... nie czuje się najlepiej. Przeczytaj sam.

- Wyciągnęła dłoń z listem. Zwlekał, a kiedy wreszcie wziął go od niej, trzymał za brzeżek w dwóch palcach, jakby

w kawałku papieru czaiła się jakaś zaraza. Po chwili wręczył jej list z powrotem. - Będzie tu jutro o tej porze - powiedział.

- Tak - skinęła głową.

Hal podniósł głowę. - No co, nie bierzesz się za porządki, żeby wszystko aż lśniło? - zapytał sarkastycznie. - O ile pamiętam, ostatnim razem, kiedy jego wysokość zapowiedział swoją wizytę, przewróciłaś dom do góry nogami. Pracowałaś bez przerwy przez dwadzieścia cztery godziny.

Twarz Mary Ellen przybrała zgaszony, a nawet smutny wyraz. - Wiele wody upłynęło w rzece od tej pory, Halu. Wówczas chciałam, żeby zobaczył, jak dobrze ci się powodzi i jakie wspaniałe mamy dzieci. Teraz już wie. Tym razem na jego przywitanie nie będzie żadnych fanfar, możesz być pewien. Jeśli powstrzymasz złość i okażesz trochę godności, to wystarczy, żeby zrobić na nim wrażenie, i dowieść mu, że nie jest jedynym na świecie człowiekiem, który do czegoś doszedł.

Spodziewała się wybuchu z powodu użycia słowa „godność”, lecz Hal usiadł i pozwolił nalać sobie herbaty. Potem bardziej do siebie niż do niej powiedział: - Ciekawe, po co teraz przyjeżdża? Czegoś chce, inaczej by nie przyjeżdżał.

- Pewnie masz słuszość - wręczyła mu filiżankę. - Jutro się przekonamy.

- Tak, tak. Pierwszy raz zobaczy swoje wnuki, a między nimi tego łobuza. Ciekawe, jakie też zrobi na nim wrażenie? Czy rozpozna w nim człowieka, który zabił mu ojca, jak sądzisz?

- Halu! Nie odgrzebuj tego, na Boga. Cokolwiek się będzie działo jutro, nie odgrzebuj tego. I tak dość mamy prawdziwych kłopotów. Najbardziej martwi mnie to, że Willy może się stąd zabrać.

\*

W oborze Maggie zadała to samo pytanie Willy'emu, bynajmniej bez ogródek. Przyszła z mleczarni przyniosłszy dwa puste skopki i gdy zdjęła z pleców nosidło, Willy Harding odwrócił głowę od krowich wymion i popatrzył na nią: - Są jeszcze dwie krowy do wydojenia, zostaw, już ja się tym zajmę. Poza tym nie wiem, co dobrego daje to drewniane cudactwo. Oprócz tego, że zdiera ci skórę z ramion, to

jeszcze garbacieje się od niego. Moim zdaniem tak samo łatwo jest nieść wiadro w rękę.

- Nie mam nic przeciwko nosidłom. Przywykłam do nich i będę musiała ich używać, jeżeli tylko plotki się sprawdzą.

Uniósł głowę i nie przerywając dojenia spytał: - O jakich plotkach mówisz?

- Ano że zaferowano ci spółkę z Pickerem Robsonem.

- Ach, to! - śmiał się teraz. Lubiła słuchać jego śmiechu. Zaczynał się bulgotaniem w piersi i rósł jak nuty w gamie. Był przyjemny, tak jak i jego głos. Pokręcił głową i powiedział: - Zabawne, co może narobić te parę miedziaków.

- Nie nazwałabym stu funtów paroma miedziakami.

- Może i nie, ale Robson nigdy nie proponował mi niczego, dopóki nie rozeszło się, że mam pieniądze.

- Ale inni tak, nawet kiedy nie miałeś.

- O tak. - Wstał i odepchnął stołek nogą, po czym pochylił się i wyciągnął wiadro spod wymion. Poklepał krowę po zadzie. - Dobra robota, dziewczyno - powiedział. - Popatrz tylko - pokazał palcem pełne wiadro - tłuste i gęste jak wapno do bielienia. Zrobisz z niego wyśmienite masło.

Stali zwrócenii do siebie twarzą w twarz. Był tylko troszkę wyższy od niej. Jasne włosy ciemniejące na czubku głowy układały się w fale. Rysy miał regularne. Ciemnoniebieskie oczy były okrągłe i duże; nos prosty, nieco zbyt wydatny; usta także miał pełne. Miękki zarys podbródka wskazywałyby na łagodność charakteru i brak zdecydowania, gdyby nie kwadratowy zarys szczęki. Zmrużył oczy i patrzył na Maggie w mdłym świetle obory.

- To dlaczego zostałeś? Nie płacą ci tu za dużo.

- Dlaczego o to pytasz?

- Tylko tak. Właściwie - podniosła głowę - w każdej chwili dostałbyś lepszą pracę niż ta, lepiej opłacaną.

- Może podoba mi się tutaj. A poza tym... nie lubię zmian - uśmiechnął się. - To dopiero moja druga praca w życiu, wiesz przecież. Dwadzieścia sześć lat byłem u sir Reginalda. To długo.

- Naprawdę zacząłeś pracować, kiedy miałeś sześć lat?

- Tak, naprawdę, a przynajmniej tak się to nazywało. Kiedy umarła moja matka, wypłakiwałem sobie oczy i jaśnie

pani powiedziała, że najlepszym lekarstwem będzie dać mi coś do roboty. Dali mi więc malutką miotłę. Zamiatiałem podwórko i utrzymywałem kurniki w czystości, a jaśnie pani zadbała, żebym chodził do szkoły. Tak było, aż skończyłem jedenaste lat. Do tej pory wypróbowałem wszystkie rodzaje prac na farmie. Wówczas jaśnie pani umarła i wszystko się zmieniło. To zdumiewające, jak kobieta może kierować majątkiem. - Zerknął na Maggie i ciągnął dalej: - Z sir Reginalda nie było w tym względzie pożytku. Był dalekim krewnym starego pana i właściwie miał naturę nauczyciela. W każdym razie kogoś, kto ma do czynienia z książkami, bo wychował się w księgarni ojca w Cambridge. Ale kiedy przypadł mu w udziale tytuł, zmienił się, tylko pasja do książek pozostała w nim jak dawniej. - Uśmiechnął się szeroko, ale po chwili spoważniał: - Wydawało się, że kiedy pani umarła, stracił zainteresowanie życiem.. Z pewnością oddał wodze w złe ręce, oszukiwano go bowiem na lewo i prawo. Za czasów mojego ojca, kiedy jaśnie pani jeszcze żyła, było ośmioro służby w pałacu i sześciu pracowników na zewnątrz, nie licząc lokaja. Nie za dużo jak na majątek ziemski, ale nie był to znowu wielki majątek. Kiedy miałem szesnaście lat, w pałacu pozostała tylko Betty Fowler, kucharka, i jej siostrzenica, pokojówka. Większość pokoi stała zamknięta. A na zewnątrz pracowało oprócz mnie tylko dwóch ludzi. Kiedy dobiłem dwudziestki, został tylko jeden. I dobytek skurczył się prawie do zera. Było chyba tylko pięćdziesiąt owiec i sześć krów, dwa konie i trochę pól ornych. Jakoś to było. Więcej niż dosyć dla nas dwóch, ale dawaliśmy sobie radę.

Właśnie miał zamiar podnieść wiadra, kiedy spytała: - Zawsze myślałam, że dużo czasu spędzałeś z sir Reginaldem.

Zatrzymał się na wpół zgięty i odwrócił się do niej: - Tak, to prawda. Brakowało mu towarzystwa. Może nie tyle towarzystwa, ile kogoś, z kim mógł rozmawiać, czy raczej do kogo przemawiać, to chyba lepsze określenie. Był urodzonym pedagogiem i gdyby mógł pofolgować sobie do woli, połowę dnia trzymałby mnie w bibliotece. Skoro jednak musiałem dużo pracować, chodziłem tam wieczorami i nocą. - Wyprostował plecy i popatrzył w głąb obory, jakby zaglądał w przeszłość. - To był piękny pokój, obłożony od podłogi do sufitu

czarnym dębem, z półkami ciasno wypełnionymi książkami. Z trudem się na nich mieściły. Wypełniały cały pokój. Jestem mu głęboko wdzięczny. Będę wdzięczny całe życie, bo otworzył przede mną nowy świat. A taka okazja nie przytrafia się wszystkim parobkom. O, nie. - Zaciśnął usta w zdecydowanym wyrazie i trwał tak przez chwilę, zanim począł mówić dalej ściszym głosem: - Rozmawiał z tobą jakbyś był kimś mu równym i tak też o tobie myślał. Przytaczał często słowa człowieka zmarłego w ubiegłym stuleciu, lorda Chesterfielda. Czy słyszałaś kiedy o nim? - Rzucił na nią okiem, ale pokręciła głową. - Cóż, podobno... och, nie podobno, bo tak było. Był wielkim człowiekiem, o czym mówią jego książki. A sir Reginald powiedział, że w testamencie lord Chesterfield zapisał trochę pieniędzy służącym, bo twierdził, że: „Ludzie ci są mi równi urodzeniem, są jedynie pośledniejsi majątkiem”. Sir Reginald był taki sam. Osądzał ludzi według tego, co mieli w głowach, czy też tego, co można było wyciągnąć z ich głów, a nie według zawartości ich kieszeni.

Ogarnął ją całą spojrzeniem i dodał: - Nie zawaham się tego powiedzieć. Nigdy nikomu wcześniej tego nie mówiłem, ale widziałem w nim ojca. I myślę, że u schyłku swojego życia on widział we mnie syna, którego nigdy nie miał, i gdyby tylko mógł uczynić dla mnie więcej, uczyniłby to. Ale zrobił dostatecznie dużo, sprawił, że zacząłem myśleć we właściwy sposób. Pokazał mi, gdzie leżą prawdziwe skarby. - Przerwał znowu, po czym mówił dalej: - Dobrze, że umarł. Nie zniósłbym, gdyby go wyrzucono z majątku. Tonął po uszy w długach, i to przez całe lata. Kochany sir Reginald. Pomyśl tylko, w swoim testamencie, spisanim, kiedy umysł jego był jeszcze sprawny, zostawił mi dwieście funtów, żebym mógł dalej się kształcić, a także wszystkie książki z biblioteki.

Wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze. - Cóż, wszyscy wiedzą, że kiedy wprowadzili się tam pazerni krewniacy, nie pozwolili mi zabrać nawet jednej kartki. Ale miałem już zbiór własnych książek, którymi obdarowywał mnie w ciągu tych lat, wszystkie z jego dedykacjami. Porządkowanie jego spraw zajęło trzy lata, ponieważ domu nie udawało się sprzedać, teraz zaś wszyscy wierzyciele zostali spłaceni, a moje dwie-

ście funtów skurczyło się do stu, za które i tak jestem wdzięczny, choć jeszcze bardziej za to, że pomyślał o mnie.

Maggie stała patrząc na Willy'ego. Ręce splotła ciasno na wysokości talii. Opanowało ją nieodparte pragnienie, by je rozpleść i pozwolić im wyciągnąć się ku niemu, dotknąć go, objąć. Żeby opanować to szaleństwo, musiała się odsunąć.

- Tracę czas - rzekł.

Znów odwróciła się do niego twarzą i powiedziała gwałtownie: - Nie, wcale nie. Nigdy nie straciłeś w życiu ani minuty. Myślałam tylko, że... to niesprawiedliwe, że nie mogłeś dokończyć edukacji, jak tego pragnął sir Reginald.

- O - podniósł do góry brwi i przechylił głowę na bok - mam w sobie dość pychy, żeby sądzić, iż sam się tym lepiej zająłem. Dał mi sposobność, bym nauczył się czytać i wybierać to, co chciałem czytać.

- Marnujesz się tutaj.

- Nie mów tak. Nie marnuję się tam, gdzie mam zwierzęta.

- Będziesz zadowolony spędzając resztę życia na farmie?

- Tak - skinał głową. - Słyszałaś, co powiedziałem przed chwilą o tym, że sir Reginald pokazał mi, gdzie leżą prawdziwe skarby? Wiem, czego chcę.

- To wszystko, czego chcesz w życiu, pracować tak jak teraz?

Odwrócił od niej głowę i patrzył na pobieloną ścianę. Chwilę trwało zanim odpowiedział: - Nie, to nie wszystko, czego w życiu chcę. Jest to jakaś część, lecz z pewnością nie wszystko.

- Willy! - Wrota obory się otworzyły i stanął w nich John.

- Wyjeżdżam. Nie sądzę, bym znalazł tego szelmę dziś wieczór, bo wkrótce będzie ciemno, ale może czegoś się dowiem. Skończyłem obok. Zajmiesz się resztą?

- Tak, tak. Zajmę się.

John postąpił dwa kroki do środka i popatrzył na Maggie: - Jeżeli przyjdzie do ciebie, żeby się umyć, nie wprowadzaj go do domu, jakakolwiek by to była pora. Wiesz, w jakim nastroju jest ojciec. Zabierz go do Willy'ego. Zgoda, Willy?

- Tak, oczywiście. Nie martw się, jeżeli się tylko pojawi, zaopiekujemy się nim.

- Dobrze. - John odwrócił się i wyszedł.

Patrząc na wrota, Maggie odezwała się cicho: - Nienawiść to straszna rzecz, prawda? Pożera wszystko wokół. Frag był świadomy tej nienawiści, od kiedy w ogóle zaczął uświadamiać sobie cokolwiek. To ona uczyniła z niego tego, kim jest. Czy jest coś dziwnego w tym, że ucieka do poganiaczy? A oni uparli się, że musi być wykształcony. - Odwróciła głowę gwałtownym ruchem w stronę Willy'ego. - Wykształcenie może być tak samo szkodliwe jak pożyteczne - dodała. - Musisz być człowiekiem o bardzo silnej woli, że pozostałeś taki sam po tym, jak wtłoczono ci wiedzę do głowy.

Pochyliła się, by zabrać wiadra pełne mleka. - Zostaw, ja je wezmę - zaprotestował.

- Nie, dam sobie radę - odparła. - Masz dosyć swojej roboty. - Wzięła wiadra i chwiejnym krokiem ruszyła z miejsca. Kiedy podskoczył, by otworzyć przed nią wrota, nawet na niego nie spojrzała ani nie podziękowała. Zwiesił głowę, po czym wrócił do obory i drucianą szczotką zaatakował gnój w kanale.

\*

Około ósmej John przyjechał z powrotem. Kiedy zsiadł z konia, w drzwiach kuchennych pojawiła się Maggie z latarnią w ręce.

- Czy wiesz coś?

- Nie uciekł do poganiaczy. Jedno stado jest koło Hexham, a drugie za Corbridge. Byłem tam i rozmawiałem z jednymi i drugimi.

- Może go ukryli.

- Nie, nie. To uczciwi ludzie. Obiecali odesłać go, jeśli zjawi się rano. Gdzie rodzice?

- W gabinecie - odparła Maggie. Przynęła się bliżej Johna. - Wiesz, ten człowiek, ojciec Kate, ma przyjechać do nas jutro. Co ty na to?

- Co takiego?!

- Mama dostała od niego list.

- Po co chce przyjechać?

- Mama mówi, że nie napisał. Chce o coś ją poprosić, to wszystko, co zdołałam z niej wydusić. Tato jest trochę wzburzony.

- Jasne, i ma prawo. O ile sobie przypominam, ostatnia wizyta tego dżentelmena wywołała sporo zamieszania w do-

mu, ale było to wiele lat temu. - Chwycił konia za uzdę i skierował się do stajni. - I mówią, że na wsi nic się nie dzieje - rzekł sentencjonalnie. - Willy skończył na dziś?

- Jeszcze niedawno był w szopie - powiedziała zwięźle, odwróciła się i weszła do domu.

John zdjął z konia siodło, kiedy nadszedł Willy. - Nie znalazłeś go? - zapytał.

- Nie. Ale wiem jedno, Willy, że już ostatni raz latam po okolicy i go szukam. Według mnie jest dość duży, żeby wiedzieć, co robi. Jeśli chce się włóczyć, pozwoliłbym mu na to, albo bym zapędził go do takiej roboty, żeby czuł się cholernie wyczerpany i marzył tylko o położeniu się do łóżka. Gdybym go miał przy sobie, dopilnowałbym, żeby tak właśnie było... Skończyłeś?

- Tak, zostaw konia, ja już się nim zajmę.

- Nie. Siedziałem na tyłku przez całe trzy godziny albo i więcej. Muszę się rozruszać, a ty masz dość jak na jeden dzień. Idź już do domu i rozprostuj kości.

Willy nie przerwał, żeby się sprzeciwić. Powiedział tylko:  
- Dobranoc.

Na podwórzu Willy podniósł oczy i popatrzył na niebo. Księżyc był już wysoko, trzy czwarte podwórza tonęło w ciemnościach. Dom także tonął w mroku. Światło sączyło się jedynie z okna w kuchni. Przez chwilę przyglądał się sylwetce poruszającej się to w jedną, to w drugą stronę. Potem odwrócił się, przeszedł całe podwórze, minął starą stodołę i większą, nową, z dobudowaną wozownią, powędrował wzdłuż kamiennego muru okalającego ogród warzywny, a następnie skręcił w lewo obok kurników. Wreszcie wyszedł przez furtkę na mały padok, po którego przeciwległej stronie stała jego chatka.

Domek składał się z dwóch izb i poddasza. Był czas, że mieścił siedmioosobową rodzinę i niemal za każdym razem, kiedy Willy do niego wracał, zadawał sobie pytanie, jak to było możliwe. W ciągu ostatnich czterech lat urządził mieszkanie wygodnie i stosownie do swoich potrzeb. Było przez to jeszcze mniejsze, bo w głównej izbie zrobił półki na książki, a w sypialni szafy na ubrania. Meble odznaczały się prostotą, stał tam mały kwadratowy stół, jedno drewniane krzesło i drugie z wysokim oparciem. Po lewej stronie kominka stała

szafka na jedzenie, które czasem spożywał samotnie, po prawej zaś stronie półki mieszczące naczynia kuchenne. Za szafką widniały wąskie drzwi prowadzące do kamiennej spiżarni. Na zewnątrz chaty wznosiły się dwa wąskie budynki: w jednym był składzik węgla, a w drugim - pomywalnia.

Przed wyjściem z chaty każdego ranka gasił ogień w kominku, rozpałał go ponownie w porze obiadu, a kiedy wracał wieczorem, dmuchaniem miechów przywracał żar ponownie do życia. Lecz dziś wieczór nie doszedł jeszcze do drzwi, kiedy w oknie ujrzał odblask palącego się ognia. Zatrzymał się zrazu, po czym podszedł dalej zachowując ostrożność.

Otworzył drzwi, wszedł do środka i zobaczywszy sylwetkę siedzącą na podłodze przy kominku, odezwał się, jakby witał spodziewanego gościa: - Hej! Wiedziałem, że musisz do mnie przyjść.

Fraser Hamilton wstał powoli. Był wzrostu Willy'ego i w świetle ognia można go było wziąć za dorosłego mężczyznę. Czarne, lśniąco i gęste włosy zasłaniały mu uszy. Oczy były też czarne, ich ciemny kolor podkreślała dodatkowo bledź cery. Twarz miał pociągłą i szczupłą, a usta w tym świetle odcinały się tylko cieniłą kreską. Była to twarz niezwykła, interesująca, lecz nie pasowała do młodości jej właściciela.

- I znowu to samo, Fragu? - Willy zdjął płaszcz i podszedł do szafki, na której stał świecznik. Zapalił świece i postawił świecznik na stole. Zmierzył chłopca dokładnie od stóp do głów. - O rety! Ależ jesteś uszargany. Gdzie spałeś ostatniej nocy? - zapytał.

- W stogu siana, ale przedtem wpadłem do bagna.

- Życie ci niemiłe?

- A kogo to obchodzi.

- Nie pyskuj. O co poszło tym razem?

- A o to - chłopak pokazał palcem podbródek. - Zapuszczałem brodę. Dyrektorowi się to nie spodobało, kazał mi się ogolić. Dał mi pędzel i starą brzytwę, która była tępa. Dostałem od niej pryszczycy. A potem - położył rękę na głowie - kazał, by mnie ostrzyżono na krótko.

- Dlaczego? Nie myłeś włosów?

- Nie. Widocznie poświęcałem im zbyt wiele uwagi i myłem je za często. Dwóch innych chłopaków też spotkała ta

sama kara, ale oni wyglądali jak strachy na wróble. Ja tak nie wyglądałem.

- Rozumiem.

- Willy. - Chłopak przesiadł się na krzesło z wysokim oparciem. - Nie wróć tam. Jeśli ojciec będzie próbował mnie zmusić w imię rozsądku czy innych cholernych wartości, zaciągnę się na statek. Nie chcę, by mnie do czegokolwiek zmuszano.

- Nie bądź głupcem. Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie, byłeś traktowany łagodnie. Życie na statku cię wykończy.

- Nie jestem delikatny, Willy. W środku jestem twardy. Sypiałem na dworze z poganiaczami wiele razy. Wiesz, że tak było.

- Bo większość z nich to poczciwi ludzie, opiekowali się tobą i rozpieszczali. Ale jeśli znajdziesz się na pokładzie statku, nikt cię nie będzie rozpieszczał. Powiadam ci, skóra ci będzie odpadać od kości. Kilka lat temu mieliśmy w majątku kalekiego marynarza. Na jego ciele nie było skrawka skóry, która nie byłaby pokryta bliznami. Zwolniono go, bo nie mógł już biegać, nie reagował ani na komendę, ani na uderzenie batem. Miał tylko połowę stopy i nie powiem ci, jak do tego doszło. Tak więc wybij sobie ten pomysł z głowy. Poza tym zdejmij z siebie te łańchy i popatrz czy dadzą się doprać. Jadłeś coś?

Chłopak gestem głowy pokazał szafkę i odparł: - Wziąłem trochę chleba i boczku.

- Na zdrowie. A teraz postawię ten garnek na ogniu i zjemy sobie trochę gorącego kleiku. Rozbierz się, błoto wygląda na zaschnięte. Wyczyszczę je szczotką. Nie możesz tak wrócić do domu.

Kiedy chłopak zdjął zapięty pod szyję płaszcz, Willy spojrział na niego zdziwiony. - Nie masz nic pod spodem. Co to znaczy?

- Bo... zamknęli mnie w kozie, z tego powodu - wskazał ręką włosy. - Zawsze zabierają wtedy bieliznę. Samo ubranie zaś nie daje dużo ciepła. Nazywają to ostudzaniem temperamentu.

- Mój Boże! A twój ojciec płaci ciężkie pieniądze za takie traktowanie. Na pewno są jakieś lepsze szkoły w Newcastle?

- Są, ale wybrano tę ze względu na surową dyscyplinę.  
- Okrucieństwo to lepsze słowo. Chodź za mną. - Willy podniósł świecznik i poprowadził chłopca do sypialni, gdzie otworzył szafę i wziął z półki koszulę, wełniane kalesony i kaftan. - Włóż to.

Przed włożeniem tego ubrania chłopiec przytrzymał je chwilę w ręku. - To bardzo dobra wełna - zauważył.

- Słusznie, jest taka. Te rzeczy należały do starego pana. Dopilnował, żeby mnie dobrze zaopatrzyć pod tym względem. W pałacu szafy były pełne takich rzeczy. Należały do kuzyna pana, który umarł. Obaj byli tej samej postury, a jedyna różnica między nimi a mną to trochę krótsze nogi. Byłem dobrze zaopatrzony przez te wszystkie lata. Zadbano i o mojego ducha, i o ciało.

- Dziwiłem się zawsze, kiedy widywałem cię na targu. Nie wyglądałeś na parobka.

- Więc nie musisz się już dziwić. - Popatrzył na chłopaka i uśmiechnął się - Są odrobinę za duże, ale za to ciepłe. I włóż jeszcze tę kamizelkę. Noce są chłodne, a przed nami długi spacer.

- Zaprowadzisz mnie do domu?

- Tak na wszelki wypadek, żebyś nie zabłądził.

- Wolałbym zostać tutaj do rana. Mogę się przespać na podłodze.

- Nie ma mowy. Twoja matka odchodzi od zmysłów, jak zwykle. Jesteś bezmyślnym chłopakiem, wiesz o tym.

- Nieprawda. Po prostu... zawsze mi dyktowano, co mi wolno, a czego nie wolno.

- Ale byłeś urwisem, od kiedy tylko wyrosłeś z pieluch.

Fraser odwrócił się i przeszedł do drugiej izby. - Nic na to nie poradzę. Coś mnie nachodzi. Muszę po prostu wstać i iść... Chcę, żeby coś się działo. - Odwrócił się przodem do Willy'ego. - Czy możesz zrozumieć, że chcę, żeby coś się działo?

- Ciągnie cię do przygód?

- I tak, i nie. Nie mogę tego wytłumaczyć. Ja... wiem tylko jedno, nie chcę być taki jak inni ludzie, jak wszyscy dookoła, żyjący monotonna codziennością. Jak ty to wytrzymujesz? Dużo czytasz. Wszyscy mówią, że jesteś czytany, więc jak

to wytrzymujesz? Nie wiem, jak możesz zadowalać się takim życiem, pracując całymi dniami jak niewolnik dla mojego dziadka. Dlaczego?

- Dlatego, że taka jest moja natura. Lubię pracować przy zwierzętach, lubię powietrze, lubię mieć czas, żeby poczytać i pomyśleć. Gdy się pracuje przy zwierzętach, ma się dużo czasu dla siebie, czasu na myślenie... Wszystko zależy od tego, jakim zostałeś stworzony, jaka jest twoja natura.

- Myślę, że nie zostałem stworzony na twoje podobieństwo.

- Nie miałeś okazji się przekonać. W każdym razie zjedzmy trochę kleiku i ruszmy, bo przed północą chciałbym się położyć do łóżka.

- Mogę iść sam.

- Nie pójdziesz sam, bo poszedłbyś do stodoły przespać się tam do rana.

Pół godziny później wyszli z chaty. Powietrze było ostre, a księżyc świecił jasno. Szli szybkim marszem, lecz i tak minęła dobra godzina, zanim Willy pociągnął za dzwonek do drzwi farmy Rooklands. Fraser chciał wejść kuchennymi drzwiami, lecz Willy powiedział: - Nie można pozwolić, by o twoim znalezieniu się dowiedziała się pierwsza kucharka i służąca, a nie twoja matka.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich służąca z lampą w ręku. Przez chwilę przyglądała się w mdłym świetle dwóm postaciom, po czym wydobyła z siebie przeraźliwy okrzyk: - Och! Panicz Fraser!

Chłopiec przecisnął się koło niej i przedrzeźniając zawołał w ten sam sposób: - Och! Annie Pollock!

Na dźwięk jego głosu otworzyło się dwoje drzwi, każde z innej strony sieni. Kate przybiegła z jadalni, a w otwartych drzwiach salonu pojawiła się sylwetka Bena. Stał nieruchomo i surowo patrzył na syna. Kate nie odezwała się ani słowem, lecz położyła chłopcu rękę na ramieniu i skierowała go w stronę ojca. Równocześnie odwróciła głowę do Willy'ego.

- Proszę, wejdź, Willy - zaprosiła go.

- Dziękuję, pójdę już do siebie, pani Hamilton.

- Proszę. - W słowie tym zadźwięczała błagalna nuta, więc rad nierad z czapką w ręku podążył za nią i za chłopcem.

Ben cofając się, by ich przepuścić, wydobył z siebie głos, który zabrzmiał jak warknięcie: - Gdzie go znalazłeś?

- Nie znalazłem go. To on znalazł mnie - odparł Willy i ciszej dodał: - Nic mu nie jest. Jest tylko zmęczony. Spał na dworze poprzedniej nocy. Tym razem nie wybrał się do poganiaczy.

Razem weszli do długiego pokoju, gdzie chłopak opadł na czarny skórzany fotel. Willy był zaskoczony, ale przejrzał na oczy na widok tego, co zdarzyło się potem. Ben stanął przed synem i zakomenderował: - Wstawaj. Mówiono ci już wcześniej coś o siedzeniu, kiedy twoja matka stoi.

Chłopiec zawahał się chwilę, spoglądając w górę na pociągłą, bladą twarz ojca. Kate położyła mu dłoń na ramieniu i usiadła obok. - Nic się nie stało. To nie czas na naukę dobrych manier - powiedziała.

- Każdy czas jest dobry na naukę manier. Po co w ogóle chodzi się do szkoły?

- Właśnie, ojcze, po co w ogóle chodzi się do szkoły?

- Chłopak siedział w fotelu wyprostowany, a na jego chmurnej twarzy pojawił się wyraz zawziętości, kiedy zaczął krzyżeć:

- Po to, żeby ostrzyżono ci włosy. Żeby dawano ci brudną brzytwę. - Wbił palec w swój podbródek. - Żeby cię rozbierano do naga i zostawiano tylko wierzchnie ubranie, po czym wtrącano na dwadzieścia cztery godziny do lodowatego pokoju. Masz na sobie mundur, więc gdyby zdarzyło się, że przyjdzie wizytator czy gość, wygląda na to, że jesteś ubrany. I żeby kawałkiem rzemienia, cienkiego na końcu, bito cię po zgięciach nóg. O, chronią cię spodnie, ale mimo to podskakujesz z bólu. Żeby...

- Dosyć. Musiałeś na to zasłużyć.

- Nie zasłużyłem na to, nie bardziej niż inni. Dla twojej wiadomości, ojcze, nie ja jeden stamtąd uciekłem. Dwóch uciekło w tym miesiącu, a ich rodzice przyjechali i powiedzieli dyrektorowi szkoły, co o nim myślą. Ale czy moi rodzice pofatygują się do dyrektora, choćbym powiedział nie wiem co jeszcze? To trzecia szkoła, gdzie mnie umieszczacie, a każda jest gorsza od poprzedniej. Wszystko, żeby się mnie pozbyć.

- Fraserze, Fraserze, nie mów tak. Wiesz, że to nieprawda.

Zwrócił wściekłe spojrzenie na matkę. - To prawda. Od kiedy tylko cokolwiek pamiętam, zawsze mnie odtrącano, zostawiano na czas, kiedy jechaliście do Francji czy do Szwajcarii.

- To było niezbędne dla zdrowia ojca, Fraserze, i wiesz o tym.

- Nie wiem. Wiem tylko, że częściej widywałem panią Proctor i służące niż siebie.

- To było konieczne - tłumaczyła ściszym głosem, cierpliwie. - Nie mogłam cię ze sobą zabrać...

- Pewnie, że nie - skoczył na równe nogi. - Nie mogłaś wziąć ze sobą mnie, ale wzięłaś Rose, prawda?

- Bo była bardzo wątłą dziewczynką. Powietrze dobrze jej zrobiło.

- A drogi Harry? - Fraser spojrzał na ojca i powtórzył: - Drogi Harry, który, jak powiedziałaś, ojczec, od chwili narodzin nie przyniósł ci zmartwienia, czy też był wątły? Jest silny jak byk. Miał cztery lata, kiedy po raz pierwszy wzięliście go ze sobą za granicę i nie przejawiał oznak żadnej choroby, kiedy...

- Zamilcz, chłopcze! - słowo „choroba” przywróciło Benowi życie, gdyż postąpił dwa kroki w kierunku syna. - Jeszcze jedno słowo i sam wezmę na ciebie bata! - krzyknął.

- Benie, Benie! - Kate stanęła pomiędzy nimi. - Nie unos się tak, proszę. - Odwróciła się od syna, objęła męża ramionami i usadowiła go w fotelu, gdzie zgiął go wpół atak kaszlu targający całym ciałem.

Kate podbiegła do stolika i podniosła małą srebrną tacę, na której stała butelka i łyżeczka. Chłopak wstał. Nie zmienił wyrazu twarzy. Paroksyzm kaszlu ojca zdawał się w ogóle go nie wzruszać. Popatrzył na Willy'ego, który lekkim ruchem głowy dał mu znak, że powinien wyjść z pokoju. Uczynił to, lecz odgłos trzaśnięcia drzwi spowodował, że Kate podskoczyła, odkładając na tacę łyżeczkę. Westchnęła, a jej wzrok spoczął na Willym.

- Wybacz mi, Willy. Usiądź, proszę i napij się czegoś przed wyjściem.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, pani Hamilton, muszę już iść.

Rzuciła okiem na Bena, który oparty plecami o fotel oddychał krótko i boleśnie. Ponownie spojrzała na Willy'ego i spytała: - Czy w domu wiedzą, że wrócił?

- Nie, ale ich zawiadomię.

Odrzucił się i poszedł ku drzwiom. Kate podążyła za nim. W sieni zatrzymał się i popatrzył na nią: - Nieźle się nacierpiał w tej szkole, pani Hamilton. To nie tyle wiedzę im tam wpajają, ile strach. Jeśli wolno się wtrącić, nie zmuszałbym go do powrotu ani też do pójścia do jakiejś innej szkoły. Myślę, że chce pracować. Dojrzał już do tego.

- Masz słuszość, Willy. Ale - Kate popatrzyła w kierunku salonu - jego ojciec pragnąłby wprowadzić go w świat, wysłać na uniwersytet, żeby studiował tam nauki ścisłe albo prawo. Ma co do niego wielkie plany. - Ponownie przeniosła wzrok na Willy'ego i dokończyła: - Niedobrze się stało, że musiałam go zostawiać, kiedy był mały. Ale... widzisz... on był taki niesforny, że trzeba było się nim zajmować cały czas. A ja nie miałam go za wiele.

Willy nie odpowiadał, tylko na nią patrzył. - No cóż, dziękuję, Willy, że się nim zaopiekowałeś - powiedziała.

- Nie ma za co. On nie jest złym chłopcem, wie pani o tym, prawda?

- Nie? - w słowie tym zabrzmiało pytanie, po czym bardziej zdecydowanie potwierdziła: - Nie, oczywiście, że nie jest. Drzemie w nim zamiłowanie do podróży. Nie wziął tego ani po ojcu, ani po mnie. Nie wiem, po kim to ma. - Uśmiechnęła się blado do Willy'ego, który uznał za stosowne się pożegnać: - Dobranoc, pani Hamilton. - Dobranoc, Willy i jeszcze raz dziękuję - odparła.

Już na drodze powtórzył do siebie: - Nie wiem, po kim to ma. - Nie słyszał nigdy czegoś równie głupiego. Od kiedy związał się z tą rodziną, kilkadziesiąt razy słyszał od obcych, za każdym razem, kiedy chłopak przepadał: - Prawdziwy Bannaman, ten chłopak idzie w ślady dziadka. - I kolejny raz musiał wysłuchiwać historii o Danie Bannamanie i jego córce, a także o małym człowieczku, który się powiesił, historii, która stała się legendą.

Tak, głupio było ze strony Kate Hamilton zadawać sobie pytanie, po kim jej syn odziedziczył swoją manię, skoro jego ojciec był w połowie Bannamanem.

## 2

Mary Ellen przyglądała się siedzącym naprzeciwko niej mężczyźnie i dziewczynie. Mimo że półtorej godziny spędziła już w ich towarzystwie, nadal z trudem znajdowała słowa. Zaskoczona była zmianą w wyglądzie towarzysza z lat dzieciennych, kiedy pojawił się siedemnaście lat temu. Ale tamta zmiana była niczym w porównaniu z tym, co wyryły na nim ostatnie lata. Był nieco młodszy od Hala, nie więcej niż o dwa lata, a wyglądał o dziesięć, a nawet dwadzieścia lat starzej. Ciało z trudem mieściło się w krępującym je, choć dobrze skrojonym ubraniu. Twarz miał nabiegłą krwią i nabrzmiałą. Włosy nad czołem wyłysiały, a ich resztką nad karkiem i powyżej skroni była całkiem biała. W jej wspomnieniach aż do tego ranka występował zawsze jako wysoki, barczysty, wyprostowany mężczyzna. Był wprawdzie nadal barczysty, ale zgarbione plecy sprawiały, że wyglądał jak skurczony.

I ta dziewczyna, to dziecko, jego córka, jak ją przedstawił, nigdy w życiu nie widziała kogoś takiego jak ona. Wyglądała jak obrazek z książki. Miała chyba niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, a figurę tak delikatną, jak istota nie z tego świata. Jej modny czerwony aksamitny płaszcz i taka sama spódnica niczym nie zdradzały, że kryją pod sobą ciało, choćby najszczuplejsze. I jeszcze twarz... tak, najbardziej zdumiewająca była twarz. Oczy, szare i ogromne, patrzyły na rozmówcę bez zmruczenia powiek, podczas gdy ich wyraz nieustannie się zmieniał. Kiedy John wypowiedział zdanie po francusku, jedyne, które zapamiętał ze szkoły, światełko w tych oczach zamigotało figlarnie. A kiedy dziewczyna sama mówiła swoją łamaną angielszczyzną, światełko zdradzało wesołość i towarzyszył mu perlisty śmiech. Tylko kiedy spoglądała na ojca, światełko przyćmiewał smutek. Mary Ellen zauważyła także, że kiedy on mówił, dziewczyna słuchała go z najwyższą uwagą. Całą jej twarz była zaskakująco drobna - tak jak ciało, a cerę można było porównać tylko do alabastru. I włosy. Jakiego koloru miała włosy? Cytrynowe, raczej bladocytrynowe, nie były ułożone we fryzurę stosowną dla modnej damy, którą dziewczyna z pewnością była, lecz rozpuszczone, związane jedynie wstążką na czubku głowy.

Dziewczyna zwróciła się do Maggie, która podobnie jak Mary Ellen siedziała do tej pory z zasznurowanymi ustami.

- Pani krowy robią masło? To znaczy pani robi. To znaczy, pani doi... Och, papo - odwróciła się do ojca i powiedziała coś szybko po francusku, a on popatrzył na Maggie i powiedział uśmiechając się: - Yvonne próbowała zapytać, czy sama doisz krowy i robisz masło?

Maggie, również ze śmiechem, odparła: - Tak, robię masło i doję krowy, przynajmniej niektóre. John - pokazała ręką Johna - także pomaga w dojeniu.

- Nigdy jeszcze nie byłam na formie.

Temu oświadczeniu zawtórował śmiech Maggie i Johna. Ojciec przyszedł jej z pomocą: - Na farmie, a nie na formie. *Comprends-tu?*

- *Oui.* - Znowu ozwał się śmiech. Wtedy Hal, który siedział cały czas obok Mary Ellen i podobnie jak ona niewiele miał do powiedzenia, odezwał się do Johna: - Czemu nie weźmiesz panny na dwór i nie oprowadzisz po farmie? A ty, Maggie, pokaż jej, jak robisz masło.

Zarówno Maggie jak i John podnieśli się dopiero po chwili, gdy zdali sobie sprawę, że każe im się wyjść, i domyślili się dlaczego. Do tej pory zajmowano się jedzeniem i pogawędką na tematy ogólne. A przecież powodem wizyty tego gościa nie była z pewnością pogawędka przy herbatce. A ojciec, jak to on, nie mógł się doczekać chwili, kiedy dotrze do sedna sprawy. Jak wynikało z rozmowy przy śniadaniu dzisiejszego ranka, rzeczywiście nie pojmował przyczyny wizyty swego dawnego przyjaciela teraz, kiedy osiągnęli już jesień życia.

Kiedy John wyciągnął rękę, tak jak wyciąga się rękę do dziecka, dziewczyna podskoczyła i chwyciła ją. Wówczas jej dziwna twarzyczka rozjaśniła się. - Tato, idę uczyć się dojenia krów, jak Maria Antonina.

- I zostaniesz mleczarką.

- *Ah, oui* - przytaknęła mu i ze śmiechem pozwoliła Johnowi wyprowadzić się z pokoju.

Gdy zostali sami, Roddy Greenbank popatrzył najpierw na Mary Ellen, a potem na Hala, po czym usadowił się głębiej w fotelu. - Wiem, że jesteście ciekawi, o co w tym wszystkim chodzi i dlaczego, u diabła, pojawiłem się tu po tych wszys-

tkich latach nieobecności, podczas gdy nie okazałem w tym czasie żadnego zainteresowania własną córką. Wiem, co oboje myślicie. Moja odpowiedź jest prosta. Nie zostało mi wiele życia, może tydzień, miesiąc, najwyżej trzy. - Wydał z siebie dźwięk przypominający chichot. - Może któreś z lekarstw Kate mogłoby mi pomóc, myślałem o niej ostatnio bardzo dużo - dodał.

Po chwili ciszy, która nastąpiła, zaczął mówić dalej: - Celem mojego przyjazdu jest prośba o wielką przysługę. Halu, wiem, jaka będzie twoja pierwsza odpowiedź. „Przeklęta bezczelność!” - powiesz za chwilę. Rozumiem to znakomicie. Jeśli idzie o ciebie, Mary Ellen, twoja reakcja będzie taka sama, ale wyrazisz to inaczej: „Roddy Greenbanku. Na Boga! Masz czelność”. Cóż, nie sądzę, bym był bezczelny, ale z rozpaczy człowiek robi wiele rzeczy. Poszukałem w pamięci wszystkich moich tak zwanych przyjaciół, jakich zdobyłem przez minione lata. Jedyna para, której mogłem zaufać oprócz was, umarła w zeszłym roku, on w miesiąc po niej. Przechodzę do rzeczy... Czy weźmiecie ją pod opiekę, kiedy umrę?

Patrzył na ich twarze. Równocześnie otworzyli usta, a ich oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Patrzył, jak Hal porusza językiem w otwartych ustach, jakby miedlił w nich jakieś słowa, próbując ich nie wypowiedzieć. Patrzył, jak Mary Ellen łapie się ręką za głowę i mamrocze: - Chyba żartujesz. - Lecz nic nie odpowiedział, wpatrywał się w nich dalej.

Mary Ellen też zaczęła mu się przyglądać. Wiedziała, że odpowiedź: „Chyba żartujesz”, zabrzmiałaby niezręcznie w tej sytuacji, ale jak miała wypowiedzieć słowa, które przebiegły jej przez myśl: zuchwalstwo, czyste zuchwalstwo, przeklęty tupet, żeby zjawić się w taki sposób po tylu latach. Odwróciła twarz na bok, kiedy przemówił Hal. Jego głos zabrzmiał głucho, kiedy mówił: - Taka dziewczyna nie będzie się tu czuła dobrze. Musisz to chyba wiedzieć. Jej miejsce jest w mieście. I chyba znajdzie się tam ktoś z twoich przyjaciół z wyższej sfery, kto może zaoferować jej dom.

Roddy przesunął się ku przodowi fotela i ściskając dłońmi swoje ramiona, pochylił się w stronę Hala mówiąc posępnie: - A, tak, dosłownie przychodzili tuzinami, żeby zaoferować

jej dom, w którym to domu byłaby tak bezpieczna jak dziewica, którą jest, w domu publicznym. Poza tym miejscem istnieje świat, świat wyższych sfer, o którym nic nie wiesz, Halu. Na górze jest powaga i czcigodność, niczym tłusta śmietanka, a pod spodem - pełno serwatki. Wiem, że nikt nie może nauczyć cię więcej o życiu na wsi, ale jest jeszcze inny rodzaj życia, bardzo różny od tego, jakie znasz.

- A gdzie jest twoja żona?

- Umarła pięć lat temu - odparł krótko, patrząc na Mary Ellen.

- A jej rodzina? Na pewno się zaopiekują twoją córką.

Roddy zacisnął usta. - Mary Ellen, moja żona nie pragnęła mieć dzieci. Miałem... miałem kochankę. To ona była matką Yvonne. Wychowywała ją do lat siedmiu, a potem oddałem dziecko do szkoły prowadzonej przez zakonnice.

- Ożeniłeś się z nią później, z matką? - to było może dziwne pytanie, ale nie mogła się oprzeć, by go nie zadać. A kiedy odparł: - Nie, oczywiście, że nie - pomyślała, że nie zdobył się na to.

- Gdzie ona teraz jest?

- Nie żyje. Umarła trzy lata temu. Wtedy wziąłem Yvonne do siebie.

- Ile ona ma lat? - Mary Ellen musiała poczekać chwilę na odpowiedź.

Roddy wbił wzrok w podłogę, a potem dopiero odparł:

- Szesnaście.

- Wygląda na mniej.

- Tak - zgodził się. - W tym problem. Jej wygląd wprowadza w błąd. Ale duchem nie jest wcale taka młoda. Jest bardzo bystra, zdolna, wykształcona pod wieloma względami, z wyjątkiem - na twarzy pojawił mu się wymuszony uśmiech - umiejętności angielskiego. W większości rozmawiamy w naszym języku.

Mary Ellen uderzyło, że mówi o francuskim jako o swoim języku.

- Czy chodzi jeszcze do szkoły?

Znowu się zawahał: - Nie, skończyła niedawno. Więc jak będzie? - przenosił wzrok z jednego na drugie. Oni patrzyli także na siebie, po czym oboje jednocześnie potrząsnęli głowami.

- Przykro mi, Roddy, ale to nie będzie dobre rozwiązanie  
- oświadczyła Mary Ellen - Hal dobrze to określił - jej miejsce jest w mieście. To widać. Co tu czeka dziewczynę taką jak ona? Nie ma tu towarzystwa, z wyjątkiem rodziny. Nie ma tu także odpowiednich dla niej mężczyzn, którzy pasowaliby do jej przyzwyczajzeń.

- Ona lubi zwyczajnych ludzi i nie pragnie mieszkać w mieście. Mamy domek na wsi i nigdzie nie jest szczęśliwsza jak właśnie tam. Poza tym łatwo się przystosowuje. I chociaż ma głowę nie od parady i umie się o siebie troszczyć, to... zjedzą ją żywcem, jeżeli zostawię ją w Paryżu. Jest wiele sposobów na zmarnowanie dziewcząt takich jak ona. Nie wiesz - potrząsnął głową. - Życie tutaj... - ogarnął wzrokiem pokój z takim wyrazem twarzy, jakby znajdował się na obcej planecie, a potem popatrzył na Hala i rzekł cicho: - Myśleliśmy, że znamy życie, kiedy byliśmy chłopcami, myśleliśmy, że wiemy o nim wszystko, bo byliśmy świadkami morderstwa, ale ja przekonałem się od tamtej pory, że morderstwo może wyglądać niewinnie w porównaniu z innymi rzeczami.

Hal wstał gwałtownie i podniesionym głosem skwitował:  
- Z tego wynika, że wśród twoich przyjaciół musi być sporo nieokrzesanych i sprośnych łajdaków, skoro nie ma żadnego, do którego mogłaby pójść.

Głos Roddy'ego zabrzmiał cicho. - Powiedziałem, że są dziesiątki takich, którzy chętnie by ją do siebie wzięli, ale mężczyźni są mężczyznami, a wobec niej nikt nie pozostaje obojętny, kobiety także, a już na pewno żony, które widzą w niej zagrożenie.

- Już w jej wieku?

- Już w jej wieku. Chociaż jest jedną z najbardziej uczuciowych i dobrych istot, jakie można w ogóle spotkać.

- Mój Boże! - Hal przechadzał się swoim zwyczajem w tę i z powrotem. - To do ciebie podobne, przyjechać i postawić nas w sytuacji, której nie możemy sprostać. Przykro mi. Naprawdę mi przykro, Roddy, że znalazłeś się w tym położeniu, ale... - zatrzymał się - co ci dolega?

- Wiele rzeczy - padła spokojna odpowiedź - ale najbardziej serce.

- Z przejedzenia, jak sądzę. Popatrz na siebie.

- Tak, to całkiem możliwe. Ale jedzenie może stać się rodzajem rekompensaty, wymuszonej rekompensaty. Wy - zwrócił się do obojga - mieliście szczęście. Obwiniacie mnie, że trzymałem się z dala przez te wszystkie lata. To nie jest tak, że o was nie myślałem i wam nie zazdrościłem. Tak, właśnie, zazdrościłem wam. Najgorszą krzywdą, jaką wyrządziło mi życie, było obdarowanie mnie talentem do rysunku. Gdyby nie to, byłbym tutaj. - Wlepił spojrzenie w Mary Ellen, co nie umknęło uwagi Hala.

- No cóż, uczyniłeś w życiu swój wybór - rzekł Hal gniewnym głosem. - Pamiętaj też, że nie odszedłeś wystarczająco szybko. Tak czy inaczej, rekompensatą może być dla ciebie sława, jaką zdobyłeś. Twoje obrazy sprzedają się dobrze, jeśli wierzyć temu, co mówią. No - machnął ręką - my może jesteśmy trochę na uboczu, ale Hugh i Gabriel mieszkają w mieście i przynoszą nam wszystkie nowiny. Odwiedzili twoją ostatnią wystawę w galerii. Miałeś przyjechać na jej otwarcie, ale nie zajrzałeś, prawda?

- Byłem chory. Dotarłem tylko do Londynu.

- To było trzy lata temu albo i więcej.

- Tak. Powiedziano mi wtedy, że mam przed sobą sześć miesięcy życia, lecz, jak widzicie - wzruszył ramionami - ciągle żyję. Ale dwa tygodnie temu usłyszałem diagnozę londyńskiego lekarza i wygląda na to, że jest ostateczna. W każdym razie - powoli podniósł się z fotela - widzę, że nie czujecie się na siłach, by mi pomóc, co mogę zresztą zrozumieć.

Mary Ellen także wstała i patrząc na niego powiedziała miękko: - Chodzi też o Kate, wiesz Roddy. Co ona pomyśli? Bo może nie ma to znaczenia, ale...

Kiedy przerwała, Hal wtrącił szorstko: - No, dalej, powiedz mu to. Ja może jestem gruboskórny i to nie ma dla mnie żadnego znaczenia. One są przyrodnimi siostrami. To właśnie chciałaś powiedzieć, prawda? Żal mi ciebie, Roddy, że dostajesz taką odprawę, ale równocześnie chcę powiedzieć, że jesteś cholernie bezczelny. Urodziłeś się, żeby burzyć spokój. Tyle lat żeglowaliście sobie spokojnie albo prawie spokojnie, a ty nagle wpadasz jak huragan i siejesz spustoszenie.

- Hala, Hala, przestań. Roddy wie o tym - wtrąciła pojednawczo Mary Ellen. - Nie trzeba mu tego przypominać.

Ani mnie. - Ciszej dokończyła: - Przykro mi, ale to niemożliwe, jak widzisz z wielu powodów.

- Tak, rozumiem to i... i przepraszam, że was niepokoiłem, ale... no cóż... Ech - potrząsnął głową - nie ma potrzeby mówić dalej. - Spojrzał na zegarek. - Powinniśmy złapać pociąg z Haydon Bridge około czwartej. Zdażymy, jeżeli zaraz wyjedziemy. - Wymuszony uśmiech pojawił się na jego twarzy, kiedy popatrzył na Hala. - To zdumiewające, że z Haydon Bridge do Newcastle kursują pociągi. Pamiętasz furmankę? Przypuszczam, że pocztę też wam już dostarczają pociągami?

- O, dostarczają już od lat i więcej z tym kłopotu niż to warte. Kiedyś odbierało się listy samemu w urzędzie, a teraz docierają na miejsce, co trwa dłużej. Doręczają je do samych drzwi. Cholerna głupota.

Mary Ellen przerażała z ociąganiem: - Powiem twojej córce i Tomowi Briggsowi, że jesteś gotowy do drogi... Założę się, że byłeś zdziwiony, kiedy zobaczyłeś Toma jak dawniej w swojej dwukółce.

- Tak, Mary Ellen. Musi mieć chyba z osiemdziesiąt lat, ale wygląda na sprawnego jak zawsze.

Wyszła, zostawiając mężczyzn samych. Zapadła pełna zakłopotania cisza, po czym Hal ze spuszczoną głową wyszeptał: - Przykro mi, Roddy. Naprawdę bardzo mi przykro. Nieważne, co powiedziałem, ciężko jest stawać twarzą w twarz z bliskim końcem. Sam ostatnio doświadczałem podobnego uczucia. - Poklepał się po piersi. - Z latami wcale mi się nie poprawia i boję się, że jeden z ataków wreszcie mnie wykończy. Tak więc trochę wiem, jak się czujesz. A co do dziewczyny... Chciałbym móc być pomocnym... no cóż, wszystko już zostało powiedziane, to się nie uda. Zmarnuje się tutaj taka dziewczyna. Roztacza wokół siebie coś takiego... taką jasność, którą przyćmi życie, jakie musiałyby tu prowadzić.

- Tak, jak powiadasz, ona coś wokół siebie roztacza, rodzaj jasności. Ale nie sądzę, by mogło zaćmić ją życie tutaj, będzie i tak promienieć. Ale nic już więcej nie można dodać. - Wyciągnął rękę. - Żegnaj, Hala - powiedział.

Kiedy Hal ujął jego rękę, przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa. - Ech, chłopie! - wyrzekł tylko. Odwrócili

się obaj i podążyli w stronę drzwi. W sieni zastali Mary Ellen, Maggie i Yvonne wracające właśnie z kuchni. Dziewczyna podeszła prosto do ojca i powiedziała coś po francusku.

Roddy odpowiedział w tym samym języku. Popatrzyła na niego, a potem na Mary Ellen. - Smutno mi... przykro. To... mogłoby być dobrze... przyjemnie - zwróciła się do niej.

Mary Ellen spoglądała na bladą twarzyczkę, która nie wyglądała już na dziewczęcą, lecz dojrzałą, mądrze, rozumnie dojrzałą. Ogarnęło ją dziwne uczucie.

- *Viens, papa.* - Dziewczyna ujęła delikatnie ramię ojca. - Twój kapelusz - przypomniał, a ona spojrzała na stół, gdzie leżał elegancki kapelusz. Maggie prędko go jej podała, dziewczyna podziękowała po francusku i włożyła go na głowę. Wzięła ojca pod ramię i wyszli z sieni na podjazd, gdzie czekała na nich dwukółka. Przy niej stał John.

- Żegnaj, Johnie. - John uściśnął wyciągniętą na pożegnanie rękę. - Do widzenia, panu. - Potem popatrzył na dziewczynę, która powiedziała: - Do widzenia, Jean, i dziękuję. Bardzo podobały mi się krowy. - John bez słowa pomógł jej wsiąść do dwukółki. Tom Briggs popędził konia, dwukółka ruszyła, a dziewczyna odwróciła się i pomachała ręką. Wszyscy odpowiedzieli jej tym samym gestem.

Zamiast wejść do domu frontowymi drzwiami, wszyscy zgodnie poszli wzdłuż budynku do drzwi kuchennych. Nikt się nie odzywał. W kuchni John zadał pytanie: - No, i czego chciał?

Hal pochylił się nad paleniskiem, grzejąc ręce. Mary Ellen stanęła przy stole, jej ręce spoczęły na blacie. - Chciał, żebyśmy ją wzięli. Ma przed sobą niewiele życia... Jest ciężko chory - powiedziała.

Zapadła długa cisza, którą przerwał John tonem zdradzającym niedowierzanie: - I nie zgodziliście się?

- Nie, nie mogliśmy - Mary Ellen podniosła głos. - Trzeba pomyśleć o Kate. I poza tym... ona nie czułaby się tutaj dobrze, wystarczy na nią spojrzeć.

- Popatrzyłem. Dlaczego sądzicie, że nie czułaby się tutaj dobrze?

- Jest dziewczyną z miasta. Jest... wychowana na pensji, dobrze ułożona.

- Jest osieroconą dziewczyną - padły głucho słowa z ust Maggie i zwróciły na nią uwagę wszystkich. Nawet jej ojciec odwrócił się i wlepił w nią wzrok, kiedy dodała: - Pójdzie na zmarnowanie.

- Jak, na Boga, to zauważyłaś, Maggie?

- Nie wiem, na Boga, jak to zauważyłam. Wiem tylko, co czułam patrząc na nią i nie widzę powodu, dla którego nie pozwoliliście jej tu zostać. Mogłaby wnieść do tego domu trochę światła.

- Boże jedyny? Czy dobrze słyszę? - Ojciec znalazł się po drugiej stronie stołu, stając przy boku Mary Ellen. - Czy życie tu jest aż tak ponure, że potrzeba mu trochę światła?

- Tak, jest, jeśli chcesz wiedzieć. Jest bezbarwne. I gdyby John mówił prawdę, powiedziałyby wam to samo. Jakie jest nasze życie? Kawaler i stara panna, jak mnie sama ochrzciłaś, mammo. Nie mów, że tak nie jest. Ta dziewczyna mogłaby rozjaśnić trochę naszą szarą codzienność, opowiadać nam o innym życiu, jest bystra i inteligentna.

- Boże Wszechmogący! Chyba słuch mi szwankuje - Hal przyłożył rękę do ucha. - Chociaż pewnie dobrze usłyszałem, bo od urodzenia masz swarliwe usposobienie. Nigdy nie trzymałaś się utartych wzorców. Chciałaś odróżniać się od innych ludzi. Jeśli pragnęłaś innego życia, trzeba było wyjść za mąż i mieć dzieci. Miałaś okazję. Kogo możesz winić jak nie siebie za swoje szare życie? Ale jest już za późno, więc musisz się z nim pogodzić i z nami, prawda, *madame*?

- Halu, Halu, daj spokój. - Mary Ellen szturchnęła go niezbyt delikatnie. Narzucił płaszcz na ramiona i zamierzał wymaszerować z izby, gdy odwrócił się jeszcze do Johna i spytał: - Zgadzasz się z nią?

John odpowiedział, patrząc ojcu prosto w twarz: - Częściowo tak. Myślę tak jak ona, że jeśli ten człowiek ma przed sobą niewiele życia, mógłbyś dać dziewczynie dom, chociaż na pewien czas. - Odwrócił się i wyszedł, zamykając mocno drzwi.

- No cóż, godzina szczerości. Nigdy nie myślałem, że dożyję, by zobaczyć coś takiego. Wizyta Roddy'ego Greenbanka przypomniała mi to, o czym dość sporo ostatnio myślałem, że minął mój czas. Myślę, że możemy mówić

o szczęściu, że mamy za sobą taki szmat życia. - Pokiwał głową i mówił dalej: - Ołów mógł mnie zabić już wiele lat temu. Dla wielu wybiła już godzina i kto wie? - wydał z siebie przeciągłe westchnienie i powoli przeszedł przez kuchnię ku drzwiom prowadzącym do sieni.

Mary Ellen opadła na krzesło przy palenisku i obrzuciła Maggie niechętnym spojrzeniem. - Widzisz, jakiego piwa znowu nawarzyłaś? Tak jak powiedział, zawsze byłaś swarliwa, zawsze burzyłaś spokój.

Wówczas spojrzenia ich się spotkały. Usta Maggie zdrzały, a ze ściągniętej twarzy znikła dojrzała uroda. Kiedy się odezwała, każde słowo nabrzmiało było goryczą: - A czego się spodziewasz po harującej za darmo służącej? - Wyrzuciwszy to z siebie wyszła, pozostawiając Mary Ellen z otwartymi ze zdumienia ustami.

★

Minęły może dwie godziny, gdy pojawił się Tom Briggs, pędząc dwukólką najszybciej, jak tylko się dało. - Hej, ludzie! - wołał.

John właśnie powrócił z pługiem z pola i wyprzągał konie. - Coś się stało?

- Ano, stało się, stało. Woziłem wielu ludzi swoją dwukólką przez te wszystkie lata, ale nigdy nie przytrafiło mi się nic podobnego.

- Co takiego, mów, na Boga!

- No, zemdlał, przewrócił się po prostu. Prawie wyleciał z dwukółki i zabrano go do chaty Peggy Bowen, a dziewczyna siedzi przy nim i płacze. Jest w takim stanie, że lepiej nie mówić. Całe szczęście, że byliśmy koło Peggy Bowen. Mickie skoczył na skróty do Haydon Bridge po doktora. Doktor Brunton leży znowu w łóżku z chorą nogą. Przyjechał jego asystent, ale było już za późno. Facet umarł na atak serca.

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałem, że umarł, ten gruby facet.

- Boże jedyny! - John wrzasnął: - Mamo! Tato! - i pośpieszył do kuchni.

Słyszając jego krzyk, Maggie wyskoczyła ze stodoły i oboje wbiegli do domu.

- Co powiedziałaś? - Mary Ellen wlepiła w Johna pełne niedowierzania spojrzenie.

- On nie żyje. Tę wiadomość przyjechał nam przekazać Tom Briggs. Roddy Greenbank miał atak serca i zabrali go do Peggy Bowen.

- O Boże! - Mary Ellen odwróciła się w głąb sieni i zawołała głośno: - Halu! Halu!

Hal ukazał się w drzwiach gabinetu. - Chodź tu i posłuchaj. Roddy nie żyje - wykrztusiła drżącym głosem. - Miał atak serca.

Hal patrzył niemo na żonę i na syna. Bez słowa poszedł do kuchni. Tam obok Maggie stał Tom Briggs, który na widok Hala wybuchnął potokiem słów: - Dziewczyna jest w szoku. Kazała mi przyjechać tutaj po kogoś z was. Cały czas plecie coś w swoim języku.

- Przynieś mi płaszcz i kapelusz - rzuciła do Maggie Mary Ellen. - Ty też powinieneś pojechać - zwróciła się do Hala.

- Tak, pewnie - powiedział w oszołomieniu, lecz kiedy John wtrącił: - Ja pojedę, tato - nie umiał ukryć ulgi.

- Tak, tak. Będzie z ciebie więcej pożytku niż ze mnie.

- Zmienię tylko buty. - John począł ściągać robocze buciory i wypadł w skarpetkach z kuchni. W sieni natknął się na Maggie, która złapała go za ramię.

- Przywieź ją z powrotem do nas - powiedziała.

- Muszę porozmawiać z mamą.

- Ona nie ma dokąd pójść. Nieboszczyka umieszczą w kośtnicy, nie możesz jej zostawić samej w gospodzie. Przywieź ją tutaj.

Patrzył na siostrę zdumiony. Maggie zawsze wydawała mu się obojętna na uczucia innych, lecz teraz wyglądało na to, że uparła się, by mieć tę dziewczynę przy sobie. - Zobaczę, co się da zrobić.

W parę minut później John i Mary Ellen wsiedli do dwukółki, Tom Briggs popędził konia i kłusem wyjechali z podwórza.

Dotarcie do chaty Peggy Bowen zajęło im czterdzieści minut. Mary Ellen po wejściu do środka zmarszczyła nos w reakcji na panujący tu smród. Gdy ujrzała rozciągnięte na podłodze ciało, stanęła jak wryta i zaczęło ją dusić w piersiach.

Powoli podeszła do niego. Oczy miała suche, lecz spojrzenie zamglone. Jej wzrok spoczął na jego twarzy, z której zniknął obrzęk, zmarszczki wygładziły się ukazując Roddy'ego Greenbanka, jakiego pamiętała, chłopaka, którego kochała z zaborczością posuniętą w miarę upływu lat aż do obłędu. Nic wtedy nie mogło jej powstrzymać przed oddaniem się mu bez reszty. I choć nie bardzo był rad z tego daru, doszło do zbliżenia, z którego poczęła się Kate. Teraz leżał tutaj, martwy - wielki, otyły mężczyzna. Uświadomiła sobie obecność Johna, który podnosił z ziemi lamentującą dziewczynę. - *Mon pere. Mon pere.* Co ja bez niego pocznę?

- Już dobrze, dobrze. Pojedziesz do domu, do nas.

Dziewczyna spojrzała na Mary Ellen i rzekła: - Tak, ale... mój ojciec?

Nie Mary Ellen odpowiedziała na to pytanie, lecz Peggy Bowen. - Do kostnicy, do szpitala. Im szybciej tym lepiej. Nie może tutaj tak leżeć.

- Nie, nie do szpitala - dziewczyna popatrzyła błagalnie na Johna, on zaś na matkę. - Powinniśmy go także zabrać do domu - powiedział cicho.

- Zabrać go teraz? - w pytaniu zabrzmiało niedowierzenie.

- Tak. Tam załatwimy wszystkie formalności związane z pogrzebem. Trzeba go przecież pochować. Ty i tato... w końcu byliście jego przyjaciółmi.

- Tak, ale... - wyglądała na oszołomioną.

John wziął za ramię Toma Briggsa i wyciągnął z izby na dwór: - Podskocz na farmę Pattertona i poproś o pożyczenie konia z furmanką. Powiedz im, co się stało.

- Dobrze, czemu nie. Ale kto zapłaci za to wszystko?

- Dopilnuję, by ci zapłacono.

- Czy mam powiedzieć to samo Pattertonowi co do konia i furmanki?

- Patterton nie będzie miał nic przeciwko pożyczeniu konia i wozu - głos Johna zabrzmiał dość ostro. - Ale możesz mu powiedzieć, co tylko chcesz, byłeś tylko już pojechał.

John nie wrócił od razu do chaty, lecz stanął przyglądając się zaniedbanemu obejściu. Stały tam uwiązane cztery kozy, gęgały gęsi i gdakały kury. Nie widział ich jednak, czując się tak jakby spoglądał na pogodne niebo. W środku czuł coś

dziwnego, coś, co przez całe lata chował głęboko, od kiedy miał zamiar oświadczyć się Nan Cody i w ostatniej chwili zmienił zdanie. Nie mógł pojąć, co to uczucie ma wspólnego ze zmarłym człowiekiem i dziewczyną. Nie było żadnego związku. Przyszło mu do głowy, że ma już czterdzieści lat i życie przeszło mu koło nosa.

### 3

---

Tak dramatyczny powrót Roddy'ego Greenbanka odświeżył pamięć starszym ludziom. Wielu z nich nie omieszczało wziąć udziału w pogrzebie. Później opowiadali historię sprzed bez mała czterdziestu lat tym, którzy jej jeszcze nie znali. Na ogół jednak mówiono o osieroconej córce Roddy'ego Greenbanka, przyrodniej siostrze pani Hamilton, znanej jako Kate Roystan, której prawdziwym ojcem był zmarły człowiek. Celu odwiedzin u państwa Roystan nikt nie był w stanie odgadnąć, wiedziano tylko, że Greenbank przyjechał ze stacji Haydon Bridge, wynajmując dwukólkę Toma Briggsa.

Następna rzecz, która wprawiła w ruch języki, to fakt, że w pogrzebie brały udział kobiety Roystanów razem z młodą dziewczyną i panią Hamilton. Trudno o większy kontrast, jaki stanowiły przyrodnie siostry, kiedy stały przy grobie - jedna potężna jak szafa, druga tak drobna, że zdawało się, iż może ją zdmuchnąć wiatr.

Właśnie o tym kontraście między sobą a przyrodnią siostrą rozmawiała Kate z matką. Mary Ellen odpoczywała na górze w swoim pokoju, na co pozwalała sobie niezmiernie rzadko. Lecz przeżycia ostatnich dziesięciu dni zebrały swoje żniwo i Mary Ellen była wyczerpana fizycznie i psychicznie. Dźwignęła się na łóżku, kiedy Kate siedząc przy oknie ciągnęła:

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że jesteśmy krewnymi.

- No cóż, musisz się z tym pogodzić. Jest twoją przyrodnią siostrą i to wszystko.

- Ale nikt by w to nie uwierzył. I co więcej, powiem ci, że moje pojawienie się było dla niej szokiem. Dlatego jej

nie powiedziała? Nie jest aż tak niewinna, jak się zdaje. Wie, że jej matka była jego kochanką, a poza tym mieszkając w takim miejscu jak Paryż, musi wiedzieć, wokół czego kręci się życie. I sposób, w jaki rozmawia, nawet swoją łamaną angielszczyzną, nie świadczy o nieświadomości, o nie.

- Nie bądź wobec niej taka cyniczna. Ja też nie jestem zachwyconą jej obecnością. Jest dla mnie wręcz nieludzko obca, niepodobna do ludzi, jakich spotykamy zwykle w tych stronach.

- Wygląda na to, że tylko ty z całej rodziny tak o niej myślisz. Jesteś jedyną osobą, której nie zawojowała. Nawet ojciec znajduje dla niej uśmiech i słowo, co ostatnio rzadko mu się zdarzało.

- O, nie tylko ojciec, Maggie i John także. Można by myśleć, że znaleźli nową towarzyszkę do zabawy. Zdumiewa mnie Maggie. Zachowuje się jak kwoka, której wykuło się pierwsze kurczątko.

Po chwili przerwy Kate rzekła: - To łatwo zrozumieć. Nasza Maggie jest sfrustrowana. Mówiłam już wiele razy, że nie mogę pojąć, czemu nie wyszła za męża.

- Ja też nie. Ale teraz mnie niepokoi. Wkroczyła w głupi wiek, a na domiar złego za dużo przestaje z Willym.

- Willy?

- Tak, tak, Willy. Wykorzystuje każdą okazję, żeby z nim rozmawiać, żartują i śmieją się razem. Widziałam ich.

- Mamo, z tego nic nie wyniknie. Willy? Nasza Maggie jest za dumna i ma o sobie zbyt wygórowane mniemanie, żeby zniżyć się do kogoś takiego jak Willy.

- No, nie wiem. Widziałam już nie takie rzeczy. Z wiekiem kobiety robią się zdecydowane na wszystko.

- Ale nie z Willym. Mimo wszystko jest tylko parobkiem, choćby nie wiem jak dobrym, co zresztą zawsze podkreśla tata. Wart jest ponoć trojga takich jak my.

- Tak, ale pod innymi względami różni się od zwykłych parobków, bo umie czytać i pisać i wertykuje książki. Czasami myślę, że ma duże aspiracje. Wszystko przez to, że opiekował się nim jego stary pan. To niedobrze wyrwać ludzi z klasy, z której się wywodzą.

Kate wstała, w samą porę powstrzymując się od powiedzenia: Powinnaś to kiedyś przypomnieć tacie.

Zamiast tego obiecała matce: - Przyjedziemy jak zwykle w niedzielę. Odpocznij sobie teraz. - Wyciągnęła rękę i odgarnęła włosy z czoła Mary Ellen.

Matka popatrzyła na nią i spytała: - A co się dzieje z Fraserem?

- Och - Kate uśmiechnęła się. - Chyba wreszcie zagraliśmy na właściwej strunie. Nie poślemy go już do szkoły, jeśli obieca, że będzie się uczył prowadzenia gospodarstwa. Najbardziej kocha konie, więc Ben zlecił mu opiekę nad trzecią stajnią z Pedro i Jasperem. To spokojne zwierzęta. Frag będzie podlegał Dawsonowi, który wszystko mu pokaże, weźmie go na targ i tak dalej. Jestem pewna, że to się uda. - Uśmiech ześlizgnął się z jej twarzy, gdy dodała: - Musi się udać. Nie mogę pozwolić, żeby Ben się martwił. Zima za pasem i jeśli nie wyjedziemy nigdzie, musi mieć przynajmniej spokojną głowę. Do zobaczenia w niedzielę, mamó.

- Do widzenia, dziecko.

Kiedy drzwi zamknęły się za córką, Mary Ellen położyła się wygodnie i powtórzyła: - Nie mogę pozwolić, żeby Ben się martwił. - Ciągłe Ben. Chociaż sama nie miała serca do Frasera, podobnie jak Hal uważając, że w żyłach chłopca płynie zła krew, wiedziała jednak, że chłopiec mógłby nie być tak zły, gdyby Kate poświęcała więcej uwagi jemu zamiast jego ojcu. Ale od samego początku, od kiedy po raz pierwszy ujrzała Amerykanina - tak Mary Ellen w myśli nazywała Bena - zachowywała się, jakby był jej słońcem. A przecież - o ile Mary Ellen dobrze sobie przypominała - celem życiowym Kate były zawsze dzieci. Tylko tego pragnęła - mieć dzieci.

\*

W niedzielę wieczór Fraser i Yvonne mieli okazję spotkać się po raz pierwszy. Kate przedstawiła syna: - Oto Fraser, mój najstarszy syn. - Przyglądała mu się, jak bez zmrużenia oka patrzy na młodą dziewczynę. On był cały ciemny, ona zaś cała jasna, tak że Kate przytapała siebie na myśli: Wyglądają jak noc i dzień. Potem szybko przedstawiła Harry'ego. Harry miał trzynaście lat i odziedziczył wygląd po ojcu, miał jego ascetyczną twarz i ujmujący uśmiech.

Na końcu przedstawiła Rose. Rose była nieładna, lecz nie aż tak, jak jej matka w tym wieku. Nie była też taka potężna.

Po zakończeniu wzajemnej prezentacji odezwał się Hal, jak zwykle przekrzykując wszystkich innych: - Skoro oficjalną część mamy już za sobą, chodźmy coś zjeść. - Udali się więc do jadalni. Posiłek był całkiem wesoły, gdyż John opowiadał o *faux pas* popełnionym przez ich gościa. Sprowadził burzę gromkiego śmiechu, kiedy zalił się, jak niefortunnie jest mieć pomocnicę, która nazywa byka *monsieur*, a krowy *mesdemoiselles*, podczas gdy w jej języku powinny one być *madams*, co Yvonne natychmiast sprostowała: - *Mesdames, Jean*.

Gdy Rose powiedziała: - Mój ojciec mówi po francusku i czyta też francuskie książki - zerkając przy tym z dumą na Bena młoda dziewczyna rozpromieniła się. - Naprawdę, *monsieur*?

- Powiedzmy, że trochę czytuję. Nie mam ich dużo.

- Czytał pan Flauberta?

- Tak.

- „Madame Bovary”?

Teraz Ben szeroko otworzył ze zdziwienia oczy. - Nie czytałaś chyba „Madame Bovary”? - spytał.

- *Oui, monsieur*. Jest pan zaskoczony, że czytałam?

- No... ee... tak, jestem - wydał usta i uśmiechnął się.

- Wywołała ona nieco poruszenia?

- Och, wiele książek wywołuje poruszenie. Niektóre są, jak to nazywacie, zatrzymane?

- Zakazane.

- Ach, tak, zakazane. Ale są zawsze, jak się to mówi, kanały, żeby je zdobyć.

- Powiedziałbym raczej: sposoby.

- Sposoby - powtórzyła. Następnie zwróciła się ku Kate.

- Ty także czytasz po francusku? - spytała.

- Niestety nie - głos Kate brzmiał pusto. Miała trudności ze zwracaniem się do tej dziewczyny. Wątpiła, czy w ogóle kiedykolwiek będzie się czuła wobec niej swobodnie. Od-rzucała myśl, że kiedyś naprawdę ją polubi. Najbliższa tego była w dniu po pogrzebie, kiedy Yvonne płakała godzinami i wszyscy myśleli, że się rozchoruje. Matka sporządziła lek, który pomógł jej zasnąć. Skomentowała następująco te spa-zmy: - No cóż, to odruch chwili. Myślałam, że nie ma w niej ani jednej łzy. Myśli głównie o sobie.

Spytała wówczas matkę, czy dziewczyna zamierza tu zostać. - Mary Ellen odpowiedziała zwięźle: - Wygląda na to, że ma taki zamiar, co mi się nie podoba.

W tym momencie Fraser wtrącił się do rozmowy: - Nasz nauczyciel francuskiego pochodził z Caen w Normandii. Mówiliśmy o nim Bill.

- Tak? - Yvonne przyjrzała się chłopcu siedzącemu naprzeciwko. Zauważyła, że cały czas wlepiął w nią spojrzenie. Jego prezencja nie była zbyt pociągająca. Powtórzyła: - Caen? - po czym dodała: - Ach, pochodził z prowincji.

- Mówił dobrą francuszczyzną. Zabraniał nam rozmawiać po angielsku na swoich lekcjach. - Głos Frasera nabrał przy tych słowach buntowniczego tonu, na co lekko uniosła brwi i powiedziała do niego coś po francusku. Reszta zebranych przy stole siedziała w milczeniu. Wzrok wszystkich spoczywał na niej, lecz zwrócił się ku Fraserowi. Wprawdzie po chwili wahania, lecz płynnie odpowiedział również po francusku, a ona odparła po angielsku, by wszyscy zrozumieli: - Zostawił ci swój akcent.

Przytarła mu nosa w sposób, jakiego można by oczekiwać od kogoś dorosłego, a nie od szesnastoletniej subtelnej dziewczyny. Ze spokojem wbijała widelec w ostatnią śliwkę na talerzu i usuwała z niej pestkę. Chłopiec zaczerwienił się ze złości.

Ciszę przerwała Maggie. Ze śmiechem powiedziała patrząc na Frasera: - Akcent czy nie akcent, kaktus mi na ręce wyrośnie, jeśli cokolwiek umiem powiedzieć po francusku. Wszystko, co pamiętam z moich lat szkolnych to: *Ici on parle francais*, a z niemieckiego, bo panna Price była pół-Niemką i próbowała nas czegoś nauczyć, pamiętam tylko jedno słowo: *umlaut*.

- *Umlaut*? - włączyła się do rozmowy Rose. - Co znaczy „umlaut”, ciociu?

- Nie pytaj mnie, bo zapomniałam. - To oświadczenie wywołało chóralny śmiech, lecz lekko wymuszony. Po zakończonym posiłku rodzina Kate oraz Hal i Mary Ellen wyszli z jadalni do salonu; Yvonne nie przyłączyła się do nich, lecz została, by pomóc Maggie sprzątnąć ze stołu. Kate także pomagała i kiedy wyszła do kuchni z tacą talerzy, Maggie

przerwała Yvonne zbieranie filiżanek i sosjerek. Ujęła ją delikatnie za ramię i popatrzyła jej w twarz:

- To nie było zbyt uprzejme, Yvonne - powiedziała.

- Masz na myśli rozmowę z chłopcem?

- Tak. On miał przyjazne zamiary.

Dziewczyna odwróciła głowę i powiedziała cicho: - Mówił tak nieprzyjemnie i gapił się na mnie cały czas.

- Cóż - Maggie zachichotała - będziesz musiała teraz przywyknąć, że ludzie będą się na ciebie gapiłi.

- *Oh, oui...* tak, ale on - dotknęła palcami policzka - ma tak ponury wyraz twarzy, nie pasujący do chłopca w jego wieku.

- Tak, masz rację. Nie wygląda jak chłopak. Niemniej nim jest i ostatnio miał sporo ciężkich przeżyć.

- To tego, co uciekł ze szkoły?

- Tak, to tego. To znaczy, to ten. Ech - klepnęła dziewczynę po ramieniu - przez ciebie mnie też płacze się język.

- Maggie. Jesteś moją przyjaciółką. - Rękę Maggie uściśnięły mocno dwie blade dłonie o długich palcach. - Czuję się taka samotna. Tak tęsknię za *mon pere*, tak bardzo... Zawsze rozmawialiśmy... dużo rozmawialiśmy i żartowaliśmy. Teraz mam tylko ciebie i Jeana. Muszę rozmawiać.

- Później, później. - Maggie wysunęła rękę z uścisku Yvonne, kiedy do jadalni weszła Kate. Chwilę później nieoczekiwanie pojawił się jej starszy syn. - Czego chcesz?

- zwróciła się do niego ostro.

- Dziadek mówi, że powinienem pomóc nosić tace.

- Prawie skończyłyśmy.

Popatrzył w stronę Yvonne, która ustawiała filiżanki i sosjerki na drewnianej tacy. Już miała ją podnieść, kiedy podskoczył i wziął tacę z jej rąk. - Pozwól, że ja to zaniosę - zaoferował się.

- *Oh, merci.* - Uśmiechnęła się do niego. Pamiętając, co powiedziała o nim Maggie, zdobyła się na serdeczny ton i dodała: - Najpewniej bym ją upuściła.

- Nie wątpię - odwzajemnił się uśmiechem.

Może jest miły. I całkiem przystojny, pomyślała. Podeszła z nim do drzwi, które Fraser przytrzymał opierając się o nie plecami i przepuścił ją przodem.

W jadalni obie siostry przyglądały się tej scenie. Kiedy drzwi już się zamknęły, Maggie odezwała się: - Ona może mieć na niego dobry wpływ i oboje są prawie w tym samym wieku. - Osłupiała, kiedy Kate gwałtownie znalazła się przed nią, jak nigdy dotąd, gdyż zawsze postępowała z siostrą bardzo ostrożnie. Tym razem jednak odparła burkliwym, nieprzyjemnym tonem: - Nie gadaj głupstw, Maggie. Pomyśl o pokrewieństwie. Już zapomniałaś? Yvonne jest jego ciotką.

Maggie zamurowało, gdyż rzeczywiście zapomniała o pokrewieństwie. A może przymknęła na nie oczy, mając nadzieję? Właśnie, na co? Na cokolwiek, co na zawsze zatrzymałoby ten słoneczny promyk, który przybył do ich domu, w nadziei, że jego ciepło złagodzi pragnienie, które ostatnio nękało ją do szaleństwa, odwróci jej uwagę od jedyne go sposobu ulżenia temu pragnieniu.

Wzięła szufelkę i szczotkę do zmiatania okruszków i pocięła zmiatać ze stołu. - Traktujesz to zbyt poważnie, Kate. Nie doczekamy się, żeby dziewczyna pomyślała w taki sposób o Fraserze, jak... - nie mogła znaleźć odpowiednich słów, by dokończyć. - Zresztą to nieważne. - Zgarnęła okruszki na szufelkę i wymaszerowała z pokoju.

Kate została w jadalni chwilę dłużej i znalazła w myśli odpowiednie słowa, które przemilczała Maggie: Jak ty o Willym Hardingu.

\*

Było w pół do dziesiątej. Towarzystwo dawno już wyjechało do domu, a Mary Ellen i Hal położyli się spać o dziewiątej. Ostatnio rzadko kładli się później. John właśnie wszedł do kuchni, skończywszy oporządkanie zwierząt. Drżał z zimna, kiedy zdejmował płaszcz. - Ależ przejmujący chłód - powiedział. - Gdyby to nie był dopiero początek listopada, przysiągłbym, że czuję śnieg w powietrzu.

Maggie odwróciła się i podniosła z ławy, gdzie siedziała cerując bieliznę. - Mam ugotować ci mlecznej polewki? - zapytała

- Byłoby miło. - Popatrzył w stronę ognia na siedzącą w bujanym fotelu Yvonne. Fotel stał nieruchomo. Podszedł i pochylił się nad nią. - Założę się, że nigdy nie jadłaś gorącej mlecznej polewki, mam rację? - zapytał.

Popatrzyła na niego i nie drgnęła ani też nie odpowiedziała. Z troską w głosie spytał: - Czy dobrze się czujesz? - Odpowiedź nadeszła po chwili: - Tak, Jean. Tak, czuję się dobrze.

- Po mojemu to jest zmęczona. Miała niewiele do powiedzenia przez cały wieczór. - Maggie pospieszyła z odpowiedzią, jakby mówiła o małym dziecku, a jej pełen macierzyńskiego ciepła głos skierowany do dziewczyny jeszcze zwiększył to wrażenie.

- Nie jestem zmęczona, Maggie, ale pełna myśli.

- Jesteś zamyślona - poprawiła ją Maggie i umieściła dzbanek z mlekiem w gorącym miejscu z boku paleniska.

John przysunął krzesło bliżej ognia i wystawił ręce, by je ogrzać. Popatrzył na nią i rzekł cicho: - No cóż, minęło zaledwie parę dni. Rozumiemy cię.

- Nie, nie możecie rozumieć, bo nie myślę o ojcu. Wiecie, że dostałam wczoraj list. Właściwie trzy listy. Jeden był od... jak nazywacie człowieka związanego z prawem?

- Od adwokata?

- Tak, adwokata. Jest wiele spraw, które trzeba załatwić. Powinnam być tam, we Francji, żeby ich dopilnować, ale nie jestem... szczęśliwa, że muszę wyjechać.

Maggie stała przy stole i kroїła grube kromki chleba w kostkę. Zdjęła dzbanek z ognia i wrzuciła do niego chleb. Dodała kawałek masła, łyżkę przyprawy ziołowej, szczyptę soli i trochę cukru i postawiła wszystko z powrotem koło paleniska. Potem usiadła na ławie i spytała: - A nie możesz po prostu do niego napisać?

- Nie. Nie uważam, żeby tak było dobrze. Są dokumenty, które muszę podpisać.

Yvonne zsunęła się na brzeżek fotela. Fałdy jej sukni dotknęły spodni Johna. Wyciągnęła dłoń i położyła mu ją na nadgarstku. Zajrzała mu w twarz i z naciskiem w głosie powiedziała: - Muszę ci to wszystko powiedzieć. Tobie także, *ma chere*. - Wyciągnęła drugą rękę do Maggie, która przysunęła się bliżej, lecz ręce trzymała złączone na brzuchu.

Yvonne prędko cofnęła dłoń z nadgarstka Johna i spojrzała w dół na czubki swoich stóp. - Musicie mi pomóc znaleźć angielskie słowa, bo ciężko mi to będzie wyjaśnić.

- Mów jak najprościej - wtrąciła łagodnie Maggie, John zaś wykonał gest zniecierpliwienia. - Pozwól jej mówić, jak chce. Mów dalej - popatrzył na Yvonne, która zaczęła: - Tam jest dom, dom mojego ojca. Co więcej, to także dom jego żony. Ona... Ona była właścicielką wszystkiego. Jej mąż... pierwszy mąż, miał pieniądze, a kiedy ona wyszła za mojego ojca, robiła dla niego wszystko. Chciała uczynić go sławnym, zauważonym w artystycznym świecie. Cóż - zwiśiła głowę i ciągnęła dalej powoli - w Paryżu jest wielu artystów, bardzo dobrych. Mój ojciec był dobrym portrecistą. Jego żona mocno naciskała. Płaciła za jego wystawy, programy, afisze i tak dalej, żeby pokazać jego prace. Artyści są przeważnie ubodzy. Z trudem sprzedają swoje prace. Mój ojciec także, lecz to nie miało znaczenia, bo były pieniądze. Jego żona miała przyjaciół w Londynie, a także w Rzymie. Myślę, że ojciec sprzeciwiał się, ale ona była uparta, stanowcza i poza tym - popatrzyła znowu na podłogę i pokręciła głową - obawiam się, że ojciec nie miał silnego charakteru. Był uroczy. - Popatrzyła na nich, by potwierdzili, że użyła właściwego określenia, lecz żadne się nie odezwało, więc ciągnęła dalej: - Kupiła dom na obrzeżach Paryża, bardzo piękny dom. Lubiła się bawić. Moja matka opowiadała mi o niej. Nie znosiła kobiet, miała głównie przyjaciół wśród mężczyzn. Była bardzo zazdrosna o mojego ojca. Musiał żyć pod dyktando.

- Czy ona wiedziała o twojej matce? - przerwała Maggie.

- Nie, nie przypuszczam, bo mój ojciec... napomknął? Tak, napomknął, że mogłaby zmienić testament. Potem umarła, a wszystkie pieniądze i dom zostawiła mojemu ojcu. W taki sposób - rozłożyła ręce - są moje. Na nieszczęście są moje, muszę więc wrócić i zobaczyć, co oni z tym zrobią.

John patrząc w jej twarz zapytał: - Zamieszkaś tam?

- Nie, Jean. Nie chcę tam mieszkać.

- Ale to twój dom?

- Można go sprzedać. To bardzo ładny dom, nie za duży, osiem sal... pokoi. A na górze... cała góra to pracownia mojego ojca. To inna rzecz. Muszę zająć się jego obrazami. Jest tam agent, który sprzedaje je, kiedy tylko może.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Jutro odpiszę i umówię się. Widzicie, niemądrze byłoby podróżować samej. Mój ojciec... on nigdy mnie nie opuszczał. Nie pozwalał, bym podróżowała sama.

- Co więc zrobisz?

- W domu obok mieszkają dwie panie. Jedna, *mademoiselle* Marie uczy na pensji. *Mademoiselle* Estelle gotuje i sprząta w domu. Mają trochę pieniędzy. Ojciec zwykle angażował ją dla mnie do towarzystwa.

- To znaczy, że nigdy nie ruszałaś się z domu sama?

- Nie - Yvonne uśmiechnęła się porozumiewawczo do Maggie. - To nie wypada. Rozumiesz?

Maggie zrozumiała. - Do czego to dochodzi, że dziecko nie może samo wyjść na spacer. Cóż za dziwny kraj - powiedziała.

- Wcale nie - wtrącił John. - W Newcastle także uważają, że nie jest bezpiecznie dla kobiety z wyższych sfer chodzić samej po ulicach.

Yvonne nie spuszczała wzroku z Maggie. - Nie jestem już dzieckiem i to od dawna - rzekła wyraźnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Wiem, że masz szesnaście lat, a wyglądasz na czternaście.

- Nie, nie, Maggie. - W głosie Yvonne zabrzmiało żarliwe zaprzeczenie. - Muszę wam powiedzieć. To było oszustwo. To było życzenie, pomysł ojca, mam urodziny w styczniu. Nie skończę wtedy siedemnastu lat, lecz dziewiętnaście. Mój ojciec myślał, że wasza mama prędzej przyjmie do swojego domu młodą dziewczynę i w dodatku, niestety, tak właśnie wyglądam. Więc powiedział, że przyznamy się do szesnastu lat. Martwiło mnie to, ale się zgodziłam. On bardzo pragnął, żebym zamieszkała w Anglii. Ma przyjaciół w Londynie, ale oni byli także przyjaciółmi jego żony. Poznaliśmy się, ale nie przypadli mi do gustu. Nie zaakceptowali mnie, więc...

Popatrzyła na Johna, którego twarz stężała, a oczy się zwężyły, i zapytała cichutko: - Jesteś zły? Czy zrobiłam bardzo źle? - Potrząsnął głową, ale nic nie powiedział. Dodała więc: - Powiecie to za mnie waszej mamie? Ja trochę się jej boję.

- Nie, nie - mruknęła Maggie. - Lepiej nie. Co ty na to Johnie? Lepiej nie, prawda, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas?

Znów pokiwał głową, lecz nie patrzył na Maggie. Wpatrywał się w oczy, które w świetle lampy wydawały się ogromne w drobnej twarzy, a bijący z nich smutek chwycił za serce.

Maggie wstała, co odwróciło jego uwagę od dziewczyny. Wzięła garnek z paleniska. Przy stole podzieliła zawartość i nałożyła na trzy miski. Kiedy wręczyła Johnowi polewkę na drewnianej tacy, przyjął ją bez słowa. Nie zabrał się jednak do jedzenia. Yvonne powtórzyła: - Jesteś zły, wstrząśnięty?

- Nie, skąd - odparł. - Tylko zaskoczony.

- Ach - pokiwała smutno głową - zaskoczony. To moje nieszczęście, że tak wyglądam.

- Nie, nie - zaprzeczył szybko. - Twój wygląd jest w porządku. - Obdarzył ją bladym uśmiechem.

Kiedy Maggie podała Yvonne drugą miskę, dziewczyna popatrzyła na nią i powiedziała: - Chciałabym wyglądać tak jak ty, Maggie, pięknie i zdrowo.

- Pięknie? Nie opowiadaj głupstw - Maggie aż się rzuciła.

- Dajże spokój. - Usiadła na ławie i zaczęła jeść mleczną polewkę.

Zapanowała cisza, którą przerwała Yvonne: - Bardzo smaczne - pochwaliła.

Wówczas Maggie zebrała się na odwagę. - To ciekawe, że nie wyszłaś do tej pory za męża, skoro jesteś tak stara - powiedziała.

Z ustami pełnymi mleka i chleba Yvonne wydała z siebie dźwięk przypominający chichot i odparła: - Oświadczano mi się trzy razy. Trzy razy i to całkiem poważnie. Dwóch starających się było przyjaciółmi ojca. Ojciec się wściekał. A trzeci był młodym artystą, któremu ledwie starczało na utrzymanie. Jadał tyle tylko co u nas, taki był biedny.

- Uśmiechnęła się szeroko, lecz kiedy John nagle się podniósł ona także wstała: - Ciągłe jeszcze jesteś zły? - spytała. - Tak mi przykro. Przepraszam.

- Nie gniewam się. Rozumiem. - Uniósł rękę, jakby chciał ją dotknąć, lecz zamiast tego poklepał tylko powietrze. - No cóż, pora spać - oświadczył. - Dobranoc. Tobie, Maggie, też życzę dobrej nocy.

- Dobranoc, Johnie.

Yvonne wpatrywała się w drzwi, za którymi zniknęła. Światło lampy połowę kuchni pozostawiało w mroku, odeszła więc w cień, stanęła ze zwieszoną głową i ukryła twarz w dłoniach.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Radzę ci się położyć, rano wszystko wygląda inaczej.

- Nie chciałam sprawić Johnowi przykrości. Lubię go. Dobranoc, Maggie - dodała miękko i wyszła z kuchni.

Maggie stanęła zapatrzony się w mrok. Lubi go, powiedziała. Przypuszczała, że John, tak jak ona, darzył Yvonne uczuciem rodzicielskim, jak córkę, której nigdy nie miał. Tak sobie wyobrażała, kiedy myśleli, że mają do czynienia z szesnastoletnią dziewczyną. Ale oboje zdali sobie sprawę, że nie mogą dłużej grać roli matki i ojca młodej dziewczyny, wyglądającej nawet na młodszą niż szesnaście lat. Nagle przedzierzgnęła się ona w młodą kobietę... która miała już trzech konkurentów do swojej ręki.

---

## 4

---

Podwórze było pełne ludzi, a ich oddechy unosiły się jak chmura w mroźnym powietrzu. Koń zaprzężony do breku przebierał kopytami na kocich łbach, jakby nie mógł się doczekać, kiedy wyruszy. Willy pomagał *mademoiselle* Estelle wejść po stopniach do powozu. Kiedy usiadła, wszedł tam, by owinać jej nogi podróżnym pledem i drugi pled narzucić jej na ramiona. Powtarzała: - *Merci. Merci.* Jej pociągła, niezbyt ładna twarz była teraz naburmuszona, tak samo zresztą jak przez dwa poprzednie dni. Widocznie morska podróż była bardzo ciężka, bo większość czasu po przyjeździe *mademoiselle* Estelle spędziła w łóżku. Całym skromnym zasobem angielskich słów, jakim władała, dawała do zrozumienia, że już nigdy nie przyjedzie do tego kraju.

John umieścił bagaże pod przednim siedzeniem. Były to tylko dwa kuferki - resztę rzeczy wysłano poprzedniego dnia. Razem z Willym stali i patrzyli na Yvonne żegnającą się

z Mary Ellen. Dziewczyna pochyliła się i ucałowała Mary Ellen w oba policzki, a potem uścisnęła jej rękę. - Nie wiem jak podziękować pani za okazaną mi dobroć - powiedziała. - Mary Ellen wymamrotała: - Nie ma za co, nie ma za co. Życzę ci szczęśliwej podróży. - Nie dodała: Wracaj wkrótce.

Zupełnie inaczej wyglądało pożegnanie z Maggie. Objęły się ramionami i Maggie miała łzy w oczach. - Wrócisz do nas, prawda? - zapytała.

- Tak, Maggie. Wrócę - obiecała Yvonne.

- No, w drogę. Dość już marudzenia! - Hał przywołał wszystkich do porządku w swój zwykły, szorstki sposób. Odsunęły się od siebie. Yvonne zwróciła się teraz do niego i podała mu rękę. Ujął ją w obie dłonie i potrząsnął serdecznie. - To była przyjemność mieć ciebie pod swym dachem, dziecko. Będiesz mile widziana, kiedy tylko zechcesz nas odwiedzić.

- Och. - Spontanicznie wspięła się na palce i wycałowała policzki Hała ku jego zakłopotaniu, które pokrył wybuchem śmiechu. - Dajże spokój z tymi francuskimi wymysłami. Oszczędź nam ich. Wsiadaj już, bo inaczej spóźnisz się na pociąg, a ta panna - zniżył głos - która przyjechała opiekować się tobą, chociaż według mnie będzie akurat odwrotnie, umrze zanim zdąży wyjechać. I co wtedy?

- *Oui* - uśmiechnęła się i potaknęła ruchem głowy. - Znosi się na to, że umrze zanim wejdzie na pokład statku. Modłę się, żeby morze było spokojne.

- Ja także. No, jedź z Bogiem, dziewczyno. - John ujął ją pod łokieć i pomógł wejść po stopniach. Zajął miejsce obok, Willy wspiął się na kozioł i brek ruszył. Yvonne pomachała ręką grupce żegnających, a ci odwzajemnili ten gest.

Brek wyjechał z bramy na drogę, a rodzina Roystanów znikła z jej pola widzenia. Usiadła więc wygodniej, lecz nie odezwała się ani też nie patrzyła na Johna. Po drodze do Haydon Bridge w ogóle padło niewiele słów. Tylko Willy rzucił z kozła jakąś uwagę, a John pochylił się ku *mademoiselle* Estelle, pytając czy dobrze się czuje. W odpowiedzi usłyszał potok francuskich słów, które Yvonne przetłumaczyła następująco: - Uważa, że droga jest bardzo wyboista, a ona sama umrze, zanim zdoła wrócić do domu.

Przejechali przez most i Willy skierował brek ku stacji. Nagle zawołał do Johna: - To Fraser. Czy mam przystanąć?

John zerknął na zegarek. - Tak. Mamy jeszcze trochę czasu.

Chwilę potem zatrzymali się na poboczu drogi, a Fraser, który ich spostrzegł, zostawił dwóch najwidoczniej zaprzyjaźnionych mężczyzn i powoli podszedł do breku. John wychylił się.

- Yvonne wyjeżdża.

Chłopak popatrzył na nią przez chwilę, zanim się odezwał:

- Cieszysz się, że wracasz?

- Nie, wcale mnie to nie cieszy. Byłam tutaj bardzo szczęśliwa.

- Szczęśliwa? - roześmiał się i skierował wzrok najpierw na Johna, a potem na Willy'ego, który okręcił się na koźle i patrzył na dół, w jego stronę. - Ktoś czuje się szczęśliwy w tej dziurze, czy to nie dziwne, Willy? A ty jak sądzisz, wujku Johnie? - ponownie popatrzył na Johna. - I pomyśleć, że ktoś może być tutaj szczęśliwy?

John utkwiał w chłopcu badawcze spojrzenie, pochylił się ku niemu i zapytał: - A ty co tutaj robisz tak rano?

- Co ja tu robię? Przyjechałem tu w interesach, które powierzył mi ojciec.

- Skoro - głos Johna brzmiał posępnie - jesteś tu w interesach, załatw je i trzymaj się z dala od gospody. Będę miał coś do powiedzenia Swafferowi w powrotnej drodze.

- Nie byłem w gospodzie. Byłem z przyjaciółmi - wskazał głową dwóch mężczyzn, z którymi wcześniej rozmawiał.

- Jeśli mówisz o Reillym i jego kumplach, nie nazywaj ich przyjaciółmi. Jak tu przyjechałeś?

- Konno - Frag uśmiechnął się krzywo.

- Nie wsiadaj na konia, czekaj, aż Willy będzie tędy wracał - poradził John. - Pojedziesz z nim. A teraz posłuchaj. Jeśli nie będziesz zważał na moje słowa, nie oczekuj ode mnie pomocy w przyszłości. Zrozumiałeś?

- Tak, wujku, zrozumiałem. - Chłopak nie patrzył na niego, tylko na Yvonne, i uśmiechał się do niej.

- Ruszaj, Willy - polecił John.

Kiedy brek ruszył z miejsca, chłopak zawołał: - Wrócisz tutaj, droga mała Yvonne?

Nie odpowiedziała mu ani też nie zrobiła żadnej uwagi dopóki nie wysiadła z powozu.

- Jest za młody, żeby tak pić - powiedziała po jakimś czasie.

- Tak, to prawda. Ale położę temu kres. Czy wcześniej zdarzył mu się taki wybryk? - druga część wypowiedzi skierowana była do Willy'ego

- Nie. Myślę, że to coś nowego - odparł Willy. - Ale nie mógł znaleźć sobie lepszych nauczycieli niż chłopaki Reilly'ów. Potrafią żebrać, pożyczać, a nawet kraść, byle tylko mieć na wódkę.

- Dopilnuj, żeby wrócił z tobą, dobrze, Willy?

- Postaram się. Ale wiesz - przerwał, przekładając lejce przez żelazną obręcz - on od dawna nie jest już dzieckiem, Johnie. Sądzę, że wszyscy muszą spojrzeć prawdzie w oczy. W jego młodym ciele tkwi duch starego.

- Może to być, ale z upijania się do południa nie wyniknie nic dobrego, nawet gdyby był dwa razy starszy. Teraz ja zajmę się walizkami, a ty nie czekaj. Wracaj i przypilnuj go.

Willy kiwnął głową na znak zgody, zwrócił się do Yvonne i podał jej rękę. - Do widzenia, panienko. Było wielką przyjemnością panienkę poznać - powiedział na pożegnanie.

- Do widzenia, Willy. Mnie było również bardzo przyjemnie. Poklep ode mnie Bessy, dobrze? Powiedz jej, żeby dawała dużo mleka.

- Poklepię.

Nie zdołał się pożegnać z jej towarzyszką, bo poszła już na stację. Wyprostowana, trzymała ramiona tak sztywno, jakby właśnie dawała lekcję przepisowego poruszania się.

Pięć minut później siedzieli w pociągu jadącym do Newcastle. Nikt obcy nie wszedł do ich przedziału, również w Hexham i w Corbridge, tak że mieli aż nadto okazji do rozmowy. Ale żadne z nich nie miało wiele do powiedzenia. Raz czy dwa John wtrącił jakąś uwagę na temat okolicy, przez którą przejeżdżali, ale Yvonne nie wydawała się zbytnio tym zainteresowana.

Kiedy patrząc przez okno powiedział, że już dojeżdżają, ręka Yvonne przesunęła się dyskretnie i uścisnęła jego dłoń. Przysunęła się bliżej niego, nie spuszczać oka

z *mademoiselle* Estelle, która zdawała się drzemać w kącie przedziału. - *Oh, Jean*, nie chcę wyjeżdżać - wyszeptała.

John siedział bez ruchu z plecami przyciśniętymi do oparcia. Uścisk małej dłoni podziałał tak, jakby do ledwie tłącego się żaru dostało się powietrze, i spowodowało, że ogień buchnął płomieniem ogarniającym całe jego ciało. Potępiający wewnętrzny głos krzyczał: Przestań! Opanuj się! To szaleństwo. Pamiętaj, co powiedziałaś wczoraj. To dobrze, że ona wyjeżdża. Trzymaj się! - Mimo to nie cofnął ręki, dopóki towarzyszka podróży nie okazała oznak budzenia się z drzemki. To go chyba ocaliło od zrobienia z siebie ostatniego głupca.

Lecz kiedy piętnaście minut później stali na peronie przed wagonem pociągu do Londynu, a konduktor po drugiej stronie peronu już miał podnieść zieloną chorągiewkę, Yvonne znowu chwyciła jego dłoń i zaglądając mu w oczy powiedziała: - *Oh, Jean, mon cher*, mój drogi, kochany przyjacielu, będę za tobą tęskniła, bardzo. - Nim zdołał odpowiedzieć, zarzuciła mu ramiona na szyję i stanąwszy na palcach, pocałowała go. Nie w policzek, lecz w same usta.

Odruchowo objął ją ramionami i przytulił mocniej. Oderwał ich od siebie dopiero gwizdek konduktora. Ciało Johna ogarnął płomień. Jeszcze raz przytulił Yvonne, postawił na stopniach wagonu i przytrzymał za ręce. Bagażowy odepchnął go na bok i zatrzasnął drzwi. Za szybą widniała jej twarz, te ogromne oczy, które wyrażały coś, w co nie wolno mu było uwierzyć. Pociąg powoli ruszył, a John szedł obok wagonu, nie spuszczając Yvonne z oczu, póki pociąg nie nabrał prędkości. Obraz jej twarzy zniknął przesłonięty obłokiem pary. Kiedy wreszcie oprzytomniał i odwrócił się, by pójść do hali dworcowej, a stamtąd na ulicę, na peronie nie było już nikogo, nawet bagażowych. Na ulicy przystanął rozglądając się dookoła w oszołomieniu. Ruszył przed siebie i doszedł do baru. Zamówił podwójną whisky, czego nigdy w życiu nie robił, bo pijał tylko piwo, i to w niewielkich ilościach. Wziął szklanekę i usiadł na wąskiej ławie przy ścianie. Wychylił jednym haustem połowę zawartości. Trzymając szklanekę w obu dłoniach, oparł łokcie na kolanach i siedział tak spoglądając na złotawy napój, w którym odbijała się jej twarz i to wiele obiecujące spojrzenie.

Nie do wiary, że coś takiego mogło mu się przydarzyć w jego wieku i w dodatku z taką młodą dziewczyną. Nie - zaprzeczyło temu ciało - ona nie jest już dzieckiem. Niedługo skończy dziewiętnaście lat i jest, jak to się mówi, światową damą, bez względu na to jak wygląda. To w pełni dojrzała kobieta w delikatnej oprawie... Ale mimo to ma tylko dziewiętnaście lat, a on czterdzieści. Mógłby być jej ojcem. A może właśnie ojca w nim widziała? Ale jej oczy i ten pocałunek zdawały się temu przeczyć. Nie, na Boga. Musi wziąć się w garść. A co się stanie, jeżeli ona wróci? Jak się opanuje, jeśli będzie ją widywał codziennie? Ale czy wróci? Lepiej, żeby do tego nie doszło. Oni w domu tego nie wytrzymają. I ludzie w sąsiedztwie. Zrobią z niego pośmiewisko i nie będzie mógł z tym żyć dalej.

Wysączył zawartość szklaneczki, postawił ją na kontuarze i wyszedł. Nie poszedł jednak prosto na stację, lecz spędził blisko trzy godziny spacerując po mieście. Obserwował ruch na brzegu rzeki - załadunek i wyładunek statków i barek, holowniki i wioślarzy. Gdziekolwiek spojrzeł, widział twarz Yvonne i czuł jej pocałunek na swoich ustach.

Kiedy wreszcie przyjechał do Haydon Bridge, było już ciemno. Willy czekał na niego w dwukółce przed stacją. John zdawał sobie sprawę, że powinien był złapać wcześniejszy pociąg, ale nie podał żadnego usprawiedliwienia.

W powrotnej drodze Willy nie przerywał panującego milczenia. Wiedział, co przeżywa John. On sam miał podobne zmartwienie. Dla uczuć, które stały się ich udziałem, nie było żadnej nadziei.

---

## 5

---

W Wigilię Bożego Narodzenia przyszedł z Francji list zaadresowany do Maggie. Yvonne krótko opisywała w nim swoją podróż. Określiła ją jaką bardzo ciężką i pisała, że *mademoiselle* Estelle bardzo się rozchorowała. Dalej pisała, że była niezwykle zajęta sprawami spadku i kończyła po-

dziękowaniami za całą dobroć, jaką jej okazano. Życzyła wszystkim radosnych świąt.

Maggie przeczytała list na głos. Mężczyźni siedzieli w kuchni, korzystając ze zwyczajowej przerwy o jedenastej, kiedy to przychodzili wypić coś na rozgrzewkę. Nikt się nie odezwał. Ledwo Maggie schowała arkusik papieru z powrotem do koperty, na podwórzu rozległ się turkot furmanki. Hal wyjrzał przez okno. - Przyjechał woźnica - zawołał. - Zamawiałyście coś? - rzucił okiem przez ramię na Mary Ellen.

- Nie. Dostałam wszystko, co było mi potrzebne, w zeszłym tygodniu - zaprzeczyła.

- Dzień dobry, panie Roystan. Mam coś dla pana - zawołał głośno woźnica.

- Witaj, Andy. No cóż, zobaczymy, co to takiego - wykrzyknął Hal zza kuchennych drzwi

Chwilę później woźnica wszedł do kuchni i umieścił na stole sześć paczek o różnych rozmiarach.

- Skąd to się wzięło? - spytała Mary Ellen, patrząc z niedowierzaniem na starannie owinięte w papier paczuszki.

- Z różnych sklepów. Dostałem polecenie - uśmiechnął się szeroko do wszystkich. - Zawieź je na Boże Narodzenie, powiedziała. I zapłaciła suto. Życzę wesołych świąt!

- Napijesz się czegoś?

- Nie pogardzę.

Przyniesiono butelkę i nalano do kieliszka. Mężczyzna podniósł go i życzył wszystkim zdrowia, dostatku i dobrych zbiorów. Wyszedł zostawiając domowników wpatrujących się w rozłożone na stole paczki.

Maggie nie wytrzymała. Popatrzyła na podłużną paczuszkę i powiedziała: - Ta jest adresowana do ciebie, tato - wręczyła pakunek Halowi. - A to dla ciebie, mamo.

Największa paczka była kwadratowa. Maggie popatrzyła na nią i rzekła: - Ta jest dla mnie. - Podniosła następną lekką paczuszkę i zawołała zaskoczona: - To dla Willy'ego! Nie zapomniała ani o Willym, ani o Terrym.

- Skąd wiesz, że to od niej?

Maggie odwróciła się do matki i podniesionym głosem, niemal opryskliwie, odparła: - A kto pomyślałby, żeby nam przysłać prezenty w taki sposób, mamo? Znasz kogoś takiego?

- Chłopcy mogliby - Mary Ellen także podniosła głos.  
- Tak, mogliby, ale tego nie robią. Nigdy nic nie przysy-  
łają. Przywożą prezenty ze sobą. Och! - Niecierpliwie od-  
wróciła się do stołu, lecz w tej samej chwili John wyciągnął  
rękę i podniósł ostatnią, najmniejszą paczuszkę.

Wszyscy patrzyli jak odwija papier i odsłania małe podłuż-  
ne czarne pudełeczko. Przyglądał mu się przez chwilę, zanim  
je otworzył. Oczom jego ukazała się złota spinka do krawata  
w kształcie szpicruty z rączką wysadzaną czterema czer-  
wonymi kamieniami. Maggie podeszła do niego i ściszym  
głosem obwieściła: - Och, jednak kupiła! Oglądałyśmy to,  
kiedy ostatnim razem byliśmy w Hexham w sklepie Mon-  
roe'a. Spinka leżała pośrodku wystawy na czarnej aksamitnej  
poduszeczce. Jest przepiękna. - Spojrzała Johnowi w twarz  
i powtórzyła: - Czyż nie jest przepiękna?

Nie wydobył z siebie ani słowa, dopóki nie powiedziała:  
- Była kosztowna, bardzo kosztowna. - Wówczas zamknął  
pudełeczko i powiedział cicho: - Zobacz, co ty dostałaś.

Maggie szybko odwinęła opakowanie i odsłoniła okrągłe  
pudełko. Podniosła pokrywkę, włożyła rękę do środka i wy-  
ciągnęła szeroką satynową wstążkę. Zawahała się, a wtedy  
Hal wykrzyknął: - O rety! W takim pudełku. To musi być  
kapelusz.

Wyjęła czerwony aksamitny kapelusz, przyglądała mu się  
ze zdumieniem przez chwilę i wykrzyknęła: - Widziałyśmy  
go u Snellsa. Przypadł mi do gustu, a ona stwierdziła, że jest  
ładny i byłoby jej w nim do twarzy.

- Pewnie tak, ale dla ciebie jest nieodpowiedni.

Wyraz twarzy Maggie zmienił się w mgnieniu oka i popat-  
rzyła na matkę ze złością. - Jeszcze nie jestem w grobie,  
mamo - powiedziała. - Cały czas ci to powtarzam.

- Przymierz go. - Głos Johna podziałał łagodząco. Maggie  
jednak zwlekała. Obróciła kapelusz w rękach i mięśnie na jej  
twarzy zadrgały, jakby miała się za chwilę rozpłakać.

Na to odezwał się Hal: - No, włoż go, córko. Tam gdzie  
należy, na głowę.

Powoli zatknęła proste pasma włosów za uszy i włożyła  
kapelusz. John przyjrzał się i powiedział cicho: - Ładnie ci  
w nim. - A kiedy ojciec wtrącił szorstko: - To twój kolor

- obróciła ku niemu spojrzenie pełne wdzięczności. Tak rzadko wyrażał aprobatę, że nawet taka uwaga zabrzmiała w jej uszach jak największy komplement.

Stanęła teraz przed matką i spytała: - I co powiesz?

- Całkiem dobrze. Wygląda lepiej na tobie. Ale taki kapelusz wymaga odpowiedniej sukni.

- Cóż, będę musiała się o nią postarać, prawda, mamo? A co ty dostałaś? - zwróciła się do ojca

Hal już odwinął paczkę i wyjął z niej pudełko cygar. Zaśmiał się głośno. - Dlaczego cygara? Nigdy nie wypaliłem w życiu ani jednego. I aż tyle, cały tuzin. Uwierzyłybyś, że kiedyś dostanę cygara? - Wyciągnął pudełko w stronę Mary Ellen.

Jakby chciał ukryć przyjemność, jaką sprawił mu ten prezent, zawołał: - No, otwórz teraz swoją paczkę. - Mary Ellen wyjęła piękny kaszmirowy szal, który spływał jej z rąk jak pajęczna sieć. Zamrugła i powiedziała miękko: - Jaki piękny.

- Tak, piękny - zgodził się Hal i spoglądając na Johna dodał: - To zdumiewające, że taka kruszyna, dziecko prawie, tak o nas wszystkich pomyślała, nawet o Willym. - Pokazał ruchem głowy ostatnią paczkę.

- Ona nie jest dzieckiem.

- Co takiego? - Hal zmarszczył twarz i wlepił w syna wyczekujące spojrzenie. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, co usłyszałaś. Nie ma szesnastu lat, jak podano do waszej wiadomości - John spojrzał na matkę. - Ma dziewiętnaście lat, skończy za parę dni.

Hal i Mary Ellen spojrzeli po sobie i z powrotem na syna.

- Jak to? Ona nie ma dziewiętnastu lat - zaprotestowała Mary Ellen. - A poza tym, dlaczego miałyby kłamać?

- Ona nie skłamała. Jej ojciec to wymyślił. Myślał, że prędzej przyjmiecie do domu dziewczynę niż młodą kobietę.

- Nie wierzę.

- Twoja sprawa, mamo.

- Wiedziałaś o tym? - Mary Ellen zwróciła się do Maggie.

- Tak, mamo, John ma rację. Ale co za różnica? Przecież nadal jest taka sama.

- Wielka różnica, bo mnie oszukano. Powinna była mi o tym powiedzieć, skoro powiedziała tobie.

- Czy dałaś jej okazję, mamó? Prawie nie odzywałaś się do niej.

- Było jak było, ale teraz wiem jedno, że nie chcę jej więcej widzieć pod swoim dachem.

- Możesz nie mieć wyboru. - John stał, patrząc na nią przez stół. Twarz jego straciła rumieniec, a usta zacięły się w ponurym wyrazie.

- Co ta uwaga ma oznaczać? - spytała.

- Może oznaczać, co tylko chcesz, zastanów się nad tym.

- Powiedziawszy to, John odwrócił się tyłem do osłupiałych członków rodziny i wymaszerował z kuchni.

W kuchni zapanowała martwa cisza. Przerwało ją dopiero wyjście Maggie, która zebrała ze stołu pozostałe paczuszki i zostawiła Mary Ellen i Hala wlepiających w siebie zdumione spojrzenia.

- Co według ciebie miał na myśli? Chyba nie to, prawda?

- Mary Ellen odezwała się cicho.

Hal zdawał się ważyć odpowiedź, zanim odparł: - Chyba to. Wiadomo było już wcześniej.

- Ona mogłaby być jego córką.

- Tak, ale nie jest. I on też nie wygląda na swój wiek. Ale - położył jej rękę na ramieniu i uściśnął - nie martw się, on jest rozsądny i nie zrobi z siebie pośmiewiska. Nasz John nigdy nie zniósłby, żeby z niego szydzono. Nie zamartwiaj się.

- A ty się nie martwisz?

Wahał się parę sekund zanim odparł: - Nie, skądże. Znam Johna. Ta farma to jego życie i będzie jego własnością, kiedy odejdę. Wie o tym. Nie, nie obawiam się.

Zapiął guziki płaszcza i owinał szalik wokół szyi, nasunął czapkę głębiej na uszy i wyszedł.

Zostawszy sama, Mary Ellen usiadła na krześle przy stole i bębniła palcami po blacie. Boże! Nie była w stanie znieść, że coś takiego się wydarzyło. Nie mogła ścierpieć tej dziewczyny, bo za każdym razem, gdy na nią patrzyła, przypominał jej się Roddy. Przenosiła się myślami do chwili, kiedy leżała z nim na szczycie kamieniołomu. Dziwne to było, ale miała wrażenie, jakby urodziła tę dziewczynę zamiast Kate.

Rozejrzała się po kuchni. Na kredensie stały zimne mięsa gotowe na przyjęcie rodziny. Na stole pod ścianą ustawiała

ciasta, które piekła przez trzy ostatnie dni. Czekąca na Boże Narodzenie, bo jeszcze dziś mieli przyjechać chłopcy, którzy zawsze rozweselali dom. Rozczarowana była, że zostaną tylko na parę dni, ale Gabriel musiał wracać do pracy w wytwórni szkła.

Jutro odbędzie się świąteczny obiad. Będzie miała wokół siebie wszystkie dzieci, będą jedli i pili, żartowali i opowiadali sobie nowinki. Najmłodszy będą się bawili, Maggie zagra na pianinie i wszyscy zaśpiewają kolędy.

Maggie. To następne, co ją martwiło. Zaszła w niej jakaś zmiana i zdarzały się dni, kiedy wyglądała znowu jak młoda dziewczyna, a jej zachowanie było niemal swawolne. Na domiar złego kiedyś usłyszała, jak córka podczas sprzątanía nuci pod nosem piosenkę.

Ale niepokój o Maggie był niczym w porównaniu z nowym gromem z jasnego nieba. Pozostawało tylko modlić się do Boga, żeby ta dziewczyna nie postawiła więcej nogi w tym domu. I będzie się o to modliła tak żarliwie, jak nigdy przedtem...

\*

Maggie siedziała w stodole. Obserwowała Willy'ego, który oglądał biały jedwabny szalik i powtarzał: - Jaka to piękna rzecz. - Podniósł wzrok, skierował go na Maggie, i dodał: - Pomyślała o mnie, pamiętała też o Terrym. Ma naprawdę dobry charakter i jest taka młoda. Choć, jak mówisz, nie aż taka młoda. A twój kapelusz z czerwonego aksamitu? Chciałbym cię w nim zobaczyć.

- Zobaczysz. Włożę go następnym razem, kiedy przyjdę doić krowy. - Powstrzymała się od śmiechu, odruchowo kładąc sobie na ustach rękę.

Willy jednak roześmiał się serdecznie: - Czemu nie. Czemu nie. Tyle tylko, że nie sądzę, by Belli przypadło to do gustu, bo ona ma tylko kapelusz ze słomy. Pamiętasz, jak kiedyś na łące włożyłem jej na łeb stary słomiany kapelusz, a pozostałe krowy zebrały się dokoła, jakby ją podziwiały, pamiętasz?

Maggie skinęła głową. Oczy jej lśniły, cała twarz wyglądała na odmienioną. Willy przestał się śmiać i wpatrzył się w nią. Włożył dłoń do kieszeni bryczesów i wyjął z niej małą paczuszkę.

Na twarzy Maggie pojawił się wyraz czułości. Szeroko otwartymi oczami popatrzyła na jego zgrubiałą dłoń i leżącą na niej paczuszkę. Wzięła ją delikatnie. Była zawinięta w pojedynczy kawałek papieru i nie przewiązana wstążeczką. Odwinęła papier i otworzyła pudełeczko. Jej oczom ukazała się broszka w kształcie podwójnej gałązki bluszczu. Nie złota ani też wysadzana drogimi kamieniami jak spinka Johna, ale nie była to odpustowa błyskotka.

- To taki drobiazg. Nie to, co bym chciał.

- Willy, ona jest śliczna - zawołała łamiącym się ze wzruszenia głosem - Ja... ja nic ci nie mogę podarować.

- Możesz mi podarować wszystko, Maggie, wszystko, i wiesz o tym. - szepnęła.

- Och, Willy.

- Dobrze już dobrze. Tylko się nie złość.

- Nie mogę tak dłużej, Willy.

- Nie ma innego wyjścia, prawda? - Było to zarazem stwierdzenie i pytanie.

Zagryzła mocno dolną wargę i opuściła głowę. Zaczęła prosić: - Nie płacz. Na Boga, Maggie, nie płacz. Masz, wytrzymaj twarz. - Podał jej połą szalika przewieszzonego przez ramię, a ona zaprotestowała: - Nie, tylko nie w twój nowy szalik. Już nie płaczę. W nowy szalik, też coś! - głos nabrał zwykłego brzmienia.

- Będzie dla mnie droższy, gdy dotknie twojej twarzy - odparł Willy z galanterią.

Wzruszona odwróciła się nagle i wybiegła ze stodoły na podwórze. Tam wpadła prosto na Johna.

- Co się dzieje? - spytał, przytrzymując ją oburącz.

Przełknęła z trudem i odparła: - Nic takiego. Naprawdę nic takiego.

Popatrzył na wrota stodoły. - To Willy? - spytał. Dostrzegł papier i pudełeczko, które przyciskała mocno do piersi. - Oj, Maggie, Maggie - westchnął. - Nie ma nadziei dla żadnego z nas. Jedziemy razem na tym samym wózku, prawda? Spóźniliśmy się. Idź do szopy i wytrzymaj twarz. Porozmawiamy później.

Puścił ją i wszedł do stodoły, gdzie Willy ładował siano na wóz. Nie odezwawszy się do niego ani słowem, złapał widły i wziął się razem z nim do roboty.

# 6

Styczeń miał się ku końcowi, gdy z Francji nadeszły dwa listy. Jeden był adresowany do Maggie, drugi zaś do Johna. Maggie przeczytała swój natychmiast, lecz kiedy Mary Ellen wręczyła Johnowi list, zamiast przeczytać, schował go do kieszeni i stał słuchając Maggie, która czytała na głos:

*Ma chere Maggie,*

*Pogoda jest ponura, ale mnie jest gorąco z powodu nawału spraw do załatwienia. Ostatnio wiele miałam do zrobienia. Zrobiliśmy porządek w pracowni ojca i większość jego obrazów powędrowało do agenta. Przerobiliśmy pracownię na mieszkanie dla gospodyni, chyba tak to się nazywa? Mój angielski jest gorszy na papierze niż jak mówię. Gospodyni ma męża, który pracuje. To bardzo wygodne. Gospodyni zajmuje się mną. Mademoiselle Estelle udaje, że jest chora. Obawia się, że pojedę w następną morską podróż. Myślę wiele o Was wszystkich, a nocami śnią mi się krowy. Jest jeszcze wiele spraw do załatwienia z adwokatami, ale mam nadzieję wkrótce być wolna. Wielu przyjaciół mnie odwiedza. Ludzie są mili. Ale chciałabym być z Wami. Przesyłam gorące pozdrowienia dla Twojej matki, ojca i całej rodziny. Tobie, ma chere Maggie, przesyłam serdeczne ucałowania. Pozdrawiam serdecznie.*

Maggie zamilkła i zerknęła w stronę ojca. Siedział na ławie, a matka pochylała się nad ogniem i trzymała ciężki żelazny garnek, w którym skwierczało topione masło. Postawiła go na stole, nasypała do masła cukru i zaczęła ucierać.

- I co wy na to? - zapytała Maggie.

- A co niby chcesz od nas usłyszeć? - odpowiedziała pytaniem Mary Ellen.

- To miły list.

- Niewątpliwie.

- A co miała do powiedzenia tobie, chłopcze?

John popatrzył na ojca. Westchnąwszy, wyciągnął list z kieszeni, otworzył, przeczytał i odparł zwięźle: - Po prostu

pyta o farmę i o pogodę. - Włożył list z powrotem do kieszeni i wziął ze stołu czapkę. Nałożył ją głęboko na uszy, podniósł kołnierz płaszcza i wyszedł z pochyloną głową na spotkanie przejmującego wiatru.

Maggie weszła do schowka, wyjęła z niego koszyk z miotełkami i ścierkami do odkurzania i poszła, jak zwykle w środy sprzątać sypialnię.

Najpierw weszła do swojego pokoju. Nie od razu uklękła, by wyczyścić dywan. Usiadła w nogach łóżka. Wiedziała, że list do Johna nie zawierał pytań o farmę i rozumiała, jak biedak się czuje. W ciągu ostatnich tygodni bardzo zbliżyli się do siebie, bez słów rozumiejąc swoje kłopoty. W domu panowało napięcie, bo wszyscy domownicy byli świadomi, co się święci. Matka oświadczyła wczoraj otwarcie, że nic już nie jest takie samo, odkąd pojawiła się tu ta dziewczyna. A Maggie odparowała: - A nie nazwiesz tego inaczej: od kiedy twoja dziewczęca miłość pokazała się tu po raz ostatni? - Pokłóciły się potem. Wiedziała, że powinna trzymać język za zębami, szczególnie na temat przeszłości matki, lecz nie mogła znieść, że winę składa się na niewłaściwą osobę. Musiała to z siebie wyrzucić.

Potem przyjechała Kate ze swymi problemami. Fraser przyjechał z targu kompletnie pijany, a Benowi się pogorszyło. Wbrew sobie musiała przyznać rację ojcu, że w tym chłopaku płynie zła krew. Najwyraźniej ciągnął do towarzystwa najgorszego z możliwych. A jednak zdarzały się chwile, kiedy wydawał się normalnym i wcale miłym chłopakiem.

Tak na dobrą sprawę życie było niesprawiedliwe. Oto chłopak, któremu dano sposobność, by zdobył wyższe wykształcenie, zaczął schodzić na złą drogę. I oto Willy, który pracował od małego i umiał docenić okazję, jaka mu się trafiła, by nauczyć się pisać i czytać. To prawda, iż miał więcej wiedzy niż ktokolwiek z rodziny czy z sąsiedztwa. Ale był tylko parobkiem. Każdą godzinę jego życia wypełniała ciężka harówka. Większość czasu spędzał w roboczej bluzie. To wszystko było niesprawiedliwe.

Ostatnio już dwa razy miała ochotę wpaść do salonu, gdzie matka i ojciec wygodnie spędzali wieczory, i krzyknąć na całe gardło: - Chcę wyjść za Willy'ego! Słyszycie? Chcę wyjść za Willy'ego!

Za pierwszym razem powstrzymała się na myśl, że przecież nie oświadczył się, ani nawet nie wyznał jej miłości. Uczynił tylko kilka gestów i spojrzeń i wypowiedział parę słów świadczących o uczuciu, na których podstawie wyobraziła sobie, że mógłby chcieć ją poślubić. Istnieli mężczyźni, którzy nie chcieli się żenić, a lubili kobiety i małe romanse na boku, które ich nie krępowały. Czy on do nich należał? Nie. Odrzuciła tę myśl. Za drugim razem pohamował ją oczywisty fakt, że nigdy nawet nie próbował jej pocałować. A to mógłby zrobić. Było po temu wiele okazji, kiedy byli sami. A ona bardzo pragnęła, by ją objął czule i pocałował.

Co ma robić? Dłużej nie wytrzyma, bo oszaleje. Powinna była wyjść za mąż wiele lat temu. Teraz dopiero zdała sobie z tego sprawę. Ale nigdy nie zaznała takiego pragnienia jak teraz, kiedy poznała Willy'ego. To on ożywił w niej nieznaną dotąd uczucie i czasami życzyła sobie w duszy, żeby tego nie uczynił. I co dziwniejsze, uczucie to przybrało na sile z chwilą pojawienia się Yvonne. Co było tego powodem?

\*

John poszedł do szopy, gdzie było ciepło i gdzie mógł znaleźć chwilę, by przeczytać jeszcze raz list od Yvonne. Ale kiedy otworzył drzwi, ujrzał Terry'ego, który siedział naprawiając uprzęż.

- Potrzebuje mnie pan, paniczu Johnnie? Pomyślałem tylko, że ogrzeję sobie kolana, a przy okazji zrobię coś pożytecznego.

Gdy chciał wstać, John powiedział: - Siedź, gdzie siedzisz, Terry. Jak twoje nogi dzisiaj?

- Żeby rzec prawdę, paniczu Johnnie, nie czuję ich. Straciłem w nich czucie. Ale co jest zabawne, mogę lepiej chodzić, kiedy są bez czucia, niż kiedy ożywają, jeśli można tak powiedzieć. Maść, którą dała mi pani, na pewno pomaga. Nowe kalesony, które mi wyszykowała, także. Maść pali jak ogień, ale nie mam nic przeciwko temu. Potrzeba coś, paniczu Johnnie?

- Nie, nie. Szukam po prostu nowego wędzidła. Stare, zdaje się, uwiera Noaha. - Podszedł do przeciwległej ściany szopy, zawieszanej rzemieniami, uzdami, wędzidłami i wszystkimi akcesoriami niezbędnymi, by osiodłać lub zaprząć konia.

Wybrał wędzidło i wyszedł kiwając głową do Terry'ego.  
- Zostań tutaj. Jest tyle naprawiania, że zajmie ci to kilka godzin. Jak dotąd nic się nie wali.

- Dobrze, paniczku Johnie. Zrobi się.

Za drzwiami John przystanął na chwilę. Postawić się w poddańczej sytuacji jak Terry, którego ciało rozdzierał niewysłowiony ból, wynik wieloletniej harówki dla Roystanów. Powinien już odpocząć, dostać taką odprawę, by móc się wygodnie urządzić. Cholera! On już dopilnuje, by stary człowiek dostał, co mu się należy. Mieszkał w sąsiedztwie Ozzie Taylor młody chłopak, do wynajęcia, chętny do nauki, a do tego silny jak byk. Powie o tym ojcu dziś wieczorem i nie dbając o burzę, która przy tym nastąpi, zrobi po swojemu.

Gorączkowym ruchem wyciągnął list z kieszeni i znów przeczytał skreślonych parę linijek. List nie rozpoczął się od *Mon cher Jean*, lecz zwyczajnie:

*Jean,*

*Dlaczego nie piszesz do mnie? Powiedziałeś, że będziesz pisał. Bez słowa od Ciebie czuję się bardzo samotna. Nie życzysz sobie wiadomości ode mnie? Życie tutaj nie jest dobre. Tęsknię za Tobą.*

*Yvonne*

Powoli włożył list do koperty i wsunął do kieszeni. Idąc przez podwórze, spotkał ojca. Wyszedł właśnie z kuchni i bez wątpienia widział, jak John czyta list, bo odezwał się najserdeczniej, jak umiał: - No, co takiego ona pisze, że nie możemy tego usłyszeć? - Nie spodziewał się odpowiedzi, jaka padła.

- Pisze, że we Francji jest parę pięknych farm, które z pewnością mi się spodobają i że kupi mi jedną. Zadowolony jesteś?

- Co u diabła się z tobą dzieje. Boże! Zadaję ci grzeczne pytanie... Uważaj!

- Nie, to ty uważaj, tato i zapomnijmy o liście, a porozmawiajmy o farmie. Terry nie jest już w stanie chodzić normalnie. Według mnie nadaje się na emeryturę. Wiem, że nie jest aż taki stary, ale ma za sobą lata ciężkiej pracy i poświęcił ci życie od dzieciństwa. Matka Ozziego Taylora chce go dać na służbę. Obiecałem jej zająć się tym. Trzeba

zbudować nową chatę. Potrzebne są na to pieniądze, ale myślę, że jesteś to dłużny Terry'emu.

- No, widzę, że robi się mnie w konia. Nie leżę jeszcze w grobie, a mój następca chce przejąć zarządzanie. A teraz pozwól, że ci coś powiem, Johnie. - Ha! dotknął palcem piersi Johna, lecz kiedy John szybkim ruchem odepchnął jego rękę, zamilkł, a po chwili zmienionym głosem powiedział: - Słuchaj, teraz ja mówię. Co w ciebie wstąpiło? Dobrze znam swoje powinności. Wiem, co zrobię z Terry'm. Już od jakiegoś czasu myślę o tym. Nie potrzebuję, żebyś mi o tym przypominał. Na drugi raz, jeśli zabierzesz głos, nie dyktuj praw, jakbyś był tu panem. I - głos znowu mu się zmienił - nie zapominaj, że jeszcze ciągle tu jestem. Jeszcze tu nie rządysz.

- Może to będzie dla ciebie nowiną, tato, ale nigdy nie chciałem. - Powiedziawszy to John odwrócił się i odmaszerował, zostawiając Hala z otwartymi ustami.

Odwrócił się z powrotem do drzwi kuchennych.

- Co u diabła wszystkich opętało? - wymamrotał półgębkiem. - Bardzo chciałbym wiedzieć.

\*

Nastrój na farmie zmienił się w połowie popołudnia, kiedy przyjechał Charles. Zaprowadził konia do pustego boksu, szybko pobiegł do drzwi kuchennych, otworzył je i zobaczył Maggie przygotowującą tacę z herbatą. - Witaj, Maggie. Gdzie mama? - zapytał.

- W salonie. Pielęguje tatę. Znowu go dopadł kolejny atak kaszlu.

Wyciągnął do niej rękę. - Chodźmy do nich. Mam wiadomości - powiedział.

Kiedy wychodzili z kuchni, otworzyły się tylne drzwi. - Hej, Charles, coś się stało? - zawołał John.

- Tak, bardzo wiele, Johnie. Chodź na chwilę. Idziemy do salonu. Mam wam coś do powiedzenia.

- Jeśli twoja mina mówi prawdę, to coś dobrego.

- Zgadłeś.

John ściągnął buty i w skarpetkach pospieszył do sieni, a stamtąd do salonu, gdzie przed buzującym w kominku ogniem siedział ojciec, a obok stała matka. Spoglądając

badawczo na Charlesa, powiedziała: - Wyglądasz, jakbyś znalazł skarb. Co się dzieje?

Charles odłożył cylinder, odpiął pod szyją płaszcz, wziął głęboki oddech i potoczył wzrokiem po wszystkich. Zatrzymał go na Mary Ellen i oświadczył uroczystym tonem: - Florrie będzie miała dziecko.

Oniemieli i wpatrywali się w niego. Charles i Florrie byli małżeństwem od lat piętnastu i nie zanosilo się, żeby Florrie kiedykolwiek zaszła w ciążę.

Nagle zapanowała radosna wrzawa. Hal porwał się na nogi i potrząsał rękę Charlesa, mówiąc coś niezrozumiale, bo przerywał mu kaszel. Mary Ellen powtarzała: - To wspaniała wiadomość! O, to najlepsza rzecz, jaką usłyszałam od wielu lat.

John uśmiechał się trzymając rękę na ramieniu Charlesa. - Cieszę się, chłopie - powiedział. - Cieszę się za ciebie i za Florrie. Och, musi być w siódmym niebie.

Tylko Maggie stała w milczeniu. Jakby strzelił w nią piorun. W pewnym sensie brak dzieci w małżeństwie Florrie był dla niej wygodny. Zbliżyło to do siebie siostry bardziej niż kiedykolwiek w dzieciństwie. Florrie miała spokojną, potulną naturę, ale cierpiała bardzo, że nie była w stanie dać Charlesowi upragnionego dziecka. Teraz, w tym wieku miała mieć dziecko, a była niemal rówieśniczką Maggie. Był między nimi tylko rok różnicy.

Hal przestał kasłać i można było zrozumieć, co mówi: - Musimy uczcić to wydarzenie. Co będziemy pili, rum czy whisky?

- Rum, Halu, rum. Chociaż nie powinienem więcej pić. Objechałem już prawie całą rodzinę, zajechałem do Toma, żeby się z nim podzielić tą nowiną, a potem do Kate. U obojga wznosiliśmy toasty za to wydarzenie. Ale ciągle jeszcze mam miejsce na trochę rumu.

- Tak, dostaniesz rumu, chłopcze. A co do mnie, to napiję się piwa. Przynieś piwo, Maggie.

Odeszła, żeby wykonać polecenie, i nikt nie zwrócił uwagi, że nie przyłączyła się do gratulacji dla Charlesa.

Kiedy ponownie zjawiła się w salonie z dzbanem pełnym piwa, rozbrzmiewał wesoły gwar. Napełniła kufel piwem

i podała ojcu. Nie podziękował jej nawet, tylko odwrócił się do ognia i wyciągnął stamtąd rozpalony do czerwoności pogrzebacz. Wsadził go do kufła, uważając, żeby nie dotknąć dna. Kiedy ustało skwierczenie, włożył pogrzebacz z powrotem do ognia i wzniosł toast kuflem piwa. - Za zdrowego syna, chłopcze - powiedziała.

- Och, wszystko mi jedno. Syn czy córka, i tak będę się cieszył.

- Potrzebny ci syn. Potrzeba nam więcej męskich potomków w rodzinie. Jak dotąd na czterech synów jest tylko jeden wnuk.

Wszyscy zauważyli, że nie wspomniał o dwóch synach Kate. Ale trzy duże kielichy rumu sprawiły, że Charles nie wykazał właściwej sobie ostrożności i taktu, lecz powiedział: - Jest jeszcze dwóch synów Kate i obaj bystre chłopaki, jeden bystrzejszy od drugiego, jeśli wierzyć plotkom. Tom zaśmiewał się na wspomnienie tego, co wydarzyło się w ostatni weekend.

- A co się wydarzyło w weekend? - Hal uśmiechał się, lecz twarz Johna ściągnęła się, a mina Mary Ellen wyrażała niepokój. Maggie wiedząc, co teraz nastąpi, próbowała dać Charlesowi znak zza pleców ojca. Lecz Charles, zbyt oszłomiony szczęściem, żeby to zauważyć, ciągnął dalej: - Na targu w sobotę młody Frag zwąchał się z chłopakami Reilly'ów i czterema od Smithów. Wiesz, tymi z Allendale, co pracują w kopalni łożowiu. To są diabły wcielone. Był właśnie dzień wypłaty, upili więc chłopaka i na taczkach zawieźli na podwórze domu.

- To nie mógł być Frag, Charlesie - zaproponowała Mary Ellen lodowatym tonem. - Byli wszyscy u nas w niedzielę.

- Och, miał dość czasu, żeby wytrzeźwieć do niedzieli. No cóż, na mnie pora. Florrie chciała przyjechać, ale trochę się zaziębiła i nie pozwoliłem jej się ruszać z domu. - Odwrócił się i po raz pierwszy zwrócił się do Maggie. - Masz pojęcie, co czuję, Maggie? - zapytał.

- Tak, Charlesie, rozumiem cię bardzo dobrze - odparła cicho. - Przekaż Florrie, że to cudownie. Powiedz jej, że przyjadę do was w sobotę.

- Dobrze, moja droga. Zawsze rada jest cię widzieć. Czasami czuję się bardzo samotna. Ale teraz już nigdy nie

będzie samotna. - Wziął głęboki oddech i zapiął płaszcz. Chwycił kapelusz, podszedł do Hala siedzącego w milczeniu i ujął jego rękę. - Cieszę się ze względu na Florrie, a także z powodu ciebie i całej rodziny - rzekł.

- Tak powinno być, chłopcze, tak powinno być. Przywieź ją tutaj niebawem.

- Przywiozę. Zaraz jak tylko pogoda się poprawi. Do widzenia, mamó - zwrócił się do Mary Ellen, która podała mu dłoń.

- Do widzenia, Charlesie. Przyjadę do was razem z Maggie w sobotę - powiedziała na pożegnanie.

Wyszedł w towarzystwie Johna, a w sieni słychać było jego głos pobrzmiwający radosnym śmiechem.

Ledwo drzwi zdążyły się za nimi zamknąć, Hal wziął znowu pogrzebacz z ognia i włożył po raz drugi do napełnionego piwem kufła. - Ten młody bydlak przywieziony do domu na taczkach przez takie śmiecie, Smithów i Reilly'ów, Boże, czyż można upaść niżej? - przemówił udręczonym głosem. - A potem był tutaj w niedzielę i jedzenie nie stanęło mu w gardle! Dało się zauważyć, że nie był zbyt rozmowny. Pewnie miał kaca. Ale ona albo Ben zmusili go, by z nimi przyjechał. Powiadam ci, kobieto, coś się temu chłopcu kiedyś stanie, to pewne jak to, że tu siedzę. Cięży na nim przekleństwo.

- Przestań! Daj spokój! Nie zaprzataj sobie głowy tym, co na nim ciąży, bo na tobie ciąży przeziębienie, i jeśli nie chcesz przeleżeć w łóżku kilku dni, jutro zostaniesz w domu. - Mary Ellen zmieniła pośpiesznie temat, po czym zwróciła się do Maggie. - Z jednej strony to dobra wiadomość, jak myślisz, a z drugiej strony trochę niepokojąca - powiedziała.

- Dlaczego?

- No cóż, w jej wieku. Może mieć ciężki poród.

- Powiadają, że pani Pratt z sąsiedztwa miała czterdzieści pięć lat, kiedy urodziła ostatnie dziecko, dwa lata temu.

- Tak, ale miała już spore doświadczenie, urodziła jedenaścioro żywych i pół tuzina martwych. Pierwszy poród jest zawsze najbardziej niebezpieczny. Wiem to najlepiej. Cóż - westchnęła - pozostaje tylko czekać. Masz gotową herbatę?

- Tak.

- No to przynieś ją do salonu.

Maggie powoli wyszła z pokoju, nie spiesząc się przemierzyła sięń i weszła do kuchni, gdzie stanęła i długo wpatrywała się w zastawioną tacę, zanim zaniósła ją do salonu. Postawiła herbatę przed matką i odwróciła się, żeby wyjść.

- Nie zostaniesz i nie napijesz się herbaty? - spytała matka.

- Nie, nie po gorącym rumie.

Wróciła do kuchni i wzięła z szafki słoik. Nabrała pełną łyżkę smalcu do małego kubeczka i uchyliwszy fałd fartucha, włożyła go do kieszeni spódnicy. Ponownie wyszła z kuchni i szybko wspięła się po schodach na górę, a potem na koniec korytarza. Skręciła do wąskiego przejścia, minęła drzwi wiodące do pomieszczenia służącego za rupieciarnię i wreszcie doszła do drzwi z dwoma ryglami - na dole i na górze. Oba poczerniały, a na jednym z nich widniały plamy rdzy, co wskazywało, że dawno nikt ich nie używał. Szybko wyciągnęła kubeczek, posmarowała rygle smalcem, a następnie parę razy przekręciła je w obie strony, dopóki nie zaczęły przesuwac się bezszelestnie. Wytarła je potem do czysta i wróciła do kuchni. Opróżniła kubek z reszty zawartości i umyła go. Podeszła do kominka i mocno zacisnęła dłonie na mosiężnym pręcie pod gzymsem. Oparła głowę na ramieniu, gryząc w zębach rękaw sukienki tak mocno, jakby chciała go przegryźć.

\*

Mary Ellen leżała już od dawna w łóżku. Tego wieczora wypito jeszcze więcej grzanego piwa i gorącego rumu, co sprawiło, że rodzinę wcześniej zmorzył sen. Chrapanie Hala było słychać na schodach. John przed chwilą poszedł do sypialni, gdyż on także wypił więcej niż zazwyczaj.

Maggie wzięła lampę i wyszła z kuchni. Kiedy doszła do półpiętra, postawiła ją na małym dębowym stoliku i przykręciła płomień, że ledwo się żarzył, po czym poszła do swojego pokoju.

Zapaliła świecę, wzięła z szafy gruby płaszcz i parę kaloszy, a z szuflady największą chustę na głowę.

Włożywszy płaszcz i chustę, trzymając kalosze w rękę, podeszła cichutko do drzwi, które zostawiła lekko uchylone.

Podeszła na palcach po wyfroterowanej podłodze do wąskiego chodnika ułożonego wzdłuż korytarza. Stąpając po chodniku ostrożnie, by nie nadepnąć na trzeszczące deski, dotarła do tylnych schodów i do drzwi. Odsunęła nasmarowane rygle i znalazła się na wąskiej drewnianej galeryjce, a zimne nocne powietrze zaszczypało ją w twarz. Na pogodnym, rozgwieżdżonym niebie nie było widać księżyca. Włożyła szybko kalosze, chwyciła się żelaznej poręczy i zesłała po schodach na podwórze na tyłach domu.

Jeden z psów zawarczał, ale szepnęła prędko: - Cisza, Cass, to tylko ja. Leżeć. - Podeszła w stronę budy, gdzie spały psy. Cass stał na zewnątrz, pogłaskała go więc po łbie i popchnęła do ciepłego wnętrza budy, gdzie leżała Bessie, zbyt stara, by zwracać sobie głowę nocnymi hałasami.

W całkowitej ciemności szła przy tylnej ścianie stodoły. Kiedy ściana się skończyła, noc wydała się nieco jaśniejsza. W pewnym momencie pod stopami jej rozległ się pisk i odgłos szamotaniny. Niechcący przeszkodziła w polowaniu jakiemś drobnemu zwierzęciu. Czy ocaliła ofiarę, czy był to przedśmiertny krzyk? Przyroda jest okrutna. Cały świat jest okrutny.

Kiedy podeszła do chaty, spostrzegła, że w oknach jest ciemno. Zazwyczaj Willy czytał do późna. Przed sobą miała front chaty, on zaś mógł być w sypialni, której okno wychodziło z drugiej strony; światło świecy nie byłoby stąd widoczne.

Parę kroków dzieliło ją od drzwi, kiedy zatrzymała się zasłaniając ręką usta. Ręce miała przemarznięte, twarz zimną i drżała od stóp do głowy. Jest szalona, a to, co robi, jest okropne. Ale czy miała inne wyjście? On nie mógł przyjść do niej. A czy chciałby? Musiała się tego dowiedzieć, nawet jeżeli będzie to oznaczało okrycie się hańbą do śmierci. A jeśli okryje się hańbą, cóż wtedy? Boże! Nie wiedziała, co zrobi ze swoim życiem. Pewnie z nim skończy. Nie po raz pierwszy przychodziło jej to do głowy. Nie może się już cofnąć. Nie może. Wyciągnęła rękę do drzwi. Usłyszała kaszel, który widocznie zagłuszył jej delikatne pukanie. Czekwała, a kiedy nikt nie otwierał, zapukała po raz drugi, tym razem mocniej. Usłyszała ruch w izbie, po czym drzwi się otworzyły. Stał

w nich Willy we flanelowej koszuli nocnej, trzymając w uniesionej ręce mosiężny świecznik. Światło świecy zamigotało gwałtownie w podmuchu zimnego wiatru.

- W imię Ojca i Syna! - wciągnął ją do izby. Pośpiesznie zarygłował drzwi i powiódł ją w stronę wygasłego paleniska. Nie powiedział nic więcej. Ona także milczała. Willy zapalił od świecy drewnianą trzaskę i zajął się rozpalaniem ognia. Dołożył doń polan i uklęknął energicznie dmuchając. Ogień, który widocznie niedawno wygaszono, rozpałił się prędko i rozjaśnił swoim blaskiem izbę. Maggie stała obok i drżała z zimna. Willy, nie podnosząc się klęczek, ujął jej zmarznięte dłonie. - Oj, Maggie! - powiedział.

- Musiałam przyjść. - Każde jej słowo przerywały dreszcze. - Ja... muszę się dowiedzieć, nna... na czym stoję.

- Och, moja droga, kochana Maggie. - Wtulił głowę w jej dłonie, a potem popatrzył na nią i powiedział: - Wiesz na czym stoisz, jeśli o mnie idzie, zawsze wiedziałaś. Kocham cię, musisz to wiedzieć, ale jaką mogę mieć nadzieję... to znaczy, chcę powiedzieć, co mogę ci ofiarować? Gdybym się nawet ośmielił prosić cię o rękę, mógłbym ci dać dom niewiele większy od tego - zakreślił ręką koło - i małe gospodarstwo, to wszystko. A ty wychowałaś się jak dama.

Słyszac to, zaprotestowała gwałtownie: - Jak dama, Willy? Jak dama? Nie pleć głupstw. Od kiedy Kate i Florrie wyszły za mąż, musiałam pracować za trzy. Dwa ubrania na rok, pieniądze w podarunku na Boże Narodzenie i na urodziny. Chcesz wiedzieć, co mam po tych wszystkich latach ciężkiej pracy, Willy? Trzydzieści cztery funty... trzydzieści cztery funty. Służąca zarabiająca szylinga tygodniowo odłożyłaby więcej. Ech, jak dama! Prawie nigdy nie ściągałam fartucha! - Dotknęła dłońmi jego twarzy i wyszeptwała: - Kocham cię. Wiem, że jestem od ciebie starsza o pięć lat... Nigdy już nie będę młoda. Pora mi włożyć czarny kapelusz i wziąć różaniec do ręki, jak docina często matka.

- O, Maggie, Maggie, cicho bądź. Nie mów takich rzeczy. Jesteś piękna, każda cząstka twojego ciała jest piękna, a przez dwa ostatnie lata niczego nie pragnąłem bardziej, niż tego. - Wstał prędko, pociągnął ją w objęcia i zaczął całować. Zrazu nieśmiało, podczas gdy ona stała w jego objęciach nierucho-

mo, w oszołomieniu. Za chwilę objęła go ramionami i odwzajemniła pocałunek. Stali przytuleni, kołyszając się. Przez ubranie czuła ciepło jego rozpalonego ciała.

Po pocałunku nie wysunęła się z jego objęć, lecz położyła mu głowę na ramieniu i tak trwali przez chwilę, dopóki nie odsunął się od niej. Zręcznie odwiązał chustę, która zsunęła się jej z głowy, zdjął płaszcz i odrzucił na bok, posadził ją na krześle i zdjął kalosze. Zgięty w pół na podłodze uniósł głowę tak, że ich oczy znalazły się na jednym poziomie.

- Wyjdiesz za mnie, Maggie? - spytał cicho.

- Choćby jutro, Willy.

- To mi wystarczy.

Nie powstrzymała jego rąk, kiedy rozpinał jej suknię, lecz stała posłusznie i bez słowa jak dziecko, aż dotarł do gorsetu i ostatniej halki. Potem powiedział: - Chodź, Maggie, łóżko jest jeszcze ciepłe. - Poszła i położyła się obok niego na wąskim łóżku, by po raz pierwszy w swym czterdziestoletnim życiu dowiedzieć się, co to znaczy być kochaną.

---

## 7

---

W ostatnim tygodniu lutego i w pierwszym tygodniu marca to sypał z nieba śnieg, który zaraz topniał, to znów chwytał mróz, toteż drogi stały się przejezdne dopiero wtedy, gdy na dobre nadeszła wiosenna odwilż.

Mary Ellen przez cały ten czas nie widziała Kate ani żadnego z dzieci, kiedy więc Kate przyjechała konno w strugach zimnego deszczu, wykrzyknęła na jej widok z nie ukrywaną radością: - Jakże się cieszę, że cię znów widzę, dziecko. Czułam się, jakbyście wszyscy poumierali. Przemokłaś do suchej nitki!

- Nie, tylko z wierzchu. Pomyślałam jednak, że lepiej przyjechać teraz, póki jeszcze w domu wszystko w porządku, bo wszelkie znaki wskazują na to, że przed nami kolejny atak choroby Bena.

- Nawet o tym nie wspominaj.

- No, a jak wy się miewacie?
  - Och, tak samo jak zawsze. Zdejmij te mokre rzeczy, przygotuję coś do picia.
  - Nie mogę zostać długo, mam.
  - Ben naprawdę źle się czuje?
  - Nie, nie... zniósł zimę wyjątkowo dobrze, zaskakująco dobrze.
  - A jak tam dzieciaki?
  - Harry'emu świetnie idzie w szkole - odparła z dumą Kate. - Wiesz, że w zeszły wtorek skończył czternaście lat?
  - Wiem, a jakże, mam nawet prezent dla niego.
  - Bena bardzo cieszą jego świetne stopnie. Harry zdał wszystkie egzaminy śpiewająco i na jesieni idzie do jednej z najlepszych szkół w Newcastle jako stypendysta.
  - No, no, to musi cieszyć Bena. Ale czy chłopak chce tam iść?
  - O, tak. Uwielbia się uczyć. Pod tym względem wdał się w Bena.
  - Szkoda, że drugi nie przejawia podobnego gustu. Miałaś z nim jeszcze dużo kłopotów?
  - Co masz na myśli?
  - Wiesz dobrze, co mam na myśli. Odwożenie do domu pijanego.
- Na chwilę zapadła cisza. Kate ze swojego miejsca na ławie patrzyła na plecy matki pochylające się nad ogniem. - Złe wiadomości szybko się rozchodzą - powiedziała po paru minutach.
- Dziecko - Mary Ellen odwróciła się do niej - wszyscy sąsiedzi o tym wiedzieli i wyśmiewali się. Wszystko, co wyczyniają Reilly'owie i Smithowie trafia na nagłówki gazet, wiesz przecież.
  - On nie jest zły, mam, tylko trochę nieokrzesany.
  - Chciałabym w to wierzyć, dziecko.
  - Uwierz mi. Dobrze pracuje. Przykłada się do pracy na farmie. Jest równie dobry, jak najemny pracownik, w każdym razie tak mówi Dawson, a u Dawsona to coś znaczy, jeśli chwali pomocnika.
  - Może po prostu się podlizuje.
  - Mamo!

- Przepraszam, dziecko. Zmieńmy temat.
- Tak, zgadzam się, zmieńmy temat. Dość, że tato go tak traktuje, nie trzeba, byś ty szła w jego ślady.
- Chodzi mi tylko o ciebie i o Bena.
- Nie musisz się martwić. Damy sobie radę ze swoimi obowiązkami. Nie chciałam być nieuprzejma, tylko skończmy już, dobrze? Gdzie jest Maggie?
- Maggie - Mary Ellen cedziła słowa. - Maggie, przynajmniej kiedy ją ostatnio widziałam, podobno sprzątała w salonie. Ale kiedy tam weszłam, siedziała grzejąc sobie kolana przy kominku. Co w nią ostatnio wstąpiło, doprawdy nie mam pojęcia. Chyba wkroczyła w swój wiek, wiesz pewnie, o czym mówię. - Kate potaknęła. - Zawsze miewała zmienne nastroje. Potrafiła całymi dniami się nie odzywać. Nadal ma te swoje humory, tylko nie tak często, a kiedy wpada w dobry nastrój, paple jak najęta. Niektóre kobiety tak to właśnie przechodzą. Wiesz sama, jak to jest.

Kate roześmiała się. - Jeszcze nie wiem, mam, jeszcze nie wiem - powiedziała.

- Nie?
- Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.
- Masz szczęście, bo to paskudny okres w życiu. Ale tak czy inaczej będziesz musiała przez to przejść.
- Dziękuję, mam, dziękuję. Będę miała na co czekać.
- Kate wstała. - Wyskoczę na chwilę i zamienię z nią parę słów.
- Zaparzyłam herbaty.
- To potrwa minutkę.

Nie było jej pięć minut. Kiedy wróciła, Mary Ellen powitała ją pytaniem: - No i co robi? Znowu siedzi na pupie?

- Nie, kłęcz i froteruje podłogę. Ale, jak słusznie zauważyłaś, zaszła w niej jakaś zmiana. To zabawne, ale...
- Co jest zabawne?

- Cóż. - Kate wsypała do kubka z herbatą trzy łyżeczki cukru i dokończyła: - Zabawne, że coś takiego można powiedzieć o Maggie, ale wygląda na szczęśliwą. Jest ładna, jak przed laty. Jeśli to ma być ta zmiana, o której mówiłaś, nie będę miała nic przeciwko temu, żeby na mnie przyszła kolej.

- Szczęśliwa? - Mary Ellen odchyliła do tyłu głowę w pytającym geście. Nie wypowiedziała jednak na głos tego,

co przyszło jej do głowy: Dlaczego jest szczęśliwa? Co ją tak uszczęśliwiło? Popatrzyła przez okno na podwórze i odpowiedziała sobie bezgłośnie: - Nie, tylko nie to!

- Gdzie tato?

- Pojechał z Johnem obejrzeć szkody na polu w dolinie. Jeśli dalej tak będzie, przyjdzie odłożyć orkę na później.

- John miewa się dobrze?

Mary Ellen zajęła miejsce naprzeciwko córki i nalewając sobie herbaty, powiedziała: - Kate, w tym domu w tej chwili nie ma nikogo, kto by się dobrze miewał.

- Co złego dzieje się z Johnem? - w głosie Kate zadźwięczał niepokój.

Mary Ellen odparła: - Nie wiadomo dokładnie, ale chodzi rozdrażniony jak niedźwiedź z obolałą czaszką. W zeszłym miesiącu dostał trzy listy od... domyślasz się chyba od kogo.

- Ona do niego pisze?

- A tak, tak, a on pewnie jej odpisuje. Nigdy jednak nie widziałam, żeby wysyłał coś przez pocztę. Stał się bardzo tajemniczy, a to do niego bardzo niepodobne. Martwię się, Kate.

- Dlaczego?

- Nie udawaj głupiej, dziecko. Martwię się ich związkami.

- John? - Kate zrobiła zdziwioną minę. - John i to maleństwo? Mógłby być jej dziadkiem.

- Nie mógłby, Kate. Ona nie ma szesnastu lat, lecz dziewiętnaście.

- Dziewiętnaście? - głos Kate załamał się. - To dlaczego powiedziała, że ma szesnaście?

- Wymyślił to twój ojciec, bo uważał, że nie zgodzę się na opiekę nad młodą kobietą. To był podstęp. Ale od samego początku uderzyło mnie, że ona jest nieco zbyt samodzielna. Rzec by można, że ma rozsądek starego w ciele dziewczynki, chociaż w większości i tak nie rozumiałam, co mówi, bo paplała tą swoją francuszczyzną.

- John i ona? Nie, mamó, to niemożliwe.

- To możliwe, dziewczyno, i dlatego się boję. Ostatnio John zachowuje się zagadkowo, nie do poznania. Maggie i on, oboje w wieku nieodpowiednim do tego, co im się przyda-

rzyło. Kobiety głupieją wtedy, ale mężczyźni całkiem dobrze układają sobie życie. Widziałam takie rzeczy. Pamiętasz, jak było z Jimmym Braithwaitem? Miał czterdzieści pięć lat, każdy myślał, że jest twardy jak skała. Przez lata opiekował się ojcem i matką, a kiedy poumierali, co zrobił? Ożenił się z dziewczyną, która miała dwadzieścia dwa lata. Przejeżdżasz koło nich, kiedy jedziesz do nas. Mają kupę dzieci - siedmioro i spodziewają się ósmego. To nie zdarza się często, ale nie jest też wyjątkiem.

Kate podniosła się do wyjścia i zakładając rękawiczki, rzekła: - Wiem, że to się zdarza, ale nie może mieć miejsca, jeśli chodzi o Johna i o nią. Wiedząc o pokrewieństwie, nie może tego zrobić.

- Nie mogę temu zapobiec, Kate. Boże drogi! Gdy pomyślę o tej dziewczynie, że mogę ją tu mieć na stałe, prawie szaleję. Nie wytrzymam tego, po prostu nie wytrzymam.

- A co mówi ojciec?

- Nic, bo nie wygląda na to, żeby cokolwiek zauważył. A poza tym nie ma nic przeciwko niej. Wydaje się, że owinęła go dookoła palca, jak wielu zresztą mężczyzn, a poza tym ojciec zniesie wszystko, byle nie stracić Johna. Obawia się skrycie, że John, podobnie jak Tom, może się ożenić z farmerską córką i odejść. I co byśmy wtedy poczęli?

- Zrobi tak jak inni, zatrudni pracowników - rzekła stanowczo Kate. - Tak się robi, przecież wiesz, mammo. Nie sposób wykorzystywać przez całe życie dzieci. Maggie i John mają swoje życie, które muszą przeżyć po swojemu. Ale - potrząsnęła głową - nie zgadzam się z wyborem Johna. Podobnie jak ty - nie lubię jej. Mam prawo, czyż nie? To chyba można zrozumieć.

Mary Ellen nic na to nie odpowiedziała, bo w istocie można to było zrozumieć. Kate zakończyła: - Muszę ruszać. Przyjedziemy wszyscy jak zwykle, jeśli pogoda pozwoli. Do widzenia, mammo.

- Do widzenia, dziecko. - Mary Ellen otworzyła jej drzwi i zamknęła prędko z powrotem, by uciec przed zacinającym deszczem. Gdy znalazła się z powrotem przy stole, poczęła bębnić palcami w blat, co czyniła zawsze, ilekroć była zdenerwowana. Kiedy myśl jej powędrowała od Johna do córki,

bębnie stąło się głośniejsze. - Wkrótce położę temu kres  
- powiedziała na głos.

\*

W ciągu następnych trzech tygodni dało się zauważyć, że Mary Ellen codziennie zaczęła chodzić do obory, stodoły, stajni i szopy pod pretekstem poszukiwania Terry'ego, żeby sprawdzić, czy czuje się on lepiej. Wkroczyła tym samym na wojenną ścieżkę z Maggie. Maggie nie była bynajmniej ślepa, ale nie sądziła, że i John to zauważył, aż do dnia, kiedy mijając ją mruknął z cicha: - Nie wchodź do stodoły. Mama stoi za tylną ścianą.

Zatrzymała się gwałtownie i popatrzyła za bratem zmierzającym ku stajni. Gdy weszła do stodoły, skierowała się do Willy'ego i specjalnie głośno powiedziała: - Idź i pomóż Terry'emu, dobrze? Oporządza świnie. A ja zajmę się tym.  
- Rękami dawała znaki pokazując na ścianę.

Willy zrozumiał, o co chodzi i równie głośno odparł: - Dobrze, już się robi. Ale mówiłem mu, żeby to zostawił. Jest panienka pewna, że da sobie radę?

- Tak, dziękuję, Willy. Dam sobie radę. Nie wiem tylko jak długo. - Wykrzywiła się, kiedy ją mijał. - Męczy mnie, że muszę pracować jak parobek. Będę rada, kiedy młody Ozzie tu przyjdzie. Nie obejdzie się bez niego, prawda?

Kiedy Willy odszedł, nie wzięła się od razu za zgarnianie siana na kupę, lecz podeszła wpierw do ściany i przyłożyła oko do szpary. Zobaczyła, że matka opatulona po uszy wraca na podwórze.

Minutę czy dwie później do stodoły wszedł John. Stanęli patrząc na siebie. - Musisz być ostrożna, Maggie - odezwał się John.

- Ty wiesz?

- Nic na to nie poradzę. Mam lekki sen i czasami sam używam tych drzwi.

Zwiesiła głowę i wymamrotała: - Nie dbam o nic. To moje życie, i... Kocham go, a on kocha mnie. Jeśli ona to odkryje, odejdziemy stąd.

- Nie możesz tego zrobić. Ona jest sama.

Podniosła głowę. - Jaką więc mamy przyszłość? - spytała.

- Obłapienie się po kątach? On jest wart tego, by wyjść za niego za męż. To dobry człowiek.

- Wiem. To wszystko jest niesprawiedliwe. Gdyby to zależało ode mnie, ale nie zależy, więc... A tak, jeśli się to wyda, drogo zapłacisz. Mógłby być i dziesięć razy lepszy niż jest, ale i tak ojciec go wyrzuci. To zabawne - zaśmiał się krótko - ludzie zmieniają się nie do poznania. Wiek robi swoje, trzeba to przyznać. Przecież kiedyś on też stał tak samo nisko, jak byle pastuch.

- Wiem, i nie miał nawet połowy rozumu Willy'ego.

- Rozum nie ma tu nic do rzeczy, Maggie.

- A co będzie z tobą?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wiesz, o co chodzi. Znasz moją sytuację, a ja znam twoją.

- No cóż, ty możesz mieć trochę nadziei, ale ja nie.

- Nie mów tak, Johnie. Nie zamierzam im pozwolić, by zrujnowali mi życie do końca - wyciągnęła rękę i ścisnęła go za ramię. - Wszyscy potrzebujemy miłości. Znalazłam swoją i zamierzam jej nie wypuszczać, pójdę za nią dokądkolwiek mnie zaprowadzi. Powinieneś zrobić tak samo.

- Z dziewczyną, której mógłbym być ojcem?

- Nie bądź głupcem - potrząsnęła jego ramię. - To zdarza się często - młoda dziewczyna i starszy mężczyzna. A poza tym ona w gruncie rzeczy wcale nie jest taka młoda. Oboje o tym wiemy.

- Cóż, skończyło się, Maggie. Nie ma potrzeby więcej martwić się o mnie. W ostatnim liście powiedziała, że nie będzie więcej pisać.

- Odpowiedziałeś na jej listy?

- Nie.

- Och, Johnie, Johnie. I właśnie tak napisała, że już więcej nie będzie pisać?

- Tak. Jeden kłopot z głowy. Ale ty zajmij się swoim. Nie wiem, może los będzie dla ciebie łaskawszy, ale na razie trzymaj to w ukryciu.

Odwracał się już, by wyjść, kiedy powiedziała: - Dotąd, dopóki się da.

- Patrzył ponownie na nią, zawisł wzrokiem na jej twarzy:
- Nie jesteś chyba...?
  - Nie jestem pewna, ale to nie ma znaczenia. Mam nadzieję, że jestem. Marzę o tym, żeby móc to stwierdzić na pewno.
  - Ech, Maggie, Maggie.
  - Nie martw się o mnie, Johnie. Jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu. Żyję, po raz pierwszy w życiu naprawdę żyję. Jeśli masz trochę rozsądku, to też powinienes.
  - Nie wszyscy możemy być mądrzy, Maggie. Nie, nie możemy. - Odwrócił się i wyszedł. Stała wyprostowana i kładąc dłonie na brzuchu popatrzyła w dół, zamknęła na chwilę oczy i rzekła na głos: - Proszę, Boże, spraw, żeby ono tu było.

## 8

---

Na początku kwietnia Maggie wiedziała już z absolutną pewnością, że nosi w sobie dziecko. Miesięczne słabości, jak nazywała Mary Ellen to zjawisko natury, w przypadku Maggie były zawsze nieregularne, lecz przez ostatnie trzy dni jej stan potwierdziły poranne mdłości i niechęć do zrywania się z łóżka o wpół do szóstej.

Już cztery noce minęły, odkąd nie odwiedzała Willy'ego i do tej pory nie wiedział on jeszcze o jej stanie. Niepewność i lęk, że nie przyjmie tej wiadomości w taki sposób jak ona, powstrzymały ją od napomknięcia mu o tym w czasie przelotnych rozmów, jakie prowadzili w ciągu dnia.

Powodem, dla którego nie odwiedziła jeszcze chaty, nie była pogoda czy ostatnie opady obfitego śniegu, lecz to, że matka zaczęła chodzić późno spać. Przez ostatnie trzy noce wchodziła na górę o wpół do jedenastej, a Maggie umówiła się z Willym, żeby nie czekał na nią dłużej niż do jedenastej.

Tym razem jednak zdecydowała, że nawet jeśli będzie dwunasta, pójdzie się z nim spotkać.

Za kwadrans jedenasta opuściła swój pokój. Matka przyszła na górę stosunkowo wcześniej, a John był u siebie od dobrej

godziny. Kiedy mijała sypialnię rodziców, słyszała głośne chrapanie ojca. Nie potrzebowała światła, żeby znaleźć zasuwę. Wyciągnęła rękę, lecz kiedy zaczęła ją odsuwać, gwałtownie odskoczyła, bowiem korytarzyk nieoczekiwanie rozjaśnił się światłem i stanęła w nim matka wyłaniając się z rupieciarni.

W świetle lampy wpatrywały się w siebie, obydwie miały twarze pobladłe z powstrzymanego gniewu.

- Dokąd to się wybierasz?

- Po co pytasz o drogę, którą znasz? - głos Maggie był niski i syczący.

- Jesteś szmatą, oto kim jesteś, szmatą - wysyczała z wściekłością Mary Ellen. - Parobek! Nie masz wstydu.

Maggie targnął gniew. - A zatem wdałam się w swoją matkę, prawda? - z wysiłkiem wycodziła przez zęby. - Dla ciebie to też nie nowina.

Kiedy Mary Ellen zamierzyła się, Maggie podniosła głos. - Ani mi się waź! - krzyknęła. - Jak tylko się ośmielisz, odejdę zaraz tego ranka, a on pójdzie ze mną. Pomyśl o tym, on odejdzie ze mną. Nawet trzech Ozziech Taylorów i jeszcze jeden nie poradzą sobie z pracą, którą wykonuje Willy. A w domu potrzebujesz dwóch służących. I będziesz musiała wkładać więcej pracy niż dotąd, jeśli zechcesz utrzymać tu porządek, do jakiego nawykłaś. Więc uważaj, mamó, nie próbuj mnie uderzyć, bo chociaż ci nie oddam, uderzę cię tam, gdzie najbardziej cię boli, w twoją kieszeń. W tym względzie jesteś gorsza od ojca. A teraz, jeżeli się odsuniesz, pójdę do chaty, gdzie chodziłam już przez wiele tygodni.

- Ty dziwko! Ty brudna dziwko!

- Uważaj, mamó, bo nie będę czekała na cios. Uważaj! Pamiętaj, co powiedziałam, wdałam się w ciebie.

- Jeśli przekroczysz te drzwi, nie wracaj więcej.

- Cóż, twoja wola. Jeśli nie wrócę, pozostanę w chacie dopóki nie zabiorę wszystkich swoich rzeczy, a potem odejdziemy oboje. Zastanów się nad tym. - Po tych słowach szarpnęła gwałtownie zasuwę i wyszła, czując na plecach wściekłe spojrzenie matki.

Kiedy dotarła do chaty, trzęsła się od stóp do czubka głowy. Willy zerwał się z ławy obok kominka i podszedł do niej.

- Co się stało, kochanie? Co się stało? - spytał z niepokojem na widok wyrazu jej twarzy.

Opadła w jego objęcia szepcząc coś niezrozumiale.

Podniósł jej głowę i zapytał ponownie: - Co się dzieje?

- Ona... przytąpała mnie jak wychodziłam i... i wyzwała mnie, a ja... nie pozostałam dłużna. Och, Willy, Willy.

Zdjął z niej palto i chustę, po czym doprowadził do krzesła. Przyniósł drugie krzesło obok niej, uściśnął mocno jej dłoń. - To musiało się kiedyś wydać - powiedział. - Lepiej teraz niż później. Wiem, na czym stoję, i co mam zrobić. Porozmawiam z pastorem w niedzielę, chociaż ani ty, ani ja nie chcemy brać kościelnego ślubu. Ale to mądry i dobry człowiek i on mi coś doradzi. I nie patrz w ziemię, popatrz na mnie.

Podniosła głowę, a on się uśmiechnął: - Nie zasypiałem gruszek w popiele przez parę ostatnich tygodni. W porę dowiedziałem się o małej farmie, którą dopiero co wystawiono na sprzedaż. Jest w kotlinie koło Corbridge, niezła tam ziemia. Dwadzieścia akrów, dobry niewielki domek, trzy obory, dwie stajnie i strych. Nie wspominałem o tym wcześniej, bo nie chciałem jątrzyć, ale teraz mogę śmiało kupować. Będzie kosztował około pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu funtów, bo dom jest zapuszczony. Stary człowiek, który tam mieszkał, wyjechał przed laty, by zamieszkać z córką. Jeśli uda mi się ten dom kupić, będę miał trochę gotówki na bydło. I wiem, kto mi pomoże, jeżeli tylko poproszę. To pan Hamilton. Pytał mnie jakiś czas temu, dlaczego nie myślę o pójściu na swoje. Zabawne, ale wkrótce potem twój ojciec dał mi szylinga podwyżki. Ciekaw byłem, czy nie zawdzięczam jej panu Hamiltonowi.

- Nie, nie - potrząsnęła głową. - Prędzej Johnowi.

- A, rzeczywiście, może to być. To dobry chłop, ten John. Jest niepokieszony. Tęskni za małą Francuzeczką. Zabawne, prawda? Chociaż to niestosowne określenie, wiesz chyba, co mam na myśli.

- Willy.

- Tak, kochanie? - przysunął się bliżej i objął ją ramionami.

- Mam ci coś do powiedzenia.

- Tak, słucham cię. Zawsze cię z chęcią słucham, kochanie.

Wpatrywała się w jego twarz, podczas gdy oczy jej zwilgotniały i westchnienie, które wyrwało się z jej piersi, przeniknęło go niepokojem. Jego uścisk zelżał, gdy spytał: - Nie zamierzasz mnie chyba porzucić?

Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się. - Ech, Willy! - Po czym zajrzała mu w oczy i wyznała cicho: - Jestem brzemienna.

- Jesteś brzemienna? Naprawdę?

- Tak. - Spuściła nisko głowę i wtem Willy szarpnął ją mocno do góry. Zaczął z nią wirować w ciasnej przestrzeni przed kominkiem, wkoło krzeseł i małego stołu. Wreszcie wpadli na stół, a on ujął jej twarz w dłonie i jął całować oczy, nos, policzki. Nagle zeszywniał i delikatnie zapytał: - Jesteś szczęśliwa, Maggie?

- Tak, bardzo, Willy. Nic się nie liczy, tylko ty, ja i ono. - Poklepała się po brzuchu.

Położył rękę na jej dłoni i poważnie spytał: - Nie boisz się?

- Boję się? - zmarszczyła się i powtórzyła: - Boję się? - i stanowczo odparła: - Nie, Willy, nie boję się. Jestem silna i zdrowa. Wiem, że to może i zły wiek, ale urodzę twoje dziecko, nawet jeżeli ma być to ostatnia rzecz...

Położył jej dłoń na ustach i powiedział: - Nie kończ. Nie mów, że to ostatnia rzecz, którą zrobisz, bo jeśli miałbym wybierać: dziecko albo ty, zawsze wybiorę ciebie. Zawsze ciebie. Wiedz o tym. Chcę ciebie. Jeśli będziemy mieli dziecko, to dobrze. Jeśli nie będziemy, też dobrze, tak długo, jak będę miał ciebie.

- Willy, Willy! - łzy spływały jej po twarzy. Obejmował ją delikatnie, a jej płacz się nasilał, aż go to zaniepokoilo. Ujął ją za ramiona i potrząsnął delikatnie: - Hej, dziewczyno, za wcześniej jeszcze na wiosenne roztopy. - Słyszac to zakrzusila się i łzy przeobraziły się w śmiech, który rozbrzmiał w całej chacie.

Godzinę później, kiedy weszła na tylne schody, zastała drzwi otwarte. Zamknęła je od środka i prędko udała się do pokoju. Położyła się do łóżka, przytuliła mocno poduszkę, ukryła w niej twarz i zasnęła.

Mary Ellen kipiała złością. Nie odezwała się do Maggie następnego ranka, nawet na nią nie spojrzała, ale śledziła bacznie każdy jej ruch i powiedziała sobie, że dłużej tego nie wytrzyma. Chyba nic nie mogło jej w tym momencie bardziej rozżłościć niż ona. Myśl o córce leżącej w jednym łóżku z parobkiem przyprowadzała o mdłości, a to, że córka poszła w jej ślady, wzmagało jeszcze wściekłość. Jej własny błąd to był tylko incydent i na usprawiedliwienie mogła dodać, że była wtedy młodą dziewczyną, w której płonęła żądza pomieszana z ciekawością, a wszystko w imię miłości. Ale w przypadku Maggie ten grzeszny potajemny związek musiał trwać już Bóg wie jak długo.

Zbliżała się pora obiadu, kiedy podjęła decyzję, że musi z kimś porozmawiać, a Hal był ostatnią osobą, przed którą mogła otworzyć zbolące serce. Powinna pojechać do Kate. Zapomniała, że Kate niegdyś odwiedzała mężczyznę tydzień po tygodniu, jeżdżąc niezależnie od pogody na wzgórze pod pretekstem wymiany książek...

O drugiej po południu, ubrana w niedzielny kapelusz i płaszcz, wsiadła do dwukółki i wzięła lejce z rąk Johna.  
- Przypilnuj, żeby ojciec dostał o trzeciej herbatę, dobrze?

Nie zauważył, że to przecież obowiązek Maggie, bo domyślił się, że między nimi znów była jakaś burza. Odpowiedział więc: - Miłej przejażdżki, ale jeśli możesz, wróć, zanim się ściemni.

- Za dnia czy w nocy droga jest dla mnie taka sama. Powinieneś to wiedzieć.

Puściła konia kłusem. John stał patrząc za nią, dopóki nie wyjechała na drogę. Odwrócił się i ruszył w poszukiwaniu Maggie. Znalazł ją w sieni - właśnie wychodziła z salonu. W jednej ręce niosła puste wiaderko na węgiel, a w drugiej drewniany kubeł. Zawrócił za nią do kuchni. Nie zdjął roboczych butów, co od razu zauważyła. - Ryzykujesz, co?  
- spytała, patrząc na jego nogi.

- Matka wyjechała.

- Może w każdej chwili wpaść z powrotem tylko po to, żeby zobaczyć, co mam zamiar zrobić. Przypuszczam, że wiesz o wszystkim?

- Nic nie wiem. Nie puściła pary z ust przy mnie. Co się dzieje?

Maggie otworzyła drzwi od kuchni i wystawiła na zewnątrz oba wiaderka. Zamknęła drzwi i podeszła do zlewu, by umyć ręce. Kiedy osuszyła je, odwróciła się i oparła o kamienny zlew. - Przyłapała mnie na schodach, kiedy szłam wieczorem do Willy'ego - wyjaśniła. - To nie był pierwszy raz i nie ostatni, przynajmniej dotąd, dopóki tu będę. Zamierzamy osiedlić się na własnej farmie. Czy Willy coś ci mówił?

- Tak. Wspomniał, że upatrzył sobie gospodarstwo. Myśli o odejściu i chce cię ze sobą zabrać.

- Jesteś zdziwiony?

- Absolutnie.

- Pytam, czy dziwisz się, że mogłabym zostawić was i odejść z nim?

- Powiedziałem już, że nie. Mogę ci coś powiedzieć? Chciałbym, żeby to o mnie chodziło.

- Och, Johnie. - Odrzuciła ścierkę, podeszła do stołu i usiadła. Odsunął krzesło i także usiadł.

- Jakoś nie umiem wyobrazić sobie ciebie w jakimkolwiek innym miejscu poza tym domem, przecież kochasz naszą farmę.

- To świadczy o tym, Maggie, jak mało mnie znasz - przerwał. - Gdzie byłem w życiu? Jak daleko wyjeżdżałem, pytam? W Newcastle, tak, Durham, owszem, Carlisle. Pragnąłbym odwiedzić Edynburg. Dopiero niedawno przestałem o tym marzyć, wiedząc, że to bezcelowe. Ale korciło mnie, żeby odejść na zawsze, po prostu wyjść i nie wrócić. Rozumiem młodego Fraga. Rozumiem go bardzo dobrze. Kiedy człowiek jest młody, rwie się w świat, nienawidzi uwięzi. W moim przypadku ta chęć była we mnie aż... - potrząsnął głową - aż do jakichś czterech czy pięciu lat wstecz.

- Dlaczego więc tego nie zrobiłeś?

- O mały włos byłbym zrobił. Pewnego razu prawie zrobiłem. Ale uprzedził mnie Gabriel. Zdecydował się pojechać do Hugh'a. On też nosił w sobie podobne uczucie. Powiedział mi tylko tyle: „Jaka mnie tu czeka przyszłość? Ojciec nie popuści cugli do ostatniego tchu. A potem nastaniesz ty, Johnie. Nie jestem taki jak Tom i nie ożenię się

z farmą". Tak powiedziała. I z czym mnie zostawił? Czy mogłem odejść? Tom odszedł, Hugh i Gabriel odeszli, tak samo Kate i Florrie. Kto został? Ty, Maggie do pracy w domu i ja do pracy w polu. I chociaż Terry był wtedy jeszcze w stanie pracować, i tak wszystko zważyło się na mnie. A pamiętasz dwóch robotników, którzy nie podołali wymaganiom ojca? Pytam cię, czy mogłem zabrać się i sobie pójść? Zrobiłem to, co było najlepsze. Ta farma była całym moim życiem. Kiedy ojciec któregoś dnia odejdzie, myślałem, farma będzie moja, to będzie jakaś nagroda. Kiedy przyszedł Willy, praca stała się o wiele lepsza. Czułem się pewniej. Cóż, powiedziałem sobie, niczego więcej mi nie trzeba. Chociaż pojawiły się też wtedy Betty Pringle i Mary Braithwaite. Czy któraś z nich przypadła do gustu mamie? Nie. Ale to nie miało większego znaczenia. Aż do dnia, kiedy zjawił się tu człowiek z dziewczyną, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem, jedynie - odwrócił głowę od Maggie i dodał ciszej - czasami we snach. Ale ona miała dopiero szesnaście lat, a ja zachowywałem się wobec niej jak ojciec, dopóki nie wyznała, że ma lat dziewiętnaście i jest młodą kobietą. Od tamtej pory w swych myślach nie byłem już dla niej jak ojciec. Spokój ducha, którym się cieszyłem, zniknął na zawsze aż do dnia, kiedy pożegnaliśmy się na stacji kolejowej.

Położył łokcie na stole i oparł głowę na rękach. Zapanowała cisza, którą przerwała dopiero Maggie. - Ona cię lubiła, Johnie, nawet więcej niż lubiła i pisała bezustannie. Dlaczego nie zrobisz czegoś? - zapytała.

- A co mogę zrobić? - zapytał cicho.

- Zaproponuj jej życie tutaj z mamą. Mama będzie rada każdemu, kiedy odejdę. Z pewnością znajdzie w niej lepszą towarzyszkę niż we mnie.

- Nie, nie znajdzie, Maggie. Mama nigdy jej nie polubi.

- Tamtych też nie polubiła, sam to przed chwilą powiedziałeś.

- To jest co innego. Nie zapominaj, kim ona jest. To przyrodnia siostra Kate i córka człowieka, którego mama kiedyś kochała. I z czym ją zostawił? Z wielką potężną dziewczyną, kochaną, niemniej jednak bardziej babo- chłopem niż kobietą. A kogo ze sobą przywiózł spodziewając się, że

mama będzie jej pilnować? Drobna, podobną do elfa istotę, tak piękną, że był to dla mamy bolesny widok. Nie... W końcu, o czym my tu mówimy? Mój rozdział jest zamknięty, Maggie, ale twój za to właśnie się otwiera. Odejdiesz z Willym, co znaczy, że mama będzie musiała rozejrzeć się za pomocą do domu. Ja zaś dopilnuję, żeby dostać odpowiedniego pomocnika do pracy przy zwierzętach i w polu. Na pewno tak zrobię.

- Wstał, lecz znieruchomiał spoglądając w stronę drzwi:  
- A to co takiego? Czyżby matka już wróciła?

Podszedł prędko do okna, za nim podążyła Maggie. Tom Briggs pomagał wysiąść z dwukółki jakieś ubranej w zielony płaszcz postaci. Gdy Maggie szepnęła: - Niemożliwe! John zawołał: - Nie może być! - Wyprostował się i spojrzął na Maggie: - Boże Wszechmogący! O wilku mowa! - Ręką oparł się o stół, ale już za chwilę był na podwórzu. Nie podbiegł do Yvonne, lecz stanął nieruchomo i czekał, aż ona podejdzie do niego. Zbliżyła się i stanęła, patrząc na niego ogromnymi szarymi oczami, rozchylając nieco usta. - Witaj, Jean - odezwała się.

- Dlaczego... dlaczego nic nie napisałaś?

- Ja... właściwie do ostatniej chwili nie wiedziałam. To był, jak wy to mówicie, impuls... Witaj, Maggie. - Odwróciła się od Johna i wyciągnęła ręce do Maggie, która powoli wyszła na podwórze. Uścisnęła ją i przytuliła.

- Yvonne! Nie masz pojęcia, jak się cieszę - zawołała na powitanie. - Wejdz, wejdz, proszę - poprowadziła ją za rękę do kuchni, jakby Yvonne nigdy wcześniej w niej nie była.  
- Zdejmij palto, daj mi kapelusz. Wyglądasz na zmarzniętą.

- To... to była długa podróż.

John stanął przed nią i zapytał: - Przyjechałaś sama?

- Tak, tak - odparła. - Całą drogę przebyłam sama. Ludzie okazali się bardzo uprzejmi. To było zdumiewające.

- Dam ci coś do picia. Chodź, siadaj, siadaj przy ogniu.  
- Maggie krzątała się zaaferowana.

- Gdzie mam to postawić?

John odwrócił się do drzwi, gdzie stał Tom Briggs z walizkami w obu rękach.

- Postaw je tam, gdzie stoisz - odpowiedział.

- W dwukółce są jeszcze dwie.

- Dobrze, wnieś je do środka.

Kiedy mężczyzna wniósł pozostałe walizki, John wyszedł z nim na podwórze. - Ile? - spytał cicho.

- Zapłaciła mi już i to dobrze - brzmiała odpowiedź. - Ma hojną rękę panienka. Wygląda jakby miała zamiar zostać, prawda? - Kątem oka spojrzął na Johna. - U matki wszystko w porządku? - zapytał. - Nie widziałem jej. Zawsze krząta się w pobliżu.

- Pojechała w odwiedziny.

- Ach, tak. No, na mnie pora. Będzie mi miło zabrać was na stację, kiedy panienka będzie wyjeżdżała. Ale widzę po jej bagażu, że nie będzie to dzisiaj ani jutro. Zatem do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

John wrócił do kuchni, gdzie Maggie właśnie pytała Yvonne, czy jest głodna.

- Nie, dziękuję bardzo. Muszę się tylko czegoś napić. Zjadłam suty posiłek w hotelu przed wyjazdem z Newcastle.

- Kiedy tam przyjechałaś?

Spojrziała na Johna i odpowiedziała: - Wczoraj wieczorem. A dziś rano byłam na zakupach. To bardzo ładne, te sklepy w Newcastle. Są bardzo ładne te sklepy w Newcastle - roześmiała się perliście. - Lepiej mówię po angielsku? - spytała.

- O wiele lepiej - przytaknęła Maggie.

- Brałam lekcje u nauczycielki angielskiego. Panna Marie poznała nas ze sobą.

Maggie popatrzyła na Johna: - Napijesz się herbaty? - zapytała. Kiedy odmownie potrząsnął głową, powiedziała: - Zaniosę herbatę Willy'emu i Terry'emu.

- Wasza mama, matka, jest w domu?

- Nie, pojechała z wizytą.

- Ojciec także?

- Ojciec jest w Allendale. Powinien wkrótce wrócić. Nie zabawię długo. - Maggie wzięła dwa blaszane garnuszki z herbatą i pośpiesznie wyszła z kuchni. John i Yvonne zostali sami.

Znowu Yvonne odezwała się pierwsza. Nie patrząc na niego, lecz na buzujący ogień, powiedziała: - Nie cieszysz się, że mnie widzisz, prawda?

- Cieszę się, bardzo się cieszę - pospieszył z wygłoszoną z przekonaniem odpowiedzią. Odwróciła się do niego i jej twarz się rozjaśniła.

- Musiałam przyjechać, Johnie. Nie pisałeś do mnie. Cały czas o tobie myślałam.

Pokręcił głową.

- Myślałeś o mnie?

- Tak.

- Cieszysz się, że przyjechałam?

Kiedy zwlekał z odpowiedzią, powiedziała cichutko: - Nie cieszysz się. Nie cieszysz.

- Ależ tak - przysunął się do niej. - Ale... ale to jest niemożliwe. Mam na myśli to, że jesteś taka młoda. Ja... ja... no cóż, jestem dostatecznie stary, by być twoim ojcem.

- Może. - Poruszyła głową, wpatrując się wciąż w jego twarz, i powtórzyła: - Może. Ale ja nie myślę o tobie jak o ojcu. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że jesteś moim ojcem. Nigdy... od samego początku. Mam na myśli nasze pierwsze spotkanie. Na swoje nieszczęście - zawsze to powtarzam - na swoje nieszczęście wyglądam tak młodo. W środku nie jestem młoda. Znam wielu ludzi, a mężczyzn w szczególności. Ty jesteś inny.

- Yvonne, moja kochana - wzięła ją za rękę. - Musimy porozmawiać. Jest tak wiele przeszkód.

- Jakich przeszkód?

- Boże mój! - zamknął na chwilę oczy, a ona zapytała:

- Dlaczego mówisz „*mon Dieu*”? Martwi cię moja wizyta?

- Nie - potrząsał jej dłońmi. - Uwierz mi, Yvonne, że nie. Jestem szczęśliwy, że cię widzę, bardzo szczęśliwy - dokończył szeptem.

- Myślałeś o mnie? - spytała.

- Cały czas - odparł.

Milczał przez chwilę zanim powiedział powoli: - Ale są tu moi rodzice. Matka i ojciec potrzebują mnie tutaj.

Twarz jej się roz pogodziła: - Zostanę z tobą. Co znaczą przeszkody? Zostanę z tobą. Kocham farmę, nawet krowy - roześmiała się. - Kocham Maggie i... i mam nadzieję, że lepiej poznam swoją przyrodnią siostrę i postaram się, żeby mnie polubiła. Powinniśmy się lubić, jesteśmy siostrami. Nie mam żadnej innej siostry.

Bliski był ponownego zamknięcia oczu i wypowiedzenia słów: „moja kochana”, kiedy Maggie, uprzedzając o swojej obecności zawołała otwierając drzwi: - Powiedziałam Terry'emu i Willy'emu, że przyjechałaś. Bardzo się cieszą. A teraz zanieśmy te rzeczy do twojego pokoju, żebyś się mogła rozpakować. Do tej pory mama - zrobiła przerwę - mama z pewnością wróci. - Nie powiedziała tego, co miała na końcu języka: I twój przyjazd odwróci jej uwagę ode mnie.

John poszedł zanieść walizki, a Yvonne powiedziała: - Nie wszystko jest moim bagażem, część to prezenty. Spędzimy wieczór na przebieraniu się. - Przebieraniu? - zapytała Maggie, a Yvonne potwierdziła: - Tak, przebieraniu. Poczekaj, to zobaczysz.

\*

Hal przyjechał do domu pierwszy. Kiedy zsiadł z konia, John wyszedł ku niemu z obory, lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Hal zaczął wołać z daleka: - Złodziejstwo w biały dzień! Cholerni złodzieje! Biorą konie praktycznie za darmo, karmią je wyganiając na łąkę, też za darmo, a potem wystawiają na sprzedaż po niebotycznej cenie. Przyuczone, powiadają, przyuczone.

- Tato.
- No, co tam?
- Mamy gościa.
- Gościa? Kto przyjechał, ktoś z naszych?
- Nie, nikt z naszych. To Yvonne. Wróciła.
- Nie! Kto ją przywiózł?
- Przyjechała sama.
- Nie może być!
- Tak.

Zmierzali do drzwi, lecz Hal zatrzymał się w pół drogi i popatrzył na Johna spod przymrużonych powiek. - No, jeśli o mnie chodzi, będzie mi miło ujrzeć tę dziewczynę, jest wesoła - powiedział. - Ale nie wiem, jak przyjmie ją twoja matka. Chyba wiesz, że jej nie polubiła. Co jest naturalne, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności, nie sądzisz?

Kiedy John nie odpowiedział, Hal szorstkim tonem powtórzył: - Słyszałeś, co powiedziałem? Naturalne, że matka jej nie polubiła, jeśli wziąć pod uwagę to wszystko.

- Tak, wiem, że masz rację, ale przypuszczam, że ona nie przyjechała tu odwiedzić mamy.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. - Nie wiem, co chcesz mi dać do zrozumienia, a może i wiem - rzekł Hal spokojnie. - Na twoim miejscu dwa razy bym się zastanowił. Nie chcesz chyba zrobić z siebie pośmiewiska?

Powiedziawszy to, odwrócił się i wszedł do domu. John rad nie rad, zgrzytając zębami wrócił do obory. Tam zacisnął dłoń w pięść i walnął nią mocno w ścianę, klnąc przy tym na czym świat stoi.

Gdy Mary Ellen wróciła do domu, zapadał zmierzch. Wracała niewiele pocieszona. Sposób, w jaki Kate przyjęła wstrząsającą nowinę, nie zadowolił jej ani trochę. Kate nieoczekiwanie przypomniała jej we właściwy sobie taktowny sposób, że Willy jest w tej chwili w podobnym położeniu, w jakim był Hal, kiedy wychodziła za niego za męża. Powiedziała także, że nie obwinia Maggie za to, że złapała dla siebie coś z życia. Mary Ellen dobrze wiedziała, że Kate była ślepo zakochana w Benie, po tych wszystkich latach równie mocno jak w dniu ślubu. Napomknęła też, że rozumie, co przeżywa teraz Maggie i że wcześniej nic nie miała z życia. Kiedy Mary Ellen zapytała porywczo: - A czyja to wina? Miała okazje, by wyjść za męża, i to więcej razy niż którakolwiek z was - odpowiedź Kate brzmiała: - A może taką ma naturę. Musi się sprzeciwiać.

Sprzeciwiać! Bezwstydnica, oto właściwe słowo. Jaki tam sprzeciw!

Kiedy wjechała na podwórze, zastała je puste. Krzyknęła: - Hej, Willy! - Pojawił się zamiast niego Terry. - Ja wezmę konia, proszę pani.

- Gdzie są wszyscy?

- Pan i panicz John są w domu. Willy naprawia ogrodzenie po wschodniej stronie, przynajmniej naprawiał, kiedy go widziałem. - Uśmiechnął się do niej szeroko, ale nie pisnął słowem, że ma gościa.

Wkroczyła do kuchni i popatrzyła na pusty drewniany stół. Ostatnio wprowadziła zwyczaj jadań wieczornego posiłku w kuchni, aby zaoszczędzić pracy. Z jadalni korzystano tylko w soboty i niedziele, kiedy przyjeżdżała rodzina. Po-

patrzyła na zlew. Stało w nim pełno nie umytych filiżanek i garnuszków.

Wchodząc do sieni rozwiązywała wstążki od kapelusza, gdy wtem głośny chóralny śmiech dochodzący z salonu zatrzymał ją na miejscu. Rozpoznała górujący nad innymi tubalny śmiech Hala.

Pchnęła drzwi salonu i stanęła jak wryta. Na obróconych ku niej twarzach zamarł śmiech. Jej oczy spoczęły na szczupłej sylwetce dziewczyny, która podnosiła się z fotela.

- I co powiesz? - Hal powitał ją rubasznie. - Zjawiła się jak z nieba. To dopiero niespodzianka, co?

- Jak się pani miewa, *madame*. - Yvonne bez uśmiechu na twarzy patrzyła na kobietę, która odwzajemniła jej spojrzenie, podczas gdy John pomagał jej zdjąć płaszcz.

Zmuszona, by odpowiedzieć cokolwiek, Mary Ellen spytała: - Dlaczego nas nie uprzedziłaś?

- Bo zdecydowałam się... - Yvonne zatrzymała się nim dopowiedziała - ... szybko. - Zerknęła na Maggie, która także wstała, by pójść do kuchni.

- Pod wpływem chwili - podsunęła jej Maggie.

- Tak, właśnie tak. - Yvonne kilka razy pokiwała głową. - Gotowa byłabym przysiąc, że mój angielski się poprawił, ale do tego jeszcze długa droga.

Mary Ellen podeszła do kominka i wyciągnęła dłonie, by je ogrzać. - A co z twoim domem?

- Dobrze. Malarze już skończyli. Jest ładny... wygodny. Miałam kilka ofert kupna.

- Czy ty...? - Mary Ellen odwróciła się od ognia.

- Och nie, nie. - Yvonne znowu przerwała, jakby się nad czymś zastanawiała, po czym dodała: - Jak do tej pory, nie. Nie wiem - dodała cichutko: - Czy mogę tu zostać na trochę?

Nastąpiła chwila znaczącej ciszy, zanim Mary Ellen odparła: - Myślę, że tak, skoro już tu jesteś. - Po czym gwałtownie odwróciła się mówiąc: - Idę się napić herbaty. Wygląda na to, że wy już piliście.

Gdy wyszła z pokoju, John poszedł tuż za nią depcząc jej niemal po piętach. W połowie sieni zatrzymał matkę, biorąc ją za ramię i obracając tak, by stanęli oko w oko. - Mamo,

ona przebyła sama długą drogę z Francji. Mogłaś chyba przywitać się z nią po ludzku.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Oczekiwałem odrobiny zrozumienia. Mamo, ona tutaj jest. Będzie tu jakiś czas. Chcę powiedzieć, że albo ona zostanie tu na długo, albo znajdziemy inne rozwiązanie.

Wyrwała ramię z jego uścisku. - Mój Boże! Że też musiałam doczekać takiego dnia. Oszaleć można przez jedno i przez drugie. I nic dziwnego. Jesteś wariatem, wiesz o tym? Staniesz się pośmiewiskiem, dziwadłem. Nie będziesz mógł chodzić z podniesionym czołem. Pomyśl nad tym, zanim pofolgujesz żądzy starego kawalera.

Stał tam, gdzie go zostawiła, z nisko spuszczoną na piersi głową. Pofolguje żądzy starego kawalera. Przecież nie był stary. Czterdzieści lat to jeszcze nie starość, nie dla mężczyzny. Ale matka ma rację, że się ośmiesz. Gdyby Yvonne nie wyglądała tak dziecinnie, przynajmniej na pierwszy rzut oka! Ciężko będzie ludziom uwierzyć, że ma dziewiętnaście lat. Ale ma tyle i kocha go, a on... Uczucie, jakie do niej żywił, wydawało się nie mieć nazwy. To było coś daleko więcej niż miłość. Uwielbiał ją, nie tylko jej urodę, ale dźwięk jej głosu, każdy jej ruch, jej myśli, emanujące z niej ciepło. Tak, jej ciepło. Nie mógł bez tego wszystkiego żyć. Teraz czuł wyraźnie, że nie mógł się bez tego obejść. Nic nie liczyło się bardziej. Nic się dla niego nie liczyło tak jak ona. Będzie ją miał. Nikt go nie powstrzyma, matka, ojciec, śmieszność, na którą może się narazić, farma. Nic ich nie powstrzyma przed połączeniem się.

\*

Minęła dziesiąta, kiedy Mary Ellen i Hal weszli do swojej sypialni. Ledwie zamknęły się za nimi drzwi, Hal głosem, który u niego był szeptem, odezwał się: - Co się z tobą dzieje, kobieto? Zachowujesz się jak rozdrażniona osa. Nie zmienisz niczego. On się już zdecydował, więc równie dobrze możesz się zacząć do tego przyzwyczajać.

- Ech, ty! Przyzwyczajać się, do czego? Do mojego syna i tej lalki? Nie umie nawet mówić po naszemu.

- Mówi dość dobrze, powiedziałbym, że lepiej nawet niż ci, którzy się tu wychowali. Jeśli to wszystko, co przeciw niej masz, to...

- To nie wszystko. Nie wszystko, i ty wiesz o tym. Powiem ci jedno: nie rozumiem twojej postawy. Wiesz, czyją jest córka i wiesz o pokrewieństwie z Kate i jeszcze...

- Tak, kobieto - pochylił się nad nią i przysunął twarz blisko jej twarzy. - Nie potrzebujesz tego podkreślać - wyszeptał. - Wiem, czyją jest córka i wiem, czyją córka jest Kate. Tkwiło to w mojej głowie od dnia, kiedy ujrzałem twój brzuch z nią w środku. Ale to nie ma nic wspólnego z tą dziewczyną. Ona niczemu nie jest winna. Chodzi mi tylko o Johna. Powiadam ci, kobieto, że nie wpłyniesz na mężczyznę, gdy w grę wchodzi jego uczucia. Poza tym jest w takim wieku, że nie da się na niego wpłynąć. Zakochał się w dziewczynie po uszy, widać to, i musisz się z tym pogodzić. Albo zabierze się i pójdzie. I co wtedy zrobimy? Nie można polegać na wynajętych robotnikach, nawet na takim chłopie jak Willy, chociaż jest tak dobry.

- Chociaż jest tak dobry! A teraz ja mam ci coś do powiedzenia. Willy odejdzie jeszcze wcześniej niż stracimy Johna.

- Stracimy Willy'ego? Powiedział, że odchodzi?

- Nie, on tego nie powiedział, to powiedziała twoja córka.

Cofnął się i usiadł na brzegu łóżka. Spytał cicho: - Do czego zmierzasz?

- Nasza Maggie to następna, która zwariowała na stare lata. Od tygodni oboje z Willym spotykają się na potajemnych schadzkach.

- Nasza Maggie?

- Nasza Maggie.

- I Willy?

- I Willy.

- Wymyśliłaś coś sobie, kobieto.

- Skoro sobie wymyśliłam, to skąd wzięło się dziecko w jej brzuchu?

Skoczył z łóżka na równe nogi i twarz zrobiła mu się purpurowa. Mary Ellen dolewała oliwy do ognia. - Odwiedzała go nocami, Bóg jeden wie, jak długo. Przytąpałam ją na tym i postraszyłam, że będzie musiała spakować manatki. A ona zaczęła mi grozić. - Zacisnęła wargi i dodała: - A teraz co rano ma mdłości i zjada tyle sera, co irlandzki robotnik.

- Boże mój, Willy. - Opadł z powrotem na łóżko. - Nigdy nie znajdę drugiego takiego jak on - jęknął.

To rozżłościło Mary Ellen. - To wszystko, co masz do powiedzenia? Opuszczają nas oboje. A z czym ja zostaję? - prawie krzyczała.

- Kobieto, ścisz trochę głos. To nasza sypialnia. Rozmawiamy o rzeczach poufnych. Chcesz, żeby cały dom się dowiedział, co myślisz?

Powoli odwróciła się od niego. Głowa jej opadła, a ramiona poczęły drżeć. Hal podniósł się i objął ją. - Trzeba pozwolić im odejść. To wprowadzie nic dobrego, ale tak będzie lepiej. Nie mogę jednak uwierzyć w to o naszej Maggie. Powinnaś teraz starać się polubić Yvonne, bo możliwe, że zostanie z nami na dłużej.

Kiedy z jej oczu popłynęły łzy, w myśli odparła: - Nigdy. Nigdy.

W chacie Willy'ego Maggie opowiadała: - Przywiozła mi piękną sukienkę. Mogę w niej iść do ślubu. Jest wspaniała. Z błękitnego jedwabiu i cała w ruszkach - powiodła dłonią po piersi. - Ma obszerną spódnicę i śliczne szerokie rękawy. Jest naprawdę piękna. Johnowi przywiozła aksamitną kamizelkę, też bardzo elegancką. Ojcu podobną. Matce przywiozła także suknię. Z zielonego aksamitu, skromną, ale piękną. Matka nawet jej nie przymierzyła ani nie podziękowała. Tak się rozżłościłam, że prawie na nią naskoczyłam, ale teraz prawie ze sobą nie rozmawiamy. Biedny John, będzie musiał stoczyć prawdziwą bitwę. Bardziej jeszcze żał mi dziewczyny, bo jeśli coś z tego wyjdzie, a widać, że bardzo jej na tym zależy, przy matce będzie miała piekło nie życie.

- Nie będzie nas tam już i nie będziemy tego oglądać, bo myślę, że co do farmy to już prawie pewne.

- Nie!

- Tak - potwierdził, szeroko się do niej uśmiechając.  
- I myślę, że będę ją mógł dostać ze wszystkim - z kurami, gęśmi, trzema świniami, z których jedna wkrótce się oprosi - za jedyne osiemdziesiąt pięć funtów. Włączając jakies meble, choć nie nadzwyczajne. Używało ich przez lata siedmioro ludzi. Cały dom liczy sobie ponad dwieście lat.

- Och, Willy - objęła go ramionami. - Nie mogę się doczekać. Po prostu nie mogę się doczekać. To będzie jak droga do nieba.

- Cóż, po drodze do bramy niebieskiej trzeba przebrnąć przez błoto. Na podwórzu sięgało mi po kostki.

Siedzieli śmiejąc się, kołysząc i trzymając za ręce. Potem objął ją w pół i poprowadził w kierunku sypialni. - Nie musimy się już więcej spieszyć, prawda? - zapytał.

W odpowiedzi uśmiechnęła się i oparła mu głowę na ramieniu.

## 9

---

Minęły dwa tygodnie i wszyscy domownicy czuli, że nie mogą już dłużej znieść panującego tu napięcia. Mary Ellen celowo nie zwracała się do Maggie ani Maggie do niej. Kiedy Mary Ellen musiała o coś zapytać, pytała za pośrednictwem Yvonne, czyniąc to zawsze oschłym tonem i niemal zawsze unikając jej wzroku.

W obejściu Hal wydawał większość poleceń krzykiem i wplatał w nie coraz częściej przekleństwa. Tydzień wcześniej Willy wypowiedział mu pracę, mówiąc: - Umowa wygasa w środku lata. Zostanę do końca, żeby mógł pan załatwić nowych pracowników.

Odpowiedź Hala brzmiała: - Powiniennem wykopać cię stąd w tej chwili, bo jesteś podstępny, fałszywym cwaniakiem.

Zamilkł jednak, gdy Willy odgryzł się stanowczym tonem: - Nie jestem ani podstępny, ani fałszywy, panie Roystan. Kocham Maggie z wzajemnością, a zaczęło się to wkrótce po moim przyjeździe na farmę. I dopiero ostatnio postanowiliśmy się połączyć. Powiem panu tylko tyle, panie Roystan, że oboje jesteśmy dorosłymi ludźmi i mamy prawo iść razem przez resztę życia, tak samo jak pan z panią. - A kiedy Hal szukając odpowiedzi we wzburzonym umyśle zakrzyknął: - Czy wiesz, że będziesz moim cholernym zięciem? - Willy odparł: - To się zdarza. To nieszczęście dla obu stron.

Po tych słowach odszedł i zostawił Hala, który zżymał się w duchu, ale żałował, że Willy jest tylko parobkiem, bowiem chłop ma nieźle poukładane w głowie...

Pewnej soboty Maggie i Willy wybrali się z Halem na targ. Wzięli furmankę, Hal zaś pojechał konno. Kiedy odjechali, Mary Ellen weszła do mleczarni. Nie mogła zostać w kuchni z tą dziewczyną gotującą swoje wyszukane potrawy. Dwa razy w tym tygodniu pytała, czy może przygotować jakieś francuskie dania. Ostatnio zrobiła rodzaj gulaszu i domownicy przywitani to danie na stole pochwalnymi „ochami” i „achami”. Mary Ellen smakowało po prostu samymi liśćmi laurowymi. A pudding, który zrobiła, był lepki i czczy, bez niczego w środku. Za to nosił francuską nazwę *sufflay*, czy coś podobnego. A teraz znowu zapytała, czy może zrobić pasztet. Co mogła powiedzieć? Ale z pewnością nie musi na nią patrzeć. Ta dziewczyna działa jej na nerwy. Czuła, że nie wytrzyma tego dłużej.

Ponad godzinę spędziła w mleczarni. Zrobiła trochę masła i poprzekładała małe serki na kamiennych półkach. Potem chciała zrobić świeżego sera i podeszła do dwóch talerzy stojących na kamiennej ławie. Jeden był pusty. Zagryzła mocno dolną wargę. W soboty zostawały zazwyczaj dwa lub trzy dzbanki gęstej śmietany, z której robiło się ser. To było zajęcie Maggie. Musiała tym razem nie zdjąć śmietany z mleka, pewnie wylała je świniom. Oboje jakby się zmówili, żeby zaniedbywać w pracę. Na podwórzu widziała grudy błota. Kiedyś Willy'emu nie śniłoby się, żeby pojechać na targ nie zamiótlszy uprzednio podwórza do czysta. Przez ostatnie cztery dni lał deszcz i błoto przenoszone z drogi brudziło podwórze. Nigdy dotąd nie pozostawało na nim długo.

Otworzyła drzwi i rozejrzała się wokół. Niebo było pogodne i ciemnobłękitne. Płynęły po nim pojedyncze białe obłoki. Wiał rześki wiatr, ale słońce grzało mocno. W powietrzu czuło się wiosnę. Po raz pierwszy jednak nie cieszyła się z powodu jej nadejścia.

Wtem zauważyła Johna w towarzystwie dziewczyny. Była niczym jego cień, nie zostawiała go ani na chwilę. Czyżby nie miała już ochoty przygotowywać pasztetu? Targnął nią gniew, kiedy zobaczyła, że John otwiera drzwi szopy i wpuszcza Yvonne do środka.

Boże! Czy mogła potraktować to obojętnie? Wiedziała, co może się tam wydarzyć, nawet jeśli tego nie ukartowali. A że ukartowali coś, była tego pewna. Przemierzyła szybko podwórze i weszła do obory, do której przylegała szopa. W środku były nie używane drzwi do szopy, dawno temu zabite deskami. Po cichu przemknęła obok pustych boksów. Zbliżywszy się do drzwi, przyłożyła do nich ucho.

Poszczególne słowa nie były głośne, ale wystarczająco wyraźne. Aż skuliła się w sobie, kiedy usłyszała: - Och, moja najukochańsza. - Potem zapadła cisza, w czasie której Mary Ellen pofolgowała swojej wyobraźni. Za chwilę usłyszała głos dziewczyny: - Mam dość pieniędzy, mój drogi Jean, żeby kupić ci trzy farmy... Dobrze, najdroższy, skoro mówisz, że sam możesz ich mieć dosyć ze swojego udziału, pozwól, żebyśmy odeszli.

- Yvonne, próbowałem to wyjaśnić, nie mogę.

- Nie chcesz odejść?

- Boże jedyny, pewnie, że chcę. Nie ma niczego, czego bardziej bym pragnął, niż wziąć cię za rękę i uciec stąd, do pociągu, na statek i... i do twojego domu. Niczego bardziej nie pragnę. Ale... ale moi rodzice... są już starzy i ode mnie zależni.

- Twoja mama mnie nie lubi.

- To tylko jej sposób bycia. Nie jest kobietą, która okazuje swoje uczucia.

- Ależ, tak, Jean, okazuje mi swoje uczucia, wiem o tym.

- Moja droga, co mogę zrobić? Co mogę powiedzieć? Tylko to, że nie nalegam, abyś została, ale nie wiem, jak będę żyć bez ciebie.

- Nie musisz tego robić, Jean, mój najukochańszy. Jeśli nie odejdziesz ze mną, ja zostanę z tobą. Pobierzemy się i wytrzymam to wszystko dla ciebie. To nie może trwać zawsze. Ja jestem młoda i ty jesteś młody. Tak, tak, jesteś. Wyglądasz młodo i duszę masz młodsza i... ja zatrzymam dla ciebie twoją młodość. Obiecuję, przy mnie zawsze będziesz się czuł młodo.

W ciszy, która potem nastąpiła, Mary Ellen powoli odwróciła się i powlokła z powrotem na podwórze. Nogi ciążyły jej, kiedy zdążyła do mleczarni. Tam oparła bezwładne ręce na kamiennym stole, pokręciła gwałtownie głową i głośno

powiedziała: - Nie zniosę tego. To nie powinno się było mi przytrafić, nie w starości. Oboje, córka i syn, gotowi są uciec od swych rodziców jak najdalej, gnając na złamanie karku. Co my takiego zrobiliśmy? Czym sobie na to zasłużyłam? Chciałabym umrzeć. Chciałabym umrzeć, żeby nie doczekać takiej chwili.

\*

Dokładnie o piątej wrócił Hal. Kiedy nie znalazł Mary Ellen w kuchni, rozdarł się na cały dom: - Gdzie jesteś? Gdzie się podziałaś, kobieto?

Wpadł do salonu i spostrzegł, że tu także jej nie ma. Potem wszedł do gabinetu, następnie do jadalni, a na końcu do sypialni. Znalazł ją tam siedzącą przy oknie. - Co się z tobą dzieje, kobieto? - spytał. - Dlaczego siedzisz tu na górze? I nie nastawiłaś herbaty?

Wstała i odparła: - Och, myślałam, że nasz francuski gość już się tym zajmie.

- Na litość boską! Daj spokój z francuskim gościem. Zostaw dziewczynę w spokoju. W tej chwili mam co innego, a nie ją na głowie. Wiesz, co dzisiaj widziałem w Hexham? Tego smarkacza pijanego jak bela. Ledwie trzymał się na nogach. Był tam z najmłodszym z Reilly'ów. To jeszcze nie wszystko. Dziewczyna Reilly'ów też z nim tam była. To znana zdzira. I jak myślisz, co zrobił, kiedy mnie zobaczył? Wykrzywił się do mnie, a potem zaczął się śmiać i zawołał: - Hej, dziadku. - Byłem gotów zamordować go na miejscu. Boże mój, czasem są chwile, kiedy tak się czuję. I dzisiaj, gdybym był dostatecznie blisko niego, Bóg wie, co by się mogło stać. Ale jeszcze się z nim rozprawię. Przysięgam, że to zrobię.

- Nie opowiadaj takich rzeczy, człowieku. Zwłaszcza jeśli nie masz zamiaru tego zrobić. Chłopak jest nieokrzesany, wyrośnie z tego. Poza tym, to nie jest twój interes, tylko Bena i Kate, a oni są wystarczająco dorośli, żeby dopilnować swoich dzieci.

- W tym chłopaku tkwi nikczemność. Jest wymalowana na jego twarzy. On jest jak wszyscy Bannamanowie razem wzięci.

- Przystaniesz wreszcie? Posłuchaj mnie: mamy dosyć kłopotów na głowie, żeby jeszcze myśleć o sprawkach Frasera.

Wiesz, że ona, ten nasz francuski gość, namawia Johna, żeby odszedł i osiedlił się we Francji?

- A to co znowu?

- Słyszysz chyba, co mówię.

- Jak się tego dowiedziałas?

- Podśluchałam ich... Celowo ich podśluchałam. Uważałam, że mam do tego prawo, żeby wiedzieć na czym stoję. No i wiemy teraz.

- John nie powinien stąd wyjechać. Dobrze wie, że nie leży to w jego interesie. Farma będzie jego, kiedy odejdziemy. Pozostałe dzieci są już dobrze urządzone.

- Nie bądź głupi, człowieku. Ona ma dosyć pieniędzy, żeby kupić mu trzy farmy, sama tak powiedziała. I czyż nie jest właścicielką pięknego domu w Paryżu?

- Czy on powiedział, że odejdzie? - głos Hala ścichł.

- Nie, powiedział, że zostanie. A ona zgodziła się zostać tutaj z nim. Ale ja z nią nie wytrzymam. Czy nie widzisz - głos jej się załamał - że nie mogę jej ścierpieć?

- Widzę tylko, że ona nie jest ciężka we współżyciu. Po prostu nie próbowałaś, uprzedziłaś się do niej. Teraz, kiedy Maggie nas opuści, będziesz się czuła samotna. Ona zastąpi ci córkę.

- Nie chcę takiej córki, Hala. Dla mnie jest córką kobiety upadłej. Wieloletniej kochanki Roddy'ego Greenbanka. Jeśli miała jego, ilu jeszcze innych mogła mieć, a ta może wdała się w matkę. Kto wie? Francuzki takie już są. Dużo się o nich nasłuchałam.

- Przestań już. Jeśli chcesz, by John tu został, ona jest ceną, którą będziesz musiała za to zapłacić. Tracimy Willy'ego i muszę to przyznać, choć niechętnie, że nie znajdziemy drugiego takiego jak on i będzie mi go brakowało. I wiem też, że odczuwamy boleśnie brak Maggie, bo dziewczyna pracowała latami za dwie, a nawet za trzy.

- Czyja to wina? Zawsze wymigiwałeś się od najęcia płatnej służby.

- No cóż, ty także nie chciałaś tutaj nikogo takiego, prawda? Nie chciałaś, żeby w twoim domu kręciła się jakaś obca kobieta. Ale teraz wygląda na to, że nie masz innego wyjścia. I pamiętaj jeszcze jedno, że kiedy John odejdzie,

zabierze ze sobą swoją część, co mocno okroi nasze zasoby. Boże jedyny! - odwrócił się - byłem głupcem, że dałem mu to na piśmie. Powinienem być kazać mu czekać do mojej śmierci. - Wydał z siebie przeciągłe westchnienie i wyszedł zostawiając ją z otwartymi ustami.

Miała ochotę krzyżeć, po prostu stać i krzyżeć. Nie umiała wczuć się w jej położenie. Nie przejmował się tym, co ona czuje wobec Yvonne, obchodziło go tylko, żeby zatrzymać tutaj Johna i jego udział. W gruncie rzeczy nie przejmował się też odejściem Maggie, lecz ubolewał nad utratą Willy'ego. Okazał się samolubnym zwierzęciem, w najwyższej mierze niewdzięcznym. Poświęciła mu swoje życie, a co w zamian dostała?

Myślami cofnęła się do swojego dzieciństwa, kiedy nienawidziła chłopca o imieniu Hal Roystan i miała ochotę cisnąć w niego czymś ciężkim.

Jej obecne zachowanie rzeczywiście przypominało zachowanie tamtej dziewczynki, gdyż podeszła do szafy i wyjęła z niej suknię, którą dostała od Yvonne. Zdjęła ją z wieszaka, cisnęła na podłogę, i zaczęła deptać. Następnie przysiadła w nogach łóżka i ścisnąwszy mocno żelazną poręcz potrząsała nią zaciekle, jakby chciała ją wyrwać.

---

## 10

---

Zapowiadał się piękny wiosenny dzień. O jedenastej słońce przygrzewało już mocno, a tu i ówdzie z wilgotnych pól unosiły się obłoki pary. Woda w potoku wartko płynęła po kamienistym dnie, a Yvonne stała nad brzegiem i przyglądała się jej biegowi. Nie postrzegała jej jednak tak jak wówczas, kiedy miała przy boku Johna. Gdyby był przy niej John, zauważyłaby w niej, śmiejąc się wesoło, różnobarwne plamy, jak w ostatnią niedzielę. Potrząsała mocno jego ramię, kiedy mówił: - Dla mnie jest po prostu przezroczysta. Może zobaczyłbym ją inaczej, gdybym wracał z jakiegoś targu albo święta. - Zaśmiali się razem.

Ostatnio nie śmiali się często i zadawała sobie pytanie, czy tak będzie wyglądało ich życie, kiedy poślubi Johna i farma stanie się jej domem. Jak wytrzyma z matką Johna, która każdego dnia dawała jej odczuć swą niechęć? Kiedyś miała nadzieję, że pokochają się jak matka i córka, ale teraz wiedziała już, że to niemożliwe. Ta kobieta nie cierpiała jej z całego serca i okazywała to przy każdej okazji. Wprawdzie Yvonne miała oparcie w Maggie, ale Maggie wkrótce stąd odejdzie razem ze swoim Willym i co wtedy? Pograżona w niewesołych myślach cofnęła się znad brzegu i poszła dalej ścieżką wzdłuż wijącego się potoku, aż dotarła do dużych głazów, po których można było przejść na drugą stronę. Przeskakiwali po nich ostatniej niedzieli z Johnem i wracali do domu lasem. Lecz tego ranka woda niemal zakrywała ich wierzch i wyglądały na śliskie.

Stała niezdecydowana, czy zaryzykować zamoczenie nóg, czy raczej pójść ścieżką dla koni wiodącą brzegiem, który wznosił się dość wysoko. Wtem usłyszała w oddali odgłos końskich kopyt i po chwili ujrzała Harry'ego i Frasera.

Fraser ściągnął cugle swojego wierzchowca i stał wpatrując się przez chwilę z góry na nią, a ona patrzyła w górę na niego. Zsiadł z konia, brat poszedł w jego ślady, lecz Fraser rzucił mu wodze i polecił zostać na miejscu. Zszedł po stromym zboczu i zbliżył się do niej.

- Na przechadzce? - zagadnął przyjaźnie.

- Owszem, wyszłam, jak to się mówi, zaczerpnąć świeżego powietrza - uśmiechnęła się.

- Sama?

Uśmiech zaczął znikać z jej twarzy, kiedy potwierdziła.

- Mój... mój wuj John wykorzystuje okazję, prawda?

Popatrzyła na niego pytająco, ale nie poprosiła o wyjaśnienie, wyczuła bowiem w jego tonie coś obraźliwego.

- Czy to prawda, że masz zamiar wyjść za niego za mąż?

- To prawda.

- No, no, moja ciotka wychodzi za mojego wuja. Jesteś moją cioteczką, czyż nie? To zabawne, bo wyglądasz tak dziecinnie.

- Jesteś... napastliwy.

- Co? Napastliwy, dlatego że po prostu stwierdzam fakt? Jesteś przecież przyrodnią siostrą mojej matki. Wygląda na

to, że twój ojciec skorzystał z okazji, kiedy jeszcze tu mieszkał.

- Jesteś umyślnie niegrzeczny. I do tego nie jesteś pijany, ale trzeźwy i zachowujesz się jak... jak... - szukała angielskiego określenia.

- Jak kto? Dalej, powiedz mi, jak się zachowuję, cioteczko.

Weszła wyżej i chciała wspiąć się na brzeg, ale stał jej na drodze i żeby dostać się na ścieżkę omijając go, musiałyby wspiąć się w miejscu, gdzie brzeg był bardzo śliski. Wolała nie ryzykować upadku, skierowała się więc w stronę kamieni i już wyciągnęła nogę, żeby stanąć na pierwszym, kiedy złapał ją za rękę. - Pozwól, pomogę ci przejść - powiedział.

- Zostaw moją rękę, proszę.

- Zostaw moją rękę - powtórzył przedrzeźniając ją. - I pozwól mi wpaść, co, cioteczko? Nie, nie mogę tego zrobić. Chodź.

Stanął na pierwszym głazie i już zamierzał pociągnąć ją do przodu, kiedy z brzegu dobiegł głos Harry'ego. - Frag! Frag, zachowuj się. Zostaw ją w spokoju, Frag! - wołał.

- Przecież pomagam cioteczce przejść przez potok, nie widzisz? - odkrzyknął do brata.

Yvonne odchyliła się do tyłu i z większą niż można się było po niej spodziewać siłą odciągała go z kamienia. Ale trzymał ją ramionami i zaglądając w twarz mówił: - Boisz się, że wrzucę cię do wody? - Nagle jego żartobliwy ton ustąpił miejsca tonowi poważnej groźby. - Mam szczerą ochotę właśnie to zrobić - warknął. - Wrzucić cię do wody i ostudzić twoje zapały, bo jesteś mąciwodą. Wiesz o tym? Mąciwoda. Wystarczy na ciebie spojrzeć, by wiedzieć, jakie z ciebie ziółko. Jesteś przyczyną zmartwienia mojej matki i babci. Ale nie mężczyzn, o nie!

- Zostaw mnie, proszę.

- Kiedy będę chciał.

Odwróciła głowę ku brzegowi, gdzie stał Harry.

- Harry! Idź i przyprowadź Johna. Proszę cię! Przyprowadź... - zawołała rozpaczliwie.

- Przyprowadź Johna? Ty brudna francuska flądrol!

Ścisnął ją mocno za ramiona i potrząsał z taką siłą, że jej głowa zaczęła podskakiwać. Krzyczała przeraźliwie.

1  
Nie zdawała sobie sprawy, że Harry, który już miał dosiąść konia, zatrzymał się na widok nadbiegającej postaci. - Dziadek, dziadek tu idzie! - zawołał do Frasera.

Ale Fraser zbyt był pochłonięty trzymaniem w objęciach dziewczyny, która zburzyła jego spokój od pierwszego spotkania. Czuł w ramionach opierające się ciało, a jego zapach i miękkość podziały na niego o wiele mocniej niż jakakolwiek wypita w życiu wódka. Do przytomności powrócił dopiero, gdy wyszarpięto Yvonne z jego objęć i spadł na niego cios pięści dziadka. Zachwiał się i patrzył, jak dziewczyna przywiera do Hala szlochając głośno.

- Ty nikczemny łajdaku! Obję cię za to - ryknął Hal.

Na dźwięk wściekłego głosu dziadka Frasera opuściło uczucie młodzieńczego pożądanego. - Spróbuj tylko, a zobaczymy, kto będzie górą - odkrzyknął.

Hal zazgrzytał zębami i odwracając głowę krzyknął do Harry'ego: - Zejdź tutaj, Harry, i zabierz dziewczynę do domu!

- Tak, dziadku. Idę, dziadku. - Chłopiec owinał wodze wokół pnia drzewa. Kiedy począł schodzić w dół, Fraser krzyknął do niego: - On nie jest twoim dziadkiem. Nie jest żadnym naszym krewnym. Jest niczym więcej, jak tylko starym, łasym na forszę bykiem. Jej ojciec był naszym dziadkiem - wskazał palcem Yvonne. - Ten nigdy nim nie był i nigdy nie będzie. Zatem - pochylił się i z nienawiścią patrzył na Hala - panie Roystan, niech pan nie podnosi na mnie ręki - zakończył.

W pierwszej chwili Hala замуrowało. Delikatnie popchnął Yvonne w stronę Harry'ego. Następnie postąpił powoli dwa kroki do przodu i skoczył na Frasera niczym młody atletyczny mężczyzna. Włożył w to tyle siły, że obaj zwalili się na ziemię i potoczyli w stronę wody. Chłopak był silny i pierwszy doszedł do siebie po zderzeniu, okładając pięściami i kopiąc starszego człowieka. Wierząc próbował uwolnić się z uścisku, lecz ciężar Hala przeważał i ściągał ich dalej do wody. Gdy Hal znalazł się całym ciałem na chłopcu, ścisnął oburącz jego gardło. To, co się zdarzyło potem, sprawiło, że Yvonne zaczęła krzyczeć i odwróciła głowę wpijając się rękami w Harry'ego, który stał zmrożony strachem widząc, że czło-

wiek, którego uważał za swojego dziadka, najpierw bezlitośnie potrząsa jego bratem, a potem tłucze jego głową o krawędź głazu.

Znad wody nie dochodził już żaden odgłos walki. Harry wpatrywał się w brata, który leżał wyciągnięty z głową przegiętą w bok. Popatrzył na dziadka, który podczołgał się na wysoki brzeg, obrócił się na plecy i złapał ręką za serce. Po chwili i on leżał nieruchomo.

Chłopiec nie poruszył się. Jakby wrósł w ziemię. To Yvonne odwróciła się pierwsza i popatrzyła na dwie leżące bezwładnie postacie. - *Oh, mon Dieu! Mon Dieu! Mon Dieu!* - jęczała. Popchnęła Harry'ego i wydyszała: - Przyprawdź kogoś, byle prędzej! - To jakby przywróciło go do życia, bo wsiadł na konia i pogalopował.

Yvonne pozostała na miejscu przez minutę, po czym podeszła do starego człowieka. Nie przyklękła przy nim, ale przyjrzała mu się spoglądając z góry. Jego oczy były otwarte, a klatka piersiowa lekko się unosiła. Potem popatrzyła na chłopca. Woda wokół głazu zabarwiła się na czerwono, a jego twarz była kredowobiała, kontrastując silnie z czarnymi włosami. Nie uczyniła żadnego wysiłku, żeby podejść bliżej - nie była w stanie. Opanowała ją ogromna słabość. Modliła się o śmierć, by na zawsze zetrzeć z myśli ten koszmarny obraz. Modlitwa została wysłuchana natychmiast, bo Yvonne zemdlała.

Mężczyźni wychodzący z kaplicy, kilku górników niosących do domów, jak zwykle w niedzielę rano, resztki ciężko zarobionej wypłaty, farmerzy i ich pomocnicy z dwóch okolicznych farm, wszyscy zebrali się na miejscu. Kilku z nich poniosło ciało chłopca do domu rodziców, a kilku żywe, lecz sparaliżowane ciało dziadka chłopca na jego farmę. Wszyscy okoliczni mieszkańcy byli ogromnie podekscytowani, bowiem brat nieboszczyka dostał histerii i bełkotał w kółko o tym, co się zdarzyło. Powtarzał to bez przerwy, dopóki doktor nie uspokoił go za pomocą laudanum.

# 11

Aż do czwartku przez dom nieustannie przewijali się goście, lecz dzisiaj panował spokój, bo tego dnia miał się odbyć pogrzeb chłopca.

W poniedziałek przyjechali Hugh i Gabriel z Newcastle. Zostali aż do dzisiejszego ranka. Hugh przyjmował konstabla i inspektora policji, który prowadził śledztwo w sprawie człowieka, który zabił chłopca uchodzącego za jego wnuka. Zarówno Hugh jak i doktor wyjaśniali, że człowiek ten jest zupełnie sparaliżowany i pozbawiony mowy, nie może uczynić najmniejszego gestu, a jedyną oznaką życia jest to, że oddycha i ma otwarte oczy, chociaż nic nie widzi.

Tom także przyjechał, lecz bez żony. Charles i Florrie przyjechali również, ale nie zostali, bo nie mieli tu co robić, przynajmniej nie w tym domu. U Kate przeciwnie, tam byli potrzebni, gdyż - jak powiedziała Florrie - Kate i Ben zupełnie oszaleli z rozpaczy.

Składali także wizyty sąsiedzi, bardziej znajomi niż przyjaciele. Celem ich odwiedzin było nie tyle złożenie wyrazów współczucia, ile zaspokojenie ciekawości. Dziś jednak w domu byli tylko jego stali mieszkańcy. Mary Ellen spędzała większość czasu w sypialni. Maggie jak zwykle prowadziła dom i opiekowała się Yvonne, która ciągle pozostawała w szoku, pod ciężarem wyrzutów sumienia, że była przyczyną tej tragedii.

Wszyscy czworo, a szczególnie Mary Ellen, myśleli dziś tylko o jednym: o pogrzebie chłopca.

Siedziała na brzegu łóżka, które dzieliła z Halem przez czterdzieści parę lat. Umyła go, jak co dzień od chwili, kiedy go tu położono. Zmieniła zmoczone prześcieradło, co należało teraz robić dwa lub trzy razy dziennie. Uczesała mu włosy i położyła jego ręce na kołdrze. A teraz rozmawiała z nim, co także było częścią opieki nad chorym, bo taki porządek sobie narzuciła. - No jak? - spytała - wygodnie ci tak? Tak jest lepiej - pochyliła się i odgarnęła kosmyk siwych włosów z czoła. - Ogolę cię dziś po południu - obiecała. - Nie... nie pozwolę Johnowi tego robić. Zrobię to sama.

- Halu - podniosła się i przesiadła na krzesło. Pochyliła się nad nim i patrzyła w jego wytrzeszczone oczy i miękkim, drżącym głosem spytała: - Czy mógłbyś dać mi jakiś znak, mrugnąć chociaż czy zrobić cokolwiek, żebym wiedziała, że rozumiesz, co do ciebie mówię? Mógłbyś spróbować? Spróbuj, chłopcze, spróbuj.

Czekała na sygnał, a kiedy żaden nie nadszedł, usiadła z powrotem na krześle i przyciszonym głosem, wypowiadając słowa szybko, prowadziła dalej rozmowę: - Chcę, żebym wiedziała, że cię nie obwiniam. Nie winię ciebie za to, co się stało. To jej wina. Musiała ośmielić chłopaka i nikt nie wini ciebie. - To było kłamstwo, o czym dobrze wiedziała. - Zrobiłeś to, co zrobiliby każdy na twoim miejscu. To był wypadek. Nie obarczaj się winą. I wkrótce poczujesz się lepiej. Na pewno. - To było następne kłamstwo, Hal nigdy już nie miał się poczuć lepiej. Doktor powiedział wczoraj, że może umrzeć jutro albo za miesiąc, a nawet za rok. Modliła się, żeby to był następny rok, gdyż nie mogła znieść takiej straty. Był jej życiem, dał jej tak wiele, wszystko, co obiecał jej dać tamtego odległego dnia - rodzinę, wielki dom i służbę... No, nie dał jej tego ostatniego, nigdy nie miała służby, musiała całe życie pracować ciężko od świtu do zmierzchu. Była wprawdzie Annie, ale Annie nie była służącą. Zamiast służby pracowali wszyscy - córki i synowie. Ale nie mieli nic przeciwko temu... A może mieli? Nie wiedziała. Jedno było pewne, że jak długo Hal będzie żył, ona będzie jego służącą. Bez żadnego protestu.

Odwrociła głowę ku drzwiom. Zdawało jej się, że usłyszała podniesione głosy. Tak, to był głos Maggie i jeszcze czyjś. Wstała z miejsca, gdy drzwi otwały się z trzaskiem i stanął w nich Ben, a za nim Kate i Maggie. Pospieszyła do nich wołając: - Nie, Benie, nie! Wyjdź stąd.

Powolnym ruchem ramienia odepchnął ją na bok, aż zatoczyła się do tyłu opierając o szafę, ręką zasłaniając usta. Patrzyła jak podchodzi do łóżka ze wzrokiem wbitym w leżącą nieruchomo postać. - Zrobiłeś to, prawda? Wreszcie to zrobiłeś! - krzyknął. - Czekałeś na tę chwilę całym latami. Kiedyś chciałeś zabić mnie. Zawsze żałowałeś, że tego nie zrobiłeś. Teraz nareszcie dałeś upust swojej nienawiści. Zabiłeś kogoś z krwią Bannamana w żyłach, bo chciałeś zabić.

Przez całe lata szykowałeś się do tego, czekałeś tylko na sposobność. Tak, jak powiedział chłopak, byłeś dla niego nikim. I, czy słyszysz? Jesteś nikim także dla mojej żony. Słyszysz?

- Zostaw go! Wyjdź stąd! - Mary Ellen ścisnęła go za ramię, ale nie zwracała na nią uwagi. Dopiero gdy Kate powiedziała cicho: - Chodź, Benie, chodź, to już koniec - oderwał udręczone spojrzenie od człowieka na łóżku.

Kiedy zeszli na półpiętro, Mary Ellen zamknęła za sobą drzwi i pociągnęła Kate za rękę mówiąc: - Zaczekaj chwilę, dziecko. - Kate zatrzymała się, pozwalając Benowi iść przodem. - O co chodzi? - spytała.

- Mogłaś go powstrzymać - wyszeptała z wyrzutem Mary Ellen.

- Nie chciałam go powstrzymywać, mamo. Miał prawo przyjść i powiedzieć to, co powiedział, i zupełnie się z nim zgadzam. To skończone, skończone, wreszcie skończone. Myślałam, że ten człowiek mnie kocha, i ja go też kiedyś kochałam. Ale nie ośmieliłabym się nazwać głośno uczucia, które teraz żywię do niego. Zabił mi syna, zatłukł go na śmierć. I co gorsza, być może pozbawił mnie drugiego syna, i to w jeszcze okrutniejszy sposób, bo biedak prawie stracił rozum. Chłopiec, który miał przed sobą bardzo obiecującą przyszłość. - Przełknęła z trudem i dodała cicho: - Zrujnował naszą rodzinę. Odtąd, jak powiedział Ben, jest dla mnie nikim. Nigdy nie przestąpię progę tego pokoju.

- Kate! Kate! Przestań, proszę.

Kate odwróciła się i spojrzała na Maggie. Tak samo cichym głosem powiedziała: - Tak, już wychodzę, Maggie, tylko powiem ci jeszcze ostatnie słowo. Odejdź stąd jak najprędzej, już dość długo byłaś niewolnicą.

Powiedziawszy to, zeszła w dół po schodach.

Maggie podeszła do matki. Mary Ellen oparła się o ścianę i zakryła dłońmi oczy. - Chodź i usiądź - poprosiła. Mary Ellen odmówiła ruchem głowy i odwróciła się, na oślep cofając się do sypialni i zamykając za sobą drzwi.

Maggie stała chwilę patrząc na zamknięte drzwi. Kiwając do siebie głową, powtórzyła słowa Kate. Tak odejdzie stąd, ale nie może zrobić tego od razu. Jak powiedziała wczoraj

wieczorem Willy'emu, będą musieli zostać jeszcze trochę, aż wszystko się uspokoi i Yvonne dojdzie do siebie. Niech Bóg pomoże tej dziewczynie, bo tylko on jeden jest w mocy.

Powoli odwróciła się i schodząc po schodach zastanawiała się, co właściwie znaczy „wszystko się uspokoi”. Odpowiedź, brzmiała - kiedy ojciec umrze. Nie czuła żalu na tę myśl. Nie kochała go, bo i on jej nigdy nie kochał. Zawsze liczyła się tylko Kate. Teraz Kate go odepchnęła i nie bez racji, bo czyż nie zabił jej syna? Jego celem w życiu była zemsta na Bannamanach, bo odkąd sięgała pamięcią wstecz, czuła bijącą z niego nienawiść. Ujawniła się na dobre, kiedy Kate poznała Bena, a ona sama odkryła przed wszystkimi jego pochodzenie. W pewien sposób nie była bez winy. Ale czyż nie myślała o tym nieustannie? O tak, i to napełniało goryczą jej życie. No cóż, dosyć tego, od teraz jej życie będzie szczęśliwe. Kiedy tylko Maggie opuści ten dom, urodzi się na nowo razem ze swoim dzieckiem.

---

## 12

---

Tygodniami opowiadano o pogrzebie młodego Frasera Hamiltona. Podobnego nie widziano w okolicy, od kiedy umarł stary książę.

Kiedy kondukt pogrzebowy opuścił dom, dołączali do niego po drodze ludzie ze wszystkich kręgów - robotnicy z szybów, z huty. Farmerzy i dygnitarze z Allendale, Haydon Bridge, Bardon Mill, Haltwhistle i Hexham czekali w powozach na skrzyżowaniach dróg. Nikt nawet nie uniósł ze zdziwieniem brwi, gdy do konduktu dołączyli dwaj chłopcy Reilly'ów i czterej bracia Smith z Allendale. A kiedy stary poganiacz bydlą z synem, wymyć z okazji uroczystości, dołączyli do konduktu przy cmentarnej bramie, ludzie szeptali: - Ano, widzicie. Był lubiany przez wielkich i małych. Pewnie, że był trochę nieokrzesany, ale czyż nie tacy są wszyscy chłopcy w tym wieku? Ale nie był zły, o nie. Właściwie przez swoje psoty dawał się jeszcze bardziej lubić. Co prawda,

odstawiono go raz do domu pijanego, ale to była sprawka chłopaków od Smithów. Ten młodzieniec nigdy sam nie poważyłby się na coś podobnego. No i ustatkował się - wrócił, by pracować na farmie.

Uważano ogólnie za wielką hańbę, że jego życie zostało przerwane w taki sposób. I jak odbiło się to na jego ojcu i matce. Załamali się całkiem. Nie było bardziej szanowanego człowieka w okolicy od jego ojca. Chociaż był Amerykaninem i nadal zachował swój południowy akcent, dostosował się do miejscowych zwyczajów i znany był jako wielkoduszny pracodawca. To znaczyło bardzo wiele, czego nie można było powiedzieć o wielu farmerach w okolicy, a szczególnie o jego przybranym teściu.

Stary Hal Roystan dostał apopleksji i gdyby nie to, roznieśiono by go na językach, gdyż to, co uczynił, było zwyczajnym morderstwem. Nieustannie powtarzał to młodszy brat zabitego chłopca. Naturalnie był jeszcze jeden świadek, lecz dziewczyna zaprzeczała, że widziała cokolwiek z walki. Tłumaczyła się, że zemdlała. Lecz Harry mówił co innego. Oczywiście było, że nie mogła świadczyć przeciwko staremu człowiekowi, ponieważ zamierzała wyjść za męża za jego syna... To kolejny skandal. Mężczyzna czterdziestoletni poślubiający takie dziecko. Podobno ma dziewiętnaście lat. Tak przynajmniej utrzymywano. Ale chyba miała najwyżej siedemnaście, o ile nie mniej. I była cudzoziemką. Przez Terry'ego Briggsa przeciekło, że nie została dobrze przyjęta przez panią. No cóż, to zrozumiałe. Jedno było pewne: Roystanowie będą musieli zatrudnić pomocnika albo nawet i dwóch na farmie i prawdopodobnie tyle samo służby domowej, bo także Maggie zamierzała ich opuścić. I tu też tkwiło coś nieczystego. Powiadano, że nosi brzuch przez parobka, tego, co ubiera się lepiej niż najlepsi z Roystanów. Ale brzuch i to w tym wieku! Rety! Co też dzieje się na tej farmie! Tak czy inaczej, to przykład, że jak wsadzić diabła na konia, to pogalopuje do piekła. I co tam znajduje? Ano to, że musi zapłacić za tę przejażdżkę. Hal Roystan słono zapłacił za swoją. I ciekawostką jest to, że umrze tak samo jak Bannaman, sparaliżowany, niemy i głuchy jak pień, a przecież sam pomógł Bannamanowi znaleźć się w podobnym stanie. Oto jeszcze jedna igraszka losu!

- Chcesz, żebym odeszła?

- Nie, nie. - John przyciągnął Yvonne do siebie i przytulał ją szepcząc namiętnie: - Nigdy w życiu. - Wiedział, że to, co zaproponowała Yvonne, mogłoby rozwiązać problemy w domu, ale teraz nie mógł pozwolić jej odejść. Życie stało się ponure i nie miał pojęcia, jak długo to jeszcze potrwa. Każdego dnia, kiedy pomagał przewracać ojca na drugi bok i widział udręczoną twarz matki, wydawało mu się, że zgryzocie nie będzie końca.

Minęło pięć tygodni od dnia, kiedy przyniesiono sparaliżowanego ojca do domu i ciągle jeszcze jego stan nie uległ zmianie. Nie było mu ani gorzej, ani lepiej, John liczył się więc z tym, że takie życie może trwać latami. Bez pociechy ze strony tej pięknej ukochanej istoty nie wiedział, jak to wytrzyma. Nie wiedział też, czy ona zgodzi się zostać, i jak odbije się na niej takie życie. Dał wyraz tej ostatniej wątpliwości w słowach:

- Nie chcę, żebyś mnie opuszczała, wiesz o tym, ale czy zdołasz tutaj wytrzymać? Po matce nie widać żadnych oznak zmiany. Życie może stać się dla ciebie nie do zniesienia.

Patrzyła na niego nic nie mówiąc przez chwilę, po czym odparła: - Tak długo, jak mam ciebie, zniosę to. Jeśli wrócę do Francji, będę samotna, bardzo samotna.

- Nie na długo - potrząsnął głową. - Możesz wyjść za mąż.

Nie spodziewał się odpowiedni, która padła: - Tak, tak. Mogę. Większość Francuzek chce wyjść za mąż i ja pewnie też bym to zrobiła, ale... byłby to konwenans, a nie miłość.

Przyglądał się jej w milczeniu. W tej chwili okazała to, czego ludzie nie umieli w niej dostrzec - dojrzałość. Wyglądała tak młodo, tak dziewczęco. Z tego jednego powodu nie pokazał się z nią dotąd w mieście. W ogóle nie był w mieście od pogrzebu. Willy i Maggie jeździli na targ sprzedawać towary. Boże drogi! Jak będzie wyglądał ten dom, kiedy odjadą? Stanie się to już wkrótce. John wiedział dobrze, że zanim on sam odejdzie, będzie musiał stanąć twarzą w twarz z matką i zawiadomić ją, że chce spotkać się z pastorem i dać na zapowiedzi.

Zza drzwi kuchennych usłyszał kroki Maggie i odsunął się. Przeszedł na drugi koniec stołu, a kiedy Maggie weszła, spytał Yvonne: - Co zamierzasz nam dzisiaj ugotować?

- Maggie ma mi pokazać, jak się robi nadzienie do ciast, - odparła Yvonne.

Skierował wzrok na Maggie. - Czy mama jest ciągle na górze? - spytał.

- Nie, ostatnio była w gabinecie.

Poszedł do gabinetu, otworzył drzwi i zastał matkę siedzącą za biurkiem, gdzie przez lata siadywał ojciec, a gdzie on nie usiadł nigdy.

- Czy mogę zamienić z tobą kilka słów?

- Tak. - Spojrzała na niego znad ksiąg rachunkowych.

- W sobotę nie wypadło wcale tak źle. To zdumiewające, jak ceny skaczą do góry i na dół. Usiądź, Johnie. Nie stercz tak nade mną. - Nie przerywając ciągnęła: - Twój ojciec planował, żeby w tym roku zaorać wschodni stok. Mówił, że da się to zrobić. Joe Hodgson mieszka wyżej od nas i...

- Mamo - przerwał potok jej słów. - Nie chcę rozmawiać o Joe Hodgsonie ani o tym, co zamierzał zrobić ojciec, chcę porozmawiać o mnie i o moim życiu. Przejdę prosto do rzeczy. W niedzielę porozmawiam z pastorem o zapowiedziach. Ożenię się z Yvonne, mamo, bez względu na to, co myślą inni. Jeśli nie będę mógł się ożenić z nią tutaj, wówczas - zatrzymał się i odwrócił od niej wzrok - ożenię się z nią gdzie indziej.

Zamknęła księgę z rachunkami i odsunęła ją na bok, a potem wyciągnęła leżący przed nią list, odwinęła go i wygładziła jego rogi starannie palcami.

- Wiesz, co mi robisz, mamo? - wyrzucił z siebie. - Rządzisz moim życiem. Nie wiedziałem, co to jest szczęście, dopóki jej nie poznałem. Od tej pory odżyłem. Wiem, że istnieje coś więcej oprócz czternastogodzinnej harówki. Przynajmniej wiem, że mam na co czekać, że można czekać na coś więcej niż na śmierć ojca, żeby przejąć farmę, co przy ówczesnym jego stanie mogło zdarzyć się dopiero za wiele lat. A nawet teraz jego odporność może trzymać go przy życiu Bóg wie jak długo.

- Johnie i to ty mówisz w ten sposób?

- Mamo, spójrzmy w oczy prawdzie. Na litość boską, spójrzmy prawdzie w oczy.

Dźwignęła się z fotela i z rękami opartymi o biurko pochyliła się do niego. - Ja patrzę - wycodziła przez zęby. - Ja właśnie patrzę, w oczy prawdzie, która jest taka, że oczekujesz, iż spędzę resztę mojego życia z tą mizerną dziewczyną, która przypomina mi, ilekroć spoczna na niej moje oczy, nie tylko, skąd się wywodzi, ale także, co ściągnęła na ten dom.

- Niczego nie ściągnęła na dom, mamó - John podniósł głos. - Cokolwiek się stało, odpowiedzialny jest za to ojciec. Jak powiedziała Kate, latami czekał na sposobność skrzywdzenia Bannamana. Fakt, że Ben uratował mu życie, udaremnił zabójcze zamiary ojca wobec niego. Lecz kiedy urodził się ten chłopak, od kiedy ojciec ujrzał jego czarne włosy i ciemne oczy, poczuł do niego obrzydzenie, bo dostrzegł w nim starego Bannamana i jego córkę, kobietę, która ponoć poddała go torturom.

- Nie ponoć! - krzyknęła Mary Ellen. - Naprawdę go torturowała i miała zamiar zamęczyć go na śmierć.

- No cóż, zasmakował swojej słodkiej zemsty, prawda? Zabił młodego chłopca. A teraz za to płaci.

Mary Ellen opadła na fotel.

- To tak widzisz swojego ojca? - zapytała cicho.

- Tak, mamó, tak widzę swojego ojca - odpowiedział równie cicho. - Ponieważ dawno temu odkryłem utajoną w nim głęboką nienawiść, żądzę zemsty. Nie udało mu się zamaskować tego rubasznym zachowaniem. Ale to wszystko należy do przeszłości i jest poza nami. Chcę z tobą rozmawiać o przyszłości, o mojej i Yvonne przyszłości. Dlatego że na pewno się pobierzemy, a jeśli nie zmienisz swojego stosunku do niej i nie zaakceptujesz jej w tym domu, twoje życie będzie tak żałosne, jak sobie je zgotowałaś. Przemyślałem wszystko. Zajmę parę pokoi od zachodniej strony i połączę z dwiema sypialniami nad nimi. To pozwoli nam mieszkać oddzielnie i nie będziesz musiała widywać Yvonne, kiedy nie będziesz miała na to ochoty. Będziesz musiała mieć pomoc do domu. Przemyślałem także i to. Można przyjąć bliźniaczki Conwayów. Jedna bez drugiej nie może żyć. Mają po szesnaście lat i są pracowite. Maggie rozmawiała z nimi jakiś czas temu. Bardzo chętnie zostawią posadę w Hexham. Nie lubią miasta

- wolą świeże powietrze, tęsknią do pól i lasów. Oto masz plan na najbliższą przyszłość.

- W imię Ojca i Syna! - Mary Ellen odwróciła głowę na bok i popatrzyła w odległy kąt pokoju. - Że też musiało do tego dojść - rzekła. - Oto, czego dorobiłam się, pracując całe życie. Mnie się mówi, kto ma zamieszkać w moim domu. Stawia mi się warunki. Dobrze, że mój umysł jest jeszcze jasny i nadal trzymam cugle w rękach, bo inaczej oddano by mnie do domu starców. - Odwróciła się i popatrzyła na Johna. - Nie wierzę własnym uszom - dodała. - Nie mogę uwierzyć w to wszystko, co mi się przydarzyło. Po prostu nie mogę. - Głos jej się załamał i z jękiem dokończyła: - Idź stąd! Zejdź mi z oczu! Idź!

John wyszedł i stanął w sieni trzymając się za głowę. Widząc go w takim stanie, Maggie zbliżyła się. - Aż tak źle? - spytała.

Powiodł ręką po twarzy jakby chciał zetrzeć z niej smutek. Nie odezwał się, lecz rozłożył ręce w geście świadczącym o bezradności i odszedł.

Maggie spoglądała na drzwi gabinetu i dziękowała Bogu, że już wkrótce będzie miała spokój. Odejdzie dzisiaj po południu. Zastanawiała się, czy pójść i przypomnieć o tym matce, ale zdecydowała się poczekać jeszcze trochę i pozwolić jej ochłonać po przeprawie z Johnem. Powie o tym później, kiedy zanieśe na górę tacę dla ojca.

Dwie godziny później weszła na piętro niosąc miskę gorącego rosółu. Ojciec mógł połykać tylko płyny, one więc były głównym źródłem jego pożywienia. Wiedziała, że znajdzie matkę siedzącą przy łóżku i przemawiającą do niego. To było przerażające. Maggie nie wierzyła, żeby rozumiał choć słowo z tego, co się do niego mówiło, ale matka była przekonana, że jest świadomy wszystkiego, co się wokół dzieje. Doktor powiedział, że może być i tak, i tak, nie było sposobu, żeby się o tym przekonać, dopóki ojciec nie da jakiegoś znaku.

Stojąc przed drzwiami usłyszała stłumiony dźwięk głosu matki. Kiedy otworzyła, matka mówiła właśnie: - To jedyna rzecz, jakiej nie dam rady ścierpieć, Halu. Nie dam rady.

Odwróciła się, kiedy Maggie postawiła tacę na stole obok i powiedziała cichym głosem: - Pamiętaj, mamu, dzisiaj po

południu wyjeżdżam do własnego domu. To dzień przeprowadzki i muszę się już zacząć szykować. - Mary Ellen nie odpowiedziała, patrzyła za córką jak opuszcza pokój, spokojnie powiedziawszy, że odchodzi z jej życia, zostawia ją, zostawia ją z tą okropną dziewczyną na dole. Och, nie, nie. Nie! Ostatnie słowo zaświdrowało w jej głowie niczym krzyk. Skoczyła pospiesznie do drzwi. Zobaczywszy, że Maggie wchodzi do swojego pokoju krzyknęła: - Maggie! Maggie! - Maggie zamarła. - Co się stało, mamó? - spytała. - Co jest? Tato?

Mary Ellen potrząsnęła głową. Wargi jej drżały, oddychała głęboko. - Maggie, Maggie, nie opuszczaj mnie - zawołała. - Na litość boską, nie zostawiaj mnie - Łzy trysnęły jej z oczu, objęła córkę ramionami i przywarła do niej mocno. - Dziecko! Dziecko! na litość boską! Zlituj się nade mną i nie zostawiaj mnie! - wołała.

Maggie nie pamiętała, żeby matka kiedykolwiek ją obejmowała. Do tej pory każdy dotyk oznaczał szturchaniec. Maggie do dziś nie zapomniała policzków, które jej wymierzyła w dniu, w którym przyniosła wiadomość o pokrewieństwie Bena z Bannamanami. A teraz była w objęciach matki i słyszała jej błaganie przez łzy: - Dziecko! Dziecko! Zrobię wszystko, wszystko, co powiesz, tylko nie odchodź. Niech on odejdzie. Niech jedzie z nią do Francji, tylko ty zostań ze mną. I Willy. Tak, i Willy.

Maggie podniosła powoli rękę i pogłaskała matkę po włosach. - Uspokój się, mamó. Chodź tu i usiądź. - Mówiąc to pomyślała o Annie, bowiem na dwa dni przed tym, jak znaleziono ją w kuchni martwą, powiedziała do Maggie dokładnie te same słowa. To zdarzyło się po sprzeczce z matką. Kiedy owego dnia Mary Ellen wypadła z hałasem z kuchni, Annie objęła Maggie ramionami i podprowadziła do ławy mówiąc: - Oj, dziecko, dziecko. Wiem, co czujesz, w pewien sposób jedziemy na tym samym wózku. - Jakby mówiła o łączącym ich staropanieńskim losie.

Siedziały obok siebie na łóżku. Maggie uniosła brzeg fartucha matki i wytarła jej twarz, powtarzając: - No, no. Przestań już, mamó. Rozchorujesz się. - Nigdy przedtem nie widziała matki płaczącej tak rozpaczliwie. Rozpaczwała, kiedy

umarli Peg i Walter, ale nie w taki sposób. Poczwała, jak ręce matki ściskają mocno jej dłonie i usłyszała znowu błaganie:  
- Nie odejdziesz, Maggie? Prawda? Nie odejdziesz?

- Mamo. - Ton głosu Maggie był spokojny. - Willy już zapłacił część pieniędzy, a resztę mamy dopłacić dziś po południu. Klamka zapadła.

Matka zwiesiła głowę, a następnie nią potrząsnęła. - To nie ma znaczenia - rzekła. - Pieniądze się nie liczą. Kupcie farmę, a potem sprzedajcie, tylko nie wyjeżdżaj. Na litość boską, dziecinko, nie wyjeżdżaj. Kto mi jeszcze został prócz ciebie? Hugh i Gabriel rzadko przyjeżdżają w odwiedziny. Tom żyje własnym życiem i także rzadko zagląda. Co do Florrie i Charlesa - żyją oni w innym świecie. Oczywiście są grzeczni i uważający, kiedy tylko przyjeżdżają. Ale teraz należą już do wyższych sfer. Charles wciągnął tam Florrie. No i John. Och, John. Nigdy nie pomyślałam, że stracę Johna, ale jeśli będę chciała, by został, będę musiała przyjąć także i ją. I... Maggie, Maggie... ja nie mogę. Wiesz, co zrobię, kiedy zostanę z nią sama? Zabiję Hala, tak, zabiję i sama też ze sobą skończę. Są zioła i sposoby.

- Nie mów tak, mamo. Nie mów takich strasznych rzeczy.

- Mówię poważnie.

- Ale, mamo, tu nie idzie tylko o mnie, jest jeszcze Willy. Gdzie on pójdzie, pójdę i ja.

- Chcę zobaczyć się z Willym. Ma tutaj pewną pracę.

Maggie wysunęła ręce z uścisku matki i zmienionym głosem i z innym wyrazem twarzy powiedziała: - O, nie, mamo. Willy nie potrzebuje zwykłej pracy. Dzisiaj ma okazję stać się gospodarzem na własnej farmie, tak samo jak ty i ojciec przed laty. Willy jest wart czegoś więcej niż posady parobka czy nawet furmana. Chce mieć własne gospodarstwo i ja też tego chcę. Przecież nigdy niczego w życiu nie miałam. Wiesz o tym, mamo? Byłam darmową służącą w tym domu. Nie... nie dostałam nawet rekompensaty za swoje przywiązanie.

- Och, dziecko.

- Nie mów tak, mamo, nie próbuj się usprawiedliwiać, nie teraz, kiedy jest już tak późno. Spójrzmy prawdzie w oczy. Zawsze była Kate, Kate, Kate, przez całe lata, i Florrie. Tak,

twoja droga słodka Florrie. I twoi synowie, wspaniali synowie. Ale Maggie? O, Maggie była zadrą w sercu. Maggie miała ostry język, który z latami stawał się coraz ostrzejszy. Dlaczego, mamó? Bo nigdy, nigdy nikt mnie nie kochał. Dziwne, ale w rodzinie zawsze znajdzie się ktoś niekochany i padło na mnie. Byłam najładniejsza, najdowcipniejsza, najlepsza do zabawiania towarzystwa, ale nie dano mi miłości. Teraz ją znalazłam, mamó, taką, jakiej sobie nawet nie wyobrażałam. W tym względzie jakby los wynagrodził mnie za te wszystkie chude lata. Wiesz, ile mam pieniędzy za całą pracę, jaką włożyłam w ten dom? Trzydzieści sześć funtów i osiem szylingów. Reszta mojego majątku to parę sztuk biżuterii, niewiele wartej, i trochę ubrań. Jeśli stąd wyjadę, niczego nie stracę, prawda?

- Maggie, Maggie, na litość boską, nie mów tak! Dam ci, czego tylko chcesz.

- Nieważne, czego ja chcę, mamó. Idzie o to, czego chce Willy, czego on oczekuje od życia, w imię czego jest skłonny pracować. Chce mieć własną farmę.

- Może mieć własną farmę, dziecko. Dopilnuję tego. Obiecuję ci. Może kierować tą farmą i wynajmować robotników. Zostawię ją jemu, obiecuję.

Maggie zaniemówiła i wlepiła w matkę wzrok. Mary Ellen szepnęła: - Maggie, Maggie. Proszę cię, przemyśl to. Poproś Willy'ego, żeby przyszedł tu do mnie.

Kiedy Maggie bez słowa podniosła się z łóżka, matka znów chwyciła ją za rękę, prosząc: - Błagam cię.

- Muszę zobaczyć, co on na to powie, mamó.

- Powiedz mu, żeby przyszedł tu do mnie. On... może postawić swoje warunki.

Maggie spojrzała w dół na twarz skąpaną we łzach. Wyblakłe oczy napełnione były łzami, które strumieniami lały się po policzkach. Takiej matki nigdy przedtem nie widziała. To była matka, która jej pragnęła... po prostu dlatego, że nie miała już nikogo więcej. Pragnęła jej z siłą większą i żarliwiej niż kogokolwiek innego z rodziny. Czuła, że nie wolno jej zostawić matki w tej chwili. Powiedziała, że Willy może przedstawić swoje warunki. Postawi, a ona będzie musiała przystać na nie, a swoją zgodę dać na piśmie.

- Wrócę zaraz, mamó.

Wyszła z pokoju i biegiem puściła się ze schodów, przez sień, przez podwórze wołając Willy'ego.

Willy nie pokazał się, lecz ze stajni wyszedł John prowadząc dużego konia pociągowego, więc zawołała do niego:

- Widziałeś Willy'ego?

- Niedawno orał jeszcze. Powinien lada moment skończyć.

Ruszyła biegiem w kierunku pola, lecz zatrzymała się i podbiegła z powrotem do Johna. Złapała go za rękę i powiedziała: - Możesz być wolny. Możesz jechać do Francji. Ty i Yvonne możecie być wolni.

- Co takiego? Co ty opowiadasz?

- Powiem ci dokładniej, kiedy wrócę - zakasała spódnicę i pobiegła przez podwórze obok kop siana, kurników, wspięła się na bramę, obiegła dookoła łąkę, na której pasły się krowy i ujrzała Willy'ego prowadzącego konie i pług. Dotarł już do ostatniej skiby, kiedy dobiegło gojej wołanie. Zatrzymał konie i podbiegł. - Co się dzieje? Co się stało, dziewczyno? Dlaczego tak biegłaś? Nie powinnaś - zawołał.

Ku jego osłupieniu poczęła prędko mówić: - Którą farmę byś wołał, Willy? Morton House czy tę farmę? - zatoczyła ramionami koło.

- Co się stało, dziewczyno? O czym ty mówisz?

Chaotycznie opowiedziała, co zaszło między nią a matką, po czym wolniej dodała: - Ona mnie potrzebuje. Nigdy nie myślałam, że ją ujrzę w takim stanie. Błagała mnie prawie na kolanach. Ale... to zależy od ciebie, Willy, tylko od ciebie.

Odwrócił się i popatrzył na konie, pług i na pole dokoła, po czym odezwał się powoli: - Czy naprawdę powiedziała, że to wszystko... będzie nasze?

- Aż tyle, ale - głos przybrał twardszą nutę, kiedy dodała: - cokolwiek by mówiła, będę to miała na piśmie. Ludzie zmieniają się jak chorągiewki, kiedy im czegoś potrzeba. Wszystko musi być spisane do ostatniego szczegółu.

- Och, dziewczyno, dziewczyno. - Gdy wyciągnął do niej ramiona, ona zarzuciła mu ręce na szyję i tak trwali w objęciach. - Powiedziałeś jej, co ją czeka w następną sobotę?

- spytał na poły żartobliwie.

- Nie, jeszcze nie. Nie wszystko naraz. Ale teraz nie będzie miała nic przeciwko temu. No cóż, nie mogę przecież splamić

swojego imienia. Muszę poślubić ojca mojego dziecka, prawda?

- Wiesz co, Maggie?

- Nie, Willy.

- Jesteś cudowną dziewczyną.

- Wiesz co, Willy?

- Nie, Maggie.

- Jesteś cudownym mężczyzną i to, jak cię kocham, jest nie do opisania.

Pocałowali się mocno i żarliwie. Potem Willy rozejrzał się dokoła i roześmiał się: - Ciekawe, czy takie rzeczy zdarzały się wcześniej na zaorany polu?

- I ja też jestem ciekawa. W każdym razie zabieraj konie z powrotem i umyj się, a potem porozmawiamy z matką.

- A więc postanowiłeś zostać, Willy? Dziękuję ci, dziękuję bardzo. Jestem ci wdzięczna, a ty będziesz... - Mary Ellen miała zamiar ciągnąć dalej w tym duchu, gdy wtrąciła się Maggie: - Pamiętaj, mamó, że musimy omówić warunki.

- Tak, dziecko, naturalnie. Jakie warunki?

- John wyjedzie z Yvonne do Francji, prawda?

Mary Ellen westchnęła ciężko. - Tak, już mu powiedziałam, że droga przed nim stoi otworem, jeśli chce w taki sposób urządzić swoje życie - odparła.

- Cóż, Tom jest urządzony, Hugh i Gabriel także. - Nie wymieniła Kate. - Żaden z nich nie może rościć sobie pretensji do farmy, ponieważ żaden z nich na niej nie pracował z wyjątkiem Gabriela, który przepracował tu parę lat. Zatem, jeżeli mamy tu pozostać przez resztę życia, farma powinna przejść na mnie... na nas, kiedy coś się z tobą stanie. Naturalnie mam nadzieję, że mamy do tego czasu wiele, wiele lat. Jednak teraz chcę oświadczenia, że dzielimy z tobą tę farmę i... i chcę tego na piśmie.

- Na piśmie, dziecko? - Twarz Mary Ellen ściągnęła się w udawanym zdziwieniu.

- Tak, na piśmie, mamó, zgodnie z prawem, żeby nie było żadnych nieporozumień i żeby obie strony się nie rozmyśliły. Ani my nie będziemy mogli stąd wyjechać, ani też ty nie

będziesz mogła zmienić swojego postanowienia, jeśli to będzie na piśmie.

Mary Ellen patrzyła to na jedno, to na drugie i w oczach jej pojawił się błysk, pojawiający się u niej w dzieciństwie i w dorosłym życiu, który oznaczał zdecydowanie, by bronić tego, co jej się należało. Jednak znikł tak szybko, jak się pojawił, i Mary Ellen zwiesiła głowę. - Będzie jak mówisz, dziecko, będzie jak mówisz - zdecydowała.

Maggie zapragnęła w odruchu współczucia podbiec do matki i objąć ją, tak przeraźliwie obce było jej zachowanie. Chciała powiedzieć: - To nie ma znaczenia. To nieważne, mamó. Wystarczy, że dałyśmy sobie słowo. Ale była dostatecznie rozsądna, by wiedzieć, że ludzkie charaktery nie zmieniają się całkowicie, tylko naginają się czasem do okoliczności, i że matka może któregoś dnia otrząsnąć się ze swojej apatii. Może kiedy odejdzie jej życiowy partner będzie musiała wypełnić czymś powstałą po nim pustkę. Może wtedy jej zdecydowanie dominująca natura weźmie raz jeszcze górę. Maggie nie mogła sobie wyobrazić, żeby matka pozostała taką przegraną istotą, jaką była w tej chwili. Tak więc musi być jakieś zabezpieczenie.

Matka patrzyła teraz na Willy'ego. - Tak, może to tak wygląda, jak mówi Maggie. Musisz porozmawiać z Hugh - powiedziała.

- Nie, mamó, nie z Hugh. Lepiej, żeby nikt z rodziny nie decydował o tym, co ma być zrobione. Powinien zająć się tym oświadczeniem pan Brown, u którego podobne rzeczy załatwiał zawsze ojciec.

- W porządku, Maggie. W porządku.

- Pani Roystan.

- Tak, Willy?

- Muszę powiedzieć to pani otwarcie, że rozglądałem się za własną farmą, teraz jednak, gdy rzeczy przybrały taki obrót, obiecuję pani, że będę się starał najlepiej jak umiem. Czy będziemy mieć w farmie udział, czy też nie, będę starał się swoją pracą nadrobić wszystko za tych, których pani straciła.

Mary Ellen przełknęła z trudem ślinę. Do oczu ponownie napłynęły jej łzy. - Dziękuję ci, Willy - powiedziała łamiącym się głosem. Zawsze byłeś zdolnym do współczucia

i dającym się lubić chłopakiem. Dziękuję. Ale... ale oprócz twojej pracy jest jeszcze jedna rzecz, przy której będę potrzebowała pomocy - zwróciła wzrok ku Maggie. - Twój ojciec. Potrzebuję pomocy przy podnoszeniu go co dzień.

- O, proszę się nie martwić, pani Roystan. Będzie to dla mnie jedynie zaszczyt pomagać pani w czymkolwiek tak w domu, jak i w obejściu. A teraz, nie wiem, czy Maggie już pani o tym mówiła, ale zamierzamy wziąć ślub w następną sobotę w urzędzie stanu cywilnego w Newcastle.

- Och - Mary Ellen przeniosła wzrok z Willy'ego na Maggie, po czym odparła: - Cóż, tak, rozumiem.

- Ale nie zajmie nam to dużo czasu, tylko jedno przedpołudnie. - Zerknęła na Maggie, a ona potaknęła powtarzając: - Tylko przedpołudnie. Czy napijesz się herbaty, mamo?

Po chwili milczenia Mary Ellen odparła: - Tak, dziecko, Myślę, że powinnam, z kropelką czegoś mocniejszego. Nie odmówię, dziecko, nie odmówię.

Kiedy oboje odwrócili się, by opuścić pokój, Mary Ellen odezwała się nieoczekiwanie: - A z tą małą farmą, którą prawie kupiłeś, co zamierzasz zrobić?

Willy odwrócił się i odpowiedział: - Będziemy musieli wytrzymać jakoś tę stratę. Powiem dzisiaj, że się rozmyśliłem.

- Nie robiłabym tego. Ja bym ją wzięła i oddała w dzierżawę. Ziemia i posiadłości w okolicach Corbridge są w cenie.

Willy nic na to nie odpowiedział, tylko skinął głową, a kiedy oboje znaleźli się już w sieni, zatrzymał się i spytał: - Uwierzyłybyś w to?

Maggie powoli pokiwała głową. Tak, uwierzyłaby. Miała rację nalegając, żeby wszystko odbyło się zgodnie z prawem, bo jej matka daleka była od odsunięcia się od interesów. To nie ulegało wątpliwości.

W kuchni czekali na nich John i Yvonne. Maggie natychmiast przekazała im dobrą nowinę. - W porządku. Załatwione.

- Czy to dla ciebie dobrze? - Na zwykle pogodnej twarzy Yvonne pojawił się cień.

Maggie potwierdziła.

- Zgodziła się dać ci to na piśmie? - spytał John.

- Tak, Johnnie, tak. - Roześmiała się i popatrzyła w stronę Willy'ego, mówiąc: - Zgodziła się i nawet nie zrzędziła.

Chociaż, jak to mama, niezupełnie. W każdym razie - wyciągnęła do nich swe dłonie - oboje jesteście wolni. Tak jak my, możecie zacząć wspólne życie. Dostyc późno to do nas przyszło - popatrzyła na Johna - ale jest przysłowie, które mówi: Nie zrywaj nigdy ziela, dopóki w pełni nie rozkwitnie.

W odpowiedzi John objął ją ramionami, a ona jego, i oboje przywarli do siebie na krótką chwilę.

Jakież to dziwne, musiałam czekać czterdzieści lat, żeby objął mnie mój rodzony brat - pomyślała.

W milczeniu odwróciła się od Johna i podeszła do Willy'ego, by uścisnąć wyciągniętą rękę. Od tej chwili będzie miała wszystkie uściski, jakich tylko zapragnie. A kiedy urodzi się dziecko, nieważne czy będzie to dziewczynka, czy chłopiec, będzie dbała, by było noszone na rękach i pieszczone. Postara się, by nigdy w życiu nie zabrakło mu miłości i czułości bez względu na to, jakie wyrośnie - dobre, złe, czy odmienne. I jeszcze jedno - nauczy je żyć bez nienawiści.

KONIEC